R

Assumption Fathers, Minor Seminarians
ELLICOTT CITY, MARYLAND

Franciscan Fathers, Minor Conventuals

ELLICOTT CITY, MARYLAND

CHŁOPI

TOM IV

Franciscan Fathers, Minor Conventuals

ELLICOTT CITY, MARYLAND

WŁADYSŁAW ST. REYMONT

P I S M A

WYDANIE ZBIOROWE ZUPEŁNE
ZE WSTĘPEM ADAMA GRZYMAŁY-SIEDLECKIEGO
I PORTRETEM AUTORA

TOM V

CHŁOPI

TOM IV

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

WŁADYSŁAW ST. REYMONT

CHŁOPI

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

IV

LATO

WYDANIE PIĄTE

Franciscan Fathers, Minor Conventuals
ELLICOTT CITY, MARYLAND

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

Printed in Poland

SKŁADY GŁÓWNE:
„THE POLISH BOOK IMPORTING CO., INC." — NEW-YORK
„KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU SP. AKC."—KATOWICE

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.

1925

Zakłady Graficzne Straszewiczów, Leszno 112.

LATO.

I.

. . . . . .

I tak się ano było zmarło Maciejowi Borynie.

Zaś w chałupie zaspali ździebko z powodu niedzieli, jaże dopiero Łapa przebudził ich szczekaniem, bo tak ujadał, tak wył, tak ciskał się do drzwi, a kiej mu otworzyli, tak szarpał za przyodziewy i wylatywał, obzierając się, czy za nim lecą, że Hankę jakby cosik tknęło.

— Wyjrzyj-no, Józka, czego ten pies chce.

Poleciała za nim w dobrej myśli, swawoląc po drodze.

Doprowadził ją do ojcowego trupa.

Wrzask ci straszny podniosła, zbiegli się wnet wszyscy na pole do starego, ale już całkiem widział się być zeskrzytwiałym, leżał na twarzy, jak był padł w skonania czasie, a rozkrzyżowany, kieby w tym ostatnim dusznym i gorącym pacierzu.

Zniesiono go do chałupy, próbując jeszcze ratować.

Ale na darmo poszły starunki, próżne już były wszelakie pomoce i zabiegi, trup ci to był jeno, zimny trup człowieczy.

Srogi lament powstał w chałupie; Hanka rozkrzyczała się wniebogłosy, Józka z rykiem tłukła się o ściany, Witek buczał wraz z dziećmi, nawet Łapa wył i szczekał w opłotkach, tylko jeden Pietrek, co się był pokręcił tu i owdzie, wyjrzał na słońce i spać poszedł do stajni.

A Maciej leżał na swojem łóżku, rozciągnięty i sztywny, z rozdziawioną i uwalaną w ziemi gębą, podobien zgoła do zeschłej na słońcu grudy ziemi, lebo pnia spróchniałego; w zesztywniałych garściach zaciskał piach; zaś oczy otwarte szeroko patrzyły z takiem zachwyceniem, a tak kajś daleko, jakoby w niebo już naścieżaj wywarte.

Ale taka straszna groza śmierci biła od niego i taka przejmująca lutość, jaże go płachtą przykryli.

Że zaś wmig rozniesło się po wsi, to ledwie co słońce wyniesło się chyla tyla nad chałupy, a już ludzie lecieli na przewiady; raz po raz wchodził ktosik, unosił płachty, zazierał mu w oczy, przyklękał i pacierz mówił, zaś drudzy, łamiąc rozpacznie ręce, przystawali w żałobnej cichości, docna w sobie struchleli z onej Bożej przemocy nad człowiekowym żywotem.

Jeno te żałosne lamenty sierot nie ścichały ani na chwilę, roznosząc się na całą wieś.

Dopiero kiej Jambroż nadszedł, wypędził wszystkich przed dom, a izbę zamknął, by wespół z Jagustynką i Jagatą, która się była przywlekła z tym ochfiarnym pacierzem, wziąć się do obrządzania umarlaka. Ochotnie on to zawdy robił i z niemałemi przekpinkami, ale dzisia było mu czegoś na sercu ciężko.

— Tyla ano człowieczej szczęśliwości! — mamrotał, rozdziewając zmarłego. — Kostucha, kiej się jej spodoba, ułapi cię za grdykę, praśnie w pysk, zadrzesz giry na księżą oborę i oprzej się?

Nawet Jagustynka była jakaś markotna, bo wyrzekła żałośnie:

— Tyrał się jeno chudziaczek po świecie, to lepiej co i pomarł.

— A juści, bo mu to jaka krzywda była!

— Ale i dobrości też nażył niewiela.

— Któż to jej zażywa dosyta! Coby największy dziedzic, coby nawet sam król, a kłopotał, a zabiegał, a cierzpiał będzie.

— Tyle jeno było jego, co głodu nie zaznał a chłodu.

— Co to głód, matko. Turbacje gryzą barzej wszystkiego.

— Prawda, czym to sama nie praktyk! A jemu Jagusia zapiekała do żywego mięsa, dzieci też nie żałowały.

— Dzieci miał dobre i nijakiej krzywdy od nich nie zaznał — wtrąciła Jagata, przerywając głośne modły.

— Pilnujcie lepiej pacierza. Hale, żałoście wyciąga za nieboszczyka, a uszów dobrze nadstawia na nowinki — warknęła Jagustynka.

— Bo złe dzieci takby się nie biadoliły. Posłuchajcie ano...

— By się waju tylachna ostało po kim, tobyście się do siódmego potu wydzierali, nie żałując gardzieli.

— Cichajta! Jagusia bieży! — przyciszył Jambroż.

Jaguś wnet wpadła do izby i stanęła w pośrodku, kiej wryta, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

Właśnie byli Macieja przyodziewali w czystą koszulę.

— Pomarli! — jęknęła wreszcie, wtapiając w niego zestrachane, nieprzytomne oczy. Strach ją chycił za gardło i serce, jakby się zakrzepło na lód, że ledwie dychać poredziła.

— Nie wiedzieliście to? — pytał Jambroż łagodnie.

— U matki spałam, a Witek co ino przyleciał powiedzieć. Nie żyje to naprawdę? — zapytała nagle, przystępując do niego.

— Juści, co nie do ślubu go rychtujem a jeno do trumny.

Nie mogła jeszcze zrozumieć, wsparła się o ścianę, gdyż się jej widziało, jakoby ją morzył ciężki śpik i zmora dusiła, a ona nie poredzi się przebudzić, jeno się kala cała w potach i w męce strachu. I co trochę wychodziła z izby i powracała, nie mogąc oderwać oczów od trupa, i co trochę zrywała się kajś uciekać a ostawała, i co trochę leciała za dom, na przełaz i nic nie widzący patrzyła po polach, albo siadała na przyźbie wpodle Jóźki, która buczała, drąc włosy i krzycząc żałośnie:

— O mój tatulu jedyny! O mój tatulu!

Juści, co wszystko obejście i dom pełne były tych płaczów i lamentliwych szlochań, a ona tylko jedna, chocia się w niej trzęsła każda kosteczka i ja-

kieś ciężkie bolenie spierało pod piersiami, nie puściła ni jednej łzy, nie poredziła krzyczeć, a jeno chodziła błędna, świecąc oczami, zapiekłemi w zgrozie.

Szczęściem, że Hanka wrychle się opamiętała i, chociaż jeszcze popłakujący, a już dawała baczenie na wszystko i rządziła, jak zwykle, że, kiej przylecieli kowalowie, całkiem była ostygła.

Magda wybuchnęła płaczem, a jeno kowal rozpytywał.

Opowiedziała po porządku, jak się to stało.

— Dobrze, co mu Pan Jezus dał lekką śmierć!— szepnął.

— Tylachna wycierzpiał, to mu się należała.

— Chudziaszek, na pole jaże uciekał przed kostuchą!

— A z wieczora zaglądałam do niego, to leżał se cicho, jak zawdy.

— I nie przemówił co?—pytał, trąc suche oczy.

— Ani tego słowa, ogarnęłam mu pierzynę, dałam pić i poszłam.

— I sam wstał! Możeby jeszcze nie pomarli, żeby go kto pilnował — jęknęła Magda przez głębokie szlochania.

— Jagusia sypiała u matki, bo stara ciężko chora, zawdy tak.

— Tak już miało być, to i tak się stało! Tyla się nachorzał, jakże, toć więcej, niźli kwartał! A komu nie do zdrowia, to lepsza prędka śmierć. Trza Panu Bogu dziękować, co się już nie morduje—wyrzekł.

— Juści, a sami wiecie, co to zrazu kosztowały dochtory, co leki, a na nic poszło wszystko.

— Bo jak kto na śmierć chory, temu nie pomogą dochtory.

— Taki gospodarz, taki mądrala, mój Jezu! — biadoliła Magda.

— A mnie jeno żal, co Antek nie zdążył do żywego.

— Nie dzieciuch, to płakał nie będzie. O pochowku pilniej pomyśleć.

— Prawda, a tu jakby na złość i Rocha niema.

— Poredzimy se sami. Nie frasujcie się, już ja wszystko wyrychtuję.

Odpowiadał kowal, któren, chociaż twarz pokazywał frasobliwą, a w sobie cosik drugiego taił, gdyż niby to wzdychał, niby to żałował i łzy obcierał, a w oczy nie patrzył. Wziął się Jambrożowi pomagać i ubiery ojcowe szykować, a długo myszkował w komorze pomiędzy motkami przędzy i w rupieciach, to po kątach szukał, to jaże na górę właził, nibyto po buty, które tam wisiały. Wzdychał jucha, kiej miech, pacierze trzepał głośniej, niźli Jagata, i wypominał dobroście nieboszczyka, ale oczy mu cięgiem szukały czegoś po izbie, a same ręce lazły pod poduszki, lebo we słomie łóżka chciwie bobrowały.

Aż Jagustynka ozwała się kąśliwie:

— Byście tam czego uschniętego nie naleźli... a najdziecie, to trzymajcież, bo waju uciecze z garści, ślizgie...

— Kogo nie piecze, temu nie uciecze! — mruknął i już szukał otwarcie, kaj jeno mógł, nawet nie bacząc na organistowego Michała, któren przyleciał zziajany po Jambroża.

— Chodźcie do kościoła, przywieźli do chrztów czworo dzieci.

— Niech poczekają, nie ostawię rozbabranego.

— Wyręczę was, idźcie, Jambroży — namawiał kowal, jakby chcąc się go pozbyć.

— Ochfiarowałem się, to i zrobię. Nieprędko trafi mi się drugi taki gospodarz. Zrób w kościele, co potrza, Michał, wyręcz mnie, a niech chrzestni ołtarz obejdą z zapalonemi świecami, to ci grosz jaki kapnie. Na organistę się uczy, a przy głupim chrzcie jeszcze usłużyć nie poredzi — ozwał się za nim wzgardliwie.

Hanka przywiedła Mateusza, by wziął miarę na trumnę.

— Jeno mu domowiny nie żałuj, niechta chudziak rozeprze się choćby po śmierci — powiedział Jambroż smutnie.

— Mój Jezu, za życia to ciasno mu było i na włókach, a teraz i we czterech deskach się zmieści — szepnęła Jagustynka, zaś Jagata, przerywając pacierze, jąkała płaczliwie:

— Gospodarzem se był, to i gospodarski pochówek miał będzie, a biedny człowiek to nawet nie wie, pod jakim płotem tę ostatnią parę puści. By ci światłość wiekuista! By ci...—zaniesła się znowu.

A Mateusz jeno głową pokiwał, odmierzył trupa, pacierz zmówił i wyszedł, a chociaż to była niedziela,

zabrał się wnet do roboty; wszelaki porządek stolarski znajdował się w chałupie, a suche dębowe deski już zdawna na górze czekały.

Wnet ci wyrychtował warsztat w sadzie i robił, poganiając ostro Pietrka, przysłanego mu do pomocy.

Dzień się już był wyniósł dawno, słońce świeciło wesołe i palące, że gorąc zaraz od śniadania jął przypiekać galancie, jaże wszystkie sady i pola jakby się zwolna pogrążyły w tym rozbełkotanym, białawym wrzątku rozprażonego powietrza.

Pomdlałe drzewiny poruchiwały niekiej listkami, kieby tem skrzydłem ptak, tonący w spiekocie, świąteczna cichość objęła całą wieś, jedne jaskółki, co świegoliły zajadlej, śmigając nad stawem, kiej oszalałe, zaś po drogach, w szarych tumanach kurzawy jęły turkotać wozy i ludzie ze wsi pobliskich ściągali ku kościołowi, że co trochę ktosik zwalniał koni lub przystawał przed Borynami, kaj siedziała rozpłakana rodzina, pochwalił Boga i westchnął żałośnie, zazierając do środka przez wywarte drzwi a okna.

Jambroż uwijał się i śpieszył aż do potu z obrządzaniem umarłego, już byli łóżko wynieśli do sadu i pościele porozwieszali po płotach, gdy jął wołać na Hankę, aby przyniesła jałowcowych jagód do wykadzania izby.

Jeno nie dosłyszała i, ocierając te jakieś ostatnie łzy, co same skapywały, cięgiem już patrzyła na drogę, spodziewając się lada chwila Antka.

Godziny jednak przechodziły, a jego nie było, wkońcu chciała już posyłać do miasta Pietrka na przewiady.

— Konia jeno zmacha i niczego się nie przewie... juści... — tłumaczył Bylica, któren był właśnie nadszedł z Weronką.

— Przecie urzędy cosik wiedzą?

— Juści... wiedzą... ale raz, co dzisia zamknięte, bo niedziela, zaś po drugie, co się przez smarowania nikaj nie dociśnie.

— Dyć już nie wstrzymam — skarżyła się przed siostrą.

— Jeszcze się nim nacieszycie, jeszcze się wama da we znaki — syknął kowal, poglądając na Jagusię, siedzącą pod ścianą.

— By ci ten zły ozór skołczał — mruknęła.

— Po dybkach ciężą kulasy, to niełacno pośpieszać — dorzucił urągliwie, zeźlony daremnem poszukiwaniem pieniędzy.

Nie odrzekła, wyglądając znowu na drogę.

Właśnie przedzwaniali na sumę, i Jambroż zbierał się do kościoła, przykazując Witkowi wysmarowanie sadłem Borynowych butów, gdyż się tak zeschły, co niesposób było wzuć mu je na nogi.

Kowal wraz z Mateuszem ponieśli się kajś na wieś, a Weronka, zabrawszy ojca i Hanczyne dzieci, też poszła, w chałupie ostały się jeno same kobiety i Witek, któren ociągliwie smarował buty, sielnie je nagrzewając przed kominem, a co trochę leciał spojrzeć na gospodarza lub na Jóźkę, chlipiącą coraz ciszej.

Na drogach ustał wszelki ruch, ludzie już przeszli do kościoła, zaś u Borynów zrobiło się całkiem cicho,

tyle jeno, co przez wywarte drzwi a okna głos Jagaty, odmawiającej litanje za umarłego, roznosił się, kiej to ptasie ćwierkanie, wraz z kłębami jałowcowego dymu, jakim Jagustynka wykadzała izby i sienie.

Pokrótce i nabożeństwo snadź się rozpoczęło, gdyż od kościoła jęły się rozkrążać w przypołudniowej cichości śpiewy, a organowe granie tym jakimś górnym, dalekim, a słodkim trzepotem.

Hanka, nie mogąc sobie nikaj należć miejsca, poszła jaże na przełaz, by odmówić pacierze.

— I pomarli se ano, pomarli! — rozmyślała żałośnie, przesuwając ziarna różańca, ale pacierz jeno niekiedy przychodził na wargi, boć w głowie i sercu miała jakoby ten kołtun zwity zmyśleń przeróżnych a strachań niemałych.

— Trzydzieści dwie morgi, a paśniki, a las, a budynki, a lewentarze, tylachne gospodarstwo! — westchnęła, ogarniając z lubością szerokie pola i ten cały świat Boży.

— Żeby tak pospłacać i ostać na wszystkiem! Być, jak ociec byli! — Pycha ją rozparła znagła, hardo spojrzała w samo słońce, prześmiechnęła się znacząco i z sercem, pełnem słodkich nadziei, jęła szeptać słowa różańca.

— Ale od półwłóczka nie ustąpię; pół chałupy też moje, i tych krów mlecznych nie popuszczę z garści — wyrzekła nieco żalnie.

Zamodliła się znowu na długą chwilę, powłócząc rozełzawionemi oczami po ziemiach, stojących we słońcu, kieby w tej złotawej przyodziewie; wykłoszone,

bujne żyta gmerały rdzawemi wisiorami, czarniawe jęczmiona połśniewały, kiej ta woda głęboka, zaś jasno-zielone owsy, gęsto przerosłe żółtą ognichą, pławiły się trzepotliwie w cichem, nagrzanem powietrzu. Jakiś ptak wielgachny ważył się nad rozkwitłą koniczyną, co, niby okrwawiona chusta, leżała na skłonie wyżni. Kajś niekaj boby tysiącami białych ślepiów stróżowały przy ziemniakach, a tu i owdzie na dołkach lny niebieściły się bledziuśkim kwiatem, niby te przymrużone od blasków dziecińskie oczy.

Bardzo cudnie było na świecie, słońce ogrzewało coraz barzej, i ciepło, sycone zapachem kwiatów, co tliły się nieprzeliczone we zbożach i wszędy, zwiewało z pól taką lubą, żywiącą mocą, jaże dusze rozpierało radością i same łzy cisnęły się do oczów.

— Świętaś ty i rodzona! Święta — wyrzekła, pochylając głowę.

Sygnaturka zaświergotała w powietrzu, kiej ten ptaszek.

— Za Twoją to sprawą wszyćko na świecie, mój Jezu kochany! Za Twoją! — szepnęła gorąco, bierąc się zpowrotem do pacierza.

Kajś wpobliżu cosik zatrzeszczało, obejrzała się uważnie; pod wiśniami, o płot pleciony wsparta, stojała Jagusia, jakoś smutnie wzdychająca.

— Że to ni minuty spokoju! — zabiadała Hanka, gdyż przypominki chlasnęły ją, kiej te parzące pokrzywy. — Prawda, dyć ona ma zapis! — przypomniała sobie. — Całe sześć morgów! Złodziejka jedna! — Aż ją w dołku sparło ze złości. Odwróciła się plecami, jeno

co już nie poredziła zebrać się na modlitwę, bo dawne urazy i żale opadły ją, kiej te złe, rozszczekane psy.

Południe już przechodziło, chude cienie jęły wypełzać z pod drzew i domów, a we zbożach, co się ździebko kłoniły za słońcem, zagrały zcicha koniki polne, bąk też kajś niekaj zahuczał i przepiórki odzywały się po swojemu.

Ale upał wzmagał się coraz barzej i prażył już niemiłosiernie.

Suma się wnet skończyła i nad stawem jęły gęsto przysiadać kobiety do zezuwania trzewików, zaś drogi tak się zamrowiły ludźmi, wozami a gwarem, że Hanka śpiesznie powróciła do chałupy.

Boryna już był całkiem wyrychtowany.

Leżał w pośrodku izby, na szerokiej ławie, nakrytej płachtą i obstawionej płonącemi świecami, juści co wymyty był, wyczesany i ogolony doczysta, jeno na policzku miał długą zadrę od Jambrożowej brzytwy, zalepioną papierem. Ubier też miał wdziany co najlepszy: białą kapotę, którą se był sprawił na ślub z Jagusią, portki pasiate i buty prawie całkiem nowe.

W spracowanych, wyschłych rękach trzymał obrazik Częstochowskiej, pod ławą stała balja z wodą, by przechładzać powietrze, zaś na glinianych pokrywach dymiły jałowcowe jagody, zapełniając izbę kieby tą mgłą modrawą, w której wynosił się straszliwy majestat śmierci.

I leżał se tak paradnie w onej trupiej cichości Maciej Boryna, człek sprawiedliwy i mądry, chrześcijan

prawy, gospodarz z dziada pradziada i pierwszy bogacz we wsi.

Pod dachem ojców przyłożył se po raz ostatni głowinę strudzoną, kiej ten ptak na wyraju, nim weźmie lot podniebny, a poniesie się tam, kaj od wiek wieka wszystkie odlatują.

Gotowy ci już był do pożegnań znajomków a powinowatych i gotowy do onej drogi dalekiej.

Już mu się ano dusza korzyła przed sądem Pańskim, a jeno ten jego trup lichy, ta człowiecza zewłoka, próżna żywiącego dechu, leżała, jakby prześmiechając się leciuśko, wśród świateł, dymów i modłów nieustannych.

A ludzie szli już a szli tym ciągiem nieskończonym; kto wzdychał żałośnie, kto się bił w piersi i modlił gorąco, kto zaś medytował, kiwając smutnie głową i obcierając tę ciężką, żalną łzę, że szmer pacierzy, ściszone szlochy i pogwary wzdychliwe trzęsły się, kiej te przejmujące siąpania deszczów jesiennych. A ludzie wchodzili i wychodzili bez przerwy; szli gospodarze i komornicy, szły kobiety i dzieuchy, szli starzy i młodzi, całe Lipce tłoczyły się w izbie i w sieniach, zaś do okien cisnęło się tyla dzieci i tak swywoliły, jaże Witek, nie poredząc ich rozegnać, poszczuł psem, ale Łapa go nie posłuchał, trzymał się dzisiaj Jóźki, a niekiedy biegał dokoła chałupy i wył, kiej ten głupi.

Nad całą wsią zaciążyła ta śmierć Borynowa; dzień był przecie śliczny, rozsłoneczniony, pachnący zwiesną i luby, że nie wypowiedzieć, a dziwny smutek owiewał chałupy i dziwna cichość zaległa wszystkie

drogi. Ludzie chodzili osowiali, markotni a srodze strapieni, każdy jeno wzdychał żałośnie, rozwodził ręce i zadumywał się nad człowieczą smutną dolą.

Wielu, którzy żyli z nieboszczykiem w przyjacielstwie, ostało przed chałupą, kaj już poniektóre gospodynie pocieszały Hankę, Magdę i Jóźkę, poczciwie popłakując wraz z niemi, a silnie się wyżalając nad sierotami.

Jeno do Jagusi nikto nie przystępował z tem dobrem, pocieszającem słowem, juści, co ta była niegłodna użalań się nad sobą, ale zawdy tak ją zabolało to opuszczenie, że uciekła do sadu i, zaszywszy się w gęstwę, siedziała tam całe godziny, nasłuchując jeno Mateuszowej roboty kole trumny.

— Że to się jeszcze śmie pokazywać na oczy!— syknęła za nią wójtowa.

— Poniechajcie! Nie pora na takie wspominki!— wyrzekła któraś.

— I niech ją tam Pan Jezus sądzi — dodała Hanka łagodnie.

— Wójt za wasze docinki dobrze jej wynagrodzi! — zaśmiał się kowal. Szczęściem, że przysłali po niego od młynarza, gdyż wójtowa rozczapierzała się, kiej indyczka, gotowa zrobić kłótnię.

Kowal jeno gruchnął rechocącym śmiechem i poleciał, a one ostały, pogadując mało wiele o różnościach, a coraz ciszej i senniej, jakby z tych ciężkich turbacyj albo samego gorąca, co już doskwierało zgoła nie do zniesienia. Parno się przytem robiło i dziwnie duszno, nie powiał wiater by najlżejszy, że ni jeden

listek i ni jedno źdźbło się nie zaruchało, a chociaż przeszło już spory kawał czasu od południa, to jednak słoneczny war lał się jeszcze żywym ogniem i tak przypiekał, jaże ściany płakały żywicą i więdły pomdlałe chwasty i kwiaty.

Ryk się naraz wydarł przeciągły i tęskliwy; jakiś chłop prowadził krowę po drugiej stronie stawu.

— Pewnikiem do księżego byka!—ozwała się Płoszkowa, goniąc oczami krowę, szarpiącą się na postronku.

— Młynarz do niego jeszcze lepiej ryczy, jeno co przez złość! — podjęła Jagustynka, ale żadnej już się nie chciało mówić.

Siedziały rozczapierzone, kieby te kwoki w piasku, ledwie już dysząc z gorąca. Rozbierał je upał, cichość i ten płakliwy, nieustający głos Jagaty, modlącej się przy umarłym.

Dopiero, kiej przedzwonili na nieszpory, rozeszły się do domów, a Hanka posłała za kowalem, by szedł z nią do proboszcza ugodzić się o pogrzeb ojcowy.

Witek rychło powrócił, ale sam.

— Hale, kiej się bojałem przystąpić, bo Michał se siedzą z dziedzicem u młynarza i piją arbatę — powiadał zziajany.

— Z dziedzicem?

— A juści, przecie go znam! Arbate se piją i placek pojadają, dobrze widziałem. A ogiery stoją w cieniu i jeno kulasami przebierają.

Zdziwiła się temu, ale po nieszporach, nie doczekawszy się kowala, ogarnęła się świątecznie i poszła z Magdą na plebanję.

Proboszcza nie było na pokojach, choć wszystkie drzwi i okna stały powywierane; przysiadły czekać, ale po jakimś czasie dziewka powiedziała, że ksiądz w podwórzu i kazał je zawołać.

Siedział se w cieniu pod płotem, a w pośrodku podwórza, kole niezgorszej krowiny, którą chłop trzymał krótko na postronku, kręcił się z rykiem tęgi, srokaty byk, że ledwie go parob utrzymał na łańcuchu.

— Walek! Poczekaj jeszcze, niech nabierze większej ochoty!—krzyknął proboszcz i, wycierając spoconą łysinę, przywołał do siebie kobiety i jął wypytywać o wszystko, pocieszać i krzepić miłosiernie, a kiej go zagadnęły o pogrzeb i koszty, przerwał im ostro i niecierpliwie:

— O tem potem. Nie zdzieram skóry z ludzi. Maciej był pierwszym we wsi gospodarzem, to i pogrzeb musi mieć nieladajaki. No, mówię, nieladajaki!— powtórzył groźnie, po swojemu.

Za nogi jeno go obłapiły, nie śmiejąc się już w niczem przeciwić.

— Ja wam tu dam! Widzicie ich, zbereźniki! — krzyknął na organiściaków, zazierających z poza płotów. — Cóż, jak się wam podoba mój byczek, he?

— Śliczności! Lepszy od młynarzowego! — przytakiwała Hanka.

— Tak mu do mojego, jak wołu do karety! Przyjrzyjcie mu się! — podprowadził je bliżej, klepiąc z lubością byka, któren rwał się już do krowy, jak wściekły. — Co za kark! A jaki grzbiet, jakie to ma piersi! Smok nie byk! — wołał, jaże przysapując z radości.

— Juści, jeszczem takiego nie widziała.

— He, prawda! Czysty holender, trzysta rubli kosztuje.

— Tylachna pieniędzy! — dziwowały się zdumione.

— Ani grosza mniej! Walek, puszczaj go... ostrożnie ino, bo krowa nietęga... Od jednego razu pokryje... Pewnie, że drogi, ale biorę tylko po rublu i dwadzieścia groszy postronkowego, żeby się Lipce dochowały porządnych krów. Młynarz się gniewa na mnie, ale już mi obmierzły te koty, jakie macie po jego stadniku. Trzymajże, gapo, krowę przy samym pysku, bo ci się wyrwie! — wrzasnął na chłopa. — No, to idźcie z Bogiem — zwrócił się do kobiet, widząc, że, przywstydzone, odwracały się ździebko na stronę. — A jutro eksporta do kościoła! — wołał jeszcze za niemi, biorąc się pomagać chłopu, że to krowy nie mógł utrzymać.

— Podziękujesz ty mi za cielę, będzie, jakiegoś jeszcze nie widział. Walek, a przeprowadź go, niech się przechłodzi, chociaż, co tam takiemu smokowi znaczy jedna mucha! — przechwalał.

Kobiety zaś poszły do organisty, boć to i z nim też było trza się godzić zosobna o pogrzeb, ale, że organiścina przyjęła je kawą, przy której się nieco zagwarzyły, to było pod sam zachód, i już bydło spędzali z pastwisk, kiej powróciły do chałupy.

Przed gankiem stojał pan Jacek z Mateuszem i, pykając fajeczkę, godził go do rznięcia drzewa na Stachową chałupę.

Mateusz jakoś niebardzo był rad, bo się wykręcał.

— Drzewo porznę, niewielka obrada, ale czy chałupę postawię, a bo ja wiem? Może kaj we świat pójdę... Cni mi się już we wsi... Bo ja wiem, co poczne... — mówił, spoglądając na Jagusię, dojącą krowę pod oborą. — Z rana skończę trumnę, to się jeszcze rozmówimy — dokończył prędko i poszedł.

A pan Jacek wszedł do nieboszczyka i mówił długi, serdeczny pacierz, obcierając rzęsiste łzy.

— By chociaż synowie wdali się w niego — wyrzekł potem do Hanki. — Dobry to był człowiek i prawy Polak. Był z nami w powstaniu, przystał do partji dobrowolnie i gnatów nie żałował. Widziałem go przy robocie. A zmarnował się przez nas... Przekleństwo ciąży nad nami... — gadał jakby do siebie, a, chociaż nie rozumiała wszystkiego, to jednak, z wdzięczności za dobre słowa wspominek, podjęła go za nogi.

— Dajcie spokój! Takim człowiek, jak i wy! — zakrzyczał gniewnie. — Głupia! dziedzic nie święty! — popatrzył jeszcze na Borynę, zapalił od świecy fajeczkę i wyszedł, nie odpowiadając na powitanie kowala, któren był właśnie wchodził do sieni.

— Coś harny dzisiaj! Dziadak jucha! — rzekł za nim z przekąsem, ale, że był jakiś rozradowany, to przysiadł do żony i jął szeptać. — Dobra nasza! Wiesz, Magduś, dziedzic szuka zgody ze wsią. Namawia, cobym mu pomagał. Juści, co musi się nam dobrze okroić. Jeno ani mru-mru, kobieto, o wielgie rzeczy idzie.

Żajrzał do zmarłego, pokręcił się tu i owdzie i na wieś poleciał, wyciągając chłopów do karczmy na naradę.

Zmierzch się już był czynił, zorze ostygły, kiej te ordzewiałe blachy, przysypywane popiołem, że jeno niekajś co się ta świeciła jakaś chmurka, nabrana złocistą światłością zachodu.

A kiej się już docna zrobił wieczór i pokończyli gospodarskie obrządki, to cała rodzina znowu się zebrała przy zmarłym. U Borynowego wezgłowia było coraz widniej od świec jarzących, Jambroż raz po raz obcinał knoty i śpiewał z książki, a za nim powtarzali wszystkie, popłakując niekiej naprzemian i biadoląc.

Drudzy zaś, sąsiedzi, że w izbie było ciasno i zaduch, to przyklękali na dworze, pod oknami i ciągnęli tę długą i żałosną nutę litanji, jaże się widziało, co wszystek sad śpiewa.

Noc się zwolna ściągała na świat, więc już docna przycichło, gdzie spać się kładli, po sadach bieliły się pościele i chałupy gasły jedna po drugiej, jeno co kokoty piały jakoś niespokojnie, a taka parna i duszna cichość stanęła, jakby się miało na odmianę.

Dopóźna w noc śpiewali przy Borynie, a kiej się rozeszli, ostał jeno Jambroż i Jagata, by już czuwać do rana.

I śpiewali zrazu rozgłośnie, ale, kiej ustał wszelki ruch i zwaliła się niezgłębiona cisza nocy, wnet jął ich morzyć śpik, tęgo wodząc za łby, że wyciągali coraz ciszej i mamrotliwiej, nie przecykając nawet wtedy,

kiej Łapa przychodził i, zcicha skamlący, polizywał nasadlone buty nieboszczyka.

Prawie o samym północku gęsta ćma przywaliła ziemię, pogasły gwiazdy, schmurzyło się całkiem i jakby jeszcze barzej ścichło, że tylko niekiedy zatrzęsło się jakieś drzewo i posypał się cichuśki, lękliwy szmer, albo wydarł się skądciś głos jakiś dziwny, ni to krzyk, ni to huk, ni to wołanie dalekie, i przepadał też niewiadomo kaj...

Wieś leżała w głębokim śpiku i jakby na samem dnie ciemnicy, tylko jedna Borynowa izba świeciła blado w tej mrocznej topieli, a przez wywarte okna widniał Maciej, leżący wśród żółtych świateł, owiany dymami kadzideł, niby tym modrawym obłokiem. Jambroż z Jagatą, wsparłszy się o niego głowami, zadrzemali już na dobre, chrapiąc, jaże się rozlegało.

Zaś ta letnia, krótka noc przechodziła szybko, jakby się jej kajś śpieszyło zdążyć, nim pierwsze kury zapieją, świece też dopalały się posobnie i gasły, niby te oczy, strudzone patrzeniem w umarłego, iż na świtaniu ostała jeno co najgrubsza, migocąc się, kiej to złote ostrze.

Aż szary, przemglony świt, zwlókłszy się leniwie z pól, zajrzał do izby, prosto w Borynową twarz, która jakby się ździebko ożywiła, jakby się budził z ciężkiego snu i, nasłuchując tych pierwszych świergotań po gniazdach, patrzał skroś poczerniałych powiek w dalekie jeszcze zorze wschodów.

Świt już gęstniał, roztrząsając się, kieby ta zamieć śniegowa.

Niebo zajaśniało, jak płótno na bielnikach, gdy je słońce przygrzeje, z pól powiało chłodem, staw westchnął, kolebiąc się sennie, a z pod mrocznych próchnic nocy jawiły się obrazy borów, kieby te czarne chmury, wynoszące się ze ziemi, zaś poniektóre drzewiny, samotnie stojące, puszyły się czubami w rozbielonem powietrzu, niby pęki czarnych piór; już nawet przyleciał pierwszy wiater, zatarmosił sadami i jął przedmuchiwać we śpiące pod przyźbami.

Ale jeszcze mało kto przecknął i ozwierał oczy. W słodkim dośpiku leżało wszystko, leniąc się ździebko, jak to zwyczajnie bywa po święcie czy jarmarku.

A wrychle i sam dzień się podniósł, jeno co jakiś mgławy i smutny, słońca jeszcze nie było, ale skowronki już przedzwaniały swoje pacierze, głośniej zabełkotały wody i poruszyły się zboża, bijąc chrzęstliwemi kłosami o miedze i drogi, już niegdzie po zagrodach rwały się tęskliwe beki owiec, kajś znowu jazgotliwie zagęgały gęsi, to koguty się wydzierały rozgłośnie, gdzie nawet wołania się rozlegały, skrzypy wrótni, końskie rżenia, ruch i skrzęt wstawań, że cała wieś się budziła, imając się zwolna pracy codziennej, jeno u Borynów wciąż było jeszcze cicho i spokojnie.

Zaspali ano z onych smutków i ciężkich turbacyj, jaże na dwór roznosiły się chrapania.

Wiater buchał co trochę w otwarte drzwi a okna i tłukł się po izbach, świszcząc przeciągle, i na darmo rozwiewał nieboszczykowi włosy i targał światłem ostatniej świecy.

Nie poruszył się juści Boryna, nie przecknął, nie porwał się do roboty, ni drugich do niej zapędzał, leżał se martwy, cichy, na kamień już zakrzepły i na wszystko już głuchy.

Wiatr już z niemałą mocą zawiał i rymnął w sad, że wszystko wokół jęło się chwiać, szeleścić, trząchać, kołysać i jakby zaglądać w Borynową siną twarz; patrzył w niego dzień mgławy, zaglądały rozchwiane drzewa, zaś one wysmukłe, gibkie malwy, kiej dzieuchy, chyliły się przez okna w pokłonach głębokich, a ze dworu raz po raz wpadała z brzękiem pszczoła, to motyl leciał wprost na światło, to jaskółka zbłądziła, świergocąc lękliwie, to niesły się muchy, przypełzały żuczki i wszelaki Boży stwór, a wraz z niemi spływał do izby cichy brzęk, i szum, i trzepot, i ćwierkania, kieby ten jeden głos żywej, serdecznej żałości:

— Pomarł! Pomarł! Pomarł!

I co jeno żyło, trzęsło się, łkało i zanosiło, jakby w przytłumionym, srogim lamencie; aż ścichło znagła i trwożnie, wiater ustał, wszystko przytaiło dech i padło na twarz, w proch ziemi, bo oto ze świtowych szarości wzeszło słońce czerwone i ogromne, wyniesło się nad świat, ogarnęło go władnem, żywiącem okiem i skryło się w skołtunione chmurzyska.

Poszarzało na świecie, a nie wyszło i Zdrowaś, jął sypać drobny, ciepły deszcz rzęsistemi kroplami, że wnet wszystkie pola i sady rozdzwoniły się sypkim, nieustającym szmerem.

Ochłodło znacznie, zapachniały drogi, ptaki zaczęły śpiewać z całej mocy, a w tej szarej, rozdrganej

kurzawie, jaka przysłoniła świat, piły spragnione zboża, piły liście pomdlałe, piły drzewa, piły wyschnięte gardziele strug i ziemie spieczone, piły długo i z lubością, dysząc, jakby z dziękczynieniem.

— Bóg zapłać, bracie deszczu! Bóg zapłać, siostro chmuro! Bóg zapłać!

Właśnie ten deszcz zacinający przebudził Hankę, śpiącą pod samem oknem, że się pierwsza zerwała na nogi.

Pobiegła z krzykiem do stajni.

— Pietrek! Wstawaj! Deszcz pada! Koniczynę trza lecieć kopić, bo na nic przemięknie! Witek, wałkoniu jeden, krowy wyganiaj! Na wsi już przepędzili! — wołała ostro, wypuszczając z chlewów gęsi, które z radosnym gęgotem leciały taplać się w kałużach.

Zajrzała do krów i świnie wypędzała na podwórze, gdy przyleciał kowal; ułożyli, co było potrza kupić na jutrzejszą stypę, wziął pieniądze i miał zaraz jechać do miasteczka, ale już z bryczki przywołał ją i rzekł cicho:

— Hanka, dajcie mi połowę, to ni pary nie puszczę, żeście starego podebrali. Zróbmy po dobremu.

Rozczerwieniła się, kiej burak, i krzyknęła porywczo:

— A pyskuj sobie, choćby przed całym światem; widzisz go, sam gotów do złego, to myśli, co i drugie takie same.

Jeno błysnął ślepiami, poskubał wąsów i zaciął konie.

Hanka zaś wzięła się ostro do roboty, tyla bowiem gospodarka czekała na nią, że trza było dobrze kulasy wyciągnąć i głowić się niemało, by wszystkiemu wydolić, to też pokrótce, jak co dnia, rozlegał się po całem obejściu jej głos rozkazujący.

Borynie zapalili dwie nowe świece i przykryli go prześcieradłem. Jagata mamrotała przy nim pacierze, przysypując raz po raz na węgliki jagód jałowcowych.

Jagusia przyszła od matki dopiero po śniadaniu, ale że ją strachem przejmował nieboszczyk, to się jeno błędnie kręciła po obejściu, często gęsto wyglądając na Mateusza, któren przeniósł się z robotą na klepisko; kończył już trumnę i właśnie był malował na niej biały krzyż, kiej Jagna stanęła we wrotniach stodoły.

Milczała, spozierając trwożnie na czarne wieko.

— Wdowaś teraz, Jaguś, wdowa! — szepnął ze współczuciem.

— A juści — odparła łzawo i cichuśko.

Patrzał na nią poczciwie, zmizerowana ci była i blada, kiej ten opłatek, a tak żałośliwa, jak to pokrzywdzone dzieciątko.

— Taka to już człowiekowa dola — powiedział smutnie.

— A wdowam! wdowam — powtórzyła, i łzy napełniły jej modre oczy, a ciężkie wzdychy dziw piersi nie rozerwały, że uciekła za chałupę i, nie bacząc na deszcz, płakała tam długo i tak rzewliwie, jaże ją sama Hanka sprowadziła do izby, próbując uspokoić a pocieszyć.

— Płakaniem nie zaradzisz. Nama też nieletko, ale już tobie, sieroto, pewnikiem co barzej ciężko — mówiła z dobrością.

— Płacz płaczem, a rok nie przejdzie i zaśpiewam jej takiego chmiela nowego, co się wścieknie — ozwała się po swojemu Jagustynka.

— Nie pora na przekpinki — skarciła ją Hanka.

— Powiedam szczerą prawdę, abo to nie młoda, nie urodna, nie bogata! Kijem się będzie musiała oganiać przed chłopami.

Jagna nie odrzekła, Hanka zaś wyniesła w opłotki żarcie la prosiąt i wyglądała na drogę.

— Co się tam stało? — myślała strapiona. — Mieli go puścić w sobotę, a tu już poniedziałek i ani widu, ani słychu.

Ale nie było czasu na frasunki, bo musiała pomagać kopić resztę siana i wszystką koniczynę, gdyż deszcz rozpadał się już na dobre, nie przestając ani na chwilę.

Zaś wkrótce po południu nadszedł proboszcz z organistą, przyszli braccy ze światłem i ludzi zebrało się też coś niecoś, włożyli Borynę do trumny, Mateusz zabił ją kołkami, ksiądz odprawił modlitwy, skropił wodą święconą i powieźli go, zcicha przyśpiewując, do kościoła, kaj już Jambroż bił we dzwon żałobny.

A kiedy wrócili z eksporty, to w chałupie widziało się tak jakoś pusto i strasznie cicho, jaże Jóźka buchnęła płaczem, a Hanka ozwała się do Jagustynki, oprzątającej izbę:

— Chociaż od tyla czasu trupem był jeno, a zawdy czuć było gospodarza w chałupie.

— Antek wróci, to i gospodarz będzie — przypochlebiała stara.

— By jeno prędko powrócił — westchnęła tęskno.

Ale że szare, wilgotne przesłony obtulały ziemię i deszcz padał nieustannie, to obtarła łzy, westchnęła raz i drugi i dalejże poganiać swoich.

— A chodźcież, ludzie! Żeby pomarł i ten największy, to, jak ten kamień w morze głębokie, już go nikto nie wyłowi, a ziemia nie poczeka i trza kole niej robić.

I powiedła wszystkich na przełaz do okopywania ziemniaków, jeno Jóźka ostała pilnować dzieci, a i bez to, co była jakaś chora i nie mogła się jeszcze utulić w żałości, Łapa też przy niej warował nieodstępnie i ten Witkowy bociek, któren stojał w ganku na jednej nodze, kieby na stróży.

Zaś deszcz nie przestawał ani na chwilę, padał drobny, gęsty i ciepły, że ustały śpiewać ptaki, a wszelaki stwór przyległ w cichości, cały świat zwolna oniemiał i jakby się zasłuchał w ten trzepot rosisty, brzękliwy i nieustanny, a jeno kajś niekaj zawrzeszczały gęsi, taplające się po sinych, spienionych kałużach.

Dopiero o samym zachodzie wyjrzało rozognione słońce i zapaliło czerwone ognie w rosach i kałużach.

— Pogoda na jutro pewna! — powiedali, ściągając z pól.

— Niechby jeszcze padało, czyste złoto, nie deszcz.

— Ziemniaki były już na ostatnich nogach.

— A bo to owsów nie przypiekło!

— Wszystkiemu pójdzie na zdrowie.

— Żeby se tak popadał chociaż ze trzy dni — wzdychał któryś.

Jakoż i padał tak równo, rzęsiście i spokojnie do samej nocy, że z lubością wystawali pod chałupami, na przechłodzonem, pachnącem powietrzu, zaś Gulbasiaki skrzykiwały dzieuchy i chłopaków, by lecieć na wieś, na wyżnie, palić Sobótkowe ognie, gdyż to była wigilja św. Jana, ale co ćma była i plucha, to mało kto dał się pociągnąć, że tylko kajś niekaj co tam pod lasem rozbłysnął jakiś słaby ogieniek.

Witek już od zmroku przyniewalał Jóźkę, aby z nim leciała na Sobótki, ale mu powiedziała żałośnie:

— Nie polete, co mi tam zabawy, co mi tam już wszystko...

— Dyć ino zapalim, przeskoczym ogień i przylecim — prosił gorąco.

— Siedź w chałupie, bo powiem Hance! — zagroziła.

Ale poleciał i powrócił dopiero po kolacji, głodny i utytłany w błocie, jak nieboskie stworzenie, gdyż deszcz nie ustawał ani na chwilę i padał przez całą noc, aż dopiero przestał nazajutrz, o dużym dniu, właśnie kiedy już ludzie ciągnęli na żałobne nabożeństwo.

Słońce się jednak nie pokazało; świat się był omglił szarawą kurzawą, w której jeszcze barzej rozzieleniły się pola i sady, a wody wlekły się, niby tę

srebrnawe przędziwa. Powietrze było rzeźwe, chłodnawe i pachnące, rosy kapały obficie za leda powiewem, ptaki darły się, kieby oszalałe, psy ujadały wesoło, przeganiając się po drogach wraz z dziećmi, a wszelaki głos leciał górnie i radośnie, nawet ziemie, opite wodą i nabrzmiałe mocą, zdały się wrzeć niepowstrzymanym rostem.

Zaś w kościele ksiądz odprawił żałobną wotywę i wraz z proboszczem Słupskim i organistą, zasiadłszy naprzeciw siebie w ławach przed wielkim ołtarzem, jęli wyciągać łacińskie pieśnie.

Boryna leżał wysoko na katafalku, obstawiony w biały las świec płonących, a dokoła klęczała kornie cała wieś, zamodlona i zasłuchana w te długie, lamentliwe pieśnie, co nabrzmiewały niekiedy takim strasznym krzykiem, jaże włosy powstawały i bolesna lutość ściskała serca; to niekiedy cichły w przejmujących, żalnych jękach, aż dusze mdlały struchlałe i same łzy ciekły z oczów; albo też znowu podnosiły się jakieś cudne i niebosiężne, kieby te głosy śpiewań janielskich i wiecznej szczęśliwości, że naród wzdychał ciężko, obcierał oczy, a często gęsto i poniektóre płaczem buchały serdecznym.

Ciągnęło się to z dobrą godzinę, a kiej skończyli, rumor powstał, podnosili się z klęczek i Jambroż jął brać świece od katafalku i rozdawać je ludziom, ksiądz też jeszcze prześpiewał przy trumnie, okadził ją, aż zrobiło się niebiesko od dymów, skropił wodą święconą, wyciągnął jakąś nutę i ruszył ku drzwiom, za krzyżem.

A kościół aż się zatrząsł od krzyków, płaczów i szlochań, bo trumnę już brali co najpierwsi gospodarze i zanieśli na wóz, w półkoszki, wymoszczone słomą, zaś Jagustynka tajnie, by księża nie spostrzegli, wraziła pod nią bochen chleba, obwinięty w czyste płótno, Pietrek zebrał krótko lejce, zacinał batem i obzierał się niecierpliwie na księży.

Zajęczały żałobnie dzwony, wynieśli czarne chorągwie, rozbłysnęły światła, Stacho poniósł krzyż, a księża zaśpiewali:

— „Miserere mei Deus".

I straszna pieśń, pieśń śmierci załkała nad głowami smutkiem bezbrzeżnym i grozą.

Ruszyli zwolna na topolową drogę ku smętarzowi.

Czarna chorągiew z kościotrupem załomotała na wietrze, kiej ten ptak straszliwy, i poniesła się przodem, a za nią dopiero błyskał srebrzysty krzyż, i otwierała się długa ulica brackich z zapalonemi świecami, i szli księża w czarnych kapach.

Trumna jechała w pośrodku, ułożona na słomie wysoko, że ją cięgiem i wszystkie mieli na oczach, a tuż za nią wlekła się rodzina, srodze zawodząc płaczem i jękami, zaś pobok i kaj gdzie kto wziął miejsce, ciżbiła się cała wieś, w niemałym smutku a cichości idąca.

Że nawet chore i kalekie nie ostały w chałupach.

Przemglone, szare niebo wisiało nisko, jakby wsparte na tych wielgachnych topolach, pochylonych nade drogą. Wszystko stojało bez ruchu, przygięte

i kieby zasłuchane w te pieśnie żałobne, a kiedy powiał wiater i rozruchał pola i drzewa, to posypały się rosy, niby tym żalnym, cichym płaczem, zaś rozchwiane zboża kolebały się zwolna ciężkiemi kłosami, chyliły się coraz niżej, jakby do nóg przypadając gospodarzowi w tym kornym, ostatnim pokłonie.

Księża pieśń rozpłynęła się kajściś w powietrzu, że sroga cichość zwaliła się na dusze, jeno dzwony jęczały wciąż, biły ponurym głosem, wołały cosik w niebo pochmurne, ku lasom i w dale zamglone, skowronki śpiewały nad polami, wóz niekiej zaskrzypiał, szarpały się chorągwie, chlupało błoto pod nogami, a te bólne, sieroce płacze kwiliły nieustannie.

— „Miserere mei Deus“ — zaśpiewał znowu proboszcz, powtórzył mu Słupski wraz z organistą i kowalem, któren trzymał parasol nad dobrodziejami, gdyż deszcz znowu pokrapiał.

I śpiewali tak strasznie, tak rozpacznie i tak jękliwie, jaże łzy się cisnęły, zamierało serce, a oczy strwożone, oczy, pobłąkane w niemocy, niesły się we świat i u tego nieba chmurnego żebrały zmiłowania. Twarze bladły, dusze jęły się zwierać w męce, i luty dygot przejmował, że wzdychali coraz ciężej, a już poniektóry łzy obcierał, to szeptał pacierz posiniałemi wargami, w piersi się bił i kajał skruszony, zaś wszystkich omroczył ciężki, beznadziejny smutek i przywaliła bezgraniczna żałość, że, kiej te dymy gryzące, snuły się po nich bolesne medytacje i jęki, zakrzepłe w trwodze.

Jezu, bądź nam, grzesznym, miłościwy! Jezu!

O dolo człowiekowa, dolo nieustępliwa!

A cóże są te wszystkie znojne trudy? Cóże ten żywot człowieczy, co, jako śniegi, spływa bez śladu, że o nim nawet dzieci rodzone nie przypomną?

Żałością jeno, płakaniem jeno, cierzpieniem jeno...

I cóże są one szczęśliwości, dobroście, nadzieje?

Czczym dymem, próchnicą, mamidłem i zgoła niczem...

A cóżeś to ty sam, człowieku, który się puszysz, a dmiesz, a wynosisz hardo ponad wszelkie stworzenie?

Tym wiatrem jeno jesteś, co niewiada, skąd przychodzi, niewiada, poco się miecie, i niewiada, kaj się rozwiewa...

I ty się masz panem wszystkiego świata, człowieku?..

A by ci kto raje dawał — opuścić je musisz.

By ci kto wszystkie moce dawał — śmierć ci je wydrze.

By ci kto rozum przyznał największy — próchnem ostaniesz.

I nie przemożesz doli, mizeroto, nie przezwyciężysz śmierci, nie...

Boś ano bezbronny, słaby i płony, jako ten listeczek, którym wiater żenie po świecie.

Boś ano, człowieku, w pazurach śmierci, jako ten ptaszek, z gniazdą podebrany, co se piuka radośnie, trzepoce, przyśpiewuje, a nie wie, że go wnet zdradna ręka przydusi za gardziel i lubego żywota zbawi.

O duszo, pocóż dźwigasz człowieczego trupa, poco?

Tak ci ano czuł naród, tak ci medytował i w sobie rozważał, a patrzył smutnie po ziemiach zielonych, włóczył tęsknemi oczami po świecie i wzdychał ciężko z onych niewypowiedzianych boleń, aż twarze kamieniały i dusze się trzęsły.

Ale i to zarówno wiedzieli, co jedyna człowiekowa dufność w Panajezusowej łasce, a jedyna ucieczka duszy w Jego świętem miłosierdziu.

— „Secundum magnam misericordiam tuam"...

Ciężkie, łacińskie słowa padały, kiej grudy przemarzłej ziemi, jaże bezwolnie pochylali głowy, jakby pod nieubłaganą kośbą śmierci, ale szli niepowstrzymanie; szli kwardzi a zrezygnowani, szarzy i mocni, kiej te głazy, widne na miedzach, gotowi już na wszystko a nieulękli, ugorom i zarazem tym bujnym, okwieconym polom podobni, i tym drzewom równi w sile i kruchości — drzewom, w które piorun mógł trzasnąć leda chwila i w ręce śmierci podać, a one hardo pną się ku słońcu i śpiewają głęboką, radosną pieśń życia...

Szli wsią całą, ciżbiąc się i przepychając, ale każden tak był zatopiony w smutkach, że jakby szedł sam w pustce niezmiernej i opuszczeniu, a każden zapatrzył się gdziesik i jakby widział przez oczy, zaszklone łzami, ojców swoich, dziadów i pradziadów, niesionych tam, na smętarz, już widny przez grube pnie topoli...

Dzwony wciąż biły, i ponura pieśń huczała coraz jękliwiej, smętarz już był niedaleko, wyrastał ze zbóż kępami drzew, krzyżów i mogił, a zdawał się otwierać, kieby ten straszny, nigdy nie zapełniony dół, w któren zwolna a niepowstrzymanie spływa cały świat, że już

niejednemu się widziało, jako w tem zadeszczonem powietrzu i ze stron wszystkich biją dzwony, jarzą się światła, czernieją rozwiane chorągwie i płyną śpiewania, że z każdej chałupy wynoszą trumny, że wszystkiemi drogami ciągną żałobne pochody, a każden człowiek płacze kogoś, zawodzi, a tak szlocha, jaże wszystkie niebo i ziemia wzbiera żałosnym jękiem i spływa szmerem nieustannych, gorzkich, jak piołun, łez...

Pochód już skręcał na dróżkę ku smętarzowi, kiej go dopędził dziedzic, wysiadł z powozu i poszedł pobok trumny w srogiej ciasnocie, gdyż dróżka była wąska, gęsto brzózkami obsadzona, i zboża stały ze stron obu.

A kiej księża skończyli śpiewać, Dominikowa, trzymająca się Jagny, zgarbiona i nawpół ślepa, zawiedła po swojemu: „Kto się w opiekę".

Juści, co przywtórzyli skwapnie i gorąco, jakby czepiając się zestrachanemi duszami tej pieśni serdecznej.

I już tak rozśpiewani, a pełni jakowejś dufności, weszli na smętarz.

Co najpierwsi gospodarze dźwignęli trumnę, a nawet sam dziedzic jął wspierać w pośrodku, i ponieśli ją żółtemi drożynami, wskroś okwieconych mogił, traw i krzyżów, za kaplicę, kaj w gąszczach leszczyn i bzów czekał już grób, świeżo wybrany.

Straszne płacze i krzyki zatargały powietrzem.

Chorągwie i światła okoliły jamę głęboką, naród się skłębił i cisnął, spozierając trwożnie w ten dół żółtawy i pusty...

A kiedy prześpiewali jeszcze coś niecoś, proboszcz stanął na kupie wywalonego piachu, odwrócił się i rzekł grzmiąco:

— Narodzie chrześcijański! Narodzie!

Przycichło znagła, jeno dzwony jęczały z oddali, a Jóźka, opasawszy rączynami ojcową trumnę, zawodziła rzewliwie, na nic nie bacząc.

Zaś proboszcz pociągnął nosem z tabakiery, kichnął raz i drugi, a potoczywszy załzawionemi oczami, rzekł donośnie:

— „Bracia, a kogóż to chowacie dzisiaj, kogo? Macieja Borynę! powiadacie.

A ja wam mówię, że i pierwszego gospodarza, i poczciwego człowieka, i prawego katolika chowacie... Znałem go bowiem od lat i zaświadczam: jako żył przykładnie, Boga chwalił, spowiadał się i komunikował, a biedotę wspomagał.

Mówię wam: wspomagał!“ — powtórzył, ciężko dychając.

Płacze jęły kwilić dokoła i wzdychy rwały się coraz gęściej, gdy, nabrawszy powietrza, ozwał się znowu, jeno co żałośliwiej:

— „I pomarł chudziaczek, pomarł!

Śmierć go sobie wybrała, jako wilk wybiera ze stada najtłustszego barana, i w biały dzień, na wszystkich oczach, a nikt mu nie przeszkodzi.

Jako piorun bije w drzewo wyniosłe, że pada rozłupane, tak on padł pod srogą kosą śmierci.

Ale pomarł nie wszystek! — jak mówi Pismo święte.

Bo oto stanął se ten wędrownik przed wrotami raju, puka i skamle żałośnie, aż św. Pietr zapyta:

— Któżeś to i czego potrzebujesz?

— Borynam z Lipiec i miłosierdzia Pańskiego proszę...

— Tak ci to już braty dopiekły, żeś się zbył żywota, co?

— Wszystko powiem — rzecze Maciej — jeno ozewrzyjcie wrotnie, św. Pietrze, by mnie rozgrzało choć ździebko Pańskie zmiłowanie, bom przemarz na lód w onej tułaczce ziemskiej.

Św. Pietr ozwarł nieco, ale nie puszcza go jeszcze i rzecze:

— A jeno nie łżyj, bo tu nikogo nie ocyganisz. Mów, duszo, śmiało, czemuś to uciekła ze ziemie?..

A Maciej rymnął na kolana, że to śpiewania janielskie dosłyszał i dzwonki, jakby na podniesienie, a odrzecze z płaczem:

— Prawdę powiem, kiej na spowiedzi; a to nie poredziłem dłużej wytrzymać na ziemi, bo tam już ludzie, jako te wilki, nastają na siebie, bo tam już jeno swary, kłótnie, a obraza Boska... Nie ludzie to, św. Pietrze, nie boskie stworzenia, a jeno te psy wściekłe i te swynie smrodliwe. I tak jest źle na świecie, że i nie wypowiedzieć wszystkiego...

Zaginął wszelki posłuch, zaginęła poczciwość, zaginęło miłosierdzie, brat powstaje na brata, dzieci na ojców, żony na mężów, sługa na pana... Nie uszanują już niczego, ni wieku, ni urzędu, ni nawet księdza...

Franciscan Fathers, Hyattsville
ELLICOTT CITY, MARYLAND

Zły zapanował w sercach, a pod jego przewodem rozpusta a pijaństwo, a złoście krzewią się coraz barzej.

Wszędy łajdus na łajdusie, a łajdusem pogania.

Wszędy jeno chytroście, oszukaństwa, srogie uciski a złodziejstwa, że, co masz, z garści nie popuść, bo ci wydrą.

By najlepszą łąkę, a wypasą i stratują.

By chociaż tę skibkę, a z cudzego przyorzą.

Byś nawet kurę puścił z obejścia, przychwycą, kiej te wilki.

Kawałka żelaza nie przepomnij ni postronka, choćby były księże, bo nie przepuszczą i ukradną.

Gorzałkę jeno piją, rozpustę czynią i w służbie Bożej całkiem się opuszczają, pogany te pieskie i chrystobije, że drugie żydy a stokroć poczciwsze i bogobojniejsze.

— I to w lipeckiej parafji tak się dzieje?—przerwał mu św. Pietr.

— Indziej też nielepiej, ale już w lipeckiej najgorzej.

A święty Pietr jął w palce trzaskać, brwie srożyć, oczami toczyć i rzekł, wytrząchając pięścią ku ziemi:

— Takieśta to, Lipczaki? Takie! A zbóje obmierzłe, a poganiny gorsze od Niemców! A to roki macie dobre, ziemie rodzajne, a paśniki, a łąki, a boru po kawale i tak się to sprawiata!.. Chleb was ano roznosi, łajdusy jedne! Powiem ja o tem Panu Jezusowi, powiem, a on już wama cugli przykróci...

Maciej jął swoich poczciwie bronić, ale święty Pietr rozgniewał się jeszcze barzej i kiej nie tupnie nogą a krzyknie:

— Nie broń takich synów! A to ci jeno rzeknę: niech mi się te Judasze poprawią do trzech niedziel i pokutę czynią, a jak nie posłuchają, to tak ich przycisnę głodem, pożogą i choróbskami, że mnie popamiętają łajdusy jedne".

Mocno proboszcz powiadał, do serca, i tak napominająco i takim gniewem Bożym groził i tak pięściami wytrząchał, że szlochy się podniesły dokoła, naród zapłakał i bił się w piersi a kajał...

Zaś ksiądz, odsapnąwszy nieco, jął znowu mówić o nieboszczyku, jako to padł za wszystkich...

I wołał do zgody. Wołał do sprawiedliwości. Wołał do pomiarkowania się w grzechach, bo niewiada, komu z brzega wybije ta ostatnia godzina, i przyjdzie stanąć przed strasznym sądem Pana...

Że nawet sam dziedzic, a obcierał kułakiem oczy.

Pokrótce jednak księża skończyli swoje i odeszli wraz z dziedzicem, a kiej spuścili w dół trumnę i jęli na nią sypać piasek, jaże zadudniało, wrzask ci, mój Jezu, buchnął, a krzyki, a takie lamenty, coby i najkwardszego skruszyło.

Ryczała Józka, ryczała Magda, ryczała Hanka i stryjeczne, płakały bliskie i dalekie, powinowate i zgoła obce, a już może najrzewliwiej zanosiła się Jagusia, którą tak cosik sparło pod piersiami, jaże się prosto zapamiętała w krzyku.

— Halé, teraz skowyczy, a co to wyprawiała z nieboszczykiem! — mruknęła któraś zboku, zaś Płoszkowa, obcierając oczy, dodała:

— Tak se łaskę wypłakuje, by ją nie wygnali z chałupy.

— Myśli, że kto głupi, a uwierzy! — powiedziała głośno organiścina.

Ale Jagna nie wiedziała już o Bożym świecie, padła kajś w piasek i zanosiła się takim żałosnym płaczem, jakby to na nią sypały się te ciężkie, sypkie strugi ziemi, jakby to nad nią huczały te posępne głosy dzwonów, jakby to nad nią płakali...

A dzwony wciąż biły, jakby skarżąc się niebiosom, zaś z nad świeżej mogiły te wszystkie płacze, te szlochy i biadania też się skarżyły na dolę nieubłaganą i na tę wieczną krzywdę człowieczą.

Zaczęli się wnet rozchodzić zwolna, kto tam jeszcze gdziesik, po drodze, przyklękał, kto i ten pacierz mówił za pomarłe, kto zaś jeno się błąkał wśród mogił i smutnie deliberował, a drugie ruszali ociągliwie ku chałupom, obzierając się wyczekująco, gdyż kowal z Hanką spraszali poniektórych na ten chleb żałobny, jak to zwyczajnie bywa po pochowku.

I kiej oklepali mogiłę, a nad nią wkopali czarny krzyż, wzięli pomiędzy siebie sieroty i pociągnęli sporą gromadą, poredzając zcicha, a wyżalając się nad niemi, a popłakując niekiedy...

W Borynowej izbie już było wszystko urządzone do potrzeby, wzdłuż ścian ciągnęły się stoły, obsta-

wione długachnemi ławami, że, skoro się jeno rozsiedli, zaraz podano gorzałkę i chleby.

Przepili godnie, w cichości a powadze, przegryźli coś niecoś, i organista zaczął czytać książki sposobne, modlitwy, a potem zaśpiewali litanję za umarłego; wtórowali mu ochotnie i gorąco, przerywając jeno wtedy, kiej kowal puszczał flachę w nową kolejkę, a Jagustynka chleb roznosiła.

Kobiety zebrały się po drugiej stronie u Hanki; piły herbatę, pojadały słodki placek i pod przewodem organiściny zaśpiewały tak rzewnie i przejmująco, jaże kury zagdakały po sadzie. I tak ano, wspominając poczciwie nieboszczyka, naród pojadał, popijał, popłakiwał i śpiewał za jego duszę pobożne pieśnie, jak przystało w taką porę i za takiego gospodarza...

Stypa była suta, Hanka zapraszała serdecznie, nie żałując jadła ni napitku, gdyż w południe, kiej już niejeden jął się oglądać za czapą, podali kluski z mlekiem, a potem prażone mięso z kapustą i groch, szczodrze omaszczony.

— Drudzy takiego wesela nie wyprawiają! — szepnęła Bolesławowa.

— A mało nieboszczyk zostawił, co?

— Mają się czem pocieszać, mają.

— Gotowych pieniędzy też sporo chapnąć musieli...

— Kowal wyrzeka, co były, i pono się kajś podziały.

— Narzeka, a dobrze je musiał schować.

Pogadywały zcicha między sobą kobiety, wyskrzybując miski doczysta i strzegąc się Hanki, która nieustannie baczyła, by której czego nie zbrakło; zaś po chłopskiej stronie organista, napity już ździebko, dźwignął się nad stołem i z kieliszkiem w garści jął wypominać nieboszczyka tak górnie i z takiemi łacińskiemi przepowiadkami, że, chocia niebardzo wyrozumieli, ale płakać się wszystkim chciało, kiej na tem kazaniu.

Gwar się już podnosił i gęby czerwieniały, że to flacha często krążyła i szkło galanto brząkało, to już niejeden omackiem szukał kieliszka i drugą ręką kuma obejmował za szyję, bełkocząc skołczałym ozorem. Zaś poniektóry jeszcze niekiedy wyciągnął tę żałobną nutę i wypominać próbował, ale już nikto nie wtórował, ni słuchał, wszyscy bowiem gwarzyli, stowarzyszając się do upodoby, świarcząc sobie przyjacielstwa i raz wraz przepijając, a co skorsi do kieliszka wymykali się chyłkiem i wiedli ku karczmie. Tylko jeden Jambroż był dzisia zgoła niepodobny do siebie. Juści co pił tyla, co i drugie, a może i więcej, gdyż sam się przymawiał o gorzałkę, ale siedział kajś w kącie srodze zwarzony, oczy cięgiem przecierał i ciężko wzdychał.

Trącił go któryś i na ucieszne powiadki wyciągał.

— Nie ruchaj mę, bom żałosny! — odburknął — pomrę wnet, pomrę... Psi po mnie jeno zawyją i baba w garnek rozbity zadzwoni — mamrotał płaczliwie. — Jakże, toż przy chrzcie Macieja byłem!.. Na jego weselu tańcowałem! Ojców jego chowałem! Dobrze pamiętam! Mój Jezu, i tylachno już różnego narodu oklepałem, tylum już przedzwaniał... A teraz pora na mnie!..

Podniósł się nagle i wyszedł prędko do sadu; Witek potem powiedział, jako stary siedział za chałupą dopóźna i płakał...

Juści, co się nim nikto nie zaturbował, każden bowiem miał dosyć swoich turbacyj, a przytem, już na samym zmierzchu, przyszedł najniespodzianiej ksiądz wraz z dziedzicem.

Proboszcz pocieszał łaskawie sieroty, głaskał dzieci, a zgwarzając się z gospodyniami, chętliwie nawet popijał herbatę, którą mu Jóźka podała, zaś dziedzic, pogadawszy z tym i owym o różnościach, wziął od kowala kieliszek, przepił do wszystkich i powiedział do Hanki:

— Jeśli komu żal Macieja, to mnie z pewnością najwięcej, bo, żeby teraz żył, tobym się ze wsią ugodził dobrowolnie. Może i dałbym, czegoście pierwej chcieli!..—ozwał się głośniej, tocząc dokoła oczami. — Ale mam to z kim pomówić? Przez komisarza nie chcę, a ze wsi nikt pierwszy się nie zgłasza!..

Słuchali w skupieniu, rozważając każde jego słowo.

Mówił jeszcze coś niecoś i zagadywał, ale jak do tego muru, żaden bowiem nie dał się za ozór pociągnąć i nawet pyska nie ozwarł, jeno przytakiwali, skrobiąc się po łbach a spozierając po sobie znacząco, że, widząc, jako nie poredzi przełamać tej czujnej ostrożności, wywołał księdza i poszli, odprowadzeni całą hurmą aż w opłotki.

Po ich odejściu jęli się dopiero dziwować a głowić wielce.

— No, no, żeby sam dziedzic przyszedł na chłopski pogrzeb.

— Potrzebuje nas, to bakę świeci — powiedział Płoszka.

— A czemu to nie miał przyjść z dobrego serca, co? — bronił Kłąb.

— Lata masz, aleś rozumu nie nabrał. Kiedyż to dziedzic przyszedł do wsi z przyjacielstwem, kiedy?

— Coś w tem być musi, że tak zgody szuka!

— Ano co, że mu jej potrza barzej, niźli nam.

— A my możemy se poczekać, możemy!—wołał pijany Sikora.

— Wy możecie, ale drugie nie mogą! — wrzasnął zeźlony Grzela, wójtów brat.

Jęli się już kłócić a przemawiać, bo jeden prawił swoje, i drugi też swego dowodził, a trzeci obu się przeciwił, zaś insi mamrotali:

— Niech odda bór i ziemię, to zrobim zgodę.

— Nie potrza zgody, nowe nadziały przyjdą, to i tak wszystko będzie nasze. Niech psiachmać z torbami pójdzie za krzywdę naszą.

— Żydy go duszą, to chłopów o pomoc skomle.

— A przódzi to ino wiedział krzyczeć: z drogi, chamie, bo batem!

— Mówię wama, nie wierzta dziedzicowi, bo każden z nich jeno zdradę chłopskiemu narodowi gotuje— wołał któryś, barzej napity.

— Słuchajta-no, gospodarze! — zakrzyknął naraz kowal. — Powiem wam mądre słowo: jak zgody dzie-

dzic chce, to potrza z nim tę zgodę zrobić i brać, co się da, nie czekając gruszków na wierzbie.

Na to powstał Grzela, wójtów brat, i zawołał:

— Święta prawda! Chodźta do karczmy, tam się naradzim.

— A ja stawiam la całej kompanji—dodał ochotnie kowal.

Wywiedli się pokrótce całą kupą w opłotki.

Zmierzchło się już ździebko, bydło szło z pastwisk, i po całej wsi roznosiły się poryki, gęgoty, fujarek piskające przebierania i te dziecińskie śpiewy i wrzaski.

A chłopi, mimo kobiecych jazgotań i sprzeciwiań, poszli całą gromadą ku karczmie, tylko jeden Sikora, co ostawał nieco za drugimi, chytał się płotów i cosik długo przy nich grdykał.

Długo ich było słychać, tak się prowadzili szumnie, ile że to już niejeden, by sobie ulżyć, piosneczką huknął albo i krzykał z gorącości.

Zaś u Borynów, skoro uprzątnęli po gościach i przyszedł ciemny wieczór, zrobiło się jakoś dziwnie cicho, pusto i smutnie.

Jagusia tłukła się po swej izbie, kiej ten ptak po klatce, i co trocha leciała do Hanki, ale, widząc, jako wszyscy chodzą osowiali a strapieni, uciekała bez jednego słowa.

Juści, co w chałupie było, jak w grobie, a kiej obrządzili gospodarstwo i zjedli kolację, to chocia śpik morzył każdego, a nikt się z izby nie kwapił ruszać. Siedzieli przed kominem, zapatrzeni w ogień i trwożnie nasłuchujący każdego szmeru.

Wieczór był cichy, tylko niekiedy wiater przegarnął i zaszumiały drzewa, czasem zatrzeszczały płoty, brzęknęły szyby, lub Łapa zawarczał, jeżąc się groźnie, a potem wlekły się długie, nieskończone, zgoła grobowe cichoście.

Oni zaś siedzieli, rozdygotani coraz barzej, a tak strwożeni, że raz po raz ktoś się żegnał i pacierz zaczynał roztrzęsionemi wargami, bo już wszystkim się widziało, jako cosik się gdzieś rusza, że chodzi po górze, jaże belki trzeszczą, że słucha pode drzwiami, że w okna zagląda i obciera się o ściany, to jakby ktoś klamki zatargał i, ciężko stąpający, obchodził całą chałupę.

Słuchali bledzi, z zapartym tchem, zgoła nieprzytomni.

Naraz koń zarżał we stajni, Łapa ostro zaszczekał i rzucił się ku drzwiom; Jóźka, nie mogąc już wstrzymać, krzyknęła:

— Ociec! Laboga, ociec!—i zapłakała strachliwie.

Na to Jagustynka strzepnęła palcami trzy razy i rzekła ważnie:

— Nie bucz, przeszkadzasz duszy odejść w spokoju; płacze ją ano trzymają przy ziemi. Wywrzyjcie drzwi, niech se ta wędrownica odleci na Jezusowe pola... Niech się poniesie w spokojności.

Otwarli drzwi, w izbie przycichło i jakby zamarło, nikt się nie poruszył, tylko rozpalone oczy latały, Łapa jeno przewąchiwał kąty, skamlał niekiej, kręcił ogonem i jakby się do kogoś przyłaszał, że już teraz

wszyscy czuli najgłębiej, jako to gdziesik, pomiędzy nimi błąka się dusza zmarłego.

Aż Haṇka zaśpiewała rozdygotanym, zduszonym głosem:

„Wszystkie nasze dzienne sprawy!“

Przywtarzali gorąco i z niezmierną ulgą.

II.

Dzień był bardzo cudny, prawdziwie latowy.

Może szła dziesiąta rano, bo już słońce wisiało wpół drogi między wschodem a południem i wynosiło się coraz barzej palące, kiej lipeckie dzwony, ile ich jeno było, zadzwoniły rozgłośnie i ze wszystkiej mocy.

A ten, co go przezywali Pietrem, huczał najgłośniej i śpiewał całym gardzielem, jak kiedy to chłop, ździebko napity, drogą idzie, kolebie się ze strony na stronę i, zawodzący, całemu światu radoście swoje grubachnym głosem powiada...

Zaś drugi, nieco pomniejszy, o którym Jambroż rozpowiedał, że go ochrzcili na Pawła, wydzierał się też nie ciszej, a jeno żarliwiej wtórował, wysoką nutę brał, przeciągał górnie a czystym głosem zawodził i, kieby się zapamiętał, tak dzwonił, jakoby ta dziewka poniektóra, kiej ją rozeprze kochanie lebo ten dzień zwiesnowy, że w pola leci, skroś zbóż się przebiera i śpiewa ze wszystkiego serca wiatrom, polom, niebu jasnemu i swojej duszy weselnej.

A na trzeciego — sygnaturka, jako ten ptaszek, świergoliła, na darmo chcąc tamte prześpiewać, nie mogła jednak, chocia jazgotała siekającym, prędkim głosem, kieby te dziecińskie sprzeciwy. Że już dzwoniły, czyniąc galantą kapelę, bo to i bas pobekiwał i zawodziły skrzypice i ten bębenek z brzękadłami drygał wesoło, i rznęły wraz od ucha, uroczyście a rozgłośnie.

Na odpust ci one tak radośnie zwoływały, boć to był dzień Św. Piotra i Pawła, zawdy w Lipcach uroczyście obchodzony.

A czas się też był zrobił wybrany, cichy i wielce słoneczny, na galantą spiekę się miało, ale mimo to, już od samego świtania, na placu przed kościołem handlarze zaczęli stawiać budy przeróżne, a kramy, a stoły, płóciennemi dachami nakryte.

Zaś skoro dzwony zabimbały, skoro ich głos radosny rozlał się po świecie, to i pokrótce, na wyschniętych drogach i w tumanach kurzawy, jęły coraz częściej turkotać wozy, a i piesi też gęsto ciągnęli, że, jak jeno było sięgnąć okiem, na wszystkie strony, po drogach, ścieżkami, na miedzach, czerwieniły się kobiece przyodziewy i bielały rozwiane kapoty.

Ciągnęli rzędami, podobnie kiej te gęsi, mieniąc się jeno w upale i wśród zbóż zielonych.

Słońce niesło się wyżej a wyżej i płynęło kiej ptak złocisty, po modrem, czystem niebie, jarząc się coraz barzej i nagrzewając tak szczodrze, że już powietrze trzęsło się nad polami; jeszcze ta niekiej od łąk chłód luby powiał i zakolebał bielejącemi żytami,

jeszcze i owsy zachrzęściły cichutko, i potrzęsły się młode pszeniczne kłosy, zaś rozkwitłe lny spłynęły rozniebieszczoną strugą, kiej wody, ale już zwolna grążyło się wszystko w słonecznym wrzątku i cichości.

Hej, radosny ci to był dzień i prawdziwie odpustowy. Dzwony bimbały długo i te głosy jękliwe leciały we świat tak rozgłośnie, aż chwiały się źdźbła, aż płoszyły się ptaki; ale śpiżowe serca biły wciąż, biły miarowo, mocno i górnie, wynosząc się ku słońcu tą przejmującą pieśnią i wołaniem:

— „Zmiłuj się! Zmiłuj! Zmiłuj!“

— „Matko przenajświętsza! Matko! Matko!“

— „I ja proszę! I ja! I ja! I ja!“

Śpiewały serdecznie, obwołując zarazem uroczyste święto.

Jakoż i czuło się w powietrzu święty dzień odpustowy; święto było po chatach, przystrojonych zielenią, w dalach, przebłyskujących kieby zapalonemi świecami, w radosnych głosach i w tem cosik, czego nie wypowiedzieć, a co się unosiło nad polami, rozpierając serca lubą cichością i weselem.

A naród śpieszył tłumnie na owe święto i walił ze wszystkich stron. Kłęby kurzawy toczyły się nieustannie nad wszystkiemi drogami, turkotały wozy, rżały konie, leciały głosy przeróżne, wiązały się głośne rozmowy, czasem ktosik wychylał się z półkoszków i krzykał do pieszych, gdzie znowu śpieszył zapóźniony dziad, jękliwie przyśpiewując, a po wozach niektórych szeptano pacierze, pozierając dokoła z niemym podzi-

wem, gdyż ziemia stojała przystrojona, kieby na te gody weselne, cała we kwiatach i zieleni, i cała w ptasich śpiewaniach, w chrzęstach zbóż i brzęku pszczół, a taka cudna, nieobjęta, weselna i przenajświętsza w onej mocy żywiącej, jaże piersi zapierało.

Drzewa po miedzach stojały, kieby na stróży, zapatrzone w słońce, a dołem, jak okiem sięgnąć, leżały pola zielone, szumiące, jak wody wzburzone, i jak wody przewalały się niekiedy ze strony na stronę, bijąc o wszystkie drogi, miedze i rowy, co migotały, kiej te wstęgi, kwietne szczodrze, przeplecione puszystą bielą, żółtością i fioletem; kwitnęły już bowiem owe ostróżki przeróżne, kwitnęły powoje, patrzące z żytnich gąszczów przytajonemi, pachnącemi oczami, kwitnęły modraki, miejscami, kaj ździebko wymiękło, tak gęsto, jakby tam niebo się kładło, kwitnęły wyczki całemi kępami, a one jaskry, a mlecze i krwawe osty, a ognichy i koniczyny, a stokrotki, a rumianki dzikie, a tysiąc inszych, o których jeno sam Jezus pamięta, boć jemu tylko kwitną i tak pachną, że prosto czad bił od pól, kieby w kościele, gdy Jegomość okadza Sakramenta.

Ten i ów pociągał nosem z lubością, a konia batem okładał i pośpieszał, gdyż słońce prażyło coraz ogniściej, jaże śpik morzył, że już niejeden srodze łbem kiwał.

To i pokrótce Lipce napełniły się narodem po wręby.

Jechali bowiem i jechali bez przestanku, że już wszędy, na drogach, dokoła stawu, pod płotami,

w podwórzach i kaj jeno było można zachwycić nieco cienia, ustawiały się wozy i wyprzęgano konie, bo na placu przed kościołem była już taka gęstwa i tak wóz stojał przy wozie, że ledwie się przecisnął.

Lipce prosto ginęły w tej nawale ludzi, wozów i koni.

Rwetes też był coraz większy, gwary i krzyki podniosły się nad całą wsią. Naród szumiał, kiej bór rozkolebany. Kobiety obsiadły staw moczyć nogi, wzuwać trzewiki, a ogarniać się przystojnie do kościoła, chłopi rajcowali kupami, zmawiając się ze somsiady, zaś dziewuchy i chłopaki cisnęły się łakomie do kramów i bud, a głównie do katarynki grającej, na której jakiś zwierz zamorski, czerwono przystrojony i z pyska podobny do starego Miemca, czynił takie pocieszne skoki a figle, jaże się za boki brali ze śmiechu.

Katarynka przygrywała zawzięcie i na taką nutę, jaże niejednemu kulasy drygały, a jakby do wtóru i dziady, usadowieni we dwa rzędy, od kruchty do placu, jęły wyciągać swoje pieśni proszalne, zaś w samych wrotniach smętarza siedział ślepy, tłusty dziad, co go to zawdy pies prowadzał, i śpiewał najżarliwiej i najcieniej wyciągał.

Ale, skoro jeno zasygnowali na sumę, naród porzucił zabawy i, kiej wezbrany potok, lunął do kościoła i tak go napchał, jaże żebra trzeszczały, a cięgiem jeszcze przybywali nowi, gnietąc się, a nawet swarząc, ale większość musiała ostać na dworze, tuląc się pod mury i drzewa.

Przyjechało też paru księży z drugich parafij, zasiedli zaraz w konfesjonałach pod drzewami słuchać spowiedzi, nie bacząc zgoła na tłok, ni na spiekę.

A wiater był całkiem ustał i gorąc podnosił się już nie do wytrzymania, żywy ogień lał się prosto na głowy, ale naród cierpliwie gniótł się przy konfesjonałach i roił po smętarzu, na darmo wyszukując cienia lub jakiej bądź osłony.

Proboszcz był właśnie wychodził ze mszą, kiej dopiero Hanka z Jóźką nadeszły, ale że niesposób się było docisnąć choćby nawet do drzwi kościelnych, to stanęły na szczerem słońcu pod parkanem, rozglądając się w ciżbie, a Pochwalonym witając znajomków.

Zaraz też hukięły organy i zaczęła się suma, przyklękli wszyscy, poprzysiadali, a jęli się żarliwie pacierzy.

Rychtyk i południe stanęło, słońce zawisło prosto nad głowami, lejąc warem straszliwym, i wszystko jakby pomdlało z onej spieki, że ni liść nie zadrgał, ni ptak przeleciał, ni jaki bądź głos powiał z pól. Niebo wisiało w martwej cichości, kiej ta szklana tafla, rozpalona do białego, a roztrzęsione, niby wrzątek, powietrze ślepiło, wyżerając oczy. Parzyła ziemia, parzyły rozgrzane mury, że klęczeli bez ruchu, ledwie już zipiąc i jakby się zwolna gotując w tym ukropie słonecznym.

Naród się modlił w głębokiej cichości, kto na książce, kto na różańcu, a kto jeno tem szczerem słowem Boga chwalił i wzdychem serdecznym. Uroczyste głosy organów lały się brzękliwym, rozmodlonym pa-

cierzem, a niekiedy śpiew buchał od ołtarza, czasem zajazgotały dzwonki, a czasem zahuczał grubachny głos organisty, zaś potem ciągnęły się długie, jakby oniemiałe z żaru chwile, i dymy kadzideł płynęły przez wywarte drzwi kościoła, oprzędzając w niebieskawą i wonną mgłę pochylone głowy klęczących.

Szmer pacierzów rozdzwaniał się nikłym i sypkim chrzęstem w rozbielałej ciszy gorącego przypołudnia i grały w słońcu barwiste chusty, kapoty i wełniaki, że cały smętarz widział się, kieby przytrząśnięty kwiatami, co się chyliły kornie w onej świętej godzinie przed Panem, jakoby utajonym w tem słońcu rozgorzałem i we wszystkiej cichości świata...

Że tylko niekiedy co tam ktoś grzbiet prostował, rozwodził ręce i wzdychał głęboko, to gdziesik zapłakało dziecko, albo kwik koński roznosił się od wozów.

Nawet dziady pocichły, tyle jeno, co poniektóry przez śpik wyrywał się niekiej z głośniejszem Zdrowaś i o wspomożenie zaskamlał.

A upał jeszcze się wzmagał i tak prażył, jaże pola i sady, zalane pożogą, rozżarzyły się, kiej ogień, migocąc białawemi płomieniami.

Cichość była coraz senniejsza, że już niejeden zachrapał na dobre, niejeden kiwał się klęczący, zaś drudzy wychodzili się rzeźwić, gdyż raz po raz skrzypiały kajś studzienne żórawie.

Dopiero w czas procesji, kiej kościół zatrząsł się od śpiewań, kiej jęły walić chorągwie, a za niemi wychodził ksiądz pod czerwonym baldachem z monstran-

cją w rękach, prowadzony przez samych dziedziców, naród przecknął i ruszył wraz z procesją.

Zadzwoniły dzwony, śpiew buchnął ze wszystkich gardzieli i bił jaże kajś ku słońcu, mocny, ogromny, serdeczny, a procesja opływała zwolna białe, rozpalone mury kościoła, kiej ta rzeka wezbrana. Czerwony baldach płynął na przedzie, cały w dymach kadzielnych, że jeno chwilami błyskała złota monstrancja, migotały rzędy świateł, rozwinięte chorągwie, niby ptactwo, łopotało nad mrowiem głów, chwiały się obrazy, przystrojone w tiule a wstęgi, i biły radośnie dzwony, i grzmiały organy, a naród śpiewał z uniesieniem, całem sercem i wszystką duszą tęskliwą wynosił się kajś, jaże w niebiosy, jaże ku temu słońcu przenajświętszemu.

. . . . . .

Zaś po procesji, kiej znowu wzięli odprawiać nabożeństwo i kiej znowu głosy organów zahuczały przejmująco, na smętarzu zrobiło się cicho, jak przódzi, ale już nikto nie drzemał, wzmogły się jeno szepty pacierzów, rozgłośniały wzdychy, dziady już pobrzękiwały w miseczki, a tu i owdzie jęli zcicha pogwarzać.

Dziedzice powyłazili z kościoła, na darmo szukając cienia i kajby przysiąść, dopiero Jambroż wygnał ludzi z pod jakiegoś drzewa i naznosił im stołków, że zasiedli, poredzając między sobą.

Był i ten z Woli, ale nie usiedział w miejscu, a jeno cięgiem się kręcił po smętarzu i, co dojrzał znajomego Lipczaka, przystawał do niego i przyjaciel-

sko zagadywał, że nawet Hankę zobaczył i zaraz się do niej przecisnął.

— Wrócił to już wasz?

— Hale, zaśby ta wrócił!

— A podobno jeździliście po niego?

— Juści, zarno po ojcowym pochowku pojechałam, ale powiedzieli w urzędzie, co go puszczą dopiero za tydzień, to niby we środę.

— Jakże tam z kaucją, zapłacicie?

— Dyć tam o to już Rocho zabiega — wyrzekła ostrożnie.

— Jeśli nie macie pieniędzy, to ja za Antka poręczę...

— Bóg zapłać! — schyliła mu się do nóg. — Może Rocho jakoś se poredzi, a jakby nie, to musi się szukać inszego sposobu.

— Pamiętajcie, że, jak będzie potrzeba, poręczę za niego.

Poszedł dalej do Jagusi, siedzącej wpodle pod murem wraz z matką i wielce zamodlonej, ale, nie nalazłszy sposobnego słowa, to jeno prześmiechnął się do niej i zawrócił do swoich.

Poleciała za nim oczami, pilnie przepatrując dziedziczki, tak wystrojone, jaże dziw brał, a takie bieluśkie na gębie i tak wcięte w pasie, że Jezus! Pachniało też od nich, kieby z tego trybularza.

Chłodziły się czemsić, co się widziało, niby te rozczapierzone ogony indycze. Paru młodych dziedziców zaglądało im w oczy i tak się cosik śmiali, jaże ludzie się tem niemało gorszyli.

Naraz kajś w końcu wsi, jakby na moście przy młynie, zaturkotały ostro wozy i kłęby kurzawy wzbiły się ponad drzewa.

— Jakieś spóźnione — szepnął Pietrek do Hanki.

— Świece juchy będą gasili — dorzucił ktosik.

A drudzy jęli się przechylać przez mur ogrodzenia i ciekawie zazierać na drogi, obiegające staw.

A pokrótce, wśród wrzaskliwych jazgotów i naszczekiwań, ukazał się cały rząd ogromnych bryk, nakrytych białemi budami.

— To Miemcy! Miemcy z Podlesia!—wykrzyknął ktosik.

Jakoż i prawda to była.

Jechali w kilkanaście bryk, zaprzężonych w tęgie konie; pod płóciennemi budami widniał wszelki sprzęt domowy i siedziały kobiety i dzieci, zaś rude, opasłe Miemce z fajami w zębach szły pieszo. Wielkie psy leciały pobok, szczerząc niekiedy kły i odszczekując lipeckim, które raz wraz zajadle docierały.

Naród rzucił się patrzeć na nich, a wielu przełaziło ogrodzenie i leciało spojrzeć zbliska.

Miemce przejeżdżały stępa, ledwie się przeciskając przez gęstwę wozów i koni, ale żaden nawet przed kościołem nie zdjął kaszkietu, ni kogo pozdrowił. Jeno oczy im się jarzyły i brody trzęsły, jakby ze złości. Poglądali w naród hardo, kiej te zbóje.

— Pludraki ścierwie!

— Kobyle syny!

— Świńskie podogonia!

— Sobacze pociotki!

Posypały się wyzwiska, kiej kamienie.

— A co, na czyjem stanęło, Miemce? — krzyknął ku nim Mateusz.

— Kto kogo przepar?

— Strach wam chłopskiej pięści, co?

— Poczekajta, dzisiaj odpust, zabawimy się w karczmie!

Nie odzywali się, zacinając jeno konie i wielce śpiesząc.

— Wolniej, pludry, bo portki pogubita.

Jakiś chłopak śmignął na nich kamieniem, a drugie też jęły cegły rwać, by przywtórzyć, ale wporę ich przytrzymali.

— Dajta spokój, chłopaki, niech odejdzie ta zaraza.

— A żeby was mór nie ominął, psy heretyckie.

A któraś z Lipeckich wyciągnęła pięście i zakrzyczała za nimi:

— By was wytracili co do jednego, kiej psy wściekłe...

Przejechali wreszcie, ginąc na topolowej, że jeno z cieniów i kurzawy szły słabnące naszczekiwania i turkoty wozów.

Wtedy taka radość rozparła Lipczaków, co już niesposób było się komu brać do pacierzów, bo jeno kupili się coraz gęściej kole dziedzica. A on, rad temu wielce, pogadywał wesoło, częstował tabaką i wkońcu rzekł przypochlebnie:

— Tęgoście podkurzyli, cały rój się wyniósł.

— A bo im nasze kożuchy śmierdziały—zaśmiał się któryś, a Grzela, wójtów brat, wyrzekł nibyto z frasobliwością:

— Za delikatny naród na chłopskich somsiadów, bo niech jeno któren wzion przez łeb, to zaraz na ziem leciał...

— Pobił się kto z nimi? — pytał rozciekawiony dziedzic.

— Zaśby ta pobił, Mateusz ta jednego tknął, że mu nie odrzekł na pochwalony, to zaraz juchą się oblał i dziw duszy nie zgubił.

— Docna miętki naród, na oko chłopy, kiej dęby, a spuścisz pięść, to jakbyś w pierzynę trafił—objaśniał zcicha Mateusz.

— I nie szczęściło się im na Podlesiu. Krowy im pono padły.

— Prawda, nie wiedli za sobą ani jednej.

— Kobus mogliby powiedzieć!—wyrwał się któryś z chłopaków, ale Kłąb krzyknął ostro:

— Głupiś, kiej but! Na paskudnika pozdychały, wiadomo...

Jaże się pokurczyli z tajonej uciechy, ale nikto już pary nie puścił, dopiero kowal, przysunąwszy się bliżej, rzekł:

— Że się Miemce wyniesły, to już pana dziedzicowa łaska.

— Bo wolę sprzedać swoim choćby za pół darmo — zapewniał gorąco, prawiąc różnoście, a rozpowiedając, jak to on i jego dziady i pradziady zawsze jedno trzymali z chłopami, zawsze szli razem...

Na to Sikora prześmiechnął się i powiedział zcicha:

— Tak mi to stary dziedzic kazali wypisać na plecach batami, że jeszcze dobrze baczę.

Ale dziedzic jakby nie dosłyszał, powiedając właśnie, co to zażył kłopotów, aby się jeno Miemców pozbyć; juści go słuchali, przytakując politycznie, a swoje myśląc o tych jego dobrościach la chłopskiego narodu.

— Dobrodzieje, znaku nie zrobi, choć z jajka uleje! — mamrotał Sikora, jaże go Kłąb trącał, by zaprzestał.

I tak se społecznie basowali, kiej jakiś księżyk w białej komży i z tacą w ręku jął się ku nim przepychać.

— Cie, widzi mi się, że to Jasio organistów — zawołał któryś.

Juści co to był Jasio, jeno już ubrany po księżemu, i zbierał na kościół, co łaska. Witał się ze wszystkimi, pozdrawiał i sielnie kwestował; znali go bowiem i nijako było się wykręcać od ochfiary, to każden supłał z węzełków ten grosz jakiś, a często gęsto i ta złotówka zabrzęczała o miedziaki; dziedzic rzucił rubla, zaś dziedziczki sypnęły srebrem, a Jasio, spocony, czerwony ze zmęczenia i radosny wielce, zbierał niestrudzenie po całym smętarzu, nie przepuszczając nikomu i nikomu też nie żałując tego dobrego słowa, a natknąwszy się na Hankę, pozdrowił ją tak poczciwie, jaże całe czterdzieści groszy położyła; zaś kiej przystanął przed Jagusią i zabrzęknął w tacę, podniesła oczy i jakby zdrętwiała ze zdumienia, on też

ździebko się pomięszał, rzekł ni to, ni owo i prędko poszedł dalej.

Nawet zapomniała dać ochfiarę, a jeno patrzała za nim i patrzała, boć prosto wydał się jej, jako ten świątek, co go wymalowali w bocznym ołtarzu, takusi młody, smukły i śliczny. Jakby ją urzekł temi jarzącemi ślepiami, że próżno tarła oczy i żegnała się raz po raz, nie pomogło.

— Organiściak jeno, a jak się to wybrał galancie.

— Matka się też puszy, kiej ten indor.

— Już od Wielkiej Nocy jest w tych księżych szkołach.

— Proboszcz go sprowadził na odpust do pomocy.

— Stary sknerzy i z ludzi zdziera, ale na niego nie żałuje.

— Juści, bo to nie honor, jak księdzem ostanie?

— Ale i profit miał będzie.

Szeptali dokoła, jeno co Jaguś niczego nie słyszała, wodząc za nim oczami, kaj się tylko poruszył.

Właśnie i suma się skończyła, jeszcze ta z ambony ksiądz wygłaszał zapowiedzie i wypominki, ale już naród zwolna odpływał i dziady podniesły jękliwe głosy, a całym chórem jęły wyciągać, skamląc proszalne pieśni.

Hanka też ruszyła ku wyjściu, gdy przecisnęła się do niej Balcerkówna z wielką nowiną.

— Wiecie — trzepała zaziajana — a to spadły zapowiedzie Szymka Dominikowej z Nastusią.

— No, no, a cóż na to powiedzą Dominikowa!

— A cóżby, udry na udry pójdzie ze synem.

— Nie poredzi, Szymek w swojem prawie i lata też ma.

— Niezgorsze się tam zrobi piekiełko, niezgorsze — wyrzekła Jagustynka.

— Mało to i tak swarów, mało obrazy Boskiej!— westchnęła Hanka.

— Słyszeliście to już o wójcie? — zagadnęła Płoszkowa, niesąc pobok niej swój brzuch spaśny i tłustą, czerwoną gębę.

— Dyć tyle miałam z pochówkiem i tylachna cięgiem nowych turbacyj, że ani wiem, co się tam na wsi wyprawia.

— A to starszy mówił mojemu, jako w kasie brakuje dużo. Wójt już lata po ludziach i skamle o pożyczki, aby choć chyla tyla zebrać, bo leda dzień przyjedzie śledztwo...

— Jeszcze ociec mówili, co na tem skończyć się musi.

— Wynosił się, puszył, przewodził, a teraz zapłaci za swoje państwo!

— To mogą mu zabrać gospodarkę?

— A mogą, zaś kiejby nie chwaciło, to se resztę odsiedzi w kreminale — gadała Jagustynka — używał jucha, niechże teraz pokutuje.

— Dziwno mi też było, co nawet na pogrzebie się nie pokazał.

— Cóż mu ta Boryna, kiej on z wdową przyjacielstwo trzyma.

Przycichły, bo tuż przed niemi jawiła się Jaguś, prowadząca matkę; stara szła przygarbiona i z przewią-

zanemi jeszcze oczami, ale Jagustynka nie przepuściła okazji.

— Kiedyż Szymkowe wesele? Ani się kto spodział, co dzisiaj spadną z ambony! Juści, trudno chłopakowi wzbronić, kiej mu już obmierzły dziewczyne roboty. Nastusia go teraz wyręczy...—dojadała z prześmiechem.

Dominikowa sprostowała się nagle i twardo rzekła:

— Prowadź, Jaguś, prędzej, prowadź, bo me jeszcze ugryzie ta suka.

I poszła śpiesznie, jakby uciekając, a Płoszkowa zaśmiała się cicho:

— Nibyto ślepa, a niezgorzej obaczyła...

— Ślepa, ale jeszcze trafi do Szymkowych kudłów.

— Boże, broń, by się i do drugich nie dorwała...

Jagustynka już nie odrzekła, ścisk przytem zapanował przed wrótniami, że Hanka się zgubiła, ostając kajś za wszystkimi, ale nawet była temu rada, gdyż obrzydły jej te niepoczciwe dogryzania, jęła też spokojnie rozdawać dziadom po dwa grosze, nie przepuszczając ani jednego, zaś temu ślepemu z psem wetknęła całą dziesiątkę i rzekła:

— Przyjdźcie do nas na obiad, dziadku! Do Borynów!

Dziad podniósł głowę i wytrzeszczył ślepe oczy.

— Antkowa, widzi mi się! Bóg zapłać! Przyletę, juści co przyletę.

Za wrotniami było już nieco luźniej, ale i tam siedziały dziady we dwa rzędy, czyniąc szeroką ulicę

i wykrzykując na różne sposoby, a na samym końcu klęczał jakiś młody z zielonym daszkiem na oczach, przygrywał na skrzypicy i śpiewał pieśnie o królach i dawnych czasach, że całą kupą stali dokoła niego, a częsty grosz sypał mu się do czapy.

Hanka przystanęła pod smętarzem, rozglądając się za Jóźką, i najniespodziewaniej natknęła się oczami na swego ojca.

Siedział se w rządku między dziadami, rękę wyciągał do przechodniów i jękliwie skamlał o wspomożenie.

Jakby ją kto pchnął nożem, ale myślała zrazu, że się jej przywidziało, przetarła oczy raz i drugi; on ci to był jednak, on!..

— Ociec między dziadami! Jezus! — dziw, że się nie spaliła ze wstydu.

Nasunęła chustkę barzej na czoło i przebrała się do niego ztyłu od wozów, pod któremi siedział.

— Co wy robicie najlepszego, co? — jęknęła, przykucnąwszy za nim, by się chronić od ludzkich oczów.

— Hanuś.... adyć ja... adyć...

— Chodźcie mi zaraz do domu! Jezus, taki wstyd! Chodźcie!..

— Nie póde... Już to sobie zdawna umyśliłem... Co wama mam ciężyć, kiej dobre ludzie wspomogą... We świat se pociągne z drugimi... święte miejsca obacze... co nowego się przewiem... Jeszcze wama spory grosz przyniese... Naści złotówkę, kup jakiego cudaka la Pietrusia... kup...

Chyciła go ostro za kołnierz i prawie wywlekła między wozy.

— Zaraz mi do domu. Że to wstydu nie macie!

— Puść me, bo się ozgniewam!

— Rzućcie te torbeczki, prędko, żeby kto nie obaczył.

— To zrobię, co mi się jeno spodoba, juści... wstydał się bede... komu głód kumą, temu torba matką — wyrwał się naraz, wpadł pomiędzy wozy a konie i przepadł.

Niesposób było go szukać i należć w takim tłoku, jaki się uczynił na placu przed kościołem.

Słońce przypiekało, jaże się człowiek łuskał ze skóry, kurz zapierał piersi, a naród, chociaż zmęczony i zgrzany do ostatniej nitki, miętosił się radośnie i kotłował, jakoby w tym rozbełkotanym wrzątku.

Katarynka wygrywała rozgłośnie, na całą wieś; dziady wyciągały po swojemu, dzieci gwizdały na glinianych kuraskach, naszczekiwały psy, i konie gryzły się i kwiczały, że to muchy były dzisia barzej naprzykrzone, zaś każden człowiek gadał zosobna, przekrzykiwał do znajomków, stowarzyszał się i cisnął do kramów, przy których wrzało, jak w ulu, i podnosiły się dzieuszyne piski.

Budy ze świętościami jaże się chwiały od babiego naporu. Niemniejszy był tłok, kaj przedawali kiełbasy, wiszące na drążkach, niby te grubachne postronki. Gdzie znów kupczyli chlebem a kukiełkami. Kajś Żyd nawoływał do cukierków, zaś jeszcze indziej nawet wstęgi wiewały z pod płóciennych daszków i bicze

przeróżnych paciorków, a wszędy był niepomierny gniot, harmider i wrzaski, kieby w jakiej bóżnicy.

Przeszło dobrych parę pacierzów, nim naród jął się nieco spokoić i przycichać; kto pociągał do karczmy, kto już zabierał się do domu, a drudzy, zmożeni spiekotą i utrudzeniem, rozkładali się w cieniu wozów, nad stawem, to w sadach i podwórzach, by se podjeść i odpocząć.

Rozprażone przypołudnie tak już doskwierało, że dychać nie było czem, a pokrótce i gwarzyć nie chciało się nikomu, ni nawet ruchać, jako tym drzewom, pomdlałym w żarze, a że przytem i wieś zasiadła do misek, to się już prawie całkiem uspokoiły, jeno co tam dzieci podniesły wrzaski kajś niekaj, i konie szarpnęły się przy wozach.

Zaś na plebanji proboszcz wyprawiał obiad la księży i dziedziców, przez wywarte okna widniały głowy, płynął gwar rozmów, i roznosiły się brzęki, śmiechy a takie zapachy, jaże niejeden ślinkę łykał z onych smaków.

Jambroż, wystrojony odświętnie, w mentalach na piersiach, kręcił się cięgiem w sieniach, a często gęsto na ganek wybiegał z krzykiem:

— Nie pódziesz, jucho, stąd! A to kijem cię złoję, że popamiętasz.

Ale, nie mogąc się ognać zbereźnikom, które, jako te wróble, obsiadały sztachety, a śmielsze nawet już pod okna się przebierały, to jeno przygrażał księżym cybuchem a wyklinał.

Nadeszła na to Hanka, przystając przy furcie.

— Szukacie to kogo? — zapytał, kusztykując do niej.

— Nie widzieliście kaj mojego ojca?

— Bylicy! Gorąc, że niech Bóg broni, to pewnikiem śpi se kajś w cieniu... Te! jedrona pałka!—krzyknął znowu i pogonił za chłopakiem.

A Hanka, strapiona wielce, poszła już prosto do domu i rozpowiedziała o wszystkiem siostrze, która przyszła na obiad.

Ale Weronka jeno wzruszyła ramionami.

— Korona mu ze łba nie spadnie, że przystał do dziadów, a co nam będzie lekciej, to lekciej. Nie takie ano skończyły pod kościołem.

— Jezus, taki wstyd, żeby rodzony ojciec na żebrach! A co Antek na to powie? Dopiero ludzie wezmą nas na ozory i powiedzą, żeśmy go wygnały po proszonemu.

— A niechta szczekają, co im się spodoba. Pyskować na drugiego każdy poredzi, ale do pomocy nikto nieskory.

— Ja nie dopuszczę, żeby ociec mieli dziadować.

— To ge se sprowadź do chałupy i żyw, kiejś taka honorna.

— A sprowadzę! Już mu tej łyżki strawy żałujesz! Juści, teraz miarkuję, coś go do tego sama przyniewoliła.

— Przelewa się to u mnie czy co? Dzieciom to pewnie odejmę od gęby, a jemu dam?

— Należy mu się wycug od ciebie, nie baczysz?

— Jak nie mam, to z jelit sobie nie wypruję.

— A wypruj i daj, ociec pierwszy. Nieraz mi się skarżył, że go głodem morzysz i o świnie więcej dbasz, niźli o niego.

— Prawda była, juści ojca morzę głodem, a sama to se używam, kiej dziedziczka. Tak się ano wypasłam, co mi już kiecka z bieder zlatuje, i ledwie kulasami powłóczę. Na borg jeno żyjemy.

— Nie pleć, myślałby kto, że i prawda.

— A prawda, żeby nie Jankiel, toby nawet tych ziemniaków ze solą zabrakło. Juści, syty głodnemu nigdy nie zawierzy! — gadała nawpół z płaczem, a coraz żałośniej, gdy wtoczył się w opłotki dziad, prowadzony przez pieska.

— Siadajcie se pod chałupą — zwróciła się doń Hanka, krzątając się kole obiadu.

Przysiadł na przyźbie, kule odłożył, pieska puścił na wolę i pociągał nochalem, miarkując, zali już jedzą i w której stronie.

Właśnie byli zasiadali do obiadu pod drzewami, Hanka wyłożyła jadło na miski, że szeroko rozniesły się posmaki.

— Kasza ze słoniną, dobra rzecz. Niech wama pójdzie na zdrowie — mruczał dziad, wietrząc zapachy i oblizując się łakomie.

Pojadali zwolna, przedmuchując każdą łyżkę strawy; Łapa kręcił się z cichym skowytem, a dziadowski piesek ziajał z wywieszonym ozorem pod ścianą, spiekota bowiem była straszna, nawet cienie nie ochraniały, dziw że się wszystko nie roztopiło, a w tej na-

grzanej i sennej cichości jeno łyżki skrzybotały, a niekiedy kajś pod strzechą zaświegotała jaskółka.

— By tak z miseczkę kwaszonego mleka la ochłody! — westchnął dziad.

— Zarno wam przyniesę! — spokoiła go Jóźka.

— Dużoście dzisiaj wykrzyczeli? — zapytał Pietrek, ciągnąc ospale łyżkę.

— Zmiłuj się Panie nad grzesznymi, a nie pamiętaj im dziadowskiej krzywdy! Bogać ta wiele! któren dziada obaczy, to w niebo pilnie patrzy, albo skręca o staje. Zaś inszy wysuple ten grosz jaki, a radby wziął resztę z dziesiątki! Z głodu przyjdzie zdychać.

— La wszystkich latoś ciężki przednówek — szepnęła Weronka.

— Prawda, ale na gorzałkę to nikomu nie zbraknie.

Jóźka wetknęła mu w garść michę, jął skwapliwie pojadać.

— Powiedali na smętarzu — ozwał się znowu — co Lipce mają się dzisiaj godzić z dziedzicem, prawda to?

— Dostaną, co im się należy, to może się i ugodzą — rzekła Hanka.

— A Miemce już się wyniesły, wiecie? — wyrwał się Witek.

— Żeby ich morówka zdusiła! — zaklął, wytrząsając pięścią.

— To i was pokrzywdzili?

— Zaszedłem do nich wczoraj z wieczora, to me psami wyszczuli. Heretyki ścierwy, psie nasienia. Pono Lipczaki tak im dopiekali, że musiały uciekać! Ze skó-

rybym takich obłupiał, do żywego mięsa—pogadywał, sielnie wygarniając z miski, a skończywszy, napasł swojego pieska i jął się dźwigać z przyźby.

— Żniwna pora, to pilno wam do roboty — zaśmiał się Pietrek.

— A pilno; łoni było nas na odpuście sześciu wszystkiego, a dzisia ze trzy mendle się wydziera, jaże uszy puchną.

— A przyjdźcie na noc — zapraszała Jóźka.

— Niech ci Jezus da zdrowie, co pamiętasz o sierocie.

— Sierota jucha, a kałdun to już ledwie udźwignie—przekpiwał Pietrek, patrząc, jak się toczył środkiem drogi, grubachny, kiej kłoda, i kijaszkiem macał przeszkody.

Chałupa też wkrótce opustoszała, kto przyległ w cieniu, by się przespać, to już chrapał, a reszta poszła na odpust.

Przedzwonili na nieszpór. Słońce się już galancie kłoniło ku zachodowi, upał jakby ździebko sfolżał, to chociaż jeszcze sporo wypoczywało pod chałupami, ale już coraz więcej ludzi schodziło się na plac przed kościołem, pomiędzy kramy i budy.

Jóźka poniesła się z dzieuchami kupować obrazki, a głównie, by się napatrzyć dosyta owym wstęgom, paciorkom i drugim cudom odpustowym.

Katarynka znowu zagrała, dziady jęły posobnie wyciągać, brzękając w miseczki, a gwary podnosiły się zwolna, przepełniając całą wieś, że huczało, jakoby w tym ulu przed wyrojem.

Każden bowiem był syty i wypoczęty, to rad się stowarzyszał, a cieszył społecznie; kto poredzał z przyjacioły, kto jeno ślepie na wszyćko roztwierał szeroko, kto się aby cisnął, kaj się drugie cisnęły, kto i na ten kieliszek pociągał z kumami, któren zaś szedł do kościoła lebo i siedział gdziesik w cieniu, deliberując o różnościach, a wszystkich zarówno rozpierała jednaka, radosna lubość odpustowania. I nie dziwota, jakże, toć każden wymodlił się i nawzdychał dowoli, napatrzył onym pozłotom, światłom, obrazom i innym świętościom; wypłakał się rzetelnie, nasłuchał organów i śpiewań, a jakby się cały wykąpał w onem święcie, duszę oczyścił a skrzepił, narodu różnego zobaczył, wspominków nazbierał i zbył się chociaż na ten dzień jeden wszelakich turbacyj!

To i obycznie, co gospodarze najpierwsze, czy biedota, komorniki, czy proste dziadygi, a wszystko się weseliło pospólnie, czyniąc taki rozgwarzony i rozkolebany gąszcz kole kramów, że i przecisnąć się tam było niełacno. A juści, co najrozgłośniej gadały kobiety, gnietąc się jedna przez drugą do bud, aby chociaż się dotknąć i napatrzyć onych śliczności.

Szymek był właśnie kupił Nastusi bursztyny, wstęgów i chustkę czerwoną, przystroiła się zaraz, i chodzili od kramu do kramu, trzymając się wpół, radośni wielce i jakoby pijani uciechą.

Łaziła z nimi Jóźka, targując jeno i oglądając różnoście, porozkładane na stołach, a coraz i z żałosnem wzdychaniem przeliczała te swoją mizerną złotówczynę.

Jagusia plątała się kajś niedaleko od nich, udając, że nie spostrzega brata. Chodziła sama, dziwnie smutna i zgnębiona. Nie cieszyły jej dzisiaj ni te rozwiane wstęgi, ni granie katarynki, ni ten ścisk i wrzaski. Szła z drugimi, porwana tłokiem i tam stawała, kaj insi stawali, tam dreptała, kaj ją pchali, nie wiedząc całkiem, poco przyszła i dokąd idzie.

Przysunął się do niej Mateusz i szepnął pokornie:

— Dyć mnie nie goń od siebie.

— Hale, odpędzałam cię to kiedy?

— A bo raz! Nie sklęłaś me to, co?

— Niepoczciwie rzekłeś, to i musiałam. Któż me... — przymilkła nagle.

Jasio przeciskał się zwolna przez tłumy w jej stronę.

— I on na odpust!—szepnął Mateusz, wskazując księżyka, któren się bronił ze śmiechem, aby go nie całowali po rękach.

— Kiej dziedzicowy syn! Jak się to wybrał! Dobrze baczę, jak to jeszcze niedawno wyrywał za krowiemi ogonami.

— A juści! gdzieby zaś taki krowy pasał — przeczyła niemile dotknięta.

— Rzekłem. Pamiętam, jak go to raz organista sprał, że krowy puścił w Pryczkowy owies, a sam se spał kajś pod gruszą...

Jaguś odeszła i, chociaż nieśmiało, przepychała się ku niemu, roześmiał się do niej, ale że patrzeli w niego, kiej w tęczę, odwrócił oczy i, nakupiwszy w kramie obrazików, zaczął je rozdawać dzieuchom i temu, kto chciał.

Stanęła naprzeciw, kiej wryta, zapatrzona w niego rozgorzałemi oczami, a z warg czerwonych polał się cichy, lśniący pośmiech, słodziuśki, niby te miody.

— Naści, Jaguś, swoją patronkę — wyrzekł, wtykając jej obrazik, ręce się ich spotkały i rozbiegły, kiej sparzone.

Wzdrygnęła się, nie śmiejąc ust otworzyć. Mówił jeszcze cosik, ale jakby utonęła w jego oczach, i nic prawie nie pomiarkowała.

Rozdzieliła ich gęstwa, że, schowawszy za gors obrazik, długo toczyła oczami po ludziach. Nie było go już nikaj, poszedł do kościoła, gdyż przedzwonili na nieszpór, ale ona cięgiem go miała na oczach.

— Widzi się, kiej ten świątek! — szepnęła bezwolnie.

— To też dzieuchy dziw ślepiów za nim nie pogubią. Głupie, nie la psa kiełbasa.

Obejrzała się prędko, Mateusz stał pobok.

Mruknęła ni to, ni owo, chcąc się od niego odczepić, ale szedł nieodstępnie, długo coś sobie ważył, aż zapytał:

— Jaguś, a co matka rzekli na Szymkowe zapowiedzie?

— A cóż, kiej chce się żenić, to niech się żeni, jego wola.

Skrzywił się i pytał niespokojnie:

— Odpiszą mu to jego morgi, co?

— Ja ta wiem! Nie wyznała mi się. Niech się jej spyta.

Przystąpił do nich Szymek z Nastusią, nałazł się skądciś i Jędrzych, że przystanęli całą kupą, a pierwszy Szymek zaczął:

— Jaguś, matki strony nie trzymaj, kiej się mnie krzywda dzieje.

— Juści, co za tobą stoję. Ale odmieniłeś się przez te czasy, no, no... Całkiem kto drugi z ciebie!— dziwiła się, bo stojał przed nią sielnie wyelegantowany, prosty, wygolony doczysta, w kapelusie nabakier i w kapocie bieluśkiej, kieby mleko.

— A bom się wyrwał z matczynego stojaka.

— I lepiej ci teraz na woli? — prześmiechała się z jego hardości.

— Wypuść ptaszka z garści, to obaczysz! Zapowiedzie słyszałaś?

— Kiedyż ślub?

Nastusia przygarnęła się tkliwie, obejmując go wpół.

— A za trzy niedziele, jeszcze przed żniwami — szeptała spłoniona.

— I choćby w karczmie wyprawię, a matki prosił nie będę.

— Masz to już kaj zawieść kobietę?

— A mam. Jakże, na drugą stronę do matki się wprowadzę. Szukał po ludziach komornego nie będę. Niech mi jeno mój gront odpiszą, to radę sobie dam! — przechwalał się sierdziście.

— Pomogę mu, Jaguś, we wszyćkiem pomogę— przytwierdzał Jędrzych.

— Przecie i my Nastusi we świat gołkiem nie dajemy. Tysiąc złotych dostanie gotowemi pieniędzmi — wyrzekł Mateusz.

Kowal odciągnął go na bok, cosik mu szepnął i poleciał.

Pogadywali jeszcze co niebądź, szczególniej Szymek roił se, jak to gospodarzem ostanie, jak se to grontu przykupi, jak się to chyci ziemi, że pokrótce obaczą, kto on taki, jaże Nastusia patrzała w niego z podziwem. Jędrzych przytwierdzał, jeno Jagusia chodziła oczami po świecie, słysząc piąte przez dziesiąte. Zarówno jej tam było jedno.

— Jaguś, przyjdź do karczmy, będzie dzisiaj muzyka — prosił Mateusz.

— I karczma la mnie już nie zabawa — odparła smutnie.

Zajrzał w jej oczy przemglone, nacisnął kaszkiet i poleciał, roztrącając ludzi. Przed plebanją natknął się na Tereskę.

— Kaj cie to niesie? — zagadnęła lękliwie.

— Do karczmy! kowal zwołuje na narady.

— Poszłabym z tobą.

— Nie odganiam cię, miejsca nie zbraknie, zważ jeno, by cię nie wzieni na ozory, że tak cięgiem za mną uważasz.

— I tak me już noszą, kiej psy tę zdechłą owcę.

— To czemu się im dajesz! — zły już był i zniecierpliwiony.

— Czemu? nie wiesz to, bez co?—zaskarżyła się cichuśko.

Szarpnął się i poszedł przodem, że ledwie za nim zdążyła.

— Już buczysz, kiej to cielę! — rzucił, odwracając się nagle.

— Nie, nie... jeno mi proch wleciał do oka.

— Jak widzę płakanie, to jakby me kto nożem żgnął!

Zrównał się z nią i rzekł dziwnie serdecznie:

— Naści parę groszy, kup se co na odpuście, a potem przyjdź do karczmy, to potańcujemy.

Spojrzała oczami, co to jakby mu do nóg leciały z podzięką.

— Co mi ta pieniądze, takiś dobry... takiś... — szeptała rozpłomieniona.

— A z wieczora przychodź, przódzi czasu miał nie będę.

Obejrzał się za nią jeszcze z progu, uśmiechnął i wszedł do sieni.

W karczmie już była ciasnota i gorąc nie do wytrzymania. W głównej izbie tłoczyło się wiela różnego narodu, przepijając a gwarząc, zaś w alkierzu zebrali się co młodsi z Lipeckich, z kowalem i Grzelą, wójtowym bratem na czele. Przyszli też i poniektórzy gospodarze, jak Płoszka, sołtys, Kłąb i Adam, stryjeczny Borynów, a nawet się wcisnął Kobus, choć go nikto nie zapraszał.

Kiedy Mateusz wszedł, właśnie był Grzela prawił gorąco i kredą cosik pisał po stole.

Szło o zgodę z dziedzicem, któren obiecywał za morgę lasu dać chłopom po cztery na podleskich po-

lach, a drugie tyle ziemi puścić na spłaty; chciał nawet borgować drzewo na chałupy.

Grzela wykładał wszystko podrobnie i kredą znaczył, jakby się to podzielili ziemią i coby wypadło na każdego.

— Dobrze rozważcie, co mówię!—wołał—sprawa czysta, jak złoto.

— Obiecanka cacanka, a głupiemu radość! — mruknął Płoszka.

— Szczera prawda, nie obiecanki. U rejenta wszyćko nam odpisze. Weźta ino sobie dobrze do głowy! Tylachna ziemi la narodu. A toć każdemu w Lipcach wykroi się nowa gospodarka. Miarkujta ino sobie...

Kowal raz jeszcze powtórzył, co mu był kazał dziedzic powiedzieć.

Wysłuchali uważnie, ale nikto się nie ozwał, patrzeli jeno w te białe krychy na stole i głęboko deliberowali.

— Prawda, prawda, kiej złoto, ale czy na to komisarz pozwoli? — ozwał się pierwszy sołtys, orząc frasobliwie pazurami po kudłach.

— Musi! Jak gromada uchwali, to się urzędów o przyzwoleństwo pytała nie będzie! Zechcemy, to i on musi! — zagrzmiał Grzela.

— Musi, nie musi, a ty się nie wydzieraj. Obacz-no który, czy aby starszy nie wącha kaj pod ścianą?

— Dopierom go widział przed szynkwasem! — objaśniał Mateusz.

— A kiedy to dziedzic obiecuje nam odpisać? — zagadnął któryś.

— Mówił, co gotów choćby jutro. Zgodzimy się na jedno, to zaraz odpisze, zaś potem omentra rozmierzy, co komu.

— To już po żniwach możnaby chycić się tej ziemi.

— A na jesieni obrobić, jak się patrzy.

— Mój Jezu, dopiero to pójdzie robota, no!

Pogadywali gwarnie, wesoło, jeden przez drugiego. Radość już ponosiła wszystkich, oczy strzelały mocą, hardość prostowała grzbiety i same ręce się wyciągały do brania tej ziemi upragnionej.

Niejeden już podśpiewywał z uciechy i krzykał na Żyda o gorzałkę, niejeden plótł trzy po trzy o działach, a każdemu roiły się nowe gospodarki, bogactwa i radoście. Bajdurzyli też, kiej pijani, śmiejąc się, bijąc pięściami w stoły a przytupując ogniście.

— Dopiero to w Lipcach nastanie święto!

— Hej, a jakie zabawy pójdą, a jakie muzyki!

— I wiela to weselisk odprawi się w zapusty!

— Dzieuch we wsi zabraknie!

— To se miesckich przykupiemy, nie stać to nas!

— Psiachmać, w same ogiery jeździł będę.

— Cichojta no — zawołał stary Płoszka, bijąc pięścią w stół — a to krzyczą, kiej żydy w szabas! Chciałem jeno pedzieć, czy aby w tej dziedzicowej obietnicy niema jakowego podejścia? Miarkujeta, co?

Przycichli, jakby ich kto znagła oblał zimną wodą, dopiero po chwili ozwał się sołtys:

— Ja też nie mogę wyrozumieć, la czego taki hojny?

Franciscan Fathers, Minor Conventuals

ELLICOTT CITY, MARYLAND

— Juści, w tem musi być jakieś podejście, bo żeby dawać tylachna ziemi prawie za darmo — ciągnął któryś ze starych.

Ale na to porwał się Grzela i zakrzyczał:

— To wam powiem, żeśta głupie barany i tyla!

I znowu jął tłumaczyć i przekładać zapalczywie, jaże się spocił, kiej mysz, kowal też sielnie mełł ozorem i każdemu zosobna rychtował, ale stary Płoszka nie dał się przekabacić, głową jeno kiwał i prześmiechał się tak kąśliwie, aż Grzela przyskoczył do niego z pięściami, ledwie już powstrzymując złość.

— Rzeknijcie swoją prawdę, kiej nasza widzi się wam cygaństwem.

— A rzekę! Znam dobrze to pieskie nasienie, znam i mówię waju: nie wierzta dziedzicowi, póki nie będzie czarno na białem. Zawżdy się naszą krzywdą pasły, to i tera chcą się na nas pożywić!

— Tak miarkujecie, no to się nie gódźcie, ale drugim nie przeszkadzajcie! — krzyknął na niego Kłąb.

— Chodziłeś z nimi do boru, to ich stronę i tera trzymasz!

— A chodziłem, a jak bedzie potrza, to i jeszcze pódę! A trzymam nie za nim, jeno za zgodą, za sprawiedliwością, za całą wsią. Bo jeno głupi nie widzi w tem dobrego la Lipiec. Jeno głupi nie bierze, jak dają.

— Wyśta wszystkie głupie, bo pilno wama sprzedać za obertelek całe portki. Głupie, skoro dziedzic tyle daje, to może i więcej.

Zaczęli się przemawiać coraz zapalczywiej, a że i drugie wspomagały Kłęba, to zrobił się taki gwar, jaże przyleciał Jankiel i sielną flachę gorzały postawił na stole.

— Sza, sza, gospodarze! Niech będzie zgoda! Żeby Podlesie były nowe Lipce! żeby każdy był pan!— wołał, puszczając kieliszek kolejką.

Juści, co wzięli pić, a jeszcze barzej się ugwarzać, wszyscy już bowiem skłaniali się do zgody, oprócz starego Płoszki.

Kowal, któren musiał w tem mieć jakiś gruby profit, najgłośniej rozmawiał, rozwodząc się o dziedzicowej poczciwości, a raz po raz stawiał la całej kompanji to gorzałę, to piwo, to nawet arak z esencją.

Cieszyli się tak galancie, co już niejeden jeno oczy bałuszył i ozorem ledwo ruchał, zaś Kobus, któren cały czas pary z gęby nie puścił, jął naraz chybać ludzi za orzydla i krzyczeć:

— A komorniki to co? Psi pazur? I nam się należy ziemia! Nie dopuścim do zgody! Po sprawiedliwości być musi! Jakże, to jeden ledwie już spaśny kałdun udźwignie, a drugi ma zdychać z głodu? Porówno musi być ziemi la wszystkich! Dziedzice ścierwy! Niejeden gołym zadem łyska, a nos drze do góry, jakby cięgiem kichał! Kołtuniarze zapowietrzone! — krzyczał coraz głośniej i tak nieprzystojnie wszystkim przymawiał, jaże go wyciepnęli za drzwi, ale jeszcze przed karczmą klął i wygrażał.

Kompanja też niezadługo zaczęła się rozchodzić do domu, jeno co łapczywsi na uciechę ostali w karczmie, kaj już pobrzękiwała muzyka.

Właśnie i wieczór się był robił, słońce zapadło za bory i całe niebo stanęło w zorzach, aż czuby zbóż i sadów jakby się pławiły w czerwieni a złocie. Zawiewał wilgotny, pieściwy wiater, żaby jęły rechotać, odzywały się przepiórki, a granie koników roztrząsało się po polach, kiej ten nieustający chrzęst dojrzałych kłosów, rozjeżdżali się już z odpustu, że jeno wozy turkotały, a kajś niekaj ktosik, dobrze napity, wyśpiewywał rozgłośnie.

Przycichły Lipce, pusto się zrobiło przed kościołem, ale jeszcze pod chałupami siedzieli gęsto ludzie, zażywając chłodu i wczasów.

Cichy zmierzch stawał się na świecie, mroczniały pola, dale stapiały się już z niebem, wszystko się spokoiło, śpik zwolna morzył ziemię i obtulał ją ciepłą rosą, zaś ze sadów tryskały kiej niekiej ptasie głosy, jakoby tym wieczornym pacierzem.

Bydło wracało z pastwisk, raz po raz buchały długie, tęskliwe ryki, a rogate łby pokazywały się nad stawem, rozgorzałym ogniami zachodu, jakoby krwawem zarzewiem. Kajś pod młynem baraszkowały z wrzaskiem kąpiące się chłopaki, zaś po obejściach trzęsły się dzieuszyne piosneczki, to beki owiec, to gęsie gęgoty.

Jeno u Borynów było cicho i pusto. Hanka poniesła się z dziećmi do którejś z kum, Pietrek się też kajś zapodział, a Jagusia nie pokazała się jeszcze od nieszporów, że tylko Jóźka zwijała się kole wieczornych obrządków.

Ślepy dziad siedział w ganku, nastawiał gęby na chłodnawy wiater, mruczał pacierz, a pilnie nasłuchiwał Witkowego boćka, któren kręcił się wpodle, rychtując przyczajonym dziobem w jego nogi.

— Cie... Żebyś skisł, zbóju jeden! A to me kujnął! — mruczał, zbierając pod siebie kulasy, i machał wielkim różańcem, bociek odleciał parę kroków i znowu zachodził przemyślnie zboku z wyciągniętym dziobem.

— Słyszę cię dobrze! Już ci się nie dam. Jaka to jucha zmyślna! — szeptał, ale że w podwórzu rozległo się granie, to, oganiając się kiej niekiej różańcem, zasłuchał się w muzyce z lubością.

— Józia, a kto tak szczerze rzempoli?

— A Witek! Wyuczył się od Pietrka i teraz cięgiem dudli, jaże uszy puchną! Witek, przestań, a załóż koniczyny źrebakom! — wrzasnęła.

Skrzypki umilkły, zaś dziad cosik se umyślił, bo skoro Witek przyleciał pod chałupę, rzekł do niego wielce dobrotliwie:

— Weź tę dziesiątkę, kiej tak galancie wyciągasz nutę.

Chłopak uradował się ogromnie.

— A zagrałbyś to i pobożne pieśnie, co?

— Co inó posłyszę, to wygram.

— Hale, każda liszka swój ogon chwali. A taką nutę wygrasz, co? — i beknął po swojemu, piskliwie, a zawodzący.

Ale Witek nawet nie dosłuchał, skrzypki przyniósł, zasiadł pobok i przegrał rychtyk to samo, a po-

tem rznął insze, jakie tylko słyszał w kościele, i tak sprawnie, jaże się dziad zdumiał.

— Cie, na organistę byłbyś zdatny!

— Wszyćko wygram, wszyćko, nawet i takie dworskie i takie, co je śpiewają po karczmach — przechwalał się rozradowany, wycinając od ucha, jaże kury zagdakały na grzędach, gdy Hanka nadeszła i zaraz go przepędziła, by Józce pomagał.

Docna już ściemniało na świecie, ostatnie zorze gasły, a wysokie, ciemne niebo rosiło się gwiazdami, wieś już kładła się spać, jeno od karczmy zalatywały dalekie pokrzyki i brzękliwe głosy muzyki.

Hanka siedziała przed gankiem, karmiąc dziecko i pogadując z dziadkiem o tem i owem; cyganił jucha, jaże się kurzyło, ale nie przeciwiła mu się, myśląc swoje i tęsknie w noc poglądając.

Jagna nie wróciła jeszcze, nie siedziała również i u matki, bo zaraz z wieczora poszła na wieś do dzieuch, jeno co nikiej nie wysiedziała, tak ją cosik ponosiło. Jakby ją kto za włosy wyciągał, że wkońcu już sama jedna łaziła po wsi. Długo patrzyła we wody, pogasłe i drżące od powiewów, rozruchane ździebko cienie, we światła, co leciały z okien na gładź stawu i marły niewiada kaj i przez co! Rwało ją gdziesik, że poleciała za młyn, aż na łąki, kaj już leżały ciepłe kożuchy białych mgieł i czajki śmigały nad nią z krzykiem.

Słuchała wód, padających z upustu w czarną gardziel rzeki, pod olchy wyniosłe i jakby śpiące, ale ten szum zdał się jej jakiemś żałosnem wołaniem i skargą, nabrzmiałą płaczem.

Uciekła i patrzała w młynarzowe okna, buchające światłem, gwarami a brzękiem talerzy.

Tłukła się od brzega wsi do brzega, jak ta woda obłędna, co ujścia na darmo szuka i w nieprzebyte wręby bije żałośnie.

Żarło ją cosik, czegoby i wypowiedzieć niesposób, ni to był żal, ni to tęsknica, ni to kochanie, a oczy miała pełne suchego żaru i w sercu wzbierał wrzący, straszny szloch.

Niewiada laczego znalazła się przed plebanją, jakieś konie przed gankiem biły niecierpliwie kopytami, świeciło się tylko w jednym pokoju, grali w karty.

Napatrzyła się dosyta i poszła opłotkami, które dzieliły Kłębową gospodarkę od proboszczowskich ogrodów. Przesuwała się lękliwie pod żywopłotem, obwisłe gałęzie wisien muskały ją po twarzy zrosiałemi listeczkami. Szła bezwolnie, nie wiedząc, kaj ją niesie, aż niski dom organistów zastąpił jej drogę.

Wszystkie cztery okna świeciły i stały otwarte.

Przytuliła się w cień, pod płot i zajrzała do środka.

Organistowie wraz z dziećmi siedzieli pod wiszącą lampą, popijając herbatę, zaś Jasio chodził po pokoju i cosik rozpowiadał.

Słyszała każde jego słowo, każdy skrzyp podłogi, nieustanne cykanie zegaru i nawet ciężkie przysapki organisty.

A Jasio takie cudeńka prawił, że niczego nie rozumiała.

Patrzyła jeno w niego, niby w ten obraz święty, pijąc, kiej miody najsłodsze, każdy dźwięk jego głosu.

Chodził wciąż i co trochę ginął w głębi mieszkania i co trochę jawił się znów w kręgu światła; czasem przystawał przy oknie, że wciskała się w płot strwożona, by jej nie dojrzał, ale on jeno w niebo patrzył, pokryte gwiazdami, to cosik rzekł la uciechy, że śmiali się, a radość błyskała w twarzach, kiej to słońce. Przysiadł wreszcie pobok matki, a małe siostry jęły mu się drapać na kolana i wieszać na szyi, tulił ci je poczciwie, huśtał i łaskotał, jaże izba zatrzęsła się dziecińskiemi śmiechami.

Zegar wybił jakąś godzinę, i organiścina rzekła, powstając:

— Gadu, gadu, a tobie czas spać! Musisz dodnia wyjechać.

— A muszę, mamusiu! Boże, jaki ten dzień był krótki! — westchnął żałośnie.

A Jagusine serce jakby kto ścisnął i tak boleśnie, jaże same łzy pociekły po twarzy.

— Ale niedługo wakacje! — ozwał się znowu — ksiądz Regens obiecał, że mnie na jakiś czas zwolni, jeśli nasz proboszcz napisze o to do niego.

— Nie bój się, napisze, już ja go uproszę! — powiedziała matka, zabierając się do słania mu na kanapie, wprost okna. Pomagali jej wszyscy, a nawet sam organista przyniósł sporą doinkę i wsunął ją ze śmiechem pod kanapę.

Długo się z nim żegnali na odchodnem, a już najdłużej matka, która go z płaczem tuliła do piersi a całowała.

— Śpij, synu, smacznie, śpij, dzieciątko.

— Pacierze zmówię i zaraz się kładę, mamusiu.

Rozeszli się wreszcie.

Jaguś widziała, jak w sąsiedniej izbie chodzili na palcach, ściszali głosy, przymykali okna i pokrótce cały dom oniemiał i migiem pogrążył się w cichości, aby jeno nie przeszkadzać Jasiowi.

Chciała i ona do domu, już się była nawet nieco uniesła, ale ją cosik jakby przytrzymało za nogi, że nie poredziła oderwać się z miejsca, więc jeno mocniej przywarła plecami do płota, barzej się skuliła i ostała, kieby urzeczona, wpatrując się w to ostatnie wywarte i jaśniejące okno.

Jasio poczytał nieco na grubej książce, zaś potem przyklęknął pod oknem, przeżegnał się, złożył ręce do pacierza, podniósł oczy ku niebu i zamodlił się przejmującym szeptem.

Noc była głęboka, niezgłębiona cichość obtulała świat, gwiazdy mżyły się na wysokościach, nagrzany, pachnący zwiew pociągał z pól, a niekiedy zaszemrały liście i ptak jakiś zaśpiewał.

A Jagusię zaczęło cosik rozbierać, serce się tłukło, kiej oszalałe, paliły ją oczy, paliły usta nabrane, i same ręce wyciągały się ku niemu, a chociaż się kurczyła w sobie, roztrząsał nią taki dziwny, niezmożony dygot, że wpierała się w płot bezwolnie i z taką mocą, jaże trzasnęła żerdka.

Jasio wychylił głowę, popatrzył dokoła i znowu się zamodlił.

Zaś z nią działo się już coś niepojętego; takie ognie chodziły jej po kościach i oblewały warem, że dziw nie krzyczała z tej lubej męki. Zabaczyła, kaj jest, i ledwie już zipała, tak się w niej wszystko trzęsło i płonęło. Była cała w dreszczach, kiej błyskawice, kłębiły się w niej jakieś nabrzmiałe, szalone krzyki, jakieś wichry palące ją ponosiły, jakieś straszne pragnienia rozprężały i wyginały... Już chciała się czołgać tam, bliżej niego, by chociaż tknąć ustami tych jego białych rączków, by jeno klęczeć przed nim a patrzeć zbliska w te gębusie i modlić się, kiej do tego cudownego obrazu. Nie poruszyła się jednak, bo obiecał ją jakiś dziwny strach i zarazem zgroza.

— Jezu mój, Jezu miłosierny! — wyrwał się jej z piersi cichy jęk.

Jasio powstał, wychylił się cały i, jakby patrząc na nią, zawołał:

— Kto tam?

Zamarła na chwilę, przytaiła dech, serce przestało bić, i jakby zdrętwiała w jakimś świętym strachu, dusza uwięzła kajś w gardle i, pełna szczęsnego niepokoju, chwiała się w oczekiwaniu.

Ale Jasio jeno popatrzył w opłotki, a nie dojrzawszy, zamknął okno, rozebrał się prędko i światło zgasło...

Noc padła jej na duszę, ale jeszcze długo siedziała, wpatrzona w czarne i nieme okno. Przejął ją chłód i jakby oprlił srebrną rosą jej duszę wniebowziętą, gdyż wszystko, co w niej wrzało z krwie pożądliwej, przygasło, rozlewając się po niej nieopowie-

dzianą błogością. Spłynęła na nią uroczysta, święta cichość, jakby to zadumanie kwiatów przed wschodem słońca, że rozmodliła się pacierzem szczęścia, któren nie miał słów, a jeno dziwną słodkość zachwytów, przenajświętsze zdumienie duszy, niepojętą radość budzącego się dnia zwiesnowego i przeplatał się grubemi ziarnami błogich łez, niby tym różańcem łaski Pańskiej i dziękczynienia.

III.

— Pójdę już, Hanuś!—prosiła Józka, pokładając głowę na ławkę.

— A zadrzyj ogona, kiej cielak, i leć!—zgromiła ją, odrywając oczy od różańca.

— Kiej me tak cosik spiera w dołku i tak me mgli...

— Nie przeszkadzaj, zaraz się skończy.

Jakoż proboszcz już kończył cichą, żałobną mszę za duszę Boryny, zamówioną przez rodzinę w oktawę jego śmierci.

Wszyscy też co najbliżsi siedzieli w bocznych ławkach, a tylko Jagusia z matką klęczały przed samym ołtarzem; z obcych nie było nikogo, tyla, co kajś pod chórem Jagata głośno trzepała pacierze.

Kościół był cichy, chłodny i mroczny, jeno na środku mrowiła się wielgachna struga jarzącego światła, bo słońce biło przez wywarte drzwi, rozlewając się jaże po ambonę.

Michał organistów służył do mszy i, jak zawdy, tak trząchał dzwonkami, że w uszach brzęczało, wykrzykiwał ministranturę, a latał ślepiami za jaskółkami, które kiej niekiej śmigały po kościele, zbłąkane i trwożnie świegolące.

Kajś od stawu rozlegały się klapiące trzaski kijanek, wróble ćwierkały za oknami, zaś ze smętarza raz po raz jakaś rozgdakana kokosz wwodziła do kruchty całe stado piukających kurczątek, aż Jambroż musiał wyganiać.

A skoro ksiądz skończył, wyszli zaraz wszyscy na smętarz.

Już byli kole dzwonnicy, gdy zawołał za nimi Jambroży:

— A to poczekajcie! Dobrodziej chce wam cosik powiedzieć.

Nie wyszło i Zdrowaś, kiej przyleciał zadyszany z brewjarzem pod pachą i, obcierając łysinę, przywitał dobrem słowem i rzekł:

— Moiście, a to wam chciałem powiedzieć, że zrobiliście po chrześcijańsku, zamawiając mszę świętą za nieboszczyka. Ulży to jego duszy i do wiecznego zbawienia pomoże. No, mówię wam, pomoże!

Zażył tabaki, pokichał siarczyście i, wycierając nos, zapytał:

— Dzisiaj pewnie będziecie radzili o działach, co?

— Juści, tak je niby we zwyczaju, co dopiero w oktawę — przytwierdzili.

— Otóż to! Właśnie o tem chciałem z wami pomówić! Dzielcie się, ale pamiętajcie: zgodnie i sprawie-

dliwie. Żeby mi nie było swarów ni kłótni, bo z ambony wypomnę! Nieboszczyk w grobie się przewróci, jeśli zobaczy, że jego krwawicę rozrywacie, jak wilki barana! I, broń Boże, krzywdzić sieroty! Grzela daleko, a Jóźka jeszcze głupi skrzat! A co się komu należy, oddać święcie, co do grosza. Jak rozrządził majątkiem, tak rozrządził, ale trzeba spełnić jego wolę. Może on tam chudziaszek w tej chwili patrzy na was i myśli sobie: na ludzim ich wywiódł, gospodarkęm niezgorszą ostawił, to się przecież nie pogryzą, kiej psy, przy podziale. Mawiam ciągle z ambony: zgodą stoi wszystko na świecie, kłótnią jeszcze nikt niczego nie zbudował. No, mówię, niczego, kromie grzechu i obrazy Boskiej. A o kościele pamiętajcie. Nieboszczyk był szczodrym i czy na światło, czy na mszę, czy na inne potrzeby grosza nie żałował, i dlatego Pan Bóg mu błogosławił...

Długo przemawiał, jaże się kobiety spłakały i jęły mu w podzięce obłapiać kolana, zaś Jóźka przypadła mu nawet z bekiem do rąk, to ją przygarnął do piersi, a pocałowawszy w głowę, rzekł z dobrością:

— Nie bucz, głupia, Pan Bóg ma sieroty w szczególnej opiece.

— Że i rodzony nie powiedziałby barzej do duszy—szepnęła rozrzewniona Hanka. Snadź i dobrodziej był wzruszony, bo, wytarłszy ukradkiem oczy, częstował kowala tabaką i prędko zagadał o innem.

— A cóż, będzie zgoda z dziedzicem?

— Będzie, już dzisiaj pojechało do niego piąciu...

— To chwała Bogu! Już za darmo mszę świętą odprawię na intencję tej zgody!

— Widzi mi się, co wieś powinna się złożyć na wotywę z wystawieniem! Jakże, to jakby nowe nadziały i całkiem darmo!

— Masz rozum, Michał, mówiłem o tobie dziedzicowi. No, idźcie z Bogiem, a pamiętajcie: zgodą i sprawiedliwością! Ale, Michał! — zawołał za odchodzącym — a zajrzyj ta później do mojego wolanta, prawy resor przyciera się nieco do osi...

— To pod Łaznowskim dobrodziejem tak się zmaglował.

Ksiądz już nie odrzekł, a oni poszli prosto ku domowi.

Jagusia wiedła matkę naostatku, gdyż stara wlekła się z trudem, odpoczywając co chwila.

Dzień był powszedni, robotny, to i pusto było na drogach dokoła stawu, jeno dzieci bawiły się kaj niekaj w piasku i kury grzebały w porozrzucanych łajnach. Było jeszcze wcześnie, ale już słońce niezgorzej przypiekało, szczęściem, co wiater nieco przechładzał, zawiewał bujny, iż kolebały się sady, pełne już czerwieniejących wiśni, a zboża biły o płoty, kiej wody wzburzone.

Chałupy stały wywarte, wrótnie wszędy porozwierane, na płotach kajś niekaj wietrzyły się pościele, a wszystko, co się jeno ruchało, pracowało w polach. Jeszcze ktosik zwoził ostatnie zapóźnione pokosy siana, że zapach jaże wiercił w nozdrzach, a na obwisłych nad drogą gałęziach, pod któremi przejeżdżały kopiaste wozy, trzęsły się przygarście ździebeł, kiej te powyrywane brody żydowskie.

Szli zwolna i w cichości, deliberując o działach.

Skądciś, jakby z pól, kaj ludzie osypywali ziemniaki, zrywała się niekiedy piosneczka i szła z wiatrem niewiada kaj, zaś pod młynem jakaś baba tak prała kijanką, jaże się rozlegało, i szumnie huczały wody, spadające na koła.

— Młyn teraz cięgiem robi! — ozwała się pierwsza Magda.

— Przednówek, to żniwa la młynarza!

— Cięższy on latoś, niźli łoni. Wszędzie bieda, aż piszczy, zaś u komorników to już prosto głód — westchnęła Hanka.

— Kozły też penetrują po wsi, jeno czekać, jak komu co grubszego ukradną — rzucił kowal.

— Nie bajcie! Ratują się biedoty, jak mogą, wczoraj Kozłowa przedała organiście kaczęta, to się ździebko wspomogła...

— Rychło przechlają. Nie powiadam na nich nic złego, ale mi dziwno, że piórka mojego kaczora, co mi zginął w ojcowy pochowek, nalazł mój Maciuś za ich obórką — wyrzekła Magda.

— A któż to wtenczas wzion nasze pościele? — wtrąciła Jóźka.

— Kiejże to ich sprawa z wójtami?

— Nieprędko, ale Płoszka ich wspiera, to już wójtom dobrze zaleją sadła za skórę.

— Że to Płoszka lubi zawdy nos wrażać w cudze sprawy.

— Jakże, przyjaciół se kaptuje, bo mu pachnie wójtostwo!

Przeszedł im drogę Jankiel, ciągnący za grzywę spętanego konia, któren bił zadem i opierał się ze wszystkich sił.

— Załóżcie mu pieprzu pod ogon, to rypnie z miejsca, kiej ogier!

— Śmiejcie się na zdrowie! Co ja już mam z tym koniem!

— Wypchajcie go słomą, przyprawcie mu nowy ogon i powiedźcie na jarmark, to może go kto kupi za krowę, bo na konia już niezdatny!—żartował Michał, i naraz wszyscy gruchnęli śmiechem, gdyż koń się wyrwał, skoczył do stawu i, nie zważając na Jankłowe prośby i groźby, najspokojniej począł się tarzać.

— Mądrala jucha, musi być od Cyganów!

— Postawcie mu wiadro gorzałki, to może wyjdzie! — zaśmiała się organiścina, siedząca nad stawem przy stadzie kacząt pływających, kiej te żółciuśkie pępuszki; rozczapierzona kokosz gdakała na brzegu.

— Śliczne stadko, to pewnie od Kozłowej? —pytała Hanka.

— Tak, i ciągle mi jeszcze uciekają na staw. Tasiuchny! taś, taś, taś, taś!—zwoływała, rzucając na przynętę przygarściami jagły.

Ale kaczki szorowały na drugi brzeg, że poleciała za niemi.

— Chodźcie prędzej, kobiety — przynaglał kowal i, gdy weszli do chałupy, a Hanka zakrzątnęła się kole śniadania, jął znowu penetrować w izbach i w obejściu, nawet nie przepomniał ziemniaczanym dołom, aż Hanka powiedziała:

— Oglądacie, jakby co ubyło!

— Nie kupuję kota we worku!

— Lepiej wy znacie wszyćko, niźli ja sama! — wyrzekła z przekąsem, rozlewając kawę w garnuszki.— Dominikowa, Jaguś! a chodźcie do kupy! — zawołała na drugą stronę, kaj się obie zawarły.

Obsiedli ławę i popijali, przegryzając chlebem.

Nikto się nie odzywał, nijako było zaczynać, każden się wagował, oglądając na drugich. Hanka też była dziwnie powściągliwa, juści, co niewoliła do jadła, przylewając każdemu, ale prawie nie spuszczała oczów z kowala, któren się wiercił na miejscu, śmigał ślepiami po izbie i chrząkał raz po raz. Jagusia siedziała czegoś chmurna i wzdychliwa, oczy miała połyskliwe, jakby od niedawnego płaczu, a Dominikowa czapirzyła się, kiej kwoka, i cosik poszeptywała do niej, tylko jedna Jóźka, co ta po swojemu pletła trzy po trzy, zwijając się kole garów, pełnych perkocących ziemniaków.

Dłużyło się już wszystkim, aż pierwszy kowal zaczął:

— Więc jakże zrobimy z działami?

Hanka drgnęła i, prostując się, powiedziała spokojnie, snadź po dobrym namyśle:

— A cóż ma być! Ja tu jeno stróżuję mężowego dobra i stanowić o niczem prawa nie mam. Antek wróci, to się podzielita.

— Kiej tam on wróci, a tak przecie ostać nie może.

— Ale ostanie! Mogło tak być przez cały czas ojcowej choroby, to może być, póki Antek nie powróci.

— Nie on jeden jest do podziału.

— Aleć on najstarszy, to jemu się po ojcu należy objąć gòspodarkę.

— Hale, takie ma prawo, jak i drugie dzieci.

— Może weźmiecie i wy, jak się tak z Antkiem ułożyta. Kłóciła się przecie z wami nie będę, nie moja w tem wola stanowi.

— Jaguś! — podniesła głos Dominikowa — przypomnijże o swojem.

— A poco, przecie dobrze pamiętają...

Hanka poczerwieniała gwałtownie i, kopiąc Łapę, któren się nawinął pod nogi, wyrzekła przez zęby:

— Juści, co krzywdę dobrze pamiętamy.

— Rzekliście! Tu idzie o sześć morgów, jakie nieboszczyk zapisał Jagusi, a nie o głupie słowa!

— Jak macie zapis, to wama nikt nie wydrze! mruknęła gniewnie Magda, siedząca cały czas cicho z dzieckiem u piersi.

— A mamy, w urzędzie zrobiony i przy świadkach.

— Wszyscy czekają, to i Jagusia może.

— Pewnie, że musi, ale co ma swojego, to zaraz zabierze, a ma przecie krowę z cielęciem, a świnię, a gąski...

— To wspólne i pójdzie do działów — powstał twardo kowal.

— Do działów! Chcielibyście! Co dostała we wianie, tego jej nikt mocen odebrać! A może chcecie i kiecki a pierzyny też podzielić między siebie, co? — podnosiła głos coraz silniej.

— La śmiechu rzekłem, a wy zaraz z pazurami...

— Juści... przeglądam ja was dobrze, juści...

— Bo i co tu będziem po próżnicy klektać. Prawdę rzekliście, Hanka, że trza poczekać na Antka. Mnie się śpieszy do dziedzica, bo tam już na mnie czekają — wstał, a dojrzawszy ojcowy kożuch, rozwieszony w kącie na drążku, jął go ściągać.

— W sam raz zdałby się na mnie.

— Nie ruchajcie, niech się suszy—broniła Hanka.

— A już te buciary oddacie. Cholewy jeno całe, a i to już raz podszywane—tłumaczył, chytrze ściągając je z drążka.

— Niczego tknąć nie pozwolę! Weźmiecie co niebądź, a potem powiedzą, żem pół gospodarki zatraciła. Niech przódzi spis zrobią. Nawet kołka z płotu ruszyć nie dam, póki wszystkiego urząd nie opisze!

— Spisu nie było, a już się kajś zadziały ojcowe pościele...

— Mówiłam ci, co się stało! Zaraz po śmierci rozwiesili na płocie i ktosik w nocy ukradł. Nie było głowy baczyć na wszystko.

— Dziwne, co tak zaraz nalazł się złodziej...

— To niby jak? Ja wznienam, a teraz cyganię, co?

— Cichojta, kobiety! Tylko przez kłótni, poniechaj, Magduś! Kto ukradł, niech miał będzie na śmiertelną koszulę.

— Sama pierzyna ważyła bezmała ze trzydzieści funtów.

— Mówię ci, stul pysk! — wrzasnął na żonę i wywiódł Hankę w podwórze, nibyto la obejrzenia prosiąt.

Poszła za nim, ale dobrze się miała na baczności.

— Chciałem wam cosik poredzić.

Nastawiła ciekawie uszów, miarkując nieco, kole czego kręci.

— Wiecie, a to trzeba, abyście jeszcze przed spisem którego wieczora przepędzili do mnie ze dwie krowy. Maciorę można zawierzyć stryjecznemu, a co się jeno da, pochować u ludzi... Już wam powiem kaj... O zbożu powiecie przy spisie, że dawno przedane Janklowi, on przytwierdzi ochotnie, da mu się zato jaki korczyk. Źrebkę weźmie młynarz, podpasie się na jego paśnikach. A co z porządków możnaby schować w dołach, to po żytach. Ze szczerej przyjaźni wam radzę! Wszystkie tak robią, które jeno rozum mają. Wyście harowali, kiej wół, to sprawiedliwie należy się wama więcej. Mnie ta z tego dacie co niebądź, jakąś kruszynę. I nie bojajcie się niczego, pomagał wam będę we wszystkiem. A już w tem moja głowa, byście ostali przy gruncie. Jeno mnie posłuchajcie, nikto jeszcze nie dołożył do mojej rady... Sam dziedzic, a rad me słucha. No, cóż powiecie?...

— A jeno to, co swojego nie popuszczę, ale cudzego nie łakomam! — odrzekła zwolna, wpierając w niego wzgardliwe oczy. Zakręcił się, jakby kijem dostał przez ciemię, polatał po niej ślepiami i syknął:

— Jużbym nawet nie wspomniał, żeście niezgorzej podebrali ojca...

— A wspominajcie! powiem Antkowi, niech z wami pogada o tej radzie.

Ledwie się wstrzymał od klątw, plunął jeno, a odchodząc prędko, krzyknął przez wywarte okno do izby:

— Magda, miej ta oko na wszystko, by znowu czego nie wynieśli złodzieje.

Hanka patrzyła na niego ze szydliwym prześmiechem.

Poleciał kiej oparzony, i, natknąwszy się na wójtową, wchodzącą między opłotki, długo jej cosik prawił, wytrząchając pięściami.

Wójtowa przyniesła jakiś urzędowy papier.

— To la was, Hanka, stójka przyniósł z kancelarji.

— Może o Antku! — szepnęła z trwogą, biorąc papier przez zapaskę.

— Pono o Grzeli. Mojego niema, pojechał do powiatu, a stójka jeno powiadał, że tam stoi napisane, jakoby Grzela pomarł, czy coś...

— Jezus Marja! — krzyknęła Jóźka.

Magda też się zerwała na nogi.

Wszyscy patrzyli na ten papier ze zgrozą i strachem, obracając nim bezradnie w roztrzęsionych rękach.

— Może ty, Jaguś, poredzisz rozebrać — prosiła Hanka.

Stanęły nad nią pełne niepokoju i trwogi, ale Jagna po długiej chwili sylabizowania odparła zniechęcona:

— Hale, kiej to nie po naszemu pisane i nie poradzę wymiarkować.

*

— Nie przy niej pisane! Zato co inszego potrafi najlepiej — syknęła wójtowa wyzywająco.

— Idźcie-no swoją stroną i ludzi nie zaczapiajcie, kaj was obchodzą zdaleka, jak to śmierdzące — warknęła stara.

Ale wójtowa, jakby rada z okazji, ciepnęła ją naodlew:

— Przykarcać drugich to poredzicie, a czemu to nie wzbraniacie córusi, by cudzych chłopów nie zwodziła, co!

— Dajcie-no spokój, Pietrowa! — wtrąciła się Hanka, miarkując już, na co się tutaj zanosi, ale wójtową ponosiło coraz barzej.

Choć raz muszę se dać folgę! Tylam się przez nią natruła, tylam przecierpiała, że swojej krzywdy nie daruję, pókim żywa!

A pyskuj! Pies cie ta przeszczeka! — mruknęła stara dosyć spokojnie, zaś Jaguś rozczerwieniła się kiej burak, i, chociaż palił ją wstyd, ale i jakaś mściwa zawziętość nabierała w sercu, że coraz bardziej podnosiła głowę i, jakby naprzekór, z rozmysłem wpierała w nią szydliwe oczy, a judzący prześmiech wił się na wargach.

Wójtowa wywarła już gębę, kiej wrótnię, i, zjątrzona do żywego jej ślepiami, pomstowała, wywodząc zajadle jej przewiny.

— Pyskujesz bele co, boś się opiła złością! — przerwała jej stara — ale twój ciężko odpowie przed Bogiem za Jagusine nieszczęście.

— Juści, odpowie, bo ano zwiódł niewinowate dzieciątko! Juści, dzieciątko, co z każdym rade szuka krzaków!

— Zawrzyjcie gębę, bo, chociem ślepa, ale jeszcze zmacam drogę do waszych kudłów — groziła, zaciskając kij w garści.

— Spróbujcie! Tknij me ino, tknij! — wrzeszczała wyzywająco.

— Hale, spasła się na cudzej krzywdzie i będzie się tera czepiała ludzi, kiej rzep psiego ogona.

— W czem cię to ukrzywdziłam, w czem?

— Jak twojego wsadzą do kreminału, to się dowiesz!

Wójtowa skoczyła z pięściami, szczęściem, co Hanka zdążyła ją odciągnąć i ostro powstała na obie:

— Loboga, kobiety, a toć karczmę robicie z mojej chałupy.

Przymilkły na to oczymgnienie, sapiąc jeno a dysząc, Dominikowej jaże łzy pociekły z pod szmat, jakiemi miała przewiązane oczy, i lały się ciurkiem po wynędzniałej twarzy, jeno co pierwsza się opamiętała i, przysiadłszy, westchnęła, rozwodząc ręce:

— Jezu, bądź miłościw mnie grzesznej!

Wójtowa wyleciała z chałupy, kiej oszalała, ale, zawróciwszy już z drogi, wraziła głowę przez okno i zaczęła wołać do Hanki:

— Mówię ci, wypędź z chałupy te lakudre! Wygoń ją, póki jeszcze pora, abyś potem nie pożałowała! Ani godziny nie ostawiaj pod swoim dachem, bo cię stąd wygryzie ta zaraza piekielna! Radzę ci, broń się,

Hanka! przez litości bądź la niej i przez miłosierdzia! Ona jeno czeka na twojego, obaczysz, co ci ona wystroi! — przechyliła się barzej na izbę i, grożąc pięściami Jagusi, wrzeszczała ze wszystkiej złości:

— Poczekaj, ty piekielnico jedna, poczekaj! Nie zamrę spokojnie, do świętej spowiedzi nie pójdę, póki się nie doczekam, że cię ze wsi kijami wyświecą! A do sołdatów, suko jedna! Tam twoje miejsce, świński pomiocie, tam!

I poleciała; w izbie zrobiło się cicho, jakby w grobie.

Dominikowa jaże się trzęsła od tajonego płaczu, Magda huśtała dziecko, Hanka zapatrzyła się w komin, srodze zamedytowana, zaś Jaguś, chociaż jeszcze miała w twarzy hardość i zły prześmiech na wargach, ale pobielała na płótno, bo ją te ostatnie słowa ugryzły w samo serce; poczuła, jakby ją naraz sto nożów przebiło, i wszystkie rany spłynęły krwią serdeczną i wszystką mocą, ostawiając jeno nieopowiedziany żal, jakiś zgoła nieczłowiekowy żal, że chciała bić głową o ścianę i krzyczeć wniebogłosy, jeno co się przemogła i, szarpiąc matkę za rękaw, szeptała gorączkowo:

— Chodźmy stąd, matko! Chodźmy prędko! Uciekajmy!

— A dobrze! całkiem już osłabłam, ale ty musisz tu wrócić i przy swojem warować do ostatka.

— Nie ostanę tutaj. Tak mi wszystko obmierzło, że już dłużej nie ścierpię! Bodajem była nogi połamała, nim weszłam tutaj!

— Tak ci to źle z nami było, co?—szepnęła Hanka.

— Gorzej, niźli temu psu na łańcuchu, że i w piekle musi być lepiej.

— Dziwne, coś wytrzymała tak długo, przeciek cię nie przywiązywali za kulasy. Mogłaś se iść! Nie bój się, za nogi cię nie ułapię i prosiła nie będę, byś ostała!..

— A pójdę, i niech was ta zaraza wytraci, kiejśta takie!

— Nie pomstuj, bym ci swoich krzywd nie ciepnęła we ślepie!

— Bo już wszystkie przeciwko mnie, cała wieś, wszystkie!..

— Żyj poczciwie, a nikto ci nie rzuci i marnego słowa!

— Cichoj, Jaguś, dyć Hanka ci nie przeciwna. Cichoj!

— A niechta i ona pyskuje! A niechta! Mam gdzieś te szczekania. Cóżem to takiego zrobiła? Ukradłam? Zabiłam kogo, co?

— Masz to jeszcze śmiałość pytać, co? — wyrzekła zdumiona Hanka, stając przed nią. — Nie ciągnij mnie za język, bym ci czego nie rzekła!

— A mówcie! A pyskujcie! zarówno mi jedno!— wrzeszczała coraz zapalczywiej, złość się w niej rozsrożyła, kiej pożar, już była gotowa na wszystko, nawet na najgorsze,

Hance naraz łzy zalały oczy, pamięć zdrad Antkowych tak boleśnie wgryzła się w serce, że ledwie już zabełkotała:

— A coś to z moim wyprawiała, co? Jeszcze cię Pan Bóg za mnie pokarze, obaczysz!.. Spokoju mu nie dawałaś... goniłaś za nim, kiej ta rozciekana suka... kiej ta... — tchu jej zbrakło, tak się zaniesła szlochem.

A Jaguś spięła się, niby wilk, napadnięty w barłogu, gotowy już drzeć kłami, co mu się jeno nawinie, nienawiść buchnęła jej do głowy, a mściwość sprężyła pazury, aż skoczyła na izbę i, rozwścieklona do ostatka, jęła chlastać przyduszonemi słowami, kiejby tym biczem świszczącym:

— To ja za nim latałam, ja! Cyganisz, kiej ten pies! Wszyscy ano wiedzą, jak się przed nim oganiałam! Dyć, kiej piesek, skamlał pode drzwiami, abym mu chocia trep swój pokazała! To on mnie niewolił! To on me otumanił i robił z głupią, co chciał! A tera powiem ci prawdę, jeno byś jej nie pożałowała. A to me miłował, że już nie wypowiedzieć! A tyś mu obmierzła, kiej ten stary, utytłany łach, że miał już chudziak po grdykę twojego kochania, jaże mu się odbijało, kiej po starem sadle, że jeno pluł, wspominając o tobie. Nawet gotów był sobie zrobić co złego, aby cie jeno nie widzieć więcej na oczy. Chciałaś, to masz prawdę. A zapamiętaj, co ci jeszcze dołożę: jak zechcę, to, żebyś mu całowała nogi, kopnie cię, a za mną poleci w cały świat! Wymiarkuj to sobie i ze mną się nie równaj, rozumiesz, co?

Wołała zjadliwie, władna już sobą i bez lęku, a tak urodna, jak nigdy. Nawet matka słuchała jej z podziwem i strachem, tak wynosiła się inna jakaś, zgoła obca i zarazem tak jakoś straszna, zła i groźna, kiej ta chmura, trzaskająca piorunami.

Zaś Hankę słowa te poraziły, jakby na śmierć; biły ją do krwie, smagały bez litości, ni miłosierdzia i rozgniatały, kiej tego mizernego robaka; waliła się, kiej drzewo podarte piorunami, bez sił już i bez pamięci. Ledwie już poredziła nabrać powietrza zbielałemi wargami, opadła na ławę, a od tego bolu to wszystko się w niej rozsypywało w miałki, a płony piasek, że nawet łzy przestały cieknąć po twarzy, spopielałej od męki, chociaż ciężki, wzburzony szloch rozrywał jej piersi. Z lękiem patrzała przed siebie, kieby w jakąś głąb, nagle rozwartą, i drżała, niby to źdźbło, które wiater żenie na zatratę...

Jaguś już dawno przestała i poszła z matką na swoją stronę, Magda się też wyniesła, nie mogąc się z nią dogadać, nawet Jóźka poleciała nad staw za kaczętami, a ona wciąż siedziała na jednem miejscu, kiej ta zmartwiała ptaszka, której wybierą pisklęta, że ni krzyczeć, ni bronić, ni uciekać już nie poredzi, a jeno czasem zabije skrzydłem i żałośnie zapiuka...

Aż Pan Jezus zlitował się nad nią, dając folgę umęczonej duszy, że, przecknąwszy, padła przed obrazami, buchnęła rzęsistym płaczem i ochfiarowała się iść do Częstochowy, byle to wszystko, co usłyszała, było nieprawdą!

A do Jagusi nie czuła nawet złości, tylko brał ją strach przed nią, i żegnała się, niby przed Złem, dosłyszawszy jej głos...

Wreszcie zabrała się do roboty, i wezwyczajone ręce robiły prawie same, gdyż myślami była kajś daleko, nawet nie wiedząc, że dzieci wyprowadziła do

sadu, że uprzątnęła izbę i, nałożywszy jadłem dwojaki, pędziła Józkę, by je prędzej poniesła w pole.

A kiej ostała sama i uspokoiła się nieco, jęła rozważać i medytować nad każdem słowem. Mądra była kobieta i dobra, to łacno przepuściła wszystkie swoje obrazy i krzywdy, ale zadraśniętego ambitu nie poredziła zapomnieć, że raz po raz biły na nią ognie, i serce się kurczyło od męki, a po głowie latały zamysły krwawej odemsty, aż wkońcu i to przemogła, bo szepnęła:

— Juści, że mi się z nią nie równać w urodzie, trudno! Alem mu ślubna i matka jego dzieci! — duma ją rozparła i pewność siebie. — A poleci za nią, to i powróci! Przeciech się z nią nie ożeni! — pocieszała się gorzko, wyglądając na świat.

Południe się już podnosiło, słońce zawisło nad stawem, upał się tak wzmógł, że już parzyła ziemia i rozpalone powietrze zawiewało, kieby z pieca, ludzie już wracali z pól, a od topolowej niesły się wraz z tumanami kurzawy porykiwania spędzanego bydła, gdy naraz Hankę jakby tknęło jakieś postanowienie, wsparła się o ścianę i, pomyślawszy jeszcze jakieś Zdrowaś, obtarła oczy, przeszła sień, otworzyła drzwi do Jagusinej izby i powiedziała mocno, a całkiem spokojnie:

— Wynoś mi się zaraz z chałupy!

Jagna uniesła się z ławy i stanęły naprzeciw, mierząc się ślepiami przez długą chwilę, jaże Hanka cofnęła się nieco od proga i powtórzyła przychrzypniętym głosem:

— Wynoś mi się w ten mig, a nie, to cię każę parobkowi wyrzucić... W ten mig!—dodała nieustępliwie.

Stara rzuciła się do niej przekładać i tłumaczyć, ale Jaguś jeno wzruszyła ramionami:

— Nie gadajcie do tego pomiotła! Wiadomo, o co jej idzie.

Wyjęła ze spodu skrzynki jakiś papier.

— O zapis ci chodzi, o te morgi, a to je weź sobie i nachlaj się niemi!

Rzekła wzgardliwie, rzucając jej w twarz papierem:

— Udław się niemi choćby na śmierć!

I, nie bacząc na matczyne sprzeciwy, jęła śpiesznie wiązać toboły i wynosić je w opłotki.

Hankę zemgliło, jakby ją kto trzasnął między oczy, ale papier podniesła i zagadała z pogrozą:

— A prędzej, bo cię psami wyszczuję! — dławiło ją zdumienie, nie mogło się jej pomieścić w głowie, że to prawda. Jakże, całe sześć morgów pola rzuciła, kiej ten pęknięty garnek! Jakże! Musi być, co ma źle w głowie!—myślała, wodząc za nią oczami.

Jagna zaś, nie zważając na nią, już się wzięła do zdejmowania swoich obrazów, gdy Jóźka przyleciała z wrzaskiem:

— A korale mi oddajcie, moje są, po matce, moje...

Jagna zaczęła je odwiązywać ze szyi, ale się nagle powstrzymała.

— Nie, nie oddam! Maciej mi dali, to już są moje!

Jóźka poczęła piekłować, jaże Hanka musiała ją skrzyczeć, by dała spokój, bo Jaguś jakby ogłuchła na

zaczepki, a wyniósłszy wszystko swoje, poleciała po Jędrzycha.

Dominikowa nie przeciwiała się już niczemu, lecz i nie odpowiadała na zagadywania Hanki, ni na Józczyne jazgoty, dopiero kiej zabrali rzeczy na wóz, podniesła się i wyrzekła, grożąc pięścią:

— By cię nie minęło co najgorsze!

Hanka jaże ścierpła, ale, puszczając te słowa mimo uszów, zawołała:

— A przypędzi bydło Witek, to ci twoją krowę zagna do chałupy! a po resztę niech kto przyleci wieczorem, to się pozgania.

Odeszły milcząco, skręciły na drogę i szły, zwolna okrążając staw, samym jego brzegiem, jaże się odbijając w wodzie.

Hanka długo patrzała za niemi, z jakąś dziwną zgryzotą i markotnością, a że nie miała czasu na rozważania, bo najemnicy ściągali z pola, to schowała zapis do skrzyni, pod klucz, zawarła ojcową stronę i zabrała się do obiadu, całe jednak przypołudnie chodziła struta i milcząca, nawet niechętnie dając ucho przypochlebnym słówkom Jagustynki.

— Dobrzeście zrobili! Już dawno trza ją było wygonić. Rozpuściła się, kiej dziadowski bicz, bo któż jej co zrobi, kiej stara z proboszczem zapanbrat! Drugą toby już dawno wyklął z ambony!

— Pewnie, juści!—przytwierdzała, odsuwając się, aby już więcej nie słuchać, a gdy wszyscy rozeszli się znowu do roboty, zabrała Józkę i poszły pleć len,

bo się miejscami tak gęsto puszczała złotucha, jaże niektóre zagony żółciły się już zdaleka.

Skwapnie się wzięła do pielenia, lecz, mimo to, męczyły ją pogrozy Dominikowej i przejmowały niemałym lękiem, a głównie jednak rozmyślała, co Antek powie na to wszystko.

— Jak mu pokażę zapis, to się rozchmurzy. Głupia! sześć morgów, toć prawie gospodarka! — myślała, spoglądając po polach.

— Wiecie, a docna przepomniałyśmy o tym papierze o Grzeli.

— Prawda! Przerywaj Jóźka, a ja poletę do księdza, on przeczyta.

Nawet rada była, że pójdzie między ludzi, a przewie się, co na to wszystko powiedają.

Przyogarnęła się nieco w chałupie, a wyjąwszy papier z za obraza, poszła z nim na plebanję. Nie zastała jednak księdza, był w polu przy swoich najemnikach, przerywających marchew; dojrzała go już zdala, bo stojał prawie całkiem rozdziany, w portkach jeno a w słomianym kapelusie, ale bliżej nie śmiała podejść, obawiając się, że musi już wiedzieć i jeszcze gotów ją wykrzyczeć przy ludziach. Zawróciła więc do młynarza, któren właśnie był wraz z Mateuszem puszczał na próbę tartak.

— Przed chwilą żona mi opowiadała, jakżeście to wykurzyli macochę! Ho, ho, pliszka się widzi, a ma jastrzębie pazury! — zaśmiał się, bierąc się do czytania owego papieru, ale, jeno rzucił okiem, zawołał: — Zła nowina! Grzela wasz się utopił! Jeszcze na

Wielkanoc! Piszą, że rzeczy po nim możecie odebrać u naczelnika, w powiecie...

— Grzela nie żyje! Laboga! Taki młody i zdrów! A to mu było dopiero na dwudziesty szósty. Miał już wrócić we żniwa. Utopił się, we wodzie! Jezu miłosierny! — jęknęła, załamując ręce, srodze bowiem strapiła ją ta wiadomość.

— Coś letko wama idą schedy, letko! — ozwał się drwiąco Mateusz. — Teraz jeno wygońcie Jóźkę, a już wszystko będzie wasze a kowalowe...

— Skończyłeś to z Tereską, co już o Jagusi zamyślasz? — odcięła się, jaże młynarz gruchnął śmiechem, a on coś pilnie jął majdrować kole piły.

— Nie da się zjeść w kaszy, chwat baba — powiedział za nią młynarz.

Wstąpiła po drodze do Magdy, która, usłyszawszy nowinę, rozpłakała się i, chlipiąc rzewliwie, mówiła przez łzy:

— Wola Boska, moi drodzy. Juści, chłop, jak dąb, jak mało któren w Lipcach, o dolo człowiekowa, dolo nieszczęsna! Dziś żyjesz, a jutro gnijesz. To już Michał pojedzie po te rzeczy po nim, co mają przepaść. Chudziaszek, a tak się darł do domu!..

— Wszystko w Boskiem ręku. A do wody to zawdy szczęścia nie miał, baczycie to, jak się topił we stawie, co go ledwie Kłąb wyratował? Snadź już mu było pisane zginąć od niej!

Wyżaliły się, spłakały i rozeszły, boć każda miała dosyć swoich codziennych turbacyj a zabiegów, zwłaszcza Hanka.

A po wsi wmig się rozniesły te nowiny, że, schodząc z pól o zmierzchu, już sobie o tem rozpowiadali; juści, że Grzeli sielnie żałowano, co zaś do Jagusi, wieś się rozpołowiła, wszystkie bowiem kobiety, zwłaszcza starsze, wzięły stronę Hanki, zajadle powstając na Jagusię, za którą, chociaż nieśmiało, opowiadali się chłopi, że już z tego miejscami przychodziło do swarów...

A nim wieczór zapadł, już na wsi huczało, kiej w ulu, kumy leciały do kum na poredę, poniektóre krzykały do się przez płoty i sady, to, dojąc krowy w opłotkach, raiły z przechodzącemi. Zmierzch się czynił luby, pachnący bowiem a chłodnawy, niebo wisiało jeszcze całe w bladem złocie zachodu, z pól niesły się strzykania koników i głosy przepiórek, a po rowach i po bagnach sennie hukały żaby. Dziecińskie wrzawy, śpiewki, to poryki bydła, rżenia, beki, gęgoty i turkotania wozów trzęsły się nad wsią, zaś po drogach, nad stawem i kaj się kto z kim zetknął, rajcowano zawzięcie o wypadkach, to o tem, z czem chłopi powrócą od dziedzica.

Mateusz, wracający z tartaku, nasłuchiwał tu i owdzie, ale jeno spluwał, klął zcicha i wymijał rozgadane kumy; dopiero pyskujące przed Płoszkami tak go rozeźliły, że się już wstrzymać nie poredził i powiedział wzburzony:

— Hanka nie miała prawa jej wyganiać, na swojem siedziała. Antkowa może za taką ślukę dobrze posiedzieć i zapłacić!

Zakrzyczała go gruba, rozczerwieniona Płoszkowa:

— Hanka grontu jej nie zapiera, wiadomo! Ale, że Antek leda dzień wróci, to czego inszego się bojała! Hale, upilnuje to domowego złodzieja! A może miała patrzeć przez sitko, co?

— I... grał, a trawy się dzierżał, wiecie! Gadacie, co wama ślina przyniesie, ale nie ze sprawiedliwości, a jeno przez czystą zazdrość!

Jakby wraził kij między osy, tak się wszystkie rzuciły na niego.

— A czegoż to mamy jej zazdrościć, co? Czego? Że latawica i tłuk, że ganiacie za nią, kiej te psy, że każdyby do niej rad pod pierzynę, że wstyd i obraza Boska przez nią idzie na całą wieś, co?

— Może i tego wam żal, pies ta was wyrozumie! Pomietły juchy, strach im słońca. A bych była, kiej Magda z karczmy, i robiła co najgorsze, tobyście jej przepuściły, ale że urodniejsza nad wszystkie, to każdaby ją zosobna utopiła w łyżce wody.

Rozjazgotały się nad nim, jaże musiał uciekać.

— Żeby wam, psiekrwie, poodpadały jęzory! — klął i, przechodząc mimo domu Dominikowej, zajrzał w otwarte okna. W izbie się świeciło. Jagusi jednak dojrzeć nie mógł, a wejść się wagował, więc westchnął jeno, zawracając ku swojej chałupie, ale jakoś pokrótce natknął się na Weronkę, idącą do siostry.

— Dopiero co byłam u was. Stacho drzewo obrobił i dół wykopał, możnaby rznąć, kiedy przyjdziecie?

— Kiedy? A może na święty nigdy! Tak mi już wieś mierznie, że cheba prasnę wszystko o ziem i pójdę, kaj mnie oczy poniesą—zakrzyczał gniewnie i poleciał

— Dobrze go cosik ugryzło, kiej się tak bzdycy! — myślała, zwracając się do Borynów.

Hanka sprzątała już po kolacji, ale zaraz ją wzięła na bok, opowiadając wszystko, jak było. Weronka z rozmysłem pominęła Jagusiną sprawę, a tylko rzekła o Grzeli:

— Kiej pomarł, to wam jego część przychodzi do działu.

— Prawda, jeszcze o tem nie pomyślałam.

— A z tem, co dziedzic musi dać za las, to po jakie półwłóczku wypadnie na każdego, troje was jeno! Mój Boże, bogatym to i cudza śmierć na profit się obraca — westchnęła żałośnie.

— Co mi tam bogactwo! — broniła się Hanka, lecz, skoro się porozchodzili spać, wzięła rachować po swojemu i skrycie się cieszyć.

Zaś potem, klękając do pacierzów, szepnęła z rezygnacją:

— A skoro już pomarł, to już taka była wola boska. — I szczerze westchnęła za jego duszę.

Nazajutrz kole południa wszedł do izby Jambroży.

— Kajżeście to chodzili? — spytała, rozpalając ogień na kominie.

— U Kozłów byłem, dziecko się im oparzyło na śmierć. Wołała mnie, ale tam już jeno trumny potrza i pochowku.

— Któreż to?

— A to mniejsze, co je na zwiesnę przywiezła z Warsiawy. Wpadło do grapy z ukropem i prawie się ugotowało.

— Cosik nie wiedzie się jej z temi znajdami.

— A nie wiedzie. Nie traci ona na tem, dają na pochowek! Ale nie z tem do was przyszedłem.

Podniesła na niego niespokojne oczy.

— Wiecie, Dominikowa pojechała z Jagusią do sądu, pono skarżyć was będzie o wygnanie córki...

— A niech skarży, co mi ta zrobi!

— Były z rana u spowiedzi, a potem długo radziły z dobrodziejem, nie podsłuchiwałem juści, a mówię, co me jeno doszło piąte przez dziesiąte; tak się na was skarżyły, jaże proboszcz pięścią wygrażał.

— Ksiądz, a wsadza nos w cudze sprawy! — wyrzekła porywczo, tak jednak zgryziona tą wiadomością, że cały dzień chodziła, kiej błędna, pełna trwóg i najgorszych przypuszczeń.

O samym mroku jakiś wóz przystanął przed opłotkami.

Wyleciała z chałupy zestrachana i dygocąca, wójt siedział na bryce.

— O Grzeli już wiecie! — zaczął. — No, nieszczęście i tyla! Ale mam la was i dobrą nowinę: oto dzisiaj, abo najdalej jutro powróci Antek!

— Nie zwodzicie mnie aby? — nie śmiała już zawierzyć.

— Wójt wama mówi, to wierzcie! w urzędzie mi powiedzieli...

— To i dobrze, kiej wraca, największa pora! — mówiła chłodno, jakby całkiem bez radości, a wójt pomedytował cosik i pomówił wielce przyjacielsko:

— Źleście sobie poczęli z Jagusią! Już na was wniesła skargę, mogą was pokarać za samowolę i gwałt. Nie mieliście prawa jej ruchać, siedziała na swojem. Dopiero to będzie, jak Antek wróci, a was wsadzą! Z czystego przyjacielstwa wam radzę, załagódźcie tę sprawę! Zrobię, co jeno będę mógł, aby skargę odebrały ze sądu, ale krzywdę musicie sami odrobić.

Hanka wyprostowała się i rzekła prostu z mostu:

— Kogóż to bronicie, pokrzywdzonej, czy swojej kochanicy?

Sypnął koniom takie baty, jaże z miejsca poniesły!

IV.

Ale przez takie przeróżne a ciężkie przejścia Hanka całkiem nie mogła zasnąć tej nocy, a przytem cięgiem się jej widziało, że słyszy czyjeś kroki w opłotkach, to na drodze, to nawet jakby pod samą chałupą. Nasłuchiwała z bijącem sercem, ale cały dom spał głęboko, nawet dzieci nie matyjasiły, noc była głucha, chociaż widnawa, gwiazdy zaglądały w okna, i niekiedy poszumiały drzewa, gdyż jakoś od samego północka podniósł się wiater, przedmuchując kiej niekiej.

W izbie było duszno i gorąco, zły fetor zalatywał od kacząt, nocujących pod łóżkami, ale Hance nie chciało się otworzyć okna, śpik już ją całkiem odszedł, parzyła ją pierzyna i poduszki zdały się rozpalone, kiej blachy, że jeno przewracała się z boku na bok,

coraz barzej niespokojna, boć te przeróżne pomyślunki roiły się we głowie, kieby mrowisko, obłażąc ją całą gorącemi potami, a przejmując takim dygotem, że już nie mogąc zapanować nad strachem, porwała się nagle z łóżka i boso, w koszuli, a z siekierą w garści, która się jakoś sama nawinęła, poszła w podwórze.

Wszyćko tam stojało narozcież wywarte, ale wszędy leżała niezgłębiona cichość śpiku. Pietrek chrapał, rozciągnięty pod stajnią, konie gryzły obroki, pobrzękując łańcuchami uździenic, zaś krowy, niepowiązane na noc w oborze, porozłaziły się w podwórzu, leżały, przeżuwając i glamiąc oślimonemi gębulami, podnosząc ku niej ciężkie, rogate łby i czarne, niepojęte gały ślepiów.

Powróciła do łóżka i, leżąc z otwartemi oczami, znowu trwożnie nasłuchiwała, gdyż przychodziły takie chwile, w których byłaby dała głowę, jako wyraźnie roznoszą się jakieś głosy i głuche, dalekie kroki.

— A może w którejś chałupie nie śpią i poredzają! — próbowała sobie wyrozumieć, lecz skoro jeno chyla tyla poszarzały okna, podniesła się i, narzuciwszy Antkowy kożuch, wyszła przed dom.

W ganku Witkowy bociek spał na jednej nodze i ze łbem podwiniętym pod skrzydło, zaś w opłotkach bieliły się pokulone stadka gęsi.

Czuby drzew już się wypinały z nocy, rosa kapała obficie z wierzchołków, trzepiąc o liście i trawy, zawiewał rzeźwy, krzepiący chłód.

Niskie, sinawe opary obtulały pola, z których jeno kajś niekaj rwały się co wyższe drzewa, buchając wgórę, niby te czarne, gęste dymy.

Staw połśniewał, jak to ślepe, wielgachne oko, zasute pomroką, olszowe wysady gwarzyły nad nim cichuśko i trwożnie, gdyż wszystko jeszcze dokoła spało, zatopione w szarym, nieprzejrzanym mącie i cichości.

Hanka przysiadła na przyźbie i, przytuliwszy się do ściany, zadrzemała, ani się tego spodziewając, na jakie dobre parę pacierzów, bo, kiej przecknęła, noc już była zbielała docna, i na wschodzie rozpalały się czerwone zorze, jako te łuny dalekie.

— Jak wyszli o chłodzie, to ani chybi, co ino ich patrzeć! — myślała, wyzierając na drogę; tak się czuła skrzepioną tym krótkim śpikiem, że nie wróciła już do łóżka i, aby łacniej doczekać się słońca, wyniesła dziecińskie szmaty i poszła je przeprać we stawie.

A dzień podnosił się coraz chybciej, że pokrótce zapiał kajś pierwszy kogut, a wnet po nim jęły trzepotać skrzydłami drugie i przekrzykiwać się rozgłośniej na całą wieś, zaś potem zaśpiewały skowronki, ale jeszcze zrzadka, i z przyziemnych mroków wyłaniały się zwolna bielone ściany, płoty, a puste, orosiałe drogi.

Hanka prała zawzięcie, gdy naraz kajś niedaleko rozległy się ciche stąpania, przywarła w miejscu, kiej trusia, pilnie przezierając dokoła, jakiś cień przebierał się z obejścia Balcerkowej i sunął czająco pod drzewami.

— Juści, co od Marysi, ale kto? — ważyła, nie mogąc rozpoznać, gdyż cień przepadł nagle i bez śladu. — Taka harna, taka zadufana w swoją urodę, a puszcza na noc chłopaków! ktoby się to spodział!

Myślała zgorszona, spostrzegając znowu, że młynarczyk przemyka się z drugiego końca wsi.

— Pewnikiem z karczmy, od Magdy! A to, jak wilki, tłuką się po nocy. Co się to wyprawia! — westchnęła, lecz ją samą przejęły jakieś ciągotki, gdyż raz po raz przeciągała się z lubością, ale że woda była chłodnawa, to prędko przeszło, i wzięła nucić ściszonym, a tęsknością nabranym głosem:

„Kiedy ranne wstają zorze!"

Pieśń leciała nisko, po rosie, wsiąkając w zróżowione świtania.

Pora już była wstawać, po wsi zaczęły się rozlegać brzęki otwieranych okien, klekoty trepów i przeróżne głosy.

Hanka, jeno rozwiesiwszy przeprane szmaty na płocie, poleciała budzić swoich, ale tak byli jeszcze śpikiem zmorzeni, że, co która głowa się uniesła, to zaraz padała ciężko, niczego nie miarkując.

Zeźliła się niemało, gdyż Pietrek krzyknął na nią zgóry:

— Psiachmać! Pora jeszcze, do słońca spał będę! — i ani się ruszył.

Dzieci też jęły się mazać, a Jóźka skarżyła się żałośnie:

— Jeszcze ździebko, Hanuś! Dyć dopiero co się przyłożyłam...

Przyciszyła dzieci, powypędzała drób z chlewów, a przeczekawszy jeszcze z pacierz, już przed samym wschodem, kiej wyniesione niebo całkiem rozgorzało, a staw sczerwienił się od zórz, narobiła takiego piekła, jaże musieli się pozwlekać z barłogów. Wsiadła też

z miejsca na Witka, któren łaził zaspany, cochając się o węgły i drapiąc.

— Jak cię czem twardem zleję, to przeckniesz! Czemuś to, pokrako jedna, krów nie powiązał do żłobów! Chcesz, aby se w nocy kałduny popruły rogami?

Odszczeknął cosik, aż skoczyła do niego, szczęściem co nie czekał, więc, zajrzawszy do stajni, czepiła się do Pietrka.

— Konie dzwonią zębami o pusty żłób, a ty się wylegujesz do wschodu!

— Wydzieracie się, kiej sroka na deszcz. Cała wieś słyszy! — mruknął.

— A niech słyszy! Niech wiedzą, jakiś to wałkoń i próżniak! Czekaj, wróci gospodarz, to ci da radę, obaczysz! Jóźka — zakrzyczała znów w drugiej stronie podwórza —krasula ma twarde wymiona, ciągnij mocno, byś znowu pół mleka nie ostawiła! A śpiesz z udojem, na wsi już wyganiają krowy! Witek! bierz śniadanie i wypędzaj, a pogub mi owce, jak wczoraj, to się z tobą rozprawię! — rozrządzała, zwijając się sama, jak fryga; kurom podrzuciła przygarście ziarna, świniom, kwiczącym pod chałupą, wyniesła cebratkę z żarciem, cielęciu, odsadzonemu od matki, sporządziła picie, sypnęła kaszy gotowanej kaczętom i wygnała je na staw. Witek dostał pięścią za plecy i śniadanie do torby, nie przepomniała nawet bocka, stawiając mu w ganku żeleźniak z wczorajszemi ziemniakami, że przyczajał się, klekotał, a kuł w niego i wyjadał. Była wszędy, o wszystkiem pamiętała i na wszyćko miała sposobną radę.

Franciscan Fathers, Minor Conventuals

ELLICOTT CITY, MARYLAND

A skoro Witek pognał krowy i owce, zabrała się do Pietrka, nie mogąc ścierpieć, iż się wałęsa bez roboty.

— Wyrzuć gnój z obory! krowom w nocy gorąco, i tytłają się, kiej świnie.

Słońce właśnie co jeno wyjrzało z dalekości, ogarniając świat czerwonem, gorącem okiem, gdy zaczęły się schodzić komornice, robiące w odrobku za ziemię pod len i ziemniaki.

Zapędziła Józkę do obierania ziemniaków, dała piersi dziecku i, okrywszy się w zapaskę, rzekła:

— Miej ta baczenie na wszystko! A jakby Antek wrócił, daj znać na kapuśniki. Chodźta, kobiety, póki rosa a chłodniej, okopiemy nieco kapusty, a od śniadania wrócim do wczorajszej roboty.

Powiedła je poza młyn, na niskie łąki i mokradła siwe jeszcze od rosy i mgieł opadających. Torfiaste ziemie uginały się pod nogami, kiej rzemienne pasy, zaś gdzie niegdzie tak było grząsko, że musiały obchodzić; w brózdach głębokich, niby rowy, stały spleśniałe wody, pokryte zieloną rzęsą.

Na kapuśniskach nie było jeszcze nikogo, jeno czajki kołowały nad zagonami, a boćki chodziły kiwający, pilnie bobrując. Pachniało bagnem i surowizną tataraków a trzcin, co poobsiadały kępami stare, zapadłe doły torfowe.

— Piękny czas, ale widzi mi się, na spiekę idzie — ozwała się któraś.

— Dobrze, co wiater przechładza.

— Bo rano, barzej on suszy, niźli słońce.

— Dawno nie pamiętają tak suchego lata! — pogadywały, stając do roboty na wyniesionych zagonach kapusty.

— Jak to wyrosła, już się poniektóre skłębiają na główki.

— Żeby jeno nie objadły robaczyska. Susza, to mogą się jeszcze rzucić.

— A mogą. Na Woli obżarły już ze szczętem.

— W Modlicy zaś wyschła docna, musiały sadzić na nowo.

Poredzały, dziabiąc motyczkami ziemię i kopiasto obsypując grzędy, galancie wyrosłe, ale i sielnie zachwaszczone, mlecze bowiem szły w kolano, a kacze ziela i nawet osty puszczały się gęsto, kiej las.

— Czego człowiek nie sieje, ni potrzebuje, to się bujnie rodzi — zauważyła któraś, otrzepując ze ziemi jakiś chwast wyrwany.

— Jak każde złe! Grzechu ano nikt nie posiewa, a pełno go na świecie.

— Bo plenny! Moiściewy! póki grzechu, póty i człowieka. Przecie powiadają: bez grzechu nie byłoby śmiechu, albo to: kiejby nie grzech, toby człowiek dawno zdechł! Potrzebny musi być nacoś, jako i ten chwast, bo oba stworzył Pan Jezus! — prawiła po swojemu Jagustynka.

— Pan Jezusby ta stworzył złe! Juści! Człowiek to jak ta świnia, wszyćko musi swoim ryjem pomarać! — rzekła surowo Hanka, iż pomilkły.

Słońce już się było wyniesło galancie i mgły opadły do znaku, kiej dopiero ode wsi zaczęły nadchodzić kobiety.

— Robotnice! Czekają, aż im rosa przeschnie, żeby se nie zamoczyć kulasów — szydziła Hanka.

— Niekażdy tak łasy na robotę, jako wy!

— Bo niekażdy tak musi harować, niekażdy! — westchnęła ciężko.

— Wasz wróci, to se odpoczniecie.

— Już się do Częstochowskiej ochfiarowałam na Janielską, bych jeno powrócił. Wójt obiecował go na dzisia.

— Z urzędu wie, to musi być co i prawda. Ale, latoś sporo narodu wybiera się do Częstochowy. Organiścina pono idzie i powiada, co sam proboszcz poprowadzi kompanję!

— A któż mu to poniesie brzucho! — zaśmiała się Jagustynka. — Sam go nie udźwignie bez tylachny karwas drogi. Obiecuje, jak zawdy.

— Byłam już parę razy z kompanją, alebym co roku chodziła — westchnęła Filipka z za wody.

— Na próżniaczkę kużden łakomy.

— Jezu! — ciągnęła gorąco, nie bacząc na przycinki. — A dyć to człowiek jakby szedł do nieba, tak mu jest w tej drodze lekko i dobrze. A co się napatrzy świata, a co się nasłucha, co się namodli! Jeno parę niedziel, a widzi się człowiekowi, jakoby na całe roki zbył się bied a turbacyj. Jakby się potem na nowo narodził!

— Prawda, to łaska Boska tak krzepi! Juści — przytwierdzały niektóre.

Od wsi, ścieżką nad rzeką, między szuwarami a gęstą, młodą olszyną, przemykała się ku nim jakaś dziewczyna. Hanka przysłoniła oczy od słońca, ale nie mogła rozeznać, dopiero zbliska poznała Józkę, która leciała, jak jeno mogła, już zdala krzycząc i wytrząchając rękami:

— Hanuś! Antek wrócili! Hanuś!

Hanka prasnęła motyczką i porwała się, kiej ptak do lotu, ale się wmig opamiętała, opuściła podkasany wełniak i, chocia ją ponosiło, chocia serce się tłukło, że tchu brakowało i ledwie poredziła przemówić, rzekła spokojnie, jakby nigdy nic:

— Róbcie tu same, a na śniadanie przychodźta do chałupy.

Odeszła zwolna, bez pośpiechu, przepytując Józkę o wszystko.

Kobiety poglądały na się, docna strapione jej spokojnością.

— Jeno la oczów ludzkich taka spokojna. Żeby się nie prześmiewali, co jej pilno do chłopa. Jabym ta nie wytrzymała! — mówiła Jagustynka.

— Ani ja! By się jeno Antkowi nie zachciało nowych jamorów...

— Niema już na podorędziu Jagusi, to może mu się odechce.

— Moiście! Jak chłopu zapachnie kiecka, to za nią w cały świat gotów.

— Oj prawda, bydlę się nie tak łacno narowi do szkody, jak chłop niektóry...

Plotły, ledwie się już ruchając przy robocie, a Hanka szła wciąż jednako i jakby z rozmysłu pogadując z napotkanymi, chocia i nie wiedziała, co mówi, ni co odpowiadają, bo w głowie miała to jedno, że Antek wrócił i na nią czeka.

— I z Rochem przyszedł? –pytała jedno wkółko.

— A z Rochem! Dyć już wam mówiłam!

— A jaki, co? Jaki?

- Wiem to, jaki? Przyszedł i zaraz z progu pyta: kaj Hanka? Powiedziałam i zarno w te pędy po was, no i tyla!

— Pytał o mnie! Niech ci Pan Jezus... Niech ci... — zaniesła się radością.

Dojrzała go już zdaleka, siedział z Rochem w ganku, a uwidziawszy ją, wyszedł naprzeciw, w opłotki.

Szła ku niemu coraz wolniej i coraz ciężej, chytając się po drodze płota, gdyż nogi się pod nią gięły, brakowało tchu, dusiły łzy, i w głowie miała taki mąt, co ledwie zdoliła wyjąkać:

- Tyżeś to! Tyżeś!—łzy zalały resztę słów, nabranych radością.

— A ja, Hanuś! Ja! — przygarnął ją mocno do piersi, a przytulał z dobrością i z całego serca. Cisnęła się też do niego zgoła już bez pamięci, a jeno te szczęsne łzy spływały ciurkiem po twarzy zbladłej i wargi się trzęsły, dawała mu się w ramiona wszystka, kiej to utęsknione dzieciątko.

Długo nie poredziła przemówić, ale cóż to mogła rzec i jak wypowiedzieć, co się w niej działo! Dyć byłaby klękała przed nim, dyć byłaby prochy zmiatała, więc jeno niekiedy rwało się jej z piersi jakieś słowo, padając, kiej to ważne ziarno i kiej ten kwiat, pachnący weselem i oroszony krwią serdeczną, a oczy wierne i oddane, oczy pełne bezgranicznego miłowania kładły mu się pod stopy, kiej psy, zdając się na wolę jego i na jego łaskę.

— Zmizerowałaś się, Hanuś! — szepnął, gładząc ją pieściwie po twarzy.

— Jakże... tylam przeniesła, tylam się wyczekała...

— Zapracowała się kobieta — ozwał się Rocho.

— To i wy jesteście! Całkiem o was przepomniałam! — jęła go witać i całować po rękach, on zaś rzekł żartobliwie:

— Nie dziwota. Obiecałem go wam przywieść, to go sobie macie...

— A mam! Mam! — zawołała, stając w nagłym podziwie przed Antkiem, wybielał bowiem, wydelikatniał i taki się widział urodny, mocarny, pański, jakby zgoła kto drugi, pojąć tego nie mogła.

— Przemieniłem się to, co tak po mnie ślepiasz?

— Niby nie, ale całkiem jesteś jakiś zgoła inakszy.

— Poczekaj, pójdę w pole do roboty, to zarno będę, jak przódzi.

Skoczyła naraz do izby po najmłodsze dziecko.

— Jeszcze go nie widziałeś! — wołała, wynosząc rozkrzyczanego chłopaka — popatrz jeno, podobny do cię, jak dwie krople.

— Sielny parob! — zawinął go w róg kapoty i pohuśtywał.

— Rocho mu na imię! Pietras, a chodźże i ty do ojca — podsadziła starszego, że jął się gramolić na ojcowe kolana, bełkocąc cosik. Antek objął obydwóch z dziwną czułością.

— Robaki kochane, kruszyny najmilsze! Jakto już Pietras wyrósł, no, i po swojemu coś rajcuje.

— Przecie, a taki sprzeciwny, a taki zmyślny, dorwie się jeno bata, to zara trzaska i gęsi wygania — przykucnęła przy nich. — Pietras, powiedz: tata! powiedz.

Juści, co zamamrotał i nawet jeszcze więcej cosik gwarzył po swojemu, ciągając ojca za włosy.

— Józka, czemu się to na mnie boczysz? — Chodźże — zauważył.

— A bo to śmię — pisknęła wstydliwie.

— Chodźże, głupia, chodź! — przygarnął ją tkliwie, po bratersku. — Tera już me we wszyćkiem słuchaj, kiej ojca. Nie bój się, srogi la ciebie nie będę i krzywdy ode mnie nie zaznasz.

Rozpłakała się dziewczynina żalnie, wypominając ojca i brata.

— Jak mi wójt pedział o jego śmierci, to jakby me kto kłonicą zdzielił, jaże me zamroczyło. Taki parob kochany, taki brat najmilejszy. I ktoby się to spodział. Jużem sobie układał w głowie, jak się to grontem podzielim, nawet już o kobiecie la niego myślałem — wyrzekał cicho, z głęboką boleścią, jaże Rocho, aby odwrócić smutne myśle od wszystkich, zawołał, podnosząc się z miejsca:

— Dobrze wam gadać, a mnie już kiszki marsza grają.

— Laboga, docna przepomniałam. Jóźka, łap no te żółte kogutki. Cipuchny! cip, cip, cip! A może jajków przódzi, co? A może chleba? świeży i masło wczorajsze! Urżnij łby i sparz wrzątkiem! Wnet je wam sprawię. To gapa ze mnie, żeby zabaczyć!

— Ostaw, Hanuś, kogutki na potem, a sporządź cosik po naszemu. Tak mi się już przejadło to miesckie jedzenie, co ochotnie siędę przed miską ziemniaków z barszczem — śmiał się wesoło. — Jeno la Rocha zgotuj co inszego.

— Bóg zapłać. Właśnie na to samo mam smaki!

Hanka rzuciła się szykować, ale że ziemniaki już parkotały w garnku, to jeno wyniesła z komory kiełbasę do barszczu.

— La ciebiem ostawiła, Jantoś. To z tej maciory, coś to ją kazał zaszlachtować przed Wielkanocą.

— No, no, niezgorsze pęto, ale da Bóg, że je zmożemy. Hale, Rochu, a kajże to nasze gościńce?

Stary podsunął spory tobół, z którego Antek jął wyjmować różności, a podawać każdej zosobna.

— Naści, Hanuś, to la ciebie, jak ci kaj droga wypadnie — podał jej wełnianą chustkę, takusieńką, jaką miała organiścina, całkiem czarna i w czerwone i zielone kraty.

— La mnie. Żeś to pamiętał, Jantoś — jęknęła z niezgłębioną wdzięcznością.

— Ba, żeby nie Rocho, tobym był zabaczył, ale przypomnieli i poszlim razem wybierać i kupować.

A sporo nakupił, gdyż dodał żonie jeszcze trzewiki i chusteczkę na głowę jedwabną, modrą w żółte kwiatuszki. Jóźce dał taką samą, jeno co zieloną, oraz fryzkę i parę sznurków paciorków z długachną wstęgą do zawiązywania, zaś la dzieci przywiózł pierników i organki, nawet miał la kowalowej, bo cosik odłożył obwiniętego w papier, a nie zapomniał Witka, ni też o parobku.

Jaże krzyknęły z podziwu na coraz nowe cudności, oglądając je i przymierzając z taką radością, że Hance łzy kapały po zrumienionej twarzy, a Jóźka za głowę chytała się w podziwie.

Rocho się uśmiechał, zacierając ręce, Antek zaś jeno pogwizdywał.

— Zarobiliśta sobie na gościniec. Rocho powiadał, jak to wszyćko szło składnie w gospodarce. Dajcie no spokój, nie la dziękowań przywiezłem, — wołał, broniąc się, bo rzuciły się go ściskać i całować.

— Ani mi się kiej śniły takie cudności—szepnęła łzawo Hanka, siadając przymierzać trzewiki. — Ciasne ździebko, nogi mi nabrzmiały od bosaka, ale na zimę będą w sam raz.

Rocho jął się rozpytywać o wieś i różne sprawy, opowiadała jeno piąte przez dziesiąte, krzątając się tak pilnie kole jadła, że pokrótce zastawiła przed nimi ziemniaków szczodrze omaszczonych tęgą michę i nie mniejszą barszczu, w którym, kieby koło, pływała kiełbasa.

Skwapnie się przypięli do śniadania.

— To mi dopiero jadło — pokrzykiwał wesoło — kiełbasa galancie czujna. Po tem to człowiek poczuje jakąś wagę w żywocie. A to me paśli w tem kreminale, żeby ich wciorności.

— Dopieroś to się, chudziaku, namorzył głodem.

— Jakże, toć wkońcu już nic jeść nie mogłem.

— Powiadali chłopy, jak tam żywią, że pono pies jeno z głodu chyciłby się takiego jadła, prawda to?

— Juści co prawda, ale najgorsze, że trza było siedzieć zawarty. Póki było zimno, to jeszcze, ale skoro dogrzało słońce i zaleciało mi ziemią, to myślałem, co się już wścieknę. Pachniała mi wola lepiej, niźli ta kiełbasa. Jużem kraty próbował rwać, jeno co przeszkodziły.

— Prawda, co tam biją? — spytała lękliwie.

— A biją! Są tam bowiem i takie zbóje, które już z czystej sprawiedliwości powinny co dnia brać kije. Mnie się ta nie ważono tknąć ni palcem. Niechby jucha spróbował który, dałbym mu tabaki, no!

— Juści, ktoby cię ta przemógł, mocarzu, kto?— przyświarczała radośnie, wpatrzona w niego i czuwająca na najlżejsze skinienie.

Rychło się jednak uwinęli z jadłem i zaraz poszli spać do stodoły, kaj już naniesła im Hanka do sąsieka pierzyn i poduszek.

— Bójcie się Boga, toć stopimy się na skwarki— zaśmiał się Rocho.

Już nie odrzekła, ale, zawarłszy za nimi wrota, wtedy dopiero całkiem osłabła i uciekła na ogród do pielenia pietruszki. Rozglądała się chwilę dokoła i buch-

nęła płaczem. Płakała z radości, płakała, że słońce przygrzewało ją w plecy, że zielone drzewa chwiały się nad głową, że ptaki śpiewały, że pachniało wszystko i kwitnęło i że jej było tak dobrze, tak cicho i tak błogo na duszy, jakby po tej świętej spowiedzi, abo i jeszcze lepiej.

— Żeś to wszystko sprawił, mój Jezu! — jęknęła, podnosząc łzawe oczy ku niebu, w najczystszej, zgoła niewypowiedzianej podzięce za tyle dobra, jakie ją spotkało.

— I że się to już przemieniło! — wzdychała zdumiona, szczęsna, prawie wniebowzięta, że już cały czas, dopóki spali, chodziła ledwie przytomna ze szczęścia. Czuwała nad nimi, kiej kokosz nad pisklętami. Wyniesła dzieci daleko w sad, by czasem nie zakrzyczały. Przepędziła z podwórza wszelką gadzinę, nie bacząc nawet, że świnie pyskają wczesne ziemniaki, a kury rozgrzebują wschodzące ogórki. Już o całym świecie przepomniała, cięgiem zazierając do śpiących.

A dzień tak się przykro dłużył, co już nie mogła sobie poredzić. Przeszło bowiem śniadanie, przeszedł obiad, a oni wciąż spali. Porozpędzała wszystkich do roboty, ani dbając, co się tam bez niej wyrabia, stróżując jeno, a cięgiem drepcąc od stodoły do chałupy.

Sto razy wyjmowała gościniec przymierzać, oglądać i wołać.

— A kaj to drugi taki dobry i pamiętliwy, kaj?

Aż wkońcu poleciała na wieś, do kobiet, a kogo jeno dostrzegła, to mu już zdala krzyczała:

— Wiecie, a to mój powrócił. Śpi se tera w stodole.

I śmiały się jej oczy i twarz i tak wszystka tchnęła rozradowaniem i weselem, jaże kobiety się dziwowały.

— Urzekł ją ten wisielec, czy co? Docna zgłupiała.

— Zarno się ona pocznie wynosić a nos zadzierać, obaczycie!

— Niech jeno Antek wróci do dawnego, to jej rura zmięknie — poredzały.

Juści, co nie słyszała tych pogadek, ale, przyleciawszy do chałupy, wzięła się na ostro do sporządzania sutego obiadu, lecz, dosłyszawszy gęsi, krzyczące na stawie, wypadła je przyciszać kamieniami, że ledwie z tego kłótnia nie wyszła z młynarzową.

Właśnie co ino była podwieczorek posłała ludziom na pole, gdy chłopy przyszły ze stodoły. Narządziła im obiad pod domem w cieniu i na chłodzie, podając nawet gorzałkę i piwo, zaś na dojadkę postawiła z pół sitka dobrze źrałych wisien, które była przyniesła od księżej gospodyni.

— Obiad suty, jakby na weselu — żartował Rocho.

— Gospodarz wrócił, małe to jeszcze wesele? — odparła, zwijając się kole nich i mało wiele sama pojedając.

Po skończeniu Rocho zaraz poszedł na wieś, obiecując się na wieczór, zaś ona spytała nieśmiało męża:

— Chcesz to obejrzeć gospodarkę?

— A dobrze! Święto się już skończyło, trza się będzie brać do roboty! Mój Boże, anim się spodział, co mi tak rychło przyjdzie ojcowizna!

Westchnął i poszedł za nią; powiodła go najpierwej do stajni, kaj parskały trzy konie, a w zagrodzie kręcił się źrebak; potem do pustej obory, zaś jeszcze potem do stodoły, do tegorocznego siana; zaglądał nawet do chlewów i pod szopę, gdzie stały różne narzędzia i porządki.

— Bryczkę trza będzie przetoczyć na klepisko, bo się docna rozeschnie.

— A bo to raz przykazywałam Pietrkowi? Cóż, kiej me nie słuchał.

Zaczęła zwoływać prosięta i drób, sielnie się przechwalając dużym przychowkiem, a kiej i to obejrzał, rozpowiedała szeroko o polnych robotach, gdzie co posiane i wiela każdego zosobna, pilnie przytem naglądając mu w oczy i wyczekująco, ale on sobie wszyćko poukładał w głowie po porządku, przepytując jeno o to i owo, a dopiero wkońcu rzekł:

- Jaże uwierzyć trudno, żeś to wszystkiemu sama uredziła!

— La ciebie tobym i więcej zmogła — szepnęła gorąco, strasznie rada z pochwały.

— Chwat z ciebie, Hanuś, chwat! anim się spodział, coś taka.

— Było potrza, to juści co człowiek kulasów nie pożałował.

Obejrzał nawet sad, pełen wiśni już przez pół czerwonych, i grzędy, kaj rosły cebule, pietruszka i kapuściane wysadki.

Wracali już zpowrotem, gdy, przechodząc kole ojcowej strony, zajrzał do środka przez wywarte okno.

— A kajże to Jagna? — latał zdumionemi oczami po pustej izbie.

— A kaj! u matki! Wygnałam ją! — rzekła twardo, podnosząc na niego oczy.

Ściągnął brwie, przedeliberował czas jakiś i, zapalając papierosa, rzucił spokojnie, jakby odniechcenia:

— Dominikowa zły pies, nie przepuści nam bez precesu.

— Już pono wczoraj latały ze skargą do sądu.

— Od skargi do wyroku droga szeroka. Ale trza to będzie wziąć dobrze na rozum, by nam nie wystroiła jakiego figla.

Opowiadała, z czego to wszystko poszło i jak się stało, wiele juści pomijając, nie przerywał, ni pytał, brwie jeno marszcząc i łyskając oczami; dopiero, kiej mu zapis podała, ośmiał się kąśliwie:

— Tyle wart, co możesz z nim bieżyć za ścianę.

— A juści, przecie to ten sam, co go jej dali ociec.

— I stoi właśnie złamany patyk! Jakby się odpisała u rejenta, toby co znaczyło. La śmiechu go rzuciła!

Cisnął ramionami, zabrał Pietrusia na ręce i ruszył do przełazu.

— Obaczę pola i wrócę! — rzucił za siebie, iż ostała, chociaż dziwnie pragnęła z nim poleźć, on zaś, mijając bróg, już odnowiony i pełen siana, przyglądał mu się z pod oka.

— Mateusz go wyporządził. Samej słomy na dach wykręcili ze trzy kopy—wołała za nim, stojąc na przełazie.

— A dobrze, dobrze mruknął, nie był ta ciekaw bele czego. Przeszedł ziemniakami i puścił się miedzą.

Latoś na polach z tej strony wsi były prawie same oziminy, i bez to niewiela ludzi spotykał po drodze, a z kim się zeszedł, tego witał krótko i prędko przechodził. Zwalniał jednak coraz bardziej, gdyż Pietruś mu ciążył i jakoś dziwnie rozbierało go nagrzane, ciche powietrze. Przystawał, to siadał, nie przestając oglądać prawie każdego zagona zosobna.

— Ho, ho! żółtocha dusi len! — wykrzyknął, stając przy zagonach, niebieskich od kwiatów, ale gęsto poprzerabianych żółciznami — kupiła siemię zapaskudzone i nie przewiała!

Wstrzymał się potem przy jęczmieniu, który był mizerny i już przypalony, a ledwo widny z pod ostów, rumianków i szczawiów.

— Na mokro siali! Spyskał rolę, kiej świnia! A żeby cię, jucho, pokręciło za taką uprawę! A jak to ścierwo zbronował! sam perz i kotyry!

Splunął rozeźlony i wszedł na ogromny łan żyta, co, niby wody, spławione we słońcu, kolebał mu się do nóg, bijąc chrzęstliwemi, ciężkiemi kłosami. Rozradował się głęboko, gdyż było pięknie wyrośnięte, słomę miało grubą i kłosy, niby baty.

— Kiej bór idzie! Ojcowego to jeszcze siania! We dworze nielepsze!—wykruszył kłos, ziarno było dorodne i pełne, ale jeszcze miękkie — za dwa tygodnie czas mu będzie pod kosę! Byle jeno grady nie zbiły.

Ale nad pszenicą najdłużej się cieszył i napasał oczy, bo, chociaż szła nierówno, kłębami a zatokami,

lecz z czarniawych, lśniących piór już się łuskały gęste i wielkie kłosy.

— Sypnie niezgorzej. Trzeba jeszcze miejscami przysiec, za bujna. Na górce, a nic ją nie przypaliło! Czyste złoto idzie!

Był coraz dalej, wspinając się zwolna pod łagodne wzgórze, na którem wyrastała czarna ściana boru. Wieś ostała za nim, jakby na samem dnie, pławiła się w sadach, a przez przerwy między chałupami polśniewał staw lub jakieś okno zagrało w słońcu.

Kajś pod smętarzem cięli koniczynę i kosy migotały nad ziemią, niby te sine błyskawice, gdzie znów czerwieniały kobiece przyodziewy, i stada białych gęsi pasły się na wąskich ugorach, a za wsią, w zielonych polach ziemniaków ruchali się ludzie, kiej mrówki, zaś jeszcze wyżej, w nieprzejrzanych dalekościach majaczyły jakieś wsie, domy samotne, drzewa pogarbione nad drogami, wielgachne pola i widziały się jakoby potopione w modrawej i wrzącej wodzie.

Głęboka cichość szła górą nad ziemiami, rozpalone powietrze jaże ślepiło migotem, ziejąc takim skwarem, że skroś tych białawych, roztrzęsionych płomi jeno niekiej przeleciał bociek, ważąc się ciężko na omdlałych skrzydłach, i zaziajane wrony przefrunęły.

Skowronki śpiewały kajś niedojrzane, niebo wisiało wysokie, rozpalone i czyste, że tylko gdzie niegdzie warowała na tych niebieskich polach jakaś biała chmurka, kieby ta owca zbłąkana.

Zaś po ziemiach baraszkował suchy i gorący wiater, przewalając się, jak pijany, czasem podrywał się

z prześwistem, jaże płoszyły się ptaki, albo gdziesik przyczajony buchał znagła we zboża i skłębiał je, mącił, wzburzał do dna i przepadał znowu niewiada kaj, a rozkolebane zagony długo jeszcze gędziły i cichuśko, jakby się skarżąc na wisusa.

Antek przystanął pod lasem, na ugorze i znowu się ozgniewał.

— Jeszcze nie podorany! Konie stoją przez roboty, gnój spala się na kupie, a ten ani się zatroszczy! Ażeby cię! - zaklął, ruszając pod borem ku krzyżowi na topolowej drodze.

Zmęczony się czuł, w głowie mu szumiało i kurz zapierał gardziel, przysiadł pod krzyżem w cieniu brzózek, ułożył na kapocie śpiącego Pietrusia i, obcierając rzęsisty pot, zapatrzył się we świat i zamedytował.

Słońce skłoniło się nad bory, i pierwsze lękliwe cienie wyłoniły się z pod drzew, czołgając się ku zbożom. Bór cosik gwarzył zcicha czubami, płonącemi w słońcu, a gęste podszycia leszczyn i osik trzęsły się, jakby w zimnicy. Dzięcioły kuły zawzięcie i kajś daleko skrzeczały sroki. Czasem, między omszałemi dębami zamigotała żołna, jakby kto cisnął kłębkiem zwiniętej tęczy.

Chłód zawiewał z omroczonych, cichych głębin, tylko kajś niekaj podartych słonecznemi pazurami.

Zalatywało grzybami, żywicą i rozprażonym bajorem.

Naraz jastrząb wyprysnął nad las, zatoczył krzyżem nad polami, ważył się chwilę i spadł, kiej piorun, we zboża...

Antek porwał się bronić, ale już było za późno, posypała się kurzawa piór, zbój uciekł, jękliwie zakrzyczały kuropatki, a jakiś zajączek zestrachany gnał naoślep, jeno mu bielało podogonie.

— Jak se to wypatrzył! Rabuś jucha! — szepnął, siadając zpowrotem — cóż, kiej i jastrząb musi się pożywić, i choćby ta glista najmarniejsza. Takie już urządzenie na świecie!—medytował, okrywając Pietrusiową gębusię, gdyż pszczoły brzęczały nad nią zawzięcie, a jakiś kosmaty trzmiel buczał nieustannie.

Spomniał sobie, jak to jeszcze niedawno wydzierał się na wolę, do tych pól, jak mu to dusza dziw nie uschła z tęsknicy!

— Wymęczyły me, ścierwy! — zaklął, nie ruchając się już z miejsca, bo tuż przed nim, z żyta wyściubiały lękliwe głowy przepiórki, nawołując się po swojemu, ale wmig się pokryły, gdyż cała banda wróblego narodu spadła na brzozy, stoczyła się w piach, jazgocząc zapamiętale, tłukąc się a bijąc i swarząc, aż ścichły nagle, przywierając do miejsc, jastrząb znowuj zakołował i tak nisko, jaże cień leciał po zagonach.

— Dał wam radę, pyskacze! Akuratnie bywa takusieńko z ludźmi! Więcej zrobi z niejednym pogrozą, niźli skamlaniem—rozważał.

Pliszki się pokazały pobok, na drodze, trzęsły ogonami, szwendając się tak zbliska, iż, skoro poruszył ręką, odleciały za rów.

— Głupie! Mało co, a byłbym którą chycił la Pietrusia!

Wrony wylazły z lasu, maszerowały koleinami, wydziobując, co się dało, ale, poczuwszy człowieka, jęły ostrożnie, z przekrzywionemi łbami zazierać w niego i obchodzić, podskakując coraz bliżej, a stopercząc obmierzłe, zbójeckie dzioby.

— Nie pożywita się mną — rzucił grudkę, uciekły cicho, jak złodzieje.

Zaś potem, że siedział jakby w odrętwieniu, zapatrzony we świat i całą duszą zasłuchany w jego głosy, to wszelaki stwór jął zuchwale ciągnąć na niego; mrówki łaziły mu po plecach, motyle raz po raz przysiadały we włosach, boże krówki szukały czegoś po twarzy, a zielone, spasłe liszki pięły się skwapnie na buty, to leśne ptaszki cosik mu zaświergoliły nad głową, i wiewiórka, przewijając się od boru, zadarła rudy ogon, ważąc się przez mgnienie, czyby nie chycnąć na niego, ale on ani już o czem wiedział, grążył się bowiem w czemściś, co buchało z tych ziem nieobjętych, sycąc mu duszę upojną i zgoła niewypowiedzianą słodkością.

Zdało mu się, jakoby z tym wiatrem przewalał się po zbożach; jakby polśniewał mięciuśką, wilgotną runią traw; jakby toczył się strumieniem po wygrzanych piachach skroś łąk, przejętych zapachem sianokosów; to jakby z ptakami leciał kajś wysoko, górnie nad światem i krzykał z mocą niepojętą do słońca; to znowu jakby się stawał szumem pól, kolebaniem się borów, siłą i pędem wszelakiego rostu i wszystką potęgą tej ziemi świętej, rodzącej w śpiewaniach i weselu. I sobą się wiedział, wszyćkiem się wiedząc za-

razem, bo i tem, co się obaczy i poczuje, czego się dotknie i co się wyrozumie, ale i tem, czego niesposób nawet pomiarkować, a co jeno poniektóra dusza w godzinę śmierci przejrzy i co się w człowiekowem sercu tylko kłębi, wzbiera i ponosi ją w jakąś niewiadomą stronę i łzy słodkie wyciska i nieukojną tęsknicą, kieby kamieniem, przywala.

Szło to przez niego, niby chmura, że, nim co pojął, już inne następowały, już nowe i barzej jeszcze niepojęte.

Był na jawie, a śpik sypał mu w oczy makiem i wodził kajś ponad dole i stronami zachwyceń prowadził, że już wkońcu poczuł się niby w czas podniesienia, kiej dusza gdziesik się wzniesie i płynie klęczący na jakieś janielskie ogrody, na jakieś nieba i raje pełne szczęśliwości.

Kwardy był przeciek i do tkliwości nieskory, ale w tych dziwnych minutach gotów był paść na ziem, przywrzeć do niej gorącemi ustami i obejmować cały ten świat kochany.

— Nic, jeno me tak powietrze rozbiera! — bronił się, trąc oczy kułakiem i srożąc brwie, ale bo to poredził się przemóc, bo to mógł zdusić w sobie kuntentność, która go przepalała?

Na ziemi się bowiem znowu poczuł, na ojcowej i praojcowej grudzi, między swoimi, to i nie dziwota, co radowała mu [się dusza, i każde bicie serca zdało się wołać na świat cały mocno i radośnie:

— Dyć znowu jestem! Jestem i ostanę!

Prężył się w sobie, gotów dźwignąć się na to nowe życie, którem już szedł ociec, jakiem przeszły dziady i pradziady i, tak samo jak oni, pochylał bary, by wziąć ciężki trud i ponieść go nieulękle i niestrudzenie, aż póki Pietruś nie zastąpi go zkolei...

— Tak już być musi! Młody po starym, syn po ojcu, a posobnie, a cięgiem, dopóki Twoja wola, Jezu miłosierny — dumał surowo.

Wsparł głowę na rękach i pochylał nisko ociężałą głowę, gdyż nawiedziły go całą ciżbą przeróżne myśle i spominania, zaś jakiś głos kwardy i karcący, jak gdyby głos sumienia, jął mu prawić swoje gorzkie i bolesne prawdy, przygiął się przed nim i ukorzył, wyznając się ze wszystkich przewin i grzechów...

Ciężką mu była ta spowiedź i zgoła niełacnem pokajanie, ale przemógł hardość, zdusił w sobie ambit i pychę, patrząc w całe swoje życie nieubłaganemi oczami opamiętania; każdą sprawę swoją przezierał tera do dna, bierąc ją na rozum i na srogi sąd.

— Głupi byłem i tyla! Na świecie musi iść swoim porządkiem! Juści, mądrze powiedzieli ociec: jak wszystkie jadą w jedną stronę, źle takiemu, któren z woza spadnie, pod koła zleci! Koni na piechotę się nie zgoni! Że to kużden człowiek musi wszyćko dochodzić swoim rozumem! Drogo niejednemu wychodzi! — myślał smutnie i cierpki prześmiech okolił mu wargi.

Z boru zaczęły klekotać kołatki, a porykiwania ciągnących stad.

Podniósł Pietrusia i ruszył bokiem topolowej, przepuszczając stada, idące z leśnych pastwisk.

Kurz się wznosił z pod kopyt i bił ponad topole, kiej chmura, w zaczerwienionych od zachodu tumanach chwiały się rogate, ciężkie łby i raz po raz skłębiały się owce, obganiane przez pieski, gdyż ciągiem się rwały w przydrożne zboża, pokwikiwały świnie, prażone batami, cielaki z bekiem szukały pogubionych matek; paru pastuchów jechało na koniach, a reszta szła ze stadami, trzaskając z batów, gwarząc a pokrzykując; któryś zawodził, jaże się rozlegało.

Antek ostawał już za wszystkimi, kiej go dojrzał Witek i przyleciał całować w rękę na powitanie.

— Niezgorzej, widzę, podrosłeś! — ozwał się łaskawie do chłopca.

— Prawda, bo już te portki, com dostał jesienią, są mi po kolana.

— Nie bój się, da ci nowe gospodyni, da! Mają to krowy co jeść?

— Bogać ta mają, docna już trawę wypaliło, żeby im gospodyni nie podtykała w oborze, toby całkiem zgubiły mleko. Dajcie mi Pietrusia przewieźć go ździebko na koniu — prosił.

— Hale, jeszcze się nie utrzyma i zleci!

— A mało go to już woziłem na źróbce! Przecie trzymał go będę, chłopak jaże piszczy do konia. — Zabrał go i usadził na jakiejś starej szkapie, wlekącej się ze łbem opuszczonym, Pietruś chycił się rączynami grzywy, zabił gołemi piętami końskie boki, a krzykał radośnie,

Jaki to chwat! parobek mój kochany! — szepnął Antek, skręcił zaraz w pole i miedzami dobierał się drogi, biegnącej za stodołami.

Słońce tylko co zaszło, i całe niebo stanęło we złocie i bledziuśkich zieleniach, wiater ustał, zboża zwiesiły ociężałe kłosy, a po rosach leciały wsiowe wrzawy i jakieś dalekie przyśpiewki.

Szedł zwolna, jakby ociężony spominkami, gdyż Jagusia przychodziła mu na pamięć, raz po raz widział przed sobą jej modre oczy i lśniące zęby i te czerwone, nabrane wargi, tchnące tak jakoś zbliska, jaże się wzdrygał i przystawał. Jak żywa mu stawała, przecierał oczy, odganiając ją z pamięci, ale kieby naprzekór szła pobok, biedro w biedro, jak niegdyś, i, jak niegdyś, zdało się od niej buchać lubym żarem, aże krew uderzała mu do głowy.

— A może i dobrze, co ją wypędziła z chałupy! Kiej ta zadra mi uwięzła, kiej ta boląca zadra. Ale co było, to i nie wróci — westchnął z dziwnie ściśniętem sercem. — Niesposób. — I, prostując się, rzucił ostro sam sobie:

— Skończyło się psie wesele! — wszedł już w obejście.

W podwórzu gwarno było i ludnie, krzątali się kole wieczornych obrządków, Jóźka krowy doiła pod oborą, wydzierając się piskliwą nutą, zaś Hanka kluski zagniatała na ganku.

Antek przerzekł cosik do Pietrka, pojącego konie, i wszedł oglądać ojcową stronę; przyleciała za nim Hanka,

— Trza będzie wyporządzić i przeniesiemy się tutaj. Jest to wapno?

— Kupiłam jeszcze w jarmarek, zaraz jutro zawołam Stacha, to wybieli. Juści co na tej stronie będzie nam sposobniej.

Medytował cosik, obchodząc wszystkie kąty.

— Byłeś w polu?—spytała nieśmiało.

— Byłem, wszyćko dobrze, Hanuś, że i sambym lepiej nie zarządził.

Pokraśniała strasznie, rada pochwale.

— Jeno Pietrkowi świnie pasać, a nie robić w groncie! Paparuch!

— Abo to nie wiem! Jużem się nawet przewiadywała o nowego parobka.

— Wezmę ja go w garście, a nie posłucha, to wygonię na cztery wiatry!

Chciała jeszcze coś pedzieć, ale dzieci zakrzyczały, i poleciała do nich, zaś Antek ruszył w podwórze, przepatrując wszystko bacznie, a tak surowo, że, choć tylko niekiedy rzucił jakie słowo, a Pietrkowi jaże skóra cierpła, i Witek, bojąc mu się nawijać na oczy przemykał się jeno zdala, stronami...

Jóźka doiła już trzecią krowę, śpiewając coraz rozgłośniej:

„Stój, siwulo, stój!
Skopkę mleka dój".

— A to się drzesz, jakby cię kto ze skóry obłupiał!—krzyknął na nią.

Urwała znagła, ale że była harda i nieustępliwa, to zaśpiewała dalej, jeno co już ciszej i jakby lękliwiej:

„Kazała cię matka prosić,
Żebyś mleka dała dosyć,
Stój, siwulo, stój!"

— Zawarłabyś ano gębę, gospodarz w chałupie! — skarciła ją Hanka, dźwigając picie la ostatniej krowy — zaraz tu będzie posłuch — dodała.

Odebrał jej cebratkę i, stawiając ją krowie, powiedział ze śmiechem:

— Drzyj się, Józia, drzyj, a to szczury prędzej uciekną z chałupy...

— A zrobię, co mi się spodoba! — warknęła harno i zaczepnie, ale, skoro odeszli, przycichła zaraz, bocząc się jeno na brata i pyrchając nosem.

Hanka zwijała się teraz kole świń, tak skwapnie dygując ciężkie cebrzyki z żarciem, jaże jej pożałował, bo rzekł:

— Niech chłopaki zaniesą, za ciężko, widzę, na ciebie! Poczekaj, zgodzę ci dziewkę, bo Jagustynka tyla ci pomaga, co ten pies napłacze. Kajże to ona dzisia?

— Do dzieci poleciała, na zgodę idzie z niemi! Dziewka juści coby się zdała, jeno co tylachny koszt. Poredziłabym sama, ale, jak każesz... twoja wola... — dziw, że go w rękę nie pocałowała z wdzięczności, ale jeno dorzuciła radośnie: — I gąsków możnaby więcej przychować, a i drugiego karmika mieć na przedanie!

— Na gospodarce siedlim, to i po gospodarsku trza nam poczynać, jak to przódzi bywało, za ojców! — powiedział po długiem deliberowaniu.

A po kolacji wyniósł się pod chałupę, gdyż zaczęli się schodzić znajomkowie a przyjacioły, witając i ciesząc się jego powrotem.

Przyszedł Mateusz z Grzelą, wójtowym bratem, przyszedł Stacho Płoszka, Kłąb ze synem, stryjeczny Adam i drugie.

— Wyglądalim cię, jak kania deszczu! — rzekł Grzela!

— A cóż, trzymały me i trzymały, kiej wilki! Ani sposób było się wydrzeć!

Zasiedli na przyźbie, w cieniu, jeden Rocho siedział pod oknem we świetle, lejącem się szeroką smugą aż w sad.

Wieczór był cichy, nagrzany i sielnie rozgwiaździony, skroś drzew błyskały światełka chałup, staw mruczał niekiedy, jakby wzdychając, a wszędy pod ścianami przechładzali się ludzie.

Antek rozpytywał się o różnoście, gdy Rocho mu przerwał:

— Wiecie, naczelnik zapowiedział, że za dwa tygodnie mają się zebrać Lipce i uchwalić na szkołę!

— Co nam do tego, niech se ojcowie radzą! — wyrwał się Płoszka, ale Grzela wsiadł na niego:

— Łacno zwalać na ojców, a samemu wylegiwać się do góry pępem! Bez to, co żadnemu z młodych nie chce się głowy niczem poturbować, to się tak dobrze we wsi dzieje.

— Odpiszą mi gront, to się kłopotał będę.

Zaczęli się o to mocno sprzeczać, aż wtrącił się Antek:

— Niema co, szkoła w Lipcach potrzebna, jeno na taką naczelnikową nie powinno się uchwalać ani grosika.

Poparł go Rocho, strasząc ich a podmawiając do oporu.

— Uchwalicie po złotówce, a potem każą wam dać po rublu... A jak to było z uchwałą na dom la sądu, co? Dobrze się podpaśli za wasze pieniądze. Niezgorsze kałduny im porosły!

— Już ja w tem, aby gromada nie uchwaliła — szepnął Grzela, przysiadając się do Rocha, któren go wzion na stronę i, dając jakoweś pisma i książeczki, cosik zcicha i ważnie nauczał.

Tamci zaś pogadywali jeszcze o tem i owem, jeno co jakoś ospale i bez wielkiej chęci, nawet Mateusz był dzisia smutny, mało się odzywał, a tylko bacznie chodził oczami za Antkiem.

Mieli się już rozchodzić, boć trza było wraz ze dniem dźwignąć się do roboty, kiej przyleciał kowal, skarżąc, że dopiero przyjechał ze dwora, i klął na wieś i na wszystkich.

— Co to was znowu ukąsiło? — spytała Hanka, wyzierając oknem.

— A co? wstyd powiedzieć, ale trąby są nasze chłopy i tyla! Dziedzic z nimi, jak z ludźmi, jak z gospodarzami, a te, kiej pastuchy od gęsi! Już się ugodzili z dziedzicem, już wszyscy byli za jednem, a kiej

przyszło się podpisywać, to jeden drapie się po łbie i mruczy: — a ja wiem! — drugi powiada: — baby się jeszcze poredzę — zaś trzeci zaczyna skamłać, aby mu jeszcze dołożyć tę przyległą łączkę. I zrób co z takimi. Dziedzic tak się zagniewał, że ani już chce słuchać o zgodzie, a nawet przykazał nie dopuszczać lipeckiego bydła na leśne paśniki, a kto wpędzi, fantować.

Strwożyli się tą niespodzianą nowiną, klnąc winnych, a swarząc się między sobą coraz zawzięciej, gdy Mateusz ozwał się smutnie:

— Wszyćko bez to, co naród pobłąkany i zgłupiały, kiej barany, a niema go komu przywieść do rozumu!

— Mało to jeszcze Michał się natłumaczy każdemu?

— Co tam Michał! Za swoim profitem gania i z dworem trzyma, to juści, co mu naród nie zawierza. Słuchają, ale za nim nie pójdą...

Porwał się kowal, gorąco przedstawiając, jako tylko chodzi mu o dobro wsi, jako jeszcze dokłada swojego, by jeno tę zgodę przeprowadzić.

— Żebyś w kościele przysięgał, a też ci nie uwierzą — mruknął Mateusz.

— No, to niech kto drugi spróbuje, obaczymy, czy poredzi! — wołał.

— Pewnie, że kto drugi musi się zabrać do tego.

— Ale kto? Może ksiądz albo młynarz? — rozlegały się szydliwe głosy.

— Kto? Antek Boryna! A jakby i on nie przywiódł wsi do rozumu, to już trza wypiąć plecy na cały jenteres...

*

— Cóż ja? Kto to me posłucha, co? — jąkał zmieszany.

— Masz rozum, pierwszyś teraz we wsi, to cię wszystkie posłuchają.

— Prawda! Juści! Ty jeden! My pójdziem za tobą!—mówili skwapliwie, ale kowalowi było to cosik nie na rękę, bo zakręcił się niespokojnie, skubał wąsy i zaśmiał się zjadliwie, skoro Antek powiedział:

— Przeciek nie święci garnki lepią, mogę i ja popróbować, poredzimy se o tem którego dnia.

Zaczęli się rozchodzić, ale jeszcze każden zosobna brał go na stronę namawiać, przyobiecując pójść za nim, zaś Kłąb mu rzekł:

— Nad narodem zawdy musi ktoś górować, co ma rozum i moc i poczciwe baczenie.

— A poredzi, jak potrza, i kijem ziobra zmacać! — zaśmiał się Mateusz.

Rozeszli się, ostał jeno pod oknem Antek z kowalem, bo Rocho klęczał na ganku, zatopiony w pacierzach.

Długo deliberowali w głębokiej cichości, że słychać było jeno Hankę, krzątającą się po izbie; strzepywała pościele, obłócząc w czyste poszewki, to myła się długo, jakby na jakie wielkie święto, a potem, rozczesując włosy pod oknem, wyzierała na nich coraz niecierpliwiej, pilnie nadstawiając uszów, gdy kowal zaczął mu cicho odradzać, aby sprawy poniechał, gdyż z chłopami nie trafi do ładu, a dziedzic jest mu przeciwny.

— Nieprawda! poręczył za nim w sądzie! — rzuciła przez okno.

— Kiej lepiej wiecie, to mówmy o czem drugiem... — zły był jak pies.

Antek powstał, przeciągając się sennie.

— To ci jeno rzeknę naostatku: puścili cię jeno do sprawy, prawda? związesz się w cudze jenteresa, a wiesz to, jak cię zasądzą?...

Antek przysiadł zpowrotem i tak się srodze zamedytował, że kowal, nie doczekawszy się odpowiedzi, poszedł do domu.

Hanka kręciła się kole okna, raz po raz wyglądając na niego, nie dosłyszał, że ozwała się wkońcu lękliwie a prosząco:

— Pódzi, Jantoś, pora spać... Utrudziłeś się dzisia niemało...

— Idę, Hanuś, idę...—podnosił się ociężale.

Jęła się prędko rozdziewać, szepcąc pacierz roztrzęsionemi wargami.

— A jak me zasądzą na Syberję, to co?—myślał frasobliwie, wchodząc do izby.

V.

— Pietrek, przynieś no drewek — krzyknęła z przed domu Hanka, rozmamłana była całkiem i omączona przy wyrabianiu chleba.

W szabaśniku huczał już tęgi ogień, przegarniała go raz po raz i leciała obtaczać bochny i wynosić je w ganek, na deskę, ździebko wystawioną w słońcu, by prędzej rosły. Zwijała się siarczyście, gdyż ciasto prawie już kipiało z wielkiej dzieży, przyokrytej pierzyną.

— Jóźka, dorzuć do pieca, bo trzon jeszcze czarniawy!

Ale Jóźki nie było, a Pietrek też się nie kwapił z posłuchem, nakładał w podwórzu gnój, oklepując czubaty wóz, by się nie roztrząsał po drodze, i spokojnie poredzał ze ślepym dziadem, któren pod stodołą wykręcał powrósła.

Popołudniowe słońce tak jeszcze przypiekało, że ściany popuszczały żywicą, parzyła ziemia i powietrze prażyło, kiej żywym ogniem, że już ruchać się było ciężko. Muchy jeno kręciły się z brzękiem nad wozem i konie dziw nie porwały postronków i nóg nie połamały, szarpiąc się i oganiając od ukąszeń.

Nad podwórzem wisiała senna, przygniatająca spieka, przejęta ostrym zapachem gnoju, że nawet ptaki w sadzie pocichły, kury leżały pod płotami, kieby nieżywe, a prosiaki z pojękiwaniem rozwalały się w błocie pod studnią, gdy naraz dziad zaczął srogo kichać, bowiem z obory zawiało jeszcze barzej.

— Na zdrowie wama, dziadku!

— Nie z trybularza wieje, nie, a chociem i tego zwyczajny, ale zawierciło w nosie gorzej tabaki.

— Kto czego zwyczajny, to mu smakuje!

— Głupiś, cóżto, łajno jeno wywąchuję po świecie!...

— Rzekłem, bo mi się przybaczyło, co tak mi pedział mój dziadźka we wojsku, kiej me przy uczeniu pierwszy raz sprał po pysku...

— I wzwyczaiłeś się do tego, co? Hi! hi! hi!...

— Hale, bogać ta, kiej rychło sprzykrzyła mi się taka nauka, że przycapiłem ścierwę w jakimś kącie i tak mu pysk wyrychtowałem, jaże spuchnął, niby bania. Już me potem nie bijał...

— Długoś to służył?

— A całe pięć roków! Nie było się czem wykupić, to i musiałem rużje dźwigać. Jeno zrazu, pókim był głupi, to potyrał mną, kto chciał, i biedym się najadł, ale kamraty me nauczyły, że, jak czego brakowało, tośwa zworowali, abo dała jedna dzieucha, służanka, bom obiecał się z nią ożenić! A jak me przezywały od kartoszków, jak się śmiały z mojej mowy i naszego pacierza...

— A poganiny zapowietrzone, śmiały się z pacierza.

— Tom każdemu zosobna pomacał żebra i poniechały!

— Cie, takiś to mocarz!

— Mocarz nie mocarz, ale trzem radę dam! — przechwalał się z uśmiechem.

— Byłeś to na wojnie, co?

— Jakże, przeciem z Turkami wojował. Pokorzylim ich docna!

— Pietrek, kajże to drzewo? — zawołała znowu Hanka.

— A tam, kaj było przódzi! — odburknął pod nosem.

— Dyć gospodyni cię woła — upominał nasłuchujący dziad.

— Niech woła, a juści, może jeszcze statki mył będę!

— Głuchyś, czy co? — wrzasnęła, wybiegając przed dom.

— W piecu palił nie będę, nie do tegom się godził — odkrzyknął.

Wywarła na niego gębę po swojemu.

Ale parob bardzo hardo odszczekiwał, ani myśląc posłuchać, a kiej go jakiemś słowem barzej dojena, wraził widły w gnój i zawołał ze złością:

— Nie z Jagusią macie sprawę, nie wygonicie me krzykiem.

— Obaczysz, co ci zrobię! Popamiętasz! — groziła, dotknięta do żywego, i już rozeźlona tak zwijała się koie chleba, jaże tuman mąki zapełnił izbę i buchał przez okna. Mamrotała jeno na zuchwalca, wynosząc chleby w ganek, to dorzucając drewek do pieca, albo i wyzierając za dziećmi. Strudzona już była z pracy i spieki, bo w izbie gorąc jaże dusił, a w sieniach, kaj się buzowało w szabaśniku, też ledwie odzipnął, że przytem i muchy, od których roiły się ściany, brzęczały nieustannie i cięły wielce dokuczliwie, to prawie z płaczem oganiała się gałęzią i tak już była spocona i rozdrażniona, że robiła coraz wolniej i niecierpliwiej.

Właśnie ostatni nabier ciasta wygniatała, gdy Pietrek wyjechał z podwórza.

— Poczekaj, dam ci podwieczorek!

— Prrr! A zjem, niezgorzej już mi kruczy w brzuchu po obiedzie.

— Mało to ci było?

— I... płone jadło, to przelatuje przez żywot, kiej bez sito.

— Płone! widzisz go! Cóżto, mięso będę ci dawała? Sama po kątach też nie chlam kiełbasy. Drugie na przednówku i tego nie mają. Obaczno, jak to żyją komornicy.

Postawiła w ganku dzieżkę zsiadłego mleka i bochen.

Przysiadł łakomie do jadła i zwolna się nadziewał, podrzucając niekiej glonki chleba boćkowi, któren przygrajdał się ze sadu i warował przy nim, kiej pies.

— Chude, sama serwatka — mruczał, podjadłszy już nieco.

— A możebyś chciał samej śmietany, poczekaj.

Zaś kiedy się nałożył dosyta i brał za lejce, dorzuciła uszczypliwie:

— Zgódź się do Jagusi, ona ci tłuściej będzie dawała.

— Pewnie, bo, póki tu ona była gospodynią, nikto głodem nie przymierał—zaciął konie batem, wóz wsparł ramieniem i ruszył.

Utrafił ją w słabiznę, ale, nim się zebrała na odpowiedź, odjechał.

Jaskółki zaświegotały pod strzechą, i stado gołębi opadło z gruchaniem na ganek, a kiej je spędzała, doszedł ją ze sadu jakiś kwik, zlękła się, że świnie pyszczą po cebuli, ale na szczęście to jeno sąsiedzka maciora ryła się pod płot.

— Wsadź jeno ryj, a spyszcz, to już ja cię przyrychtuję.

A ledwie wzięła się znowu do roboty, kiej bociek hycnął na ganek, przyczaił się ździebko i, popatrzywszy to jednem, to drugiem okiem, jął kuć w bochny, łykając ciasto wielkiemi kawałami.

Wypadła na niego z wrzaskiem.

Uciekał z wyciągniętym dziobem, robiąc gwałtownie gardzielem, a kiej go już doganiała, by zdzielić drewnem, poderwał się i frunął na stodołę i długo tam stojał, klekocąc a wycierając dziób o kalenicę.

— Czekaj, złodzieju, jeszcze ja ci kulasy poprzetrącam — groziła, obtaczając na nowo podziurawione bochenki.

Przyleciała Józka, więc na niej wszystko się skrupiło.

— Kaj się to nosisz? Cięgiem ganiasz, jak kot z pęcherzem! Powiem Antkowi, jakaś to robotna! Wygarniaj z pieca, a żywo.

— Byłam jeno u Płoszkowej Kasi. Wszystkie w polu, a chudzinie nawet wody nie ma kto podać.

— Cóżto jej, chora?

— Pewnikiem ośpica, bo czerwona i rozpalona, kiej ogień.

— A przynieś ze sobą chorobę, to cię dam do śpitala.

— Juści, bom to już przy jednej chorej siadywała! Nie baczycie, jakem to przy was dulczyła, kiejście leżeli w połogu. — I już trajkotała dalej po swojemu, spędzając muchy z ciasta i bierąc się do wygarniania węgli z pieca.

— Trza będzie ludziom ponieść podwieczorek — przerwała Hanka.

— Zaraz poletę. Usmażyć to jajków Antkowi?

— A usmaż, jeno słoniną nie szafuj.

— Żałujecie to?

— Zaśby. Ale co za tłusto, to może być i Antkowi niezdrowo.

Dzieusze chciało się lecieć, to wmig uwinęła się z robotą i, nim Hanka zalepiła piec, zabrała troje dwojaków z mlekiem, chleby we fartuszek i poleciała.

— Spojrzyj ta na płótno, czy wyschło, a zpowrotem pomocz, jeszcze do zachodu przeschnie — zawołała oknem, ale Jóźka już była za przełazem, jeno piosneczka leciała za nią i ze żyta mignęła kiej niekiej konopiasta głowina.

Na podorówce pod lasem komornice rozrzucały gnój, jaki Pietrek dowoził, a przyorywał Antek.

Że zaś ziemia gliniasta, mimo niedawnego zbronowania, była spieczona i twarda, to skiby łupały się, niby skały, a konie ciągnęły pług z takim wysiłkiem, jaże rwały się postronki.

Antek, jakby wrośnięty w imadła, orał zawzięcie, zapomniawszy o całym świecie, czasem chlastał biczem

po końskich portkach, a częściej jeno cmokaniem je przynaglał, gdyż docna ustawały, robota bowiem była ciężka i znojna, ale kwardą i czujną ręką prowadził pług i rżnął skibę za skibą, kładąc posobnie szerokie, proste zagony, boć rola szła pod pszenicę.

Wrony łaziły brózdami, wydziobując glisty, zaś gniady źrebiec, szczypiący trawę po miedzy, rwał się raz po raz do klaczy łakomie, sięgając matczynych wymion.

— Co mu się to przypomina, cycoń jeden — mruknął Antek, śmigając go po kulasach, że zadarł ogona i skoczył wbok, on zaś orał dalej cierpliwie, tyle jeno przerywając skwarną cichość, co się ta niekaj ozwał do kobiet, ale tak już był umęczony pracą i spiekotą, że, skoro Pietrek nadjechał, krzyknął w złości:

— Kobiety czekają, a ty wleczesz się, kieby szmaciarz!

— A juści, droga ciężka i koń ledwie już kulasami rucha.

— A pocóżeś tyla czasu stojał pod lasem? Widziałem.

— Możecie obaczyć, piaskiem, kiej kot, nie zagarniam.

— Pyskacz ścierwa. Wio, stare, wio!

Ale konie ustawały coraz barzej, całe już okryte pianą, a i jemu, chocia był rozdziany do białych portek i koszuli, pot też zalewał twarz i ręce mdlały od pracy, że, dojrzawszy Jóźkę, zawołał radośnie:

— W sam czas przyszłaś, a to ostatnią parą dygujemy.

Dociągnął skibę pod bór, konie wyłożył i, rozkiełznawszy je, puścił na trawiastą, podleśną drogę, a sam rzucił się w cień na kraju lasu i, kiej wilk zgłodniały, wyjadał z dwojaków, a Jóźka jęła mu trajkotać nad uszami.

— Ostaw me, nieciekawym twoich nowinek — warknął gniewnie, że odszczeknęła gniewnie i poleciała w las, na jagody.

Bór stojał cichy, rozprażony, pachnący i kieby ździebko przymglały w słonecznej ulewie, że jeno niekiedy zaruchały się cichuśko zielone podszycia i z głębin buchał ciąg, przejęty żywicą, abo i jakieś pobłąkane głosy i ptasie śpiewania.

Antek rozciągnął się na trawie i kurzył papierosa, ale jakby przez coraz głębszą mgłę widział dziedzica, skaczącego na koniu po podleskich polach, i jakichś ludzi z tykami.

Wielgachne chojary, kieby w miedzi wykute, wynosiły się nad nim, rzucając po oczach chwiejny i morzący śpikiem cień. Już się był całkiem zapadł w cichość, gdy zaturkotał jakiś wóz.

— Organistów parobek na tartak wozi, juści — pomyślał, unosząc ciężką głowę, i opadł zpowrotem, ale już nie zasnął, gdyż ktosik wyrzekł: Pochwalony!

Komornice wychodziły posobnie z lasu z brzemionami drzewa na plecach, zaś wkońcu wlekła się Jagustynka, zgarbiona pod ciężarem prawie do ziemi.

— Odpocznijcie, a to wama już oczy nawierzch wyłażą.

Przysiadła wpodle, wspierając brzemię o drzewo i ledwie zipiąc.

— Nie la was taka robota — szepnął ze współczuciem.

— Juści, co już całkiem opadłam ze sił.

— Pietrek, a gęściej kupki, gęściej! — krzyknął do parobka. — Czemuż to waju nie wyręczą?

Jeno się skrzywiła, odwracając zaczerwienione, bólne oczy.

— Takeście jakoś zmiękli, że ani was tera poznać.

— I krzemień puści pod młotem — jęknęła, zwieszając głowę — bieda chybciej przeźre człowieka, niźli rdza żelazo.

— Ciężki latoś przednówek nawet la gospodarzy.

— Kto ma jeno lebiodę z otrębami, temu nie potrza mówić o biedzie.

— Bójcie się Boga, dyć przyjdźcież wieczorem, a znajdzie się jeszcze w chałupie jaki korczyk ziemniaków. Odrobicie we żniwa.

Zapłakała rzewliwie, nie mogąc wykrztusić tego słowa podzięki.

— A może ta i co więcej najdzie Hanka—dodał z dobrością.

— Żeby nie Hanka, tobyśwa już byli pozdychali — zaszeptała łzawo. — Juści, co odrobię, kiedy jeno będzie potrza. I nie za siebie mówię. Bóg ci zapłać! Cóż ta ja, ten śmieć jeno, co się go trepem następuje, ani wiedząc o tem, i do głodu niezgorzej wezwyczajonam, ale, jak te moje robaki kochane zapiskają: babulu, jeść! a niema czem zatkać głodnych

brzuchów, to powiedam, cobym se te kulasy odrąbała, abo i z tego ołtarza zdarła i poniesła do Żyda, by się jeno najadły.

— To znowuj siedzicie z dziećmi?

— Matkam przeciek. Ostawię to samych w takiej biedzie! A latoś jakby wszystko złe zwaliło się na nich. Krowa im padła, ziemniaki zgniły, że trza było kupować do sadzenia, wiater obalił stodołę, a do tego synowa po rodach ostatnich cięgiem chorzeje i wszyćko ostało na tej Boskiej opatrzności.

— Juści, bo Wojtkowi jeno gorzałka pachnie i pilno do karczmy.

— Z biedy się niekiej napijał, z czystej biedy, ale, jak dostał w boru robotę, to ani już zajrzy do Żyda, niech drugie zaświadczą — broniła syna gorąco.— Biedocie to kużden kieliszek policzą! Pofolgował se Jezusiczek we złości, pofolgował, no, żeby się tak zawziąć na jednego głupiego chłopa. I za co? Cóżto złego zrobił? — mamrotała, podnosząc w niebo groźne, pytające oczy.

— Małoście to na nich pomstowali? — rzekł z naciskiem.

— Hale, wysłuchałby to Jezus głupiego szczekania! Juści — ale dodała, jakby trwożniej i niespokojniej — kiej matka nawet wyklina dzieci, to i tak w sercu nie pragnie im krzywdy. We złości, to i ozór nie pości. Jakże...

— Wypuścił to już Wojtek łąkę, co?

— Młynarz przynosił na nią całe tysiąc złotych, ale ja wzbroniłam, bo, jak temu wilkowi wpadnie co

w pazury, to mu już sam zły nie wyrwie. A może się jeszcze trafi kto drugi z pieniędzmi?

— Śliczna łąka, jak amen, tak pewne dwa pokosy w rok, żebym tak miał grosz zapaśny! — westchnął, oblizując się, kiej kot do mleka.

— Już i Maciej chcieli ją kupować, że to rychtyg przylega do Jagusinego pola.

Drgnął na to imię, lecz dopiero w jakieś Zdrowaś zapytał, niby niechcący, wlekąc oczami po polach, daleko.

— Co się to wyrabia u Dominikowej?

Ale przejrzała go wlot, prześmiech jeno wionął po zwiędłych wargach, rozjarzyły się oczy i, przysunąwszy się, jęła mówić bolejąco:

— A co! Piekło tam i tyla. W chałupie kiej po pochowku, jaże mrozi od smutku, a pociechy znikąd ni poratunku! Jeno oczy wypłakują i Boskiego zmiłowania czekają! A już najbarzej Jagusia...

I, kieby przędzę, rozsnuwała różnoście o Jugusinych smutkach, żalach i opuszczeniu. Mówiła gorąco, przypochlebiając mu się i jakby ciągnąc za język, ale milczał uparcie, gdyż znagła rozparła go taka żrąca tęsknica, jaże się cały rozdygotał.

Szczęściem, co powróciła Józka, niosąc z pół zapaski czernic, nasypała mu jagód w kapelusz i, zebrawszy dwojaki, pobiegła w dyrdy ku chałupie.

A Jagustynka, nie doczekawszy się od niego ani słowa odpowiedzi, jęła się dźwigać, stękający.

— Poniechajcie! Pietrek, zabierz ich na wóz! — rozkazał krótko.

Chycił się znowu pługa i jakiś czas cierpliwie krajał spieczoną twardą ziemię, przyginał się w jarzmie, kiej wół, dawał się wszystek tej pracy, ale i tak nie zdusił tęsknicy.

Już mu się dłużył dzień, że raz po raz spozierał na słońce i niecierpliwemi oczami mierzył pole; spory kawał leżał jeszcze do zaorania. Jurzył się też w sobie coraz barzej i niewiada laczego prał konie, a ostro krzykał na kobiety, by się prędzej ruchały! Tak go już cosik ponosiło, że ledwie ścierpiał, i takie myśli kłębiły się po głowie i przyćmiewały oczy, że coraz częściej pług mu się w rękach chybotał, zadzierając o kamienie, zaś pod lasem tak się był zarył pod jakiś korzeń, aż krój się oberwał.

Nie było sposobu dalej orać, zabrał więc pług na sanice i, założywszy wałacha, pojechał do dom po nowy.

W chałupie było pusto i wszystko leżało rozbabrane i zamączone, a Hanka kłóciła się z kimś w sadzie.

— Paparuch! Na sprzeczki to czas ma! — mruczał, idąc w podwórze, ale tam zeźlił się barzej, gdyż i ten drugi pług, któren wyciągnął z pod szopy, zarówno był do niczego. Długo koło niego majstrował coraz niecierpliwiej, nasłuchując kłótni, bo Hanka już wykrzykiwała rozwścieklona:

— Zapłać szkody, to ci maciorę wypuszczę, a nie, to podam do sądu! Zapłać za płótno, co mi je zwiesną podarła na bielniku, i za te spyskane ziemniaki. Mam świadków na wszystko! Widzisz ją, jaka mądra, będzie se świnie wypasała na mojem! Nie daruję swojego! A na drugi raz, to twojej maciorze i tobie kulasy po-

przetrącam!—jazgotała zajadle, że zaś i sąsiadka dłużną nie ostawała, to już kłóciły się nazabój, wytrząchając do się przez płoty zaciśniętemi pięściami.

— Hanka! — krzyknął, zakładając se pług na ramiona.

Przyleciała rozwrzeszczana i rozczapierzona, kiej kokosz.

— A to wydzierasz się, jaże na całą wieś słychać!

— Swojego bronię! Jakże, pozwolę to, by mi cudze świnie pyskały po zagonach! Tyla szkody robią, to mam być cicho? Niedoczekanie, nie daruję! — wykrzykiwała, jaże przerwał jej ostro:

— Ogarnij się, a to wyglądasz, kiej nieboskie stworzenie!

— Hale, do roboty będę się przybierała, kiej do kościoła, juści.

Popatrzył na nią wzgardliwie, boć wyglądała, jakby ją kto wyciągnął z pod łóżka, i, rzuciwszy ramionami, poszedł.

Kowal był przy robocie; już zdala szczękały brzękliwe, mocne głosy młotów, a w kuźni huczał ogień i było gorąco, kiej w piekle. Michał właśnie był odkuwał z pomocnikiem jakieś grubachne sztaby, pot mu zalewał twarz umorusaną, ale kuł niestrudzenie i jakby z zajadłością.

— Komuż to takie sielne osie?

— Do Płoszkowego woza! Będzie woził na tartak!

Antek przysiadł na progu, skręcając sobie papierosa.

Młoty wciąż biły zajadle, trzaskając nieustannie raz, dwa, raz, dwa, i czerwone żelazo, bite ze wszystkiej mocy, robiło się powolne, kieby ciasto, ugniatali je też na swoją potrzebę, jaże cała kuźnia dygotała.

— Nie chciałbyś to wozić? — rzekł Michał, wsadzając żelazo w ognisko i poruchając miechem.

— A bo to me młynarz dopuści, ponoś wzion wożenie na spółkę z organistą i ze Żydami jest zapanbrat.

— Konie masz, porządek wszystek gotowy, a parob jeno się wałęsa kole chałupy. Niezgorzej płacą — szepnął zachętliwie.

— Juści co przydałby się jakiś grosz na żniwo, ale cóż, młynarza przecie o pomoc prosił nie będę.

— Trzaby ci pomówić z kupcami.

— Abo to je znam! Byś to chciał wstawić się za mną!

— Kiej prosisz, to pomówię, jeszcze dzisia do nich poletę.

Antek cofnął się prędko przed kuźnię, gdyż znowuj zagrały młoty, i iskry sypnęły się deszczem ognistym i parzącym.

— Zaraz przyjdę, obaczę jeno, jakie to drzewo żwożą.

I na tartaku robota wrzała, kiej w ulu, traczka już szła bez przerwy, piły z głuchym zgrzytem przeżerały długachne kloce, a woda z krzykiem waliła się z kół w rzekę i, spieniona, zmordowana, gotowała się bełkotliwie w ciasnych brzegach. Z wozów zwalali chojary, ledwie okrzesane z gałęzi, aż ziemia jęczała,

*

zaś sześciu chłopa obciesywało je do kantu, a drugie wynosiły deski na słońce.

Mateusz prowadził całą fabrykę, że co trochę widać go było w innej stronie, dzielnie zwijał się, rządząc i bacznie wszystkiego doglądając.

Przywitali się przyjacielsko.

— A kajże to Bartek? — pytał Antek, rozglądając się po ludziach.

— Zmierziły mu się Lipce i pociągnął za wiatrem.

— Że to poniektórych tak cięgiem telepie po świecie! Roboty widać masz na długo, tylachna drzewa!

— A chwaci na jaki rok abo i dłużej. Jak dziedzic ugodzi się ze wszystkimi, to z pół boru wytnie i przeda.

— Na Podlesiu znowuj dzisiaj rozmierzają ziemię.

— Bo już co dnia zgłasza się ktosik do zgody! Barany juchy, nie chciały cię słuchać, żeby gromadą się ugodzić, to dziedzic da więcej, a tera robią w pojedynkę, cichaczem, byle prędzej.

— Niektóren człowiek to jak ten osioł: chcesz, by ruszył naprzód, to ciągaj go za ogon! Pewnie co barany, dziedzic obrywa każdemu coś niecoś, bo zosobna się godzą.

— Odebrałeś to już swoje gronta?

— Jeszcze nie wyszedł czas po śmierci ojcowej i nie można robić działów, alem se już upatrzył pole.

Za rzeką, pomiędzy olchami, mignęła jakaś twarz, zdało mu się, że to Jagusia, więc chociaż pogadywał, ale już coraz niespokojniej latał oczami po gąszczach nadrzecznych.

— Taki gorąc, trza się iść wykąpać — rzekł wreszcie i poszedł wdół rzeki, niby to wybierając sposobne miejsce, ale skoro go skryły drzewa, puścił się pędem.

Juści, że ona to była. Szła z motyczką do kapusty.

— Jagusia! — zawołał, zrównawszy się z nią.

Obejrzała się bacznie i, rozeznawszy głos i jego twarz, wychylającą się ze szuwarów, przystanęła trwożnie, nie wiedząc zgoła co począć, bezradna całkiem i spłoszona.

— Nie poznajesz me to? — szepnął gorąco, próbując przejść do niej na drugą stronę. Ale rzeka w tem miejscu była głęboka, choć wąska zaledwie na jakieś parę kroków.

— Jakże, nie poznałabym cię to? — oglądała się lękliwie za siebie na kapuśnisko, kiej czerwieniały się jakieś kobiety.

— Kajże się to kryjesz, że ani sposobu cię uwidzieć?

— Kaj? Wygnała me twoja z chałupy, to siedzę u matki...

— Dyć i o tem radbym z tobą pomówił. Wyjdź, Jagno, wieczorkiem za smętarz. Powiem ci cosik, przyjdź! — prosił gorąco.

— Hale, żeby me kto jeszcze obaczył! Dosyć mam już za dawne... — odrzekła twardo. Ale tak molestował, tak skamlał, że skruszało jej serce, zaczynało jej być żal.

— A cóż mi to nowego powiesz? pocóż to me wołasz?

— Czym ci to już taki całkiem cudzy, Jaguś?

— Nie cudzy, ale i nie swój! Nie w głowie mi takie rzeczy...

— Jeno przyjdź, a nie pożałujesz. Bojasz się za smętarz, to przyjdź za księży sad, nie baczysz to kaj? Nie baczysz, Jaguś?...

Jaże odwróciła głowę, takie ponsy na nią uderzyły.

— Nie pleć, dyć mi wstydno... — zesromała się wielce.

— Przyjdź, Jaguś, choćby do północka czekał będę...

— To poczekaj... — odwróciła się nagle i poleciała na kapuśnisko.

Patrzył za nią łakomie, i przejęły go takie luboście i takie płomia wzburzyły krew, że gotów był lecieć za nią i brać ją choćby na oczach wszystkich... Ledwie się już pohamował.

— Nic, jeno ta spieka tak me rozebrała! — pomyślał, rozdziewając się śpiesznie do kąpieli.

Przechłodził się galancie i jął deliberować nad sobą.

— Że to człowiek słaby, kiej ten paździerz, bele co go poniesie...

Wstyd mu się zrobiło, rozejrzał się, czy aby go kto z nią nie widział, i usilnie rozważał wszystko, co mu o niej powiadali.

— Takaś to ty, jagódko, taka! — myślał ze wzgardą i jakby z żalem, ale naraz przystanął pod jakiemś drzewem i stojał z przywartemi powiekami, bo jawiła mu się na oczach w całej swojej cudności.

— Cheba takiej drugiej niema na wszystkim świecie! — jęknął i strasznie zapragnął jeszcze raz ją widzieć, jeszcze raz ogarnąć ramionami, przycisnąć do serca i napić się z tych warg czerwonych, pić naumór ten miód słodki, pić do dna...

— Jeno ten ostatni razik, Jagusiu! ten ostatni! — szeptał błagalnie, jakby do niej. Długo potem przecierał oczy, wodząc niemi po drzewach, nim się pomiarkował i poszedł do kuźni. Michał był sam i właśnie już się zabierał do pługa.

— A strzyma twój wóz takie ciężary? — spytał.

— Bylem jeno miał co kłaść...

— Kiej obiecuję, to jakbyś już miał na wozie.

Antek jął pisać kredą na drzwiach i rachować.

— Jeszcze do żniw zarobiłbym ze trzysta złotych! — rzekł radośnie.

— Akuratnie miałbyś na sprawę — ozwał się kowal odniechcenia.

Antek schmurzył się nagle, i oczy zaświeciły mu ponuro.

— Zmora ta moja sprawa, co ją wspomnę, to mi wszyćko z rąk leci, że nawet żyć się odechciewa...

— Nie dziwota, jeno to me zastanawia, że się za nijakim poratunkiem jeszcze nie rozglądasz.

— A cóż to poredzę?

— Trzebaby jednak coś zrobić! Jakże, dać się to pod nóż, kiej ten cielak rzezakowi?

— Głową muru nie przebiję! — westchnął boleśnie.

Michał kuł znowu z zajadłością, zaś Antek pogrążył się w niepokojące i strachliwe dumania, i takie myśle go nawiedzały, jaże mienił się na twarzy i zrywał się z miejsca, bezradnie latając oczami po świecie; ale szwagierek dał mu się długo trapić, szpiegując go jeno chytremi ślepiami, aż wkońcu rzekł cicho:

— Kaźmirz z Modlicy umiał se poredzić...

— Ten, co to uciekł do Hameryki?

— A ten sam! Mądrala, jucha, przewąchał pismo nosem.

— A bo mu to dowiedły, że zabił tego strażnika?

— Nie czekał, jaże mu dowiedą! Niegłupi zgnić w kreminale...

— Łacno mu było, kawaler.

— Ratuje się, któren musi. Ja cię ta do niczegój nie namawiam, abyś nie pomyślał, że mam w tem cosik swojego na widoku, a jeno powiedam, jak to w przypadku robiły drugie. Jak ci się żywnie podoba, tak zrób. Wojtek Gajda z Wolicy też ano wrócił z kreminału w same świątki. Cóż, dziesięć roków toć jeszcze nie życie, można przetrzymać...

— Dziesięć roków, Jezus kochany! — jęknął, chytając się za głowę.

— A tyle odsiedział w ciężkich robotach, juści co karwas czasu.

— Wszystko gotowem przenieść, bele jeno nie siedzenie. Jezus! siedziałem te parę miesięcy, a już me się dur chytał...

— A za trzy niedziele byłbyś już za morzami, niech Jankiel powie...

— Strasznie daleko! Jak to iść, wszyćko ciepnąć, ostawić dom, dzieci, ziemię, wieś i w tyli świat, na zawdy! — Zgroza go przejęła.

— Tyla poszło dobrowolnie i ani komu w głowie wracać do tych rajów.

— A mnie nawet pomyśleć o tem straszno!

— Juści, ale obacz Wojtka i posłuchaj, co rozpowiada o tym kreminale, to cię jeszcze barzej zafrasuje! Jakże, chłop ma niespełna czterdzieści roków, a docna już posiwiał i zgarbaciał, żywą krwią pluje i kulasami ledwie powłóczy. Jeno patrzeć, jak pójdzie na księżą oborę. Ale poco ci gadać, masz swój rozum, to się jego posłuchaj.

Przycichł wporę, zmiarkowawszy, że już w nim posiał niepokój, więc resztę zostawił czasowi, skrycie się jeno ciesząc z plonów, jakie spodziewał się zebrać. Ale, skończywszy pług, ozwał się wesoło:

— Poletę tera do kupców, a wóz gotuj na jutro, bo woził będziesz. O sprawie nie myśl, nie warto se psuć głowy, to ano będzie co będzie i co Bóg miłosierny pozwoli. Przyjdę do cię wieczorem.

Ale Antek nie zapomniał tak zaraz; połknął te jego przyjacielskie powiadki, kiej ryba przynętę, i dławił się nią, darło mu ano wątrobę, jaże ledwie się ruchał pod grozą męczących pomyślunków.

— Dziesięć roków! Dziesięć roków — szeptał niekiedy, drętwiejąc w strachu.

Mrok już zapadał, ludzie ściągali z pól, w obejściu podniósł się niemały rejwach, gdyż Witek przygnał stado, a kobiety kręciły się kole udojów i obrządków,

zaś na wsi jaże się trzęsło od przedwieczornych pogwarów i wrzasków dzieci, kąpiących się we stawie.

Antek wyciągnął wóz za stodołę, aby go przyrychtować i opatrzyć na jutro, ale wnet odechciało mu się wszystkiego, że jeno krzyknął na Pietrka, pojącego konie pod studnią:

— Nasmaruj wóz i wyporządź, będziesz od jutra woził na tartak.

Parob zaklął siarczyście. Nie szła mu w smak taka robota.

— Zawrzyj gębę i rób, co ci każą! Hanuś, daj trzy miarki owsa na obrok, a koniczyny przynieś im z pola, Pietrek, niech se podjedzą...

Hanka próbowała go rozpytywać, ale cosik jeno mruknął i, pokręciwszy się po obejściu, poszedł do Mateusza, z którym teraz żył w wielkiem przyjacielstwie.

Mateusz tyle co jeno był wrócił z roboty i właśnie chlipał pod chałupą zsiadłe mleko la ochłody.

Skądściś, jakby ze sadu, sączyło się ciche, żałosne płakanie.

— Któż to tam tak skwierczy?

— A Nastusia. Urwanie głowy mam z temi jamorami: zapowiedzie już wyszły, ślub ma być w niedzielę, a Dominikowa wczoraj zapowiedziała przez sołtysa, jako gospodarka na nią zapisana i Szymkowi nie udzieli ani zagona i do chałupy go nie puści. I święcie to zrobi, znam ja dobrze to sobacze nasienie.

— Cóż na to Szymek?

— A co, jak usiadł w sadzie rano, tak i dotąd tam siedzi, kiej ten słup, że nawet Nastusi nie odpo-

wiada. Już się nawet bojam, żeby mu się rozum nie popsuł.

— Szymek! — krzyknął w sad — a pódzino do nas; przyszedł Boryna, to może ci co poredzi...

Zjawił się po jakiejś minucie i usiadł na przyźbie, nie witając się z nikim. Juści, co chłopak docna był zmizerowany i wyschnięty, kieby ta osinowa deska; jedne oczy mu gorzały, zaś w wychudzonej twarzy taiło się jakieś twarde postanowienie.

— I cóżeś umyślił? — pytał łagodnie Mateusz.

— A co, że wezmę siekierę i zakatrupię ją, kiej psa!

— Głupiś! Bajanie ostaw do karczmy.

— Jak Bóg na niebie, tak ją zakatrupię. Cóż mi to ostaje, co? Grontu mi po ojcach zapiera, z chałupy me goni, spłaty nie daje, to coż pocznę? Kaj się sierota podzieję, kaj? I żeby to me rodzona matka tak krzywdziła! — jęknął, ocierając rękawem łzy, ale naraz porwał się i zakrzyczał: — Nie daruję, psiachmać, swojego, żebym miał zato zgnić w kreminale, a nie daruję!

Uspokoili go natyla, co przymilkł i siedział chmurny, a tak nasrożony, że nawet nie odpowiadał na Nastusine łzawe szepty. Oni zaś deliberowali, jakby mu pomóc, ale cóż, kiej nic z tego nie wychodziło, nie było bowiem sposobu na Dominikową. Aż dopiero Nastka, odciągnąwszy na stronę brata, cosik mu przełożyła.

— Kobieta i nalazła mądrą radę! — zawołał radośnie, wracając pod chałupę. — A to powieda, by kupić od dziedzica na Podlesiu ze sześć morgów na

spłaty! Co, dobra rada? A matce będzie można pokazać starą panią, niech się wścieknie ze złości...

— Rada juści dobra, jak każda rada, jeno gdzie pieniądze?...

— Nastusia ma swoje tysiąc złotych, na zadatek chwaci...

— A kajże to jeszcze chałupa, lewentarz, porządki, zasiewy?

— Kaj? A tu! A tu! — wrzasnął naraz Szymek, wyskakując przed nich a trzęchając zaciśniętemi garściami...

— Tak się to mówi, ale czy uredzisz? — mruknął Antek niedowierzająco.

— Dajcie mi jeno ziemię, a obaczycie, dajcie! — zakrzyczał z mocą.

— To niema się co głowić a jeno iść do dziedzica i kupować!

— Poczekaj Antek, zaraz, niechno se wszyćko w myślach ułożę...

— Obaczycie, jak sobie radę dawał będę! — gadał prędko Szymek. — A kto u matki orał? Kto siał? Kto zbierał? Dyć jeno ja sam! A źle to w roli robiłem, co? Wałkoń to jestem, co? Niech cała wieś powie, niech matka zaświarczy! Dajcie mi jeno gront, spomóżcie, braty rodzone, a to już wama zato do śmierci się nie odsłużę. Pomóżcie, ludzie kochane, pomóżcie! — wołał, śmiejąc się i płacząc naprzemian, zgoła jakby pijany radosną nadzieją.

A kiej się ździebko uspokoił, zaczęli już wspólnie rozważać i deliberować nad temi zamysłami.

— By się jeno dziedzic zgodził na spłaty! — westchnęła Nastka.

— Poręczymy z Mateuszem, to widzi mi się, co i da.

Nastusia jaże go chciała całować po rękach za tyla dobrości.

— Zażywałem niezgorszej biedy, to wiem, jak drugim smakuje! — rzekł cicho, powstając do odejścia, bo się już było całkiem zmroczyło nad ziemiami, jeno co niebo było jeszcze jasne i zorze dopalały się na zachodzie.

Antek stał czas jakiś nad stawem, wagując się w sobie, w którą stronę pójdzie, lecz po chwili ruszył ku domowi.

Szedł jednak zwolna, kieby pod przymusem, przystając co trocha ze znajomymi, na drogach bowiem było pełno ludzi, wałęsających się gadzin i dzieci. Przyśpiewki trzęsły się po opłotkach, kajś zakrzyczały przepłoszone gęsi, pod młynem wrzeszczały kąpiące się chłopaki, jakieś kumy kłóciły się po drugiej stronie stawu, jakby przed Balcerkami, a przenikliwy głos piszczałki przewiercał uszy.

Chociaż Antkowi nie było pilno i rad przystawał na drodze a z bele kiem pogadywał, to wkońcu stanął przed swoją chałupą. Okna stały wywarte i oświetlone, dziecko płakało pod ścianą, zaś z podwórza rozlegał się wrzaskliwy głos Hanki, a kiej niekiej jazgotliwe odszczekiwanie Jóźki.

Zawahał się znowu, ale kiej Łapa zaskomlał przy nim i jął wyskakiwać z radości, kopnął go w nagłym

gniewie i zawrócił zpowrotem na wieś. Dopadł dróżki proboszczowskiej, przemknął się kole organistów tak cicho, że go nawet psy nie poczuły, i wsunął się pod księży sad, zaraz przy szerokiej miedzy, dzielącej Kłębową ziemię od księżych.

Nakrył go głęboki cień drzew galancie rozrośniętych.

Księżycowy sierp zawisł już był na pociemniałem niebie, i gwiazdy jęły się rozjarzać coraz migotliwiej; wieczór czynił się rosisty a silnie nagrzany, prawdziwie latowy. Przepiórki wołały ze zbóż, od łąk dalekich leciały grubaskie pohukiwania bąków, zaś nad polami wisiała taka rozpachniona cichość, jaże w głowie się mąciło.

Ale Jagusia jakoś nie przychodziła.

Natomiast o jakieś pół stajania od Antka, po miedzy spacerował proboszcz w białem obleczeniu i z gołą głową, tak pogrążony w odmawianiu pacierzy, iż jakby nie widział, co jego konie, pasące się na chudym, wytartym ugorze, przeszły miedzę i łakomie wżerały się w Kłębową koniczynę, która, niby bór, czerniała wspaniale wyrośnięta i pokryta kwiatem.

Ksiądz ciągiem chodził, mamrocąc pacierze, po gwiazdach włóczył oczami, a niekiej przystawał, pilnie nasłuchując i gdy się jeno ruszyło co niebądź kajś pod wsią, zawracał śpiesznie, gderząc niby gniewnie na konie.

— A gdzieżeś to polazł, siwy? W Kłębową koniczynę, co? Widzicie ich, jakie to łajdusy! Smakuje wam cudze, co? A batem chceta po portkach? No, mówię, batem! — pograżał wielce srogo.

Ale koniska tak smacznie chrupały, jaże księdzu zbrakło serca na wypędzenie ze szkody, więc jeno rozglądał się a prawił zcicha:

— No żrej jeden drugi, żrej... już się zato zmówi jaki paciorek za Kłębową duszę albo i wynagrodzi czem szkodę! Nygusy, jak się to przypinają do świeżej koniczyny!

I znowu chodził tam i znawrotem, pacierze mówił i stróżował, ani się spodziewając, jako Antek patrzy w niego, słucha i z coraz większą niespokojnością wyczekuje na Jagusię.

Przeszło tak z parę dobrych pacierzów, gdy naraz Antkowi przyszło na myśl podejść do niego a wyznać się ze swoich frasunków.

Taki nauczony, to może prędzej najdzie jaką radę! — rozważał, cofając się cieniami pod stodołę, i dopiero za węgłem śmiało wyszedł na miedzę i głośno zachrząkał.

A ksiądz, posłyszawszy, że ktoś nadchodzi, zakrzyczał na konie:

— Szkodniki paskudne! To ani z oczów spuścić, zaraz w cudze, jak te świnie! Wiśta kasztan!—I uniesłszy ubieru, wypędzał je z pośpiechem.

— Boryna! Jak się masz? — wołał, rozpoznawszy go zbliska.

— Dyć szukam dobrodzieja, byłem już na plebanji.

— A wyszedłem, zmówić pacierze i przypilnować konisków, bo Walek poleciał do dworu. Ale takie znarowione szkodniki, że niech Bóg broni, rady nie mogę sobie dać z niemi. Patrz, jak się Kłębowi wysypało koni-

czyny, jak bór! Z mojego nasienia... Zato moją tak wymroziło, że został się tylko rumianek i osty! — westchnął żałośnie, przysiadając na kamieniu. — Siadajże, to sobie pogadamy! Śliczna pora! Za jakie trzy tygodnie zadzwonią kosy! No, mówię ci!..

Antek przysiadł wpodle i zaczął zwolna rozpowiadać, z czem był przyszedł. Proboszcz słuchał uważnie, tabakę zażywał i na konie krzyczał raz po raz, kichając przytem siarczyście.

— A gdzie! Ślepyś, że cudze? Widzisz je, świńtuchy znarowione!..

Antkowi szło jakoś niesporo, zająkiwał się i plątał.

— Widzę, że ci coś ciężkiego dolega. Wyznaj się szczerze, to ci ulży, wyznaj! Przed kimże duszę wyżalisz, jak nie przed księdzem? — Pogładził go po głowie i uczęstował tabaką, że Antek, nabrawszy śmiałości, rozpowiedział mu wszystkie swoje frasunki.

Ksiądz długo ważył jego słowa, wzdychał i wkońcu rzekł:

— Jabym ci za borowego naznaczył pokutę kościelną: stawałeś w ojcowej obronie, a że był łajdus i luter, to niewielka stała się szkoda. Ale sądy ci nie darują. Najmniej posiedzisz ze cztery lata. I co ci tu radzić? Mój Boże, i w Ameryce ludzie żyją, i z kryminału też wracają. Ale jedno złe i drugie też nielepsze.

Był za tem, żeby Antek uciekał choćby jutro, to znowu radził pozostać i odsiedzieć karę, a naostatku powiedział:

— Jedno, co pewna: zdać się na Opatrzność i czekać zmiłowania Bożego.

— Hale, i wezmą me w dybki, w Sybir pognają...

— Wielu jednak powraca, sam znałem niejednego...

— Juści, jeno co to po latach zastanę w chałupie, co? A bo to kobieta da sama radę? Zmarnuje się wszystko!—szepnął bezradnie.

— Z duszy serca radbym ci pomógł, ale cóż ja mogę... Czekaj, mszę świętą odprawię do Przemienienia Pańskiego na twoją intencję. Zapędź mi konie do stajni, późno! No mówię ci, późno, czas spać!

Antek tak był przejęty turbacjami, że, wyszedłszy z księżego podwórza, dopiero przypomniał sobie Jagusię i śpiesznie do niej poleciał.

Juści, co już czekała, skulona pod stodołą.

— Czekałam i czekałam!

Głos miała jakby schrypnięty od rosy.

— Mogłem się to księdzu wymówić? — Chciał ją objąć, odepchnęła go.

— Nie figle mi ta w głowie, nie ceckania!

— Dyć cię całkiem nie poznaję! — Czuł się dotknięty.

— Jakąś me ostawił, takusieńką i jestem...

— A niepodobna do się... — Przysunął się bliżej.

— Nie zafrasowałeś się o mnie bez tyla czasu, a teraz dziwujesz?

— Że już i barzej niesposób, ale mogłem to przylecieć do cię, co?

— A ja ostałam jeno z trupem a ze zgryzotami!— Zatrzęsła się z zimna.

— I ani ci w głowie postało zajrzeć do mnie, co inszego miałaś w myślach!...

— Czekałeś to me, Jantoś, czekałeś? — wyjąkała niedowierzająco.

— I jak jeszcze! A to, kiej ten głupi, co dnia wisiałem u kraty i oczy wypatrywałem za tobą, i co dnia cię czekałem! — Nagły żal nim zatrząsł.

— Jezu kochany! A tak me sklątes tam za brogiem! A takiś przódzi był zły! A kiej cię brali, to aniś spojrzał na mnie, aniś przemówił... Dobrze baczę, miałeś to dobre słowo la wszystkich, nawet la psa, jeno nie la mnie! To już myślałam, że się wścieknę!

— Nie miałem złości do cię, Jaguś, nie. Ale jak się dusza człowiekowi zapiecze w zgryzocie, toby i siebie i wszystek świat wytracił...

Milczeli, stojąc tuż przy sobie, biedro w biedro. Księżyc świecił im prosto w twarze. Dyszeli ciężko, szarpani gryzącemi spominkami, oczy im pływały w zakrzepłych łzach żalów i udręki.

— Nie tak to me kiedyś witałaś!—rzekł smutnie.

Rozpłakała się nagle i rzewliwie, kiej dzieciątko.

— Jakże cię to mam witać, jak? Małoś to me już pokrzywdził i sponiewierał, że tera ludzie patrzą na mnie, kiej na tego psa...

— Ja cię sponiewierałem? To przeze mnie? — Gniew go przejął.

— A przez ciebie! Przez ciebie wygnała me z chałupy ta flondra, to świńskie pomiełło! Przez ciebie poszłam na pośmiech całej wsi...

— A wójta to już nie baczysz? a drugich, co?— buchnął groźnie.

— Wszyćko bez ciebie! Wszyćko! — szeptała coraz bardziej rozżalona. — A czemuś me do się zniewolił, jak tego psa? Miałeś przecież swoją kobietę. Głupia byłam, a tyś me tak opętał, co już świata Bożego za tobą nie widziałam! I czemuś me potem ostawił samą, na pastwę?

Ale i on, porwany żalami, zasyczał przez zaciśnięte zęby:

— To ja ci kazałem ostać moją macochą? Ja cię też pewnie niewoliłem, byś się tłukła z każdym, kto jeno chciał, co?

— To pocoś mi nie wzbronił? Byś me miłował, tobyś me nie dał na wolę, nie ostawiłbyś me samej a jeno strzegł przed złą przygodą, jak to drugie robią!— skarżyła się boleśnie i tak pełna niezgłębionego żalu, że już nie poredził się bronić. Odpadły go wszystkie złoście a serce się rozdygotało kochaniem.

— Cichoj, Jaguś, cichoj, dzieciątko! — szeptał z tkliwością.

— I taka krzywda mi się stała, to i ty powstajesz na mnie, jak wszystkie, i ty, i ty! — szlochała, wspierając głowę o stodołę.

Usadził ją przy sobie na miedzy i jął przygarniać do serca, a tulić, a głaskać po włosach i, obcierając jej twarz zapłakaną, całował jej wargi roztrzęsione, i te oczy zalane gorzkiemi łzami, te kochane a tak przesmucone oczy. Pieścił ją, przyhołubiał i spokoił, jak jeno poredził, że już płakała coraz ciszej, przywierając doń,

i z taką dufnością uwiesiła mu się na szyi a kładła głowę na jego piersiach, jakby na tem matczynem sercu, kaj tak lubo jest wypłakiwać wszystkie boleście a smutki...

Ale Antkowi już się mąciło w głowie, bo takie luboście biły od niej i tak go rozprażało jej ciepło, że coraz zajadlej całował i coraz mocniej ogarniał ją sobą...

Zrazu ani miarkowała, do czego idzie i co się z nią wyrabia. Dopiero, kiej się już całkiem poczuła w jego mocy, i kiej jął rozgniatać jej wargi rozpalonemi całunkami, zaczęła się szarpać a prosić lękliwie, prawie z płaczem:

— Puść me, Jantoś! Puść! Loboga, bo będę krzyczeć!

Ale mogła się to już wydrzeć smokowi, kiej ściskał, jaże tchu brakowało, i całą przejmował war i dygotania.

- Ostatni raz pozwól, ostatni! –skamlał, ledwie już zipiąc.

Aż świat się z nią zakręcił, i poleciała jakby na dno jakowegoś raju, a on ją wzion, jak to kiedyś brał, zapamiętale, przez lubą moc kochania, i dawała mu się też, jak kiedyś, w słodkiej udręce niemocy, na niezmierzone szczęście, na śmierć samą...

Jak kiedyś, mój Jezu! Jak dawniej! Jak zawdy!

Noc stała rozgwiażdżona, księżyc wisiał wysoko w pół nieba; nagrzane, rozpachnione powietrze obtulało pola pośpione w niezgłębionej cichości; cały świat leżał bez tchu w upojnem zapomnieniu i w słodkiej pieszczocie niepamięci.

A i w nich nie było już pomiarkowania o niczem, nic, kromie ognia i burzy, i nic, kromię wiecznie żądnej

i wiecznie nienasyconej tęsknicy. Jak kiedy uschnięta drzewina ożeni się z pierunem i buchnie w niebo płomieniami, że już wraz giną, hucząc weselną pieśń zatraty, tak i oni przepadli w jakichś nienasyconych żarach. Ożyły w nich dawne miłoście i zwarły się, strzelając bujnym, radosnym ogniem na to jedno mgnienie zapamiętania, na tę jedną tylko minutę ostatniej radości.

Bo kiej znowu siedli przy sobie, już im tak cosik omroczyło dusze, że spozierali na się trwożnie, ukradkiem, rozbiegając się oczami, kieby ze wstydem i żalem.

Na darmo szukał wargami jej warg głodnych całunków, jak kiedyś: odwracała się z niechęcią.

Na darmo szeptał przezwiska co najsłodsze: nie odpowiadała, pilnie zapatrzona w księżyc; więc burzył się w sobie i chłódł, przejęty dziwną markotnością i żalami.

Siedzieli, nie wiedząc już, co mówić, niecierpliwiąc się jeno a wyczekując, które się pierwej ruszy i pójdzie sobie precz.

A w Jagusi jakby już wszystko wygasło ze szczętem i rozsypało się w popiół, bo ozwała się z przytajoną złością:

— Aleś me zniewolił, kiej ten zbój, no!

— Nie mojaś to, Jaguś, nie moja? — Chciał ją przygarnąć, odepchnęła go gwałtownie.

— Anim twoja, ani niczyja, rozumiesz? Niczyja!

Rozpłakała się znowu, ale już jej nie spokoił ni utulał, lecz po jakim czasie powiedział ważnym głosem:

— Jaguś, poszłabyś ze mną we świat?

— Kajże to? — podniesła na niego zapłakane oczy.

— A choćby do samej Hameryki! Poszłabyś za mną, Jaguś?

— A cóż to poczniesz ze swoją kobietą?

Zerwał się, kieby go kto biczem trzasnął.

— Prawdę pytam! Trutkę to jej zadasz, czy co?

Pochwycił ją wpół, przygarnął krzepko i, całując namiętnie po całej twarzy, jął prosić a molestować, by z nim jechała we świat, kajby już ostali razem i na zawsze. Sporo czasu mówił o swoich zamysłach i nadziejach, czepił się bowiem nagle tej myśle uciekania z nią, kiej pijany płota, i kiej pijany też plótł, ogarnięty gorączkowem wzburzeniem. Wysłuchała wszystkiego do końca i odrzekła z przekąsem:

— Zniewoliłeś me do grzechu, to rozumiesz, com już docna zgłupiała i uwierzę ci w bele bzdury...

Przysięgał na wszystko, jako świętą prawdę powieda; nie chciała już nawet słuchać i, wyrwawszy się z jego rąk, szepnęła:

— Ani mi się śni uciekać z tobą. Poco? Abo mi to źle samej? — Obtuliła się zapaską, rozglądając się uważnie. — Późno, muszę juz bieżyć!

— Kajże ci pilno, nikto przecie z chałupy za tobą nie patrzy?

— Ale na ciebie pora. Już tam Hanka pierzynę wietrzy a wzdycha...

Rozżarł się na te słowa, kiej pies, i syknął urągliwie:

— Ja ci nie wypominam, kto tam na ciebie po karczmach wyczekuje...

— A jakbyś wiedział, co niejeden gotów czekać choćby do słońca, jakbyś wiedział! Sielnieś zadufany

w siebie i rozumiesz, co jeno ty jeden jesteś! — gadała, prześmiechając się zjadliwie.

— A to leć, choćby nawet do Żyda, leć! — wykrztusił.

Ale się nie ruszyła z miejsca; jeszcze stali przy sobie, dysząc jeno ciężko a poglądając na się rozsrożonemi ślepiami, a kieby szukając w sobie tych jakichś słów najbarzej bolących.

— Miałeś coś pedzieć, to mi rzeknij, bo więcej już do cię nie wyjdę...

— Nie bój się, nie będę cię wywoływał, nie...

— Bo choćbyś mi nawet u nóg skamlał, to nie wyjdę.

— Juści, czasu ci nie starczy, do tylu musisz co noc wychodzić...

— A żebyś skapiał, kiej ten pies! — skoczyła w pola, naprzełaj.

Nie pogonił jednak, ni nawet zawołał za nią, widząc, jak leciała przez zagony, kiej cień, i przepadła pod sadami; przecierał tylko oczy, kieby ze śpiku, a wzdychał markotnie.

— Zgłupiałem już docna! Jezu, dokąd to baba może zaprowadzić.

Było mu czegoś dziwnie wstyd, gdy wracał do chałupy; nie mógł sobie darować tego, co się stało, i srodze się tem gryzł i męczył.

Pościel gotowa już czekała na niego w sadzie, w półkoszkach, gdyż w izbie niesposób było wyspać z powodu gorąca i much.

Ale nie zasnął; leżał wpatrzony w dalekie migoty gwiazd i, nasłuchując cichych stąpań nocy, rozważał se o Jagusi.

— Ni z nią, ni przez niej! Ażebyś! — zaklął zcicha, i wzdychał żałośnie, i przewracał się z boku na bok, i odrzucał pierzynę, stawiając nogi na chłodnej, orosiałej trawie, ale śpik nie przychodził, i myśle o niej nie ustawały ni na to oczymgnienie.

Któreś dziecko zapłakało w chałupie, i zamamrotała cosik Hanka; uniósł głowę, ale po chwili przycichło, i znowu opadły go deliberacje i szły przez niego, kiej te wiośniane, pachnące zwiewy, kolebiące duszę słodkiemi spominkami; ale już się im nie dał w niewolę, a nasprzeciw, rozglądał się w nich trzeźwo, że wkońcu przyszedł do tego, co sobie rzekł uroczyście, jakby na świętej spowiedzi:

— Raz temu musi być koniec! Wstyd to i grzech! Coby to znowu ludzie pedzieli! Dyć ociec dzieciom jestem i gospodarz! Musi być koniec.

Postanawiał, ale było mu jej żal, nieopowiedzianie żal.

— Niech se jeno człowiek raz jeden pofolguje, a już się tak pokuma ze złem, co go i śmierć nie rozdzieli! — medytował gorzko i górnie.

Świt się już robił, całe niebo przyodziewało się kieby w te zgrzebne gzło, ale Antek jeszcze nie spał, zaś kiej biały dzień jął mu zazierać w oczy, przyleciała go budzić Hanka. Podniósł na nią schmurzoną twarz, lecz taki dziwnie był la niej dobry, że skoro mu opowiedziała,

ż czem to wczoraj przychodził kowal późnym wieczorem, pogłaskał ją po nieuczesanych włosach.

— Kiej się udało ze zwózką, to ci już cosik kupię na jarmarku.

Rozradowała się taką łaską i dalejże molestować, aby też kupić oszkloną szafę na talerze, jaką miały organisty.

— Pokrótce to se zamyślisz o dworskiej kanapie! — zaśmiał się, przyobiecując jednak, co jeno prosiła, i wstał prędko, robota bowiem czekała i trza było kark podać w jarzmo i ciągnąć, jak co dnia.

Rozmówił się jeszcze z kowalem i zaraz po śniadaniu Pietrka wyprawił do wożenia gnoju, a sam pojechał w parę koni do lasu.

W porębie jaże huczało od roboty; sporo narodu kręciło się przy obróbce drzewa, naciętego zimą, że kieby to nieustanne kucie dzięciołów, tak rozlegało się bicie siekier i trzeszczenie pił; zaś w bujnych trawach poręby pasły się lipeckie stada i dymiły ogniska.

Spomniał, co się tu kiedyś wyrabiało, i pokiwał głową, widząc, jak to już zgodnie robią razem Lipczaki z Rzepecką szlachtą i drugiemi.

— Bieda ich doprowadziła do rozumu. I potrza to było wszystkiego, co? — wyrzekł do Filipa, syna Jagustynki, okrzesującego chojary.

— A kto temu był winowaty, jak nie dziedzic a gospodarze! — mruknął ponuro chłop, nie przestając obrąbywać gałęzi.

— Ale może już najbarzej złoście i głupie podjudzania.

Przystanął w miejscu, kaj był zakatrupił borowego, i tak go cosik złego sparło pod piersiami, jaże zaklął:

— Ścierwa, przez niego cała moja marnacyja! Bym poredził, tobym ci jeszcze dołożył! — splunął i wziął się do roboty.

I już całe dnie woził na tartak, przypinając się do pracy z taką zapamiętałością, jakby się chciał zarobić na śmierć, lecz mimo tego nie zabił pamięci o Jagusi, ani o tej sprawie nieszczęsnej.

Któregoś dnia powiedział mu Mateusz, że kupili grunt na Podlesiu, dziedzic dał na spłatę i jeszcze przyobiecał zżynów i łat, zaś ślub Nastusi odłożyli, póki Szymek jako tako się nie zagospodaruje.

Co go ta obchodzi cudze, mało to jeszcze miał swoich turbacyj? A do tego kowal już prawie codziennie i na różne sposoby straszył go sprawą i zwolna, ostrożnie, a wielce chytrze napomykał, że, gdyby mu było pilno potrza, to ten i ów dałby pieniędzy...

Antek już sto razy gotów był prasnąć wszystko i uciekać, ale co spojrzał na wieś i co sobie wziął w myśle, jako pójdzie stąd na zawsze, to go taki strach ogarniał, iż wolałby kryminał, wolałby wszystko najgorsze, bele nie to.

Ale i o kryminale myślał z rozpaczą w duszy.

Więc z tego bojowania ze sobą zmizerował się, zgorzkniał i stał się w chałupie srogi a niewyrozumiały. Hanka w głowę zachodziła, nadaremno próbując się wywiedzieć, co mu się stało. Nawet zrazu podejrzewała, jako znowu spiknął się z Jagusią; ale co oko miała bystre, a odpasiona Jagustynka też za nimi patrzała i dru-

gie potwierdzali, że wyraźnie stronią od siebie i nikaj się nie schodzą, to się już uspokoiła z tej strony. Cóż z tego, że mu służyła, jak mogła najwierniej, że już jadło miał wybrane i na porę, w chałupie ochędożny porządek, że gospodarka szła jak najlepiej, kiej cięgiem był zły, chmurny, o bele co poniewierał i dobrego słowa jej nie dawał.

A już było najciężej, kiedy chodził cichy, strapiony, smutny, kiej noc jesienna, i ani się gniewał, ani uprzykrzał, a jeno ciężko wzdychał i na całe wieczory szedł do karczmy pić ze znajomkami.

Pytać otwarcie nie miała śmiałości, a Rocho klął się, że też nie wie o niczem, co mogło być prawdą, gdyż stary przychodził teraz jeno na noc, a całe dnie wędrował po okolicy ze swojemi książeczkami, a nauczając pobożne nabożeństwa do serca Jezusowego, którego urzędy wzbraniały odprawować po kościołach.

Aż któregoś wieczora, kiedy siedzieli jeszcze w izbie przy miskach, bo wiater się był zerwał po zachodzie, psy całą hurmą zaszczekały nad stawem. Rocho położył łyżkę, pilnie nasłuchując.

— Ktoś obcy! Trza wyjrzeć.

A tyla co jeno wyszedł, powrócił blady i rzekł prędko:

— Pałasze brzęczą na drodze! Jakby pytały, na wsi jestem!

Skoczył w sad i zginął.

Antek zbladł śmiertelnie i skoczył na równe nogi. Psy już docierały w opłotkach, na ganku rozległy się ciężkie stąpania.

— A może to już po mnie? — jęknął w trwodze.

Wszyscy jakby zmartwieli, ujrzawszy na progu strażników.

Antek nie mógł się poruszyć, a jeno latał oczyma po wywartych oknach i drzwiach. Szczęściem, co Hanka całkiem przytomnie zapraszała ich siedzieć, podsuwając ławę.

Grzecznie się przywitali, tak się zarazem przymawiając o kolację, że musiała im nasmażyć jajecznicy.

— Kajże tak późno? — zapytał wreszcie Antek.

— Po służbie! Dzieło u nas niemałe! — odrzekł starszy, wodząc oczami po zebranych w izbie.

— Pewnie za złodziejami?— dorzucił Antek śmielej, wynosząc flachę z komory.

— I za złodziejami, i za drugiem! Przepijcie do nas, gospodarzu!

Napił się z nimi. Przypięli się do jajecznicy, jaże łyżki dzwoniły.

Wszyscy siedzieli cichuśko, kiej te przytrwożone trusie.

Strażnicy wymietli miskę doczysta, przepili jeszcze gorzałką, i starszy, obcierając wąsy, rzekł uroczyście:

— Dawno was wypuścili z turmy, a?

— Niby to pan starszy nie wiedzą!

Rozdygotał się ździebko.

— A gdzież to Rocho? — spytał nagle starszy.

— Któren Rocho? — zrozumiał wmig i znacznie się uspokoił.

— Podobno u was żyje kakoj to Rocho?

— A może pan starszy mówią o tym dziadku, co to chodzi po wsi? Prawda, dyć go Rochem wołają!

Strażnik rzucił się niecierpliwie i rzekł groźnie:

— Nie róbcie szutek, przecież mieszka u was, wiadomo!

— Pewnie, co nieraz siedział u nas, ale siedział i u drugich. Proszalny dziadek, to kaj mu popadnie, tam i na noc głowę przytuli. Dziś w chałupie, indziej w obórce, a niekiedy i prosto pode płotem. Cóż to pan starszy upatrzył se na niego?

— Tak cóżby, nic, po znajomości pytam...

— Poczciwy człowiek, wody nikomu nie zamąci— wtrąciła Hanka.

— Nu, my znamy, kto to taki, znamy! — mruknął znacząco, próbując różnemi sposobami wypytywać o niego. Nawet już tabaką częstował, ale wszyscy tak gadali cięgiem jedno wkółko, że, nie mogąc niczego przewąchać, podniósł się z ławy ze złością: — A ja mówię, że mieszka u was, w chałupie!

— Przecie go w kieszeń nie schowałem! — odburknął Antek.

— Ja tu po służbie, ponimajcie, Boryna! –cisnął się groźnie starszy, ale jakoś się udobruchał, dostawszy na drogę mendel jajków i sporą osełkę świeżego masła.

Witek poszedł za nimi trop w trop, rozpowiadając potem, jako wstępowali do sołtysa i próbowali zazierać do poniektórych okien, jeszcze oświetlonych, jeno co pieski tak nászczekiwały, że, nie poredziwszy nikaj zajrzeć kryjomo, z niczem odeszli.

Ale to zdarzenie tak jakoś dziwnie rozebrało Antka, że, skoro jeno został sam na sam z żoną, zaczął się wyznawać z utrapień.

Słuchała z bijącem sercem, uważnie, nie przepuszczając ani jednego słowa, dopiero kiej wkońcu zapowiedział, jako im już nic nie pozostaje, jeno przedać wszystko i uciekać we świat, choćby do Hameryki, stanęła przed nim pobladła, kieby ściana.

— Nie pódę i dzieci na zatratę nie pozwolę! — wyrzekła groźnie — nie pódę! A jak mnie przyniewolisz, to siekierą łby dzieciom porozbijam, a sama choćby do studni! Prawdę mówię, tak mi, Panie Boże, dopomóż! Zapamiętaj to sobie! — krzyczała, klękając przed obrazami, jakby do uroczystej przysięgi.

— Cichoj! Dyć jeno tak mówię!

Wytchnęła nieco i rzekła ciszej, ledwie już łzy powstrzymując:

— Odsiedzisz swoje i wrócisz! Nie bój się, dam se radę... nie uronię ci ni zagona, jeszcze me nie znasz... nie popuszczę z pazurów. Pan Jezus pomoże, to i taki dopust udźwignę — płakała cicho.

Medytował długo i wkońcu powiedział:

— To bedzie, co Bóg da! trza poczekać na sprawę.

Że na nic się zdały chytre kowalowe zabiegi.

VI.

— Uwal się już raz i nie przeszkadzaj! — mruknął zgniewany Mateusz, przewracając się na drugi bok.

Szymek przywarł na chwilę, a skoro tamten znowu zachrapał, jął się cicho przebierać ze sąsieka, gdyż mu się przywidziało, jako do stodoły, kaj spali, już się wdzierają mąty pierwszych świtań.

Omackiem zbierał po klepisku narzędzia, jeszcze wczoraj nagotowane, i tak się śpieszył, że mu raz po raz cosik leciało z rąk z przeraźliwym brzękiem, jaże Mateusz klął przez śpik.

Ale nad ziemiami leżały jeszcze ciemnice, jeno gwiazdy były już bladawe, na wschodniej stronie ździebko się przezierało, i pierwsze kury biły skrzydłami, krzykając zachryple.

Szymek zebrał w taczki, co jeno miał, i, skradając się cichuśko kole chałupy, wydostał się nad staw.

Wieś spała, kiej zabita, nawet pies nie zaszczekał, a w cichości słychać było jeno bulgotanie wody, przeciskającej się przez zapuszczone stawidła młyna.

Na drogach, przycienionych sadami, było jeszcze tak ciemno, że ledwie kajś niekaj zamajaczyła bielona ściana, zaś staw tyla jeno przezierał z nocy, co tem lśnieniem odbijających się gwiazd.

Ale, dochodząc matczynej chałupy, zwolnił kroku, pilnie nasłuchując, gdyż w opłotkach jakby ktosik chodził z cichym a nieustającym mamrotem.

— Kto tam? — posłyszał naraz głos matki.

Zdrętwiał i stał z zapartym oddechem, nie śmiejąc się poruszyć, zaś stara, nie doczekawszy się odpowiedzi, znowu jęła chodzić.

Widział ją, kieby cień, snującą się pod drzewami; macała sobie drogę kijaszkiem i chodziła, odmawiając półgłosem litanję.

— Tłuką się po nocy, kiej Marek po piekle — pomyślał, ale westchnął jakoś żałośnie i cichuśko, strachliwie przemknął się dalej. — Gryzie ich moja krzywda! Gryzie! — powtórzył z głęboką uciechą, wychodząc na szeroką, wyboistą drogę za młynem, i naraz pognał, jakby go cosik popędzało, nie bacząc już na doły ni kamienie.

Wstrzymał się dopiero pod krzyżem, na rozstajach dróg podleskich. Za ciemno było jeszcze stawać do roboty, więc se przysiadł pod figurą, odzipnąć nieco i poczekać.

— Złodziejska godzina, niesposób rozeznać zagona od boru — mruczał, brodząc oczyma po świecie. Pola stały jeszcze potopione w rozmrowionych ciemnościach, ale na niebie już się coraz barzej jarzyły złociste smugi świtania.

Dłużył mu się czas, że jął się pacierza, ale co jeno tknął ręką orosiałej ziemi, to gubił słowa i spominał se z lubością, jako już idzie na swoje, na gospodarkę.

— Mam cię i nie popuszczę — myślał hardo, radośnie i z niezmierną zapamiętałością kochania wżerał się rozgorzałemi ślepiami w skołtunione pod lasem ciemnoście, kaj już czekały na niego te sześć morgów, kupione od dziedzica.

— Przygarnę ja was, sieroty kochane, i nie opuszczę, póki życia! — mamrotał, ściągając kożuch na rozmamlane piersi, bo go był chłód ździebko przejmował, i, wsparłszy się w krzyż plecami, zapatrzony w świtania, zachrapał, rychło żmożony śpikiem.

Już pola szarzały, kiej wody, szeroko rozlane, a siwe od rosy zboża trącały go rozruchanemi kłosami, gdy zerwał się na nogi.

— Dzień, kiej wół, pora na robotę — szepnął, przeciągając kości, i klęknął pod krzyżem do pacierza; ale nie trzepał na pytel, jak to zawdy robił, bele jeno zbyć, a dużo nawzdychać, a w piersi się nagrzmocić i tyla się nażegnać, jaże kulas zdrętwieje: dzisiaj było inaczej, o wspomożenie bowiem Pańskie zabłagał rzewliwie, i tak ze wszystkiej duszy, jaże mu łzy pociekły, i, obejmując Jezusowe nóżki, zaskamlał, wpatrzony wiernemi ślepiami w Jego twarz umęczoną i świętą:

— Dopomóż, Jezu miłosierny! Rodzona mać me ukrzywdziła, tobie jeno się oddawam, sierota! pomóż! Dyć, kiej ten ostatni, na ciężki wyrobek staję! Juści com grzeszny, ale me spomóż, Panie miłosierny, to już na mszę dam, abo i na dwie! Świec nakupię, a jak się dorobię, to nawet baldach sprawię! — prosił i przyobiecywał, serdecznie przywierając wargami do krzyża, obszedł go na kolanach, ucałował pokornie ziemię i wstał wielce skrzepiony i dufny w siebie.

I mocnym się poczuł i gotowym już na wszystko i tak dobrej myśle, że, ująwszy ciężkie taczki, pchał je, kiej piórko, hardo tocząc oczami po Lipcach, leżących niżej, a całych jeszcze we mgłach, z których jeno ko-

ścielna wieża biła wysoko, grając w zorzach pozłocistym krzyżem.

— Obaczycie! Hej! obaczycie! — krzyknął radośnie, wchodząc na swoje gronta. Leżały tuż pod lasem, jednym bokiem przywarte do pól lipeckich, ale Boże się zmiłuj, co to były za gronta! Kawał dzikiego ugoru, pełen dołów po cegielni, szutrowisk i kamionek, obrosłych cierniami. Dziewanny, psi rumianek i końskie szczawie bujnie się pleniły na wzgórkach, a kaj niekaj z trudem wynosiła się pokręcona sosenka, to kępa olch lub jałowców, zaś po dołkach i młakach sitowia i trzciny burzyły się, kiej młode bory. Słowem, ziemia była taka, co piesby nad nią zapłakał, że nawet sam dziedzic odradzał, ale chłopak się uparł.

— W sam raz la mnie! Uredzę i takiej!

I Mateusz go odwodził, ze strachem spoglądając na to dzikie wywieisko, kaj jeno pieski folwarczne odprawiały swoje wesela, ale Szymek cięgiem prawił swoje, a wkońcu twardo powiedział:

— Rzekłem! Każda ziemia dobra, jak się jej człowiek dołoży!

I wziął ją, bo dziedzic sprzedał tanio, po sześćdziesiąt rubli morgę, i jeszcze przyobiecał pomoc w drzewie i różnościach.

— Hale, cobym to nie miał poredzić! — wykrzyknął, oblatując ją rozgorzałemi oczyma i, złożywszy taczki na miedzy, jął obchodzić swoje granice, znaczone nawtykanemi gałęziami.

Chodził zwolna i w takiej cichej a głębokiej radości, jaże serce biło mu, kiej młotem, i gardziel zatykało.

Chodził, układając sobie w głowie po porządku, co robić i od czego zaczynać. Przecież to miał robić la siebie, la Nastusi, la przyszłego rodu Paczesiów, to się tak był sprężył w mocy i srogiej ochocie, jako ten głodny wilk, gdy przychwyci barana i dorwie się żywego mięsa.

I, obszedłszy całe pole, jął rozważnie wybierać miejsce pod chałupę.

— Rychtyk najlepsze, wieś naprzeciw i bór pod bokiem, łacniej będzie o drzewo i ciszej na zimę—rozważał i, oznaczywszy kamieniami cztery węgły, ściepnął kożuch, przeżegnał się i, splunąwszy w garście, wziął się do równania ziemi a karczunków.

Dzień się już był podniósł złocisty, od wsi leciały porykiwania stad, wypędzanych na paszę, skrzypiały żórawie, ludzie wychodzili do roboty, turkotały po drogach wozy i niesły się przeróżne głosy wraz z leciuśkim wiaterkiem, który zaswywolił we zbożach, wszystko szło, jak co dnia, tylko Szymek, nie bacząc na nic, jakby się zapamiętał w pracy, niekiedy jeno prostował grzbiet, odzipiał, przecierał oczy, zalane potem, i znowu przypinał się do ziemi, kieby ta pijawka nienasycona, mamrocząc cięgiem wedle swego zwyczaju do każdej rzeczy, jakby do czegoś żywego.

Jął się był właśnie wyważania wielgachnego kamienia i prawił:

— Wyleżałeś się, odpocząłeś, to mi teraz możesz chałupę podeprzeć.

A wycinając krze tarniny, mówił ze szydliwym prześmiechem:

*

— Nie broń się, głupie! myśli, co mi się oprze! Hale! ostawie cię to, byś portki ozdzierało, co?

Zaś do kamionek odwiecznych rzekł:

— I was ruszę, ciężko gnieść się na kupie! Bruk z waju wyrychtuję kole obory, jak u Borynów!

A niekiedy, nabierając oddechu, ogarniał swoją ziemię miłującemi oczami a szeptał gorąco:

— Mojaś ty! Moja! Nikt mi cię nie wydrze!

I, współczując tej biedocie zachwaszczonej, płonej, nieurodzajnej i opuszczonej, dodawał pieszczotliwie, kieby do dzieciątka:

— Poczekaj ździebko, sieroto, uprawię cię, napasę, wycackam, że rodzić będziesz, jak i drugie. Nie bój się, dogodzę ci, dogodzę.

Słońce się podniesło na pola i zaświeciło mu prosto w oczy.

— Panie Boże, zapłać! — wyrzekł, przymrużając oczy. — Na gorąc znowu idzie i suszę—dodał, bo wynosiło się srodze rozczerwienione.

Pokrótce ozwała się i sygnaturka na kościele, a nad lipeckiemi kominami podnosiły się zwolna modrawe słupy dymów.

— Podjadłbyś se tera, gospodarzu, co?—przyciągnął pasa—jeno ci już matka dwojaków nie przyniesą, nie—westchnął smutnie.

I na podlaskich rolach zaroiło się od ludzi, stawali, jak i on, do roboty, na co dopiero nabytych ziemiach; dojrzał Stacha Płoszkę, orzącego w parę tęgich koni.

— Mój Jezu, kiedy to dasz choćby jednego — pomyślał.

Wachnik Józef zwoził kamienie na fundamenty chałupy, Kłąb ze synami okopywał rowem swoją ziemię, a Grzela, wójtów brat, przy samym krzyzie nade drogą coś długo rozmierzał tyką.

— Miejsce jakby wybrane pod karczmę — zauważył Szymek.

Grzela, oznaczywszy kołkami wymierzony plac, przyszedł z pozdrowieniem.

— Ho, ho! robisz widzę za dziesięciu! — podziwiał w oczach.

— A bo mi to nie potrza? Cóż to mam? Jedne portki a te gołe pazury! — mruknął, nie odrywając rąk od roboty.

Grzela poradził mu to i owo i wrócił do swojego, a po nim zachodziły i drugie, kto z dobrem słowem, kto na pogwarę, a kto jeno wykurzyć papierosa i zębów naszczerzyć, ale Szymek odpowiadał coraz niecierpliwiej, że już wkońcu ostro krzyknął na Pryczka:

— Robiłbyś swoje i drugim nie przeszkadzał! Świątki se juchy robią!

I ostał sam, bo go już omijali.

Słońce podnosiło się coraz wyżej, wisiało już nad kościołem, niesło się niepowstrzymanie, zalewając świat ślepiącą jasnością i żarem, wiater się był kajś zadział, że już gorąc bez przeszkody ogarniał ziemię rozmigotaną przysłoną, w której zboża pławiły się, kieby w tym rozbełtanym, cichuśkim wrzątku.

— Mnie ta rychło nie spędzisz—rzekł jakby przeciw słońcu i, dojrzawszy Nastusię ze śniadaniem, wyszedł naprzeciw, łapczywie zabierając się do dwojaków.

Nastusia jakoś markotnie spozierała po polach.

— A bo się to co urodzi na takich zdziarach i mokradłach!

— Wszystko się urodzi, obaczysz, co i pszenicę miała będziesz na placki.

— Czekaj tatka latka, jak kobyłę wilcy zjedzą.

— Nie zjedzą, Nastuś! Gront jest, to i łacniej przeczekać, dyć całe sześć morgów nasze — prawił, pojedając z pośpiechem.

— Juści, to ziemi pewnie ugryzie! A jak to przezimujemy?

— Moja w tem głowa, nie turbuj się! O wszyćkiem deliberowałem i wszyćkiemu najdę zaradę! — odsunął puste dwojaki, przeciągnął koście i powiódł ją, pokazując i tłumacząc.

— W tem miejscu stanie chałupa — zawołał radośnie.

— Stanie! Z błota ją pewnie ulepisz, kiej jaskółka!

— A z drzewa i gałęzi, i z gliny, i z piasku, i z czego się jeno da, bele tylko w niej przetrzymać z jakiś roczek, póki się nie wspomożemy.

— Sielny dwór, widzę, zamyślasz! — warknęła niechętnie.

— Wolę w budzie, niźli u kogo na komornem.

— Mówiła Płoszkowa, żeby się do nich sprowadzić na przezimowanie, i sama się ochfiarowała dać nam izbę, z dobrego serca.

— Z dobrego serca. A juści, pewnikiem chce zrobić na złość matce, dyć się źrą ze sobą, kiej te psy. Torba zapowietrzona, nie potrzebuję jej dobrości. Nie bój się, Nastuś, wyrychtuję ci taką chałupę, że i okno będzie, i komin, i wszyćko, co ino potrza. Obaczysz, że, jak ament w pacierzu, tak za trzy niedziele stanie gotowa, żebym se miał kulasy urobić, a stanie.

— Hale, sam to pewnie postawisz!

— Mateusz mi pomoże, przyobiecał!

— Nie dałaby to matka jakiego wspomożenia? — powiedziała lękliwie.

— Żebym skapiał, a prosił ich nie będę! — wykrzyknął, ale, widząc, co jeszcze barzej posmutniała, wielce się sfrasował i, kiej przysiedli pod żytem, jął się lękliwie tłumaczyć.

— A mogę to, Nastuś? Jakże, wygnała me i na ciebie pomstuje.

— Mój Boże, żeby choć jaką krowinę dali, a to, jak te najgorsze dziadaki, przez niczego, jaże strach pomyśleć.

— Będzie i krowa, Nastuś, będzie, jużem se jedną upatrzył.

— Bo to ani chałupy, ani bydlątka, ani nic! — zapłakała, przytulając się do niego, obcierał jej oczy, głaskał po głowinie, ale że i jemu robiło się żałośnie, co dziw sam nie beknął, to porwał się na nogi, chycił za łopatę i krzyknął, jakby srodze zgniewany:

— Bój się Boga, kobieto, tylachna roboty, a ty jeno wyrzekasz?

Podniesła się, pełna ciężkich turbacyj a trosk niemałych.

— Bo jeśli z głodu nie pomrzem, to nas wilki zjedzą na tem wywieisku.

Rozgniewał się na dobre i, bierąc się do roboty, rzekł twardo:

— Masz buczeć i pleść bele co, to lepiej ostań se w chałupie.

Chciała się przygarnąć do niego i udobruchać, ale ją odepchnął.

— Hale, pora tera na jamory, juści! — dał się jednak ugłaskać, choć się ta jeszcze sierdził na babie gadanie, że odeszła spokojna i nawet wesoła.

— Loboga! Dyć i kobieta człowiek, a po człowieczemu nie wyrozumie. Płacze jeno a lamenty, samo z nieba nie spadnie, jak się kulasami nie wyrobi. Kieby te dzieci, to śmiech, to płacz, to złoście i wyrzekania! Loboga!

Mamrotał, przypinając się do roboty, że wnet zapomniał o całym świecie.

I już tak pracował dzień w dzień, o pierwszym świcie się zrywał i wracał późnym wieczorem, że często gęby nie ozwarł na nikogo przez cały dzień, jadło przynosiła mu Tereska albo kto drugi, gdyż Nastusia odrabiała przy księżych ziemniakach.

Zrazu zaglądał do niego ten i ów, ale, że nierad był pogwarom, to jeno zdala poglądali, dziwując się jego niestrudzonej pracy.

— Kwarda jucha! Ktoby się to był spodział — mruknął Kłąb.

— A bo to nie Dominikowe nasienie! — wykrzyknął ze śmiechem ktosik drugi, ale Grzela, któren go od samego początku pilnie obserwował, rzekł:

— Prawda, że haruje, kiej wół, ale trzaby mu ździebko ulżyć.

— Juści, sam nie uradzi, trzaby, wart tego! — przytwierdzali, jeno co nikto się nie pokwapił na pierwszego, wyczekując, jaże sam poprosi.

Ale Szymek nie prosił, ani mu to w głowie postało, więc też któregoś dnia srodze się zdumiał, dojrzawszy jakiś wóz, jadący ku niemu.

Jędrzych powoził i już zdala krzyczał wesoło:

— Pokaż, kaj mam podorywać! Dyć to ja!

Szymek dopiero po długiej chwili uwierzył oczom.

— Żeś się to ważył, no, spierą cię, chudziaku, obaczysz.

— A niechta! a jak me spierą, to już całkiem do ciebie przystanę.

— I sameś to umyślił mi pomagać?

— A sam! Dawno chciałem, jenom się bojał, pilnowali me, i zrazu Jagusia też odradzała — rozpowiadał szeroko, bierąc się do roboty, że już razem orali cały dzień, a odjeżdżając, obiecał przyjechać jeszcze i nazajutrz.

I przyjechał równo ze słońcem, a Szymek zaraz obaczył jego policzki ździebko posinione, ale spytał się dopiero przed wieczorem.

— Sielne piekło ci zrobili?

— I... ślepi, to im niełacno me zmacać, a sam przecie pod pazury nie wlezę — powiadał jakoś markotnie.

— A Jagna cię nie wydała?

— Jagusia przeciek nie stoi nam na zdradzie.

— Póki jej cosik do łba nie strzeli, kto to wyrozumie kobiety! — westchnął żałośnie i wzbronił mu więcej przyjeżdżać.

— Sam se już dam radę, pomożesz mi później, przy siewach.

I znowu ostał sam i robił niestrudzenie, kiej ten koń w kieracie, nie bacząc na utrudzenie ni na żar, dnie bowiem szły takie gorące, rozprażone a duszne, że ziemia pękała, wody wysychały, trawy żółkły, a zboża stały ledwie już żywe w owej piekielnej pożodze, pola robiły się puste i głuche, gdyż niesposób było wytrzymać przy robocie, prosto żywy ogień lał się z nieba i słońce wyżerało ślepie. Zbielałe, mętne niebo wisiało, kieby ta ognista, rozdrgana płachta, obtulająca wszystką ziemię taką spieką, że ni wiater się poruszył, ni zaruchały się drzewa, ni ptak zaśpiewał, lebo głos ludzki się kaj zerwał, a co dnia jednako ze wschodu na zachód wędrowało słońce, siejąc nieubłaganie ogień i posuchę.

A i Szymek co dnia jednako stawał do roboty, nie dając się spędzić upałom, że nawet już noce przesypiał na polu, bele jeno czasu nie mitrężyć, aż go Mateusz hamował w onej zajadłości, ale mu rzekł krótko:

— W niedzielę se odpocznę!

Jakoż w sobotę wieczorem przyszedł do chałupy, ale tak przemordowany, iż zasnął przy misce, a nazajutrz spał prawie cały dzień, bo dopiero na odwieczerzu zwlókł się był z barłogu i, przybrawszy się od-

świętnie, zasiadł przed kopiastemi michami; chodziły też kole niego kobiety, kieby kole tej ważnej osoby, często dokładając i bacząc na każde skinienie, on zaś, nałożywszy się dosyta, pasa popuścił, kości rozprostował i huknął wesoło:

— Bóg zapłać, matko! A tera chodźma się ździebko poweselić!

I ruszył z Nastusią do karczmy, a za nimi Mateusz z Tereską.

Żyd kłaniał mu się w pas, gorzałkę stawiał bez wołania i gospodarzem przezywał, z czego Szymek niemało się puszył i, podpiwszy se galancie, darł się między najpierwsze i swoje o wszyćkiem powiedał.

W karczmie było ludno i muzyka przygrywała la większej ochoty, ale nikto się jeszcze nie brał do tańców, a jeno przepijali do się, biadoląc na gorąc, to na przednówek, jak to zwyczajnie w karczmie.

Przyszły nawet Boryny z kowalami, ale powiedli się do alkierza i musi co se niezgorzej używali, bo Żyd raz po raz nosił im gorzałkę a piwo.

— Antek patrzy dzisia w swoją kobietę, kieby gapa w gnat, że nawet człowieka nie poznaje—wyrzekał markotnie Jambroż, na darmo zazierając do alkierza, skąd się roznosiły brzękliwe, lube głosy.

— Bo mu lepszy swój trep, niźli buciary, co na każdy kulas idą — rzekła z prześmiechem Jagustynka.

— Ale w takich nóg se człowiek nie urazi!—dorzucił ktosik, a cała karczma gruchnęła śmiechem, rozumiejąc, co Jagusię mają na myślach.

Jeno Szymek się nie śmiał, bo, ułapiwszy Jędrzycha za szyję, całował go, a prawił dobrze już napiłym głosem:

— Słuchać me powinieneś, pomiarkuj jeno, kto do cię mówi.

— Dyć wiem, juści... jeno matula przykazali — jąkał płaczliwie.

— Co tam matula! mnie się posłuch należy, gospodarz jestem.

Muzykanty wyrżnęły chodzonego, podniósł się wrzask, rypnęły obcasy, zaskowyczały dyle, zaśpiewały piosneczki, zakręciły się pary, to i Szymek ułapił wpół Nastusię, kapotę rozpuścił, czapę zbakierował, da dana gruchnął, wysforował się na pierwszego i najgłośniej krzykał, najzapamiętalej bił w podłogę, najostrzej zawracał i toczył się bujnie, wesoło, rozgłośnie, kiej ten potok, nabrany zwiesnową mocą.

Ale kiej przetańcował raz i drugi, dał się kobietom wywieść z karczmy i już galancie przetrzeźwiony siedział z niemi pod chałupą, przylazła też Jagustynka i tak se wraz pogadywali, bo, chociaż późno było, i Szymek zbierał się do powrotu, ale było mu jakoś niesporo, ociągał się, zwłóczył, do Nastki się przygarniał i czegoś wzdychał, jaże matka rzekła:

— Ostań w stodole, kaj ta będziesz się tłukł po nocy.

— Kiedy pościele ma już tam, w budzie — tłumaczyła Nastusia.

— A to go puść pod swoją pierzynę, Nastuś — ozwała się Jagustynka.

— Co wam też w głowie! Hale, jeszcze czego!— broniła się zesromana.

— Dyć to twój chłop! Że ta ździebko przódzi, nim ksiądz poświęci, nie grzech, a chłopak haruje, kieby wół, to mu się należy nadgroda.

— Święta prawda! Nastuś! Nastuś! — skoczył, kiej wilk, do dziewczyny, przycapił ją kajś w sadzie i, nie popuszczając z garści, całował i skamlał:

— Wygonisz me to, Nastuś? wygonisz, najmilsza, w taką noc?

Matka nalazła se jakąś sprawę w sieni, a Jagustynka rzekła na odchodnem:

— Nie broń mu, Nastuś! Mało dobrego na świecie, a zdarzy się, kieby to ziarno ślepej kurze, to je z pazurów nie popuszczajta.

Rozminęła się w opłotkach z Mateuszem, któren, dojrzawszy przez okno, co się w izbie święci, krzyknął do Szymka:

— Na twojem miejscu jużbym to dawno zrobił!

I, pogwizdując, leciał na wieś szukać uciechy.

Ale nazajutrz o świtaniu Szymek stanął na robòtę, jak zawdy, i pracował niestrudzenie, tylko, kiedy mu Nastuś przyniesła śniadanie, to łakomiej sięgał jej warg czerwonych, niźli dwojaków.

— A zdradź me ino, to ci łeb wrzątkiem obleję— groziła, wpierając się w niego.

— Mojaś, Nastuś... samaś mi się dała... już cię nie popuszczę—bełkotał gorąco i, zazierając jej w oczy, dodał ciszej:—chłopak musi być pierwszy.

— Głupiś! Hale, jakie mu to zbereźeństwa we łbie! — odepchnęła go i zapłoniona uciekła, gdyż niedaleczko ukazał się pan Jacek, fajeczkę se kurzył, skrzypki ściskał pod pachą i, pochwaliwszy Boga, rozpytywał o różnoście. Szymek rad przechwalał się z tego, co to już dokonał, i znagła oniemiał i ślepie wybałuszył, bo pan Jacek skrzypki odłożył, kapotę ściepnął i zabrał się do przerabiania gliny.

Szymek jaże łopatę wypuścił i gębę rozdziawił.

— Czegóż się dziwujesz, hę?

— Jakże? to pan Jacek będą ze mną robili?

— A będę, pomogę ci przy chałupie, myślisz, że nie poradzę? Zobaczysz.

I robili już we dwóch, wprawdzie stary wielkiej mocy nie miał i chłopskiej robocie był niezwyczajny, ale miał takie przemyślne sposoby, że praca szła znacznie prędzej i składniej. Juści, co Szymek skwapliwie słuchał go we wszystkiem, mrucząc jeno kiej niekiej:

— Loboga, tego jeszcze nie bywało na świecie... Żeby dziedzic...

Pan Jacek jeno się prześmiechał i jął pogadywać o takich różnościach i takie cudeńka prawił o świecie, jaże Szymek dziw mu do nóg nie padł w podzięce a zdumieniu, jeno co nie miał śmiałości, ale wieczorem poleciał rozpowiedzieć o wszystkiem Nastusi.

— Mówili, co głupawy, a on ci, kiej ten ksiądz, najmądrzejszy! — zakończył.

— Drugi mądrze powieda i głupio robi! Juści, żeby miał dobry rozum, toby ci może pomagał, co? Albo pasałby Weronczyne krowy?

— Prawda, że tego ani sposób wymiarkować!

— Nic, jeno mu się w głowie popsuło.

— Ale też lepszego człowieka nie należć na świecie.

I był mu niezmiernie wdzięczny za tę dobroć, ale, chociaż razem pracowali, z jednych dwojaków jedli, a pod jednym kożuchem sypiali, to jednak nijakoś mu się było z nim podufalej stowarzyszać.

— Zawdyć to dziedzicowy gatunek—myślał z głębokiem uważaniem i wdzięcznością, bo przy jego pomocy chałupina rosła, kieby na drożdżach, zaś kiedy Mateusz przyszedł z pomocą, a Kłębowy Adam nawiózł z boru, co było jeno potrza, to buda stanęła taka galanta, jaże ją było widać z Lipiec. Mateusz prawie cały tydzień harował sielnie, drugich poganiając, i kiej skończyli w sobotę po południu, zieloną wiechę zatknął na kominie i poleciał do swojej roboty.

Szymek jeszcze wybielał izbę a uprzątał wióry i śmiecie, zaś pan Jacek przybrał się, skrzypki wziął pod pachę i rzekł ze śmiechem:

— Gniazdko gotowe, nasadźże sobie kokosz...

— Dyć jutro ślub po nieszporach—rzucił mu się dziękować.

— Nie robiłem za darmo! Jak mnie ze wsi wypędzą, to przyjdę do ciebie na komorne—fajeczkę zapalił i polazł w stronę lasu.

A Szymek, chociaż wszystko pokończył, łaził jeszcze czegoś, przeciągał strudzone koście i patrzył na chałupę z niespodziewaną uciechą.

— Moja! Juści co moja!—gadał i, jakby nie wierząc oczom, dotykał ścian, obchodził dokoła i zaglądał przez okno, wciągając z lubością skisły zapach wapna i surowej gliny, że dopiero o zmierzchu ruszył do wsi szykować się na jutro.

Juści, co już wszystkie wiedziały o ślubie, więc i Dominikowej doniesła któraś ze sąsiadek, ale stara udała, iż nie miarkuje, o czem powiedają.

Zaś nazajutrz w niedzielę już od wczesnego rana Jagusia raz po raz wymykała się z chałupy ze sporemi tobołami, cichaczem, przez ogrody, dygując je do Nastusi, lecz stara, chociaż dobrze czuła, co się wyrabia, nie przeciwiła się niczemu, łaziła jeno milcząca i tak chmurna, co Jędrzych dopiero po sumie ośmielił się do niej przystąpić.

— A to już pójdę, matulu! — szepnął, trzymając się zdaleka, ostrożnie.

— Koniebyś lepiej wygnał na koniczysko...

— Dzisia Szymkowe wesele, nie wiecie to...

— Chwała Bogu, co nie twoje! — zaśmiała się urągliwie. — A spij się, to obaczysz, co ci zrobię! — pogroziła ze złością i, kiej chłopak wziął się przybierać odświętnie, powlekła się kajś na wieś.

— A spiję się, na złość się spiję! — mamrotał, biegnąc przez wieś do Mateuszowej chałupy. Rychtyk już wychodzili do kościoła, jeno że cicho, bez śpiewań, bez krzyków i bez muzyki. Ślub się też odbył całkiem biednie, przy dwóch jeno świecach, że Nastusia rozpłakała się rzewliwie, a Szymek bzdyczył się czegoś i hardo, zaczepliwie patrzył w ludzi i po pu-

stym kościele. Szczęściem, co na wychodnem organista zagrał tak skocznie, jaże nogi zadrygały i stało się jakoś raźniej i weselej na duszach.

Jaguś zaraz po ślubie wróciła do matki, a jeno później zaglądała niekiedy do weselników, bo Mateusz zagrał na skrzypicy, Pietrek Borynów przywtórzył na fleciku, a ktosik srodze przybębniał, że zatańcowali w ciasnej izbie, a poniektóre, co ochotniejsze, to prosto przed chałupą, między stołami, kaj się porozsadzali godownicy, jedząc, przepijając, a gwarząc zcicha, że to nijako było się wydzierać za dnia i po trzeźwemu.

Szymek cięgiem łaził za żoną, w kąty ją ciągnął, a tak siarczyście całował, jaże przekpiwali z niego, a Jambroż rzekł posępnie:

— Ciesz się, człowieku, dzisia, bo jutro zapłaczesz! — i gonił ślepiami kieliszek.

Coprawda, to i ochoty wielkiej nie było i na większą zabawę się nie zanosiło, gdyż niejedni, podjadłszy ździebko i posiedziawszy obyczajnie czas jakiś, gdy słońce zaszło i niebo stanęło w ogniach zórz, jęli się już zbierać do domów. Tylko jeden Mateusz srodze się rozochocił, grał, przyśpiewywał, dzieuchy do tańców niewolił, gorzałką częstował, a skoro się pokazała Jagusia, sielnie się z nią stowarzyszył, w oczy zazierał i zcicha, gorąco cosik prawił, nie bacząc na rozjarzone łzami oczy Tereski, stróżujące nieodstępnie.

Jaguś nie stroniła od niego, bo ni ziębił, ni parzył, słuchała cierpliwie, zważając jeno pilnie, czy nie nadchodzą Antkowie, z którymi za nic spotkać się nie chciała. Na szczęście, nie przyszli, nie było też żadnego

z większych gospodarzy, chociaż zaprosinom nie odmówili, a wspomogę na wesele, jak to było zwyczajnie, przysłali, więc skoro ktosik o tem wspomniał, Jagustynka wykrzyknęła po swojemu:

— Żeby ta smaków nagotowali, a zapachniała kufa okowitki, toby się kijem nie opędził od najpierwszych, ale na darmo nie lubią brzuchów trząchać i suchemi ozorami mleć.

Że zaś już była ździebko napita, to, dojrzawszy Jaśka Przewrotnego, jak kajś w kącie wzdychał żałośliwie, nos ucierał i ogłupiałemi oczami spozierał w Nastusię, pociągnęła go do niej la prześmiechów.

— Potańcuj z nią, użyj se choć tyla, kiej ci matka wzbronili żeniaczki, a zabiegaj kole niej, może ci co z łaski udzieli, ma chłopa, to już jej zarówno, jeden czy więcej.

I wygadywała takie trefności, jaże uszy więdły, zaś kiedy i Jambroż dorwał się kieliszka i jął po swojemu gębę rozpuszczać, to już oboje rej wiedli, pyskując do śmiechu, aże się trzęsły wszystkie kałduny, ani się spostrzegając w onej zabawie, jak im przeszła ta krótka noc.

Że wmig ostał z obcych jeno Jambroż, sączący flachy dosucha, zaś młodzi postanowili zaraz przenieść się na swoje; Mateusz przyniewalał do pozostania w chałupie na jakiś czas, ale Szymek się uparł, konia pożyczył od Kłęba, skrzynie a pościele i statki upakował na wozie, Nastusię z paradą usadził, matce padł do nóg, szwagra ucałował, famjeljantom pokłonił się w pas, przeżegnał się, konia śmignął i ruszył, a pobok szli odprowadzający.

I wiedli się w milczeniu, właśnie słońce co jeno było się pokazało, pola stanęły w roziskrzonych rosach i ptasich śpiewaniach, zaruchały się ciężkie kłosy i wszystkim światem buchnęła weselna radość dnia, co, jak ten święty pacierz, wionął z każdego źdźbła i unosił się wraz ku niebu jasnemu.

Dopiero za młynem, gdy dwa boćki jęły kołować wysoko nad nimi, ozwała się matka, strzepując palcami:

— Na psa urok! Dobra wróżba, będą się wama dzieci darzyć.

Nastusia ździebko poczerwieniała, a Szymek, wspierając wóz na wybojach, zagwizdał zuchwale i hardo potoczył ślepiami.

Zaś kiej już sami ostali, Nastusia, rozejrzawszy się po swojem nowem gospodarstwie, rozpłakała się żałośnie, aż Szymek krzyknął:

— Nie bucz, głupia! Drugie i tyla nie mają! Jeszcze ci będą zazdrościły — dodał, a że był wielce strudzony i nieco napity, uwalił się w kącie na słomie i wnet zachrapał, a ona zasiadła pod ścianą i popłakiwała, spozierając na białe ściany Lipiec, widne ze sadów.

I nieraz jeszcze płakała na swoją biedę, jeno co już coraz rzadziej, gdyż wieś jakby się zmówiła na ich wspomożenie. Najpierwej przyszła Kłębowa z kokoszką pod pachą i stadem kurcząteк w koszyku i snadź dobry zrobiła początek, bo prawie każdego dnia zaglądała do niej któraś z gospodyń, a nie z próżnemi rękami.

— Ludzie kochane, a czemże się ja wam odsłużę — szeptała wzruszona.

*

— A choćby dobrem słowem — odparła Sikorzyna, dając jej kawał płótna.

— Jak się dorobisz, to oddasz biedniejszym — dodała rozsapana Płoszkowa, wyciągając z pod zapaski niezgorszy kawał słoniny.

I nanieśli jej tyla, że mogło starczyć na długo, a któregoś zmierzchu Jasiek przywiódł im swojego Kruczka i, uwiązawszy go pod chałupą, uciekał, jakby oparzony.

Śmiali się niemało, rozpowiadając o tem Jagustynce, wracającej z boru, stara skrzywiła się wzgardliwie i rzekła:

— W przypołudnie zbierał la cię, Nastuś, jagódki, ale matka mu odebrała.

—

VII.

Pociągnęła do Borynów, niesąc czerwonych jagód la Jóźki, a że właśnie Hanka doiła krowy przed chałupą, przysiadła pobok na przyźbie, rozpowiadając szeroko, jak to Nastusię obdarzają.

— Hale, na złość Dominikowej to robią — zakończyła.

— Nastce to zarówno, ale trzebaby i mnie co ponieść — szepnęła Hanka.

— Narychtujcie, to zaniesę — nastręczała się skwapnie, gdy z izby rozległ się słaby, proszący głos Jóźki:

— Hanuś, dajcie jej moją maciorkę! Zamrę pewnikiem, to Nastuś zato zmówi za mnie jaki pacierz.

Trafiło to Hance do myśli, bo zaraz kazała Witkowi wziąć prosię na postronek i pognać do Nastusi, gdyż iść samej czegoś się wagowała.

— Witek, powiedz ino, co ta maciorka ode mnie! A niech przyleci rychło, bo ja się już ruchać nie poredzę! — zaskarżyła się boleśnie, chorzało bowiem biedactwo od tygodnia, leżała po drugiej stronie chałupy spuchnięta, w gorączce i cała obwalona krostami. Zrazu wynosili ją na dzień do sadu pod drzewa, bo skamlała o to żałośnie.

Ale cóż, kiej się tak pogarszało, że Jagustynka wzbroniła ją wynosić na powietrze.

— Musisz leżeć pociemku, bo w słońcu wszystkie krosty padną na wątpia.

I leżała samotnie w przyćmionej izbie, pojękując jeno i skarżąc się cichuśko, że nie dopuszczają do niej dzieci, ni żadnej z przyjaciółek, gdyż Jagustynka, mająca ją w opiece, kijaszkiem odganiała każdego.

A teraz, skoro ugwarzyła się z Hanką, podetknęła chorej jagód i wzięła się do wygniatania maści z czystej gryczanej mąki, zarobionej obficie swieżem, niesolonem masłem i samemi żółtkami, obwaliła nią grubo twarz i szyję Jóźki, a na to nakładła mokrych szmat, dziewczyna cierpliwie poddawała się lekom, jeno trwożnie rozpytując:

— A nie będzie dziobów na polikach?

— Nie zdrapuj, to przejdzie ci bez znaku, jak Nastusi.

— Kiej tak swędzi, mój Jezu! To mi już lepiej przywiążcie ręce, bo nie wytrzymam! — prosiła łzawo, ledwie wstrzymując się od darcia skóry, stara wymruczała nad nią jakąś zamowę, okadziła wysuszonym rozchodnikiem i, przywiązawszy jej ręce do boków, odeszła do roboty.

Jóźka leżała cicho, zasłuchana w brzęki much i w ten dziwny szum, co się jej cięgiem przewalał po głowie, słyszała, jak przez sen, że niekiedy ktosik z domowych zaglądał do niej i odchodził bez słowa, to się jej widziało, że ciężkie od rumianych jabłuszek gałęzie zwisają nad nią tak nisko, a ona próżno się zrywa i dosięgnąć ich nie poredzi, to znowu, że owieczki cisną się dokoła z jakimś żałosnym bekiem, ale, skoro Witek wsunął się do izby, zaraz go rozeznała.

— Zapędziłeś maciorkę? Cóż pedziała Nastusia?

— Taka była rada prosiakowi, że dziw go w ogon nie całowała.

— Widzisz go, będzie się z Nastusi prześmiewał!

— Prawdę mówię! I kazała pedzieć, co jutro do cię przyleci.

Zaczęła się nagle rzucać na łóżku i trwożnie wołać:

— Odpędź je, bo me zatratują, odpędź! Basiuchny! Baś! Baś!

I jakby zasnęła, tak leżała spokojnie. Witek odszedł, ale zaglądał do niej co trochę. Spytała go niespokojnie:

— Czy to już połednie?

— Kole północka być musi, wszystkie śpią.

— Prawda, ciemno! Wybierz wróble z pod kalenicy, piszczą, jak wypierzone!

Jął cosik rozpowiadać o gniazdach, gdy zakrzyczała, usiłując się podnieść:

— A gdzie siwula! Witek, nie puszczaj w szkodę, bo cię ociec spierą!

Któregoś razu kazała mu bliżej przysiąść i szeptem rozpowiadała:

— Hanka mi wzbrania na wesele Nastusi, ale na złość pódę i przybierę się w modry gorset i w tę kieckę, com to w niej była na odpuście. Oczy za mną wypatrzą, zobaczysz! Witek, narwij mi jabłek, niech cię ino Hanka nie przychwyci! Juści, że jeno z parobkami będę tańcowała! — przymilkła nagle i zasnęła, zaś Witek już całemi godzinami przy niej siadywał, gałęzią bronił od much i wody podawał, czuwając nad nią, kiej kokosz, bo Hanka ostawiła go w chałupie do pomocy, a bydło pasał za niego wraz ze swojem Kłębów Maciuś.

Zrazu przykrzyło się chłopakowi za lasem i swawolą, ale tak go strasznie rozżaliła Józina choroba, że rad był jej nieba przychylić i cięgiem jeno przemyśliwał, czemby ją zabawić i przywieść do śmiechu.

Któregoś dnia przyniósł całe stadko młodych kuropatek.

— Józia, pogładź ptaszki, to ci zapiukają, pogładź.

— Jakże, mam to czem—jęknęła, unosząc głowę.

I gdy odwiązał jej ręce, wzięła trzepoczące się ptaszki w zdrętwiałe, bezsilne dłonie, cisnąc je do twarzy i oczów.

— Tak się w nich dusza tłucze, tak się bojają, biedoty!

— Sam wytropiłem i będę to puszczał — bronił się, ale je wypuścił.

A znowu kiedyś przyniósł młodego zajączka i, trzymając go za uszy, posadził przed nią na pierzynie.

— Trusia kochana, trusiuchna, od matuli cię wzieni, sieroto, od matuli.

Szeptała, cisnąc go do piersi, kiej dzieciątko, a głaszcząc i upieszczając, ale zając beknął jakby rozdzierany i wyrwał się z rąk, skoczył do sieni w całe stado kur, że rozpierzchły się ze srogim wrzaskiem, buchnął na ganek i przez Łapę, drzemiącego w sieni, rymnął do sadu, pies pognał, a za niemi Witek z krzykiem niemałym, z czego uczynił się taki harmider, jaże Hanka przyleciała z podwórza, zaś Jóźka śmiała się do rozpuku.

— Może go pies złapał, co? — pytała potem ździebko niespokojnie.

— A juści, obaczył mu jeno podogonie, zając wpadł we zboże, jak kamień we wodę, tęgi wywijacz! Nie markoć się, Józia, przyniesę ci co drugiego.

I znosił co jeno mógł: to przepiórki, jakby złotem oprószone, to jeża, to oswojoną wiewiórkę, która strasznie do śmiechu skakała po izbie, to młode jaskółki, tak żałośnie piukające, że stare z krzykiem wdzierały się do izby, aż mu Jóźka kazała oddać, to insze różnoście, nie spominając już, co jabłek i gruszek nanosił tyla, ile mogli zjeść kryjomo przed starszemi, ale już ją to nie bawiło, bo często patrzała,

jakby nie miarkując, i odwracała się znużona i niechętna.

— Nie chcę, przynieś co nowego! — matyjasiła, odwracając oczy i nawet nie patrząc na boćka, któren się grajdał po izbie, kuł po wszystkich garnkach i na darmo przyczajał się pod drzwiami na Łapę, dopiero, kiej pewnego razu przyniósł jej żywą żołnę, rozchmurzyła się nieco.

— Jezu kochany, a to śliczności, kieby malowanie!

— A pilnuj się, by cię w nos nie dziobnęła, zła, kiej pies.

— Cie, nawet się nie rwie uciekać, oswojona czy co?

— Skrzydła ma i kulasy spętane, a ślepie zalałem jej smołą.

Bawili się ptakiem czas jakiś, ale żołna wciąż była nieruchoma i smutna, nie chciała jeść i zdechła, ku wielkiemu strapieniu całego domu.

I tak im schodziły dnie.

A na świecie cięgiem prażyło, zaś czem bliżej ku żniwom, tem jeszcze barzej wzmagała się spiekota, że już w dzień niesposób się było pokazać w polu, a noce też nie przynosiły ochłody, szły bowiem duszne i nagrzane, że nawet w sadach nie można było wyspać z gorąca, prosto klęska waliła się na wieś, trawy już tak wypaliło, że bydło głodne wracało z paśników i ryczało w oborach, ziemniaki więdły, zawiązały się kieby orzeszki i tak ostały, przypalone owsy ledwie odrosły od ziemi, jęczmiona pożółkły, zaś żyta schły

przed czasem, bieleją̨c płonemi kłosami. Trapili się tem niemało, ze smutnawą nadzieją spozierając w każden zachód, czy nie idzie na odmianę, ale niebo wciąż było bez chmur i całe jakby w szklanej, białawej pożodze, a słońce zachodziło czyste i by najlżejszym obłoczkiem nie przyćmione.

Niejeden już skamlał serdecznie przed obrazami do Przemienienia Pańskiego, nic jednak nie pomagało, pola mglały coraz barzej, uwiędły, a niedojrzały owoc opadał z drzew, studnie wysychały, a nawet w stawie ubyło tyle wody, co tartak nie mógł już robić i młyn również stał zawarty na głucho, więc naród, przywiedziony do rozpaczy, złożył się na wotywę z wystawieniem, na którą zebrała się cała wieś.

A modlili się tak gorąco i ze wszystkiego serca, co i kamieńby się ulitował.

I snadź Pan Jezus pofolgował swemu miłosierdziu, chociaż bowiem nazajutrz zrobiło się tak gorąco, znojnie, duszno i parno, jaże ptactwo padało zemglone, krowy żałośnie ryczały po paśnikach, konie nie chciały wychodzić na świat, a ludzie, pomęczeni do ostatka, bez sił, tułali się po spiekłych sadach, bojąc się wyjrzeć, choćby do ogrodu, ale jakoś w samo przypołudnie, gdy wszystko zdało się już puszczać ostatnią parę w tym białym, rozmigotanym wrzątku, przyćmiło się nagle słońce i zmętniało, kieby weń kto rzucił przygarścią popiołu, a pokrótce zahuczało kajś wysoko, jakoby stado ptactwa wielgachnemi skrzydłami, a napęczniałe sinością chmury nadciągały ze wszystkich stron, opuszczając się coraz niżej i groźniej.

Strach wionął, wszystko przycichło i stanęło w przytajonym dygocie.

Zahurkotały dalekie grzmoty, zerwał się krótki wiatr, po drogach wzniosły się skłębione tumany, słońce rozłało się kieby żółtko w piasku, ściemniało raptem i na niebie zaroiły się roje błyskawic, jakby kto zamigotał ognistemi postronkami, i pierwszy piorun trzasnął kajś blisko, jaże ludzie powybiegali przed chałupy.

Naraz skotłowało się wszystko do dna, słońce zgasło, uczynił się dziki mąt i rozszalała się taka zawierucha, że w skołtunionych mrokach lały się jeno strugi oślepiających jasności, biły pioruny, grzmoty przewalały się po niebie, szumiała ulewa i jęczały wichry i drzewa.

Pioruny już biły jeden za drugim, jaże oczy ślepiło, i spadała ulewa, że świata nie można było dojrzeć, zaś stronami poszły grady.

Burza trwała może z godzinę, aż zboża się pokładły i drogami pociekły całe rzeki spienionej wody, a co przestało na chwilę i zaczynało się wyjaśniać, to znowu grzmiało, jakby tysiące wozów pędziło po zmarzłej grudzi, i nowy deszcz lał, jak z cebra.

Z trwogą wyzierano na świat, tu i owdzie już pozapalano lampki, śpiewając: Pod Twoją obronę, gdzie znów powynoszono na przyźby obrazy, la obrony przed nieszczęściem, ale, dzięki Bogu, burza przechodziła, nie wyrządziwszy większych szkód, dopiero kiej się już prawie docna uspokoiło i padał deszcz coraz drobniejszy, z jakiejś ostatniej chmury, zwieszającej się nad wsią, trzasnął piorun w stodołę wójtową.

Buchnęły płomienie a dymy i wmig cała stodoła stanęła w ogniu, na wsi zerwał się straszliwy wrzask, i kto jeno mógł, leciał do pożaru, ale ani mowy było o ratowaniu, paliła się od góry do dołu, kieby ta kupa zwalonych szczap, bo Antek z Mateuszem i drugie bronili jeno zawzięcie Kozłowej chałupy i inszych budynków; szczęściem, co nie brakowało wody i błota na drodze, bo już poniektóre dachy zaczynały się kurzyć, i gęsto leciały skry na najbliższe obejścia.

Wójta doma nie było, pojechał był jeszcze rano do gminy, zaś wójtowa srodze lamentowała, biegając dokoła, kiej ta rozgdakana kokosz, więc kiedy już minęło niebezpieczeństwo i zaczynali się rozchodzić, przysunęła się do niej Kozłowa i, ująwszy się pod boki, zakrzyczała urągliwie:

— Widzisz, dał ci Pan Jezus radę, pani wójtowa, dał! Za moją krzywdę!

I byłoby doszło do bitki, gdyż wójtowa skoczyła do niej z pazurami, ledwie Antek zdążył je rozdzielić i tak przytem skrzyczał Kozłową, że, kiej pies kopnięty, wróciła pod swoją chałupę, warcząc jeno a doszczekując:

— Dmij się, pani wójtowo, dmij, odbiję ja ci swoje z precentem.

Ale nikto jej nie słuchał, stodoła się dopaliła, przywalili błotem dymiące się zgliszcza i porozchodzili się do domów, ostała jeno wójtowa, biadoląc przed Antkiem, który wysłuchał cierpliwie, co mógł, na resztę machnął ręką i poszedł.

Burza się już przetoczyła na bory i lasy, pokazało się słońce, po modrem niebie przeciągały stada

białych chmur, zaśpiewały ptaki, powietrze było rzeźwe i chłodnawe, ludzie zaś wychodzili spuszczać wody i równać wyrwy.

Antek prawie przed samą chałupą natknął się niespodzianie na Jagusię, szła z koszykiem i motyczką, pozdrowił ją skwapnie, ale spojrzała wilczemi ślepiami i przeszła bez słowa.

— Cie, jaka harna! — mruknął rozgniewany i, spostrzegłszy Józkę w opłotkach, powstał na nią srogo, że łazi po wilgoci.

Dziewczynie bowiem było o tyle lepiej, że mogła całe dnie leżeć w sadzie, krosty się już podgoiły galancie i przyschły, nie ostawiając żadnych śladów, to też jeno ukradkiem Jagustynka smarowała ją maścią, gdyż Hanusia krzywiła się na wielki rozchód masła i jajek.

I leżała se tak, dobrzejąc zwolna i prawie samiutka dnie całe, Witek bowiem wrócił do krów, czasem jeno przyleciała która przyjaciółka na krótką pogwarę, to Rocho posiedział jaką chwilę, to stara Jagata rozpowiedziała jedno i to samo: jako z pewnością zamrze we żniwa w Kłębowej izbie i po gospodarsku; a głównie przestawała z Łapą, nieodstępnie warującym, i z boćkiem, któren przychodził na wołanie, i z ptakami, co się były zlatywały do kruszyn chleba.

Któregoś dnia, gdy w chałupie nie było nikogo, zajrzała do niej Jagusia, przynosząc całą garść karmelków, ale nim Józka zdążyła dziękować, rozległ się kajś głos Hanki, a Jagna pierzchnęła spłoszona.

— Niech ci będzie na zdrowie! — zawołała przez płot i zniknęła.

Leciała do brata, niosąc mu cosik w zanadrzu.

Zastała Nastusię przy krowie, chlipającej z cebratki, Szymon stawiał jakąś przybudówkę i sielnie gwizdał.

— Macie już krowę? — zdumiała się niezmiernie.

— A mamy! Co, nie śliczna? — mówiła z pychą Nastusia.

— Sielna krowa, musi być z dworskich, kiedy kupiliśta?

— Juści co krowa nasza, choć nie kupowalim! Jak ci wszystko rozpowiem, to się złapiesz za głowę i nie dasz wiary! A to wczoraj jakoś na świtaniu poczułam, że cosik tak się cocha o węgieł, jaże się buda zatrzęsła, myślę sobie: pędzą na paśniki i świnia jakaś podeszła wytrzeć się z błota. Przyłożyłam się i jeszcze nie usnęłam, a tu znowu cosik porykuje zcicha. Wychodzę, patrzę, krowa stoi, przywiązana do drzwi, kłak koniczyny leży przed nią, wymiona ma wezbrane i wyciąga do mnie gębulę. Przetarłam oczy, bo mi się zdało, że mnie jeszcze śpik mroczy, ale nie, żywa krowa stoi, porykuje i liże me po palcach. Juści, byłam pewna, że się odbiła od stada, Szymek też powiada: zaraz tu po nią przylecą! To mnie jeno korciło, że była przywiązana. Jakże, sama się przeciek na postronek nie wzięła. Ale przeszło południe i nikto po nią nie przyszedł, wydoiłam, żeby jej ulżyć, bo już mleko gubiła z cycków. Przeszedł wieczór, przeszła i noc, rozpytywałam się na wsi, pytałam nawet dworskiego pasterza, nikto nie słyszał, żeby komu krowa zginęła. Stary Kłąb powiedział, że to może być jakaś złodziej-

ska sprawa i lepiej krowę zaprowadzić do kancelarji! Żal mi juści było, ale trudno, w przypołudnie przychodzi Rocho i mówi:

— Poczciwaś i potrzebnicka, to cię Pan Jezus krową pobłogosławił.

— Juści, krowy pewnie z nieba spadają, nawet głupi nie uwierzy — ośmiał się na to i na odchodnem powieda:

— Krowa wasza, nie bójcie się, nikt jej wam nie odbierze!

Zrozumiałam, co od niego, padłam mu do nóg dziękować, ale się wyrwał.

— A jak spotkacie pana Jacka—powieda z prześmiechem — to mu za krowę nie dziękujcie, bo was jeszcze kijem przeleje, nie lubi dziękowań!

— To niby pan Jacek dał wam krowę!

— Zaśby się nalazł kto drugi taki poczciwy la biednego narodu!

— Prawda, dał przeciek Stachowi drzewa na chałupę i tyla wspomaga!

— Święty prosto człowiek, że już co dnia pacierz za niego mówię!

— Byle ci jeno kto nie wyprowadził bydlątka.

— Co, mieliby mi ukraść krowę! Jezu, a dyćbym ślepie wydarła, a dyćbym w cały świat poszła za nią! Pan Jezus nie pozwoli na taką krzywdę! Do izby wprowadzę ją na noc, póki Szymek nie wystroi obórki. Jaśkowy Kruczek też dopilnuje bydlątka! Moja pociecha kochana, moja najmilejsza! — szeptała, obejmując ją za

szyję i całując po gębule, jaże krowa zajęczała, pies jął naszczekiwać radośnie, kury się rozgdakały zestraszone, a Szymek gwizdał coraz głośniej.

— Widno z tego, co wam Pan Jezus błogosławi! — westchnęła Jagusia, jakby z cichym żalem, przyglądając się uważniej obojgu. Wydali się jej nie do poznania przemienieni, zwłaszcza Szymek najbarzej ją zastanawiał, dyć go znała, kiej niedojdę, któren trzech zliczyć nie poredził, w chałupie był popychadłem, i pomiatał nim, kto jeno chciał, zaś teraz jawił się całkiem drugim, poczynał sobie przemyślnie, nosił się godnie i prawił, kieby mądrala.

— Któreż to wasze pole? — spytała po długich rozważaniach.

Nastusia jęła pokazywać, powiedając, gdzie będą co sieli.

— A skądże to weźmie nasienia?

— Szymek powiedział, co będzie, to musi być, na darmo słowa nie puści.

— Brat mój, a słucham, kieby zgoła o obcym.

— A taki poczciwy, taki zmyślny i taki robotny, że chyba drugiego takiego niema na świecie — wyznawała z gorącością Nastusia.

— Pewnie—powtórzyła smutnie—czyjeż te okopcowane role?

— Antka Boryny! Nie robią na nich, bo pono czekają działów po Macieju.

— Będzie tego z półwłóczek, no! Wiedzie się im niezgorzej.

— A niech im Pan Jezus da z dziesięć razy szczodrzej, toć Antek zaręczył u dziedzica za nasz grunt, a i w niejednem nas wspomógł.

— Antek wziął się za Szymkiem! — aż przystanęła ze zdumienia.

— Hanka też niegorsza od niego, dała mi maciorkę, prosię to jeszcze, ale będzie z niego pociecha, bo idzie z plennego gatunku.

— Cudeńka prawisz. Hanka dała ci maciorkę, prosto nie do wiary.

Wróciły pod chałupę, i Jagusia, wysupławszy z chusteczki dziesięć rubli, wetknęła je w rękę Nastusi.

— Weź te parę groszy, nie mogłam przódzi, bo mi Żyd za gąski nie oddał.

Dziękowali jej ze wszystkiego serca, więc im powiedziała na odchodnem:

— Poczekajta, udobrucha się matka, to wam jeszcze coś niecoś udzieli.

— Nie potrzebuję, niech se moją krzywdą trumnę wyścieli! — wybuchnął Szymek tak nagle i z taką zapamiętałością, że już odeszła bez słowa.

Wracała do domu srodze zadumana, smutna i jakaś roztęskniona.

— A ja co? ten badyl suchy, o któren nikto nie stoi — westchnęła sieroco.

Kajś w pół drogi spotkała Mateusza, leciał do siostry, ale zawrócił z nią i uważnie słuchał rozpowiadania o Szymkach.

— Nie wszystkim tak dobrze — powiedział jeno chmurnie.

Nie szła im rozmowa, on czegoś wzdychał, drapiąc się frasobliwie po głowie, a Jagusia zapatrzyła się na Lipce, całe w łunach zachodu.

— Hej, duszno też na tem świecie i ciasno — rzekł jakby do siebie.

Zajrzała mu pytająco w oczy.

— Cóż ci to? krzywisz się, kieby po occie.

Jął wyrzekać, jako mu się mierzi życie i wieś i wszystko, i że pewnikiem pójdzie we świat, gdzie go oczy poniosą.

— To się ożeń, a miał będziesz odmianę — żartowała.

— Żeby to me chciała, którą mam w myślach— zajrzał jej w oczy natarczywie, odwróciła głowę niechętna jakoś i wraz pomieszana.

— Spytaj się jej! Każda za cię pójdzie, a niejedna już wygląda swatów.

— A jak odmówi! Wstyd będzie i zgryzota.

— To poślesz z wódką do inszej.

— Ja nie z takich, upatrzyłem se jedną, to me do drugiej nie bierze.

— Chłopu to każda jednako pachnie i z każdą radby przyjść do poufałości.

Nie bronił się, a jeno zaczął z innej beczki.

— Wiesz, Jaguś, a to chłopaki czekają jeno pory, żeby do cię słać z wódką.

— Niech se sami wychlają, nie pódę za żadnego!—wyrzekła z mocą, jaże się zastanowił, a szczerze powiedziała, gdyż żaden nie widział się jej milszym nad drugiego, juści kromie Jasia, ale Jasio...

Westchnęła ciężko, z lubością oddając się spominkom o nim, że Mateusz, nie mogąc się dogadać, zawrócił zpowrotem do siostry.

Ona zaś, wlekąc lękliwemi oczami po świecie, pomyślała:

— Co on tam teraz porabia, co?

Zatargała się gwałtownie, ktosik ją objął znienacka i przyciskał.

— Nie ucieczesz mi teraz — szeptał namiętnie wójt.

Wyrwała mu się z pazurów rozzłoszczona:

— Jeszcze raz me tkniecie, to wam ślepie wydrapię i takiego narobię piekła, jaże się cała wieś zleci.

— Cichoj, Jaguś, dyć gościńca ci przywiozłem— i wtykał jej w ręce korale.

— Wsadźcie je sobie gdzieś, stoję o wasze podarunki, co o ten patyk złamany!

— Jagusiu, co ty wyrabiasz, co?—jąkał zdumiony.

— A to, żeście świńtuch i tyla! I ani ważcie się mnie czepiać.

Odbiegła go rozsrożona i, kiej burza, wpadła do chałupy, matka obierała ziemniaki, a Jędrzych doił krowy w opłotkach, zabrała się więc żwawo do wieczornych obrządków, ale trzęsła się ze złości i, nie mogąc się uspokoić, skoro się jeno ściemniało, zebrała się znowu bieżyć.

— Zajrzę do organistów — powiedziała matce.

Często tam teraz chodziła, wysługując się im na różne sposoby, aby choć niekiedy posłyszeć jakie słowa o Jasiu.

*

Leciała też, spragniona o nim wieści, a z jakąś cichą nadzieją usłyszenia dzisiaj czegoś nowego.

I pokrótce zajarzyły się w mrokach oświetlone okna Jasiowego pokoju, kaj teraz Michał pisał cosik pod wiszącą lampą, zaś organisty siedziały przed domem na chłodzie.

— Jasio przyjeżdża jutro po południu! — przywitała ją organiścina nowiną, od której dziw trupem nie padła, nogi się pod nią ugięły, serce zakotłowało aż do utraty tchu, cała stanęła w ogniach i dygocie, że, posiedziawszy la nieznaki jakąś chwilę, uciekła, jakby goniona, aż kajś na topolową, pod las...

— Jezus mój kochany! — buchnęła dziękczynnie, wyciągając ręce, łzy pociekły jej z oczów, i tak się w niej rozśpiewała radość, że chciało się jej śmiać, i krzyczeć, i kajś lecieć, i całować te drzewa, i tulić się do tych pól, pośpionych w księżycowej poświacie.

— Jasio przyjeżdża, przyjeżdża — szeptała niekiedy, porywając się nagle, jak ptak, i leciała, porwana wszystką mocą oczekiwań i tęsknic, jakoby naprzeciw doli swojej i nieopowiedzianemu szczęściu.

Był już późny wieczór, kiej się znalazła zpowrotem, w oknach było już ciemno, świeciło się tylko u Borynów, kaj się zebrało sporo narodu, i poszła do domu czekać tego jutra i śnić o Jasiowym powrocie.

Ale na darmo się przewracała z boku na bok, więc, skoro matka zachrapała, podniesła się cichuśko i, przyokrywszy się w zapaskę, siadła pod domem czekać snu albo świtania.

W chałupie Borynów, za stawem, świeciło się jeszcze po jednej stronie, i niekiedy szły stamtąd ściszone odgłosy rozmów.

Wpatrzyła się zrazu w drżące na wodzie odblaski światła i zapomniała o wszystkiem, grążąc się w mgławych i rozmigotanych dumaniach, co ją oprzędły, kiej pajęczyny, i wraz poniesły w jakiś cichy podwieczór, sczerwieniony od zórz, we wszystek świat nieukojonej tęsknicy.

Księżyc już był zaszedł, płowy mrok obtulał pola, gwiazdy świeciły wysoko i niekiej spadała któraś z taką chyżością i tak gdzieś strasznie daleko, jaże dech w piersiach zapierało i mróz przechodził kości; niekiedy nagrzany, leciuśki powiew muskał pieściwie, kieby te umiłowane ręce, a czasem z pól podnosił się upalny, rozpachniony wzdych i przejmował serce, jaże się prężyła, rozwierając ramiona. To siedziała w dumaniu jeno wszystka i w czuciu niewypowiedzianej słodkości, jak pęd, któren się pręży i wzbiera w sobie... a noc stąpała przez nią cicho i ostrożnie, jakby nie chcąc płoszyć człowieczego szczęścia.

U Borynów cięgiem się świeciło, i na drodze stróżował czujnie Witek, by ktoś nieproszony nie podsłuchał, gdyż zeszli się na cichą, przyjacielską naradę przed jutrzejszem zebraniem w kancelarji, na które wzywał wójt wszystkich gospodarzy lipeckich.

W izbie było ciemnawo, jakiś ogarek słabo się ćmił na okapie, że jeno poniektóre głowy można było rozeznać w gęstwie, zeszło się bowiem ze dwadzieścia chłopa, wszyscy, którzy trzymali z Antkiem i Grzelą.

Rocho, siedzący kajś w mroku, tłumaczył szeroko, coby to wyszło la wsi, jeżeli się zgodzą na postawienie szkoły w Lipcach; a potem Grzela nauczał każdego zosobna, co ma powiedzieć naczelnikowi i jak głosować.

Długo w noc radzili, boć nie obeszło się bez kłótni a sprzeciwieństw, ale wkońcu zgodzili się na jedno i, nim zaświtało, rozeszli się śpiesznie, gdyż nazajutrz trza było dość wcześnie wyruszać.

Tylko Jagusia została jeszcze na przyźbie, jakby już docna zagubiona w dumaniach i nocy, siedziała ślepa i głucha na wszystko, szepcąc jeno niekiedy niby te gorące słowa nieskończonego pacierza:

— Przyjedzie, przyjedzie!

I kłoniła się bezwolnie, jakby nad jutrem, jakby chcąc dojrzeć, co la niej niesie ten świt, szarzejący nad ziemią, z lękiem a radością dając się temu, co miało się stać.

VIII.

Przypołudnie dochodziło, skwar czynił się coraz większy i naród już się wszystek zgromadził przed kancelarją, a naczelnika jeszcze nie było. Pisarz raz po raz wychodził na próg i, przysłoniwszy dłonią oczy, wyzierał na szeroką drogę, obsadzoną pokrzywionemi wierzbami, ale tam się jeno lśniły kałuże, ostałe po wczorajszej ulewie, toczył się zwolna jakiś zapóźniony wóz i kajś niekaj między drzewami zabielała chłopska kapota.

Gromada czekała cierpliwie, a tylko jeden wójt latał, kiej oparzony, wyglądał na drogę i coraz głośniej przynaglał chłopców, zasypujących wyrwy i doły na placu przed kancelarją.

— Prędzej, chłopcy! Laboga, żeby jeno zdążyć, nim nadjedzie.

— A nie popuśćcie jeno ze strachu — ozwał się z kupy jakiś głos.

— Ruchajta się, ludzie! Ja tu po urzędzie, nie pora na przekpinki.

— Wójcie, a to jeno Boga się bójcie — zaśmiał się któryś z Rzepeckich.

— A któren jeszcze pysk wywrze, do kozy każę wsadzić — zakrzyczał srogo wójt i poleciał wyjrzeć ze smętarza, że to leżał na wzgórku, do którego szczytem była przywarta kancelarja.

Wielgachne, prawieczne drzewa wynosiły się nad nią, kościelna wieża szarzała skroś gałęzi, zaś czarne ramiona krzyżów wychylały się z poza kamiennego ogrodzenia na dachy i drogę, wiodącą przez wieś.

Wójt, nie wypatrzywszy niczego, postawił przy ludziach jednego ze sołtysów, a sam wszedł do kancelarji, kaj cięgiem ktoś wchodził i wychodził, że to pisarz co trochę wywoływał któregoś z gospodarzy, zcicha przypominając zaległe podatki, niezapłaconą składkę na sąd, albo jeszcze i coś lepszego. Juści, co ta nikomu nie szły w smak takie wypominki, ale słuchali wzdychający; bo cóż było robić teraz, na ciężkim przednówku? Mogli to płacić, kiej niejednemu już i na sól nie starczyło, to mu się jeno w pas kłaniali, jaki

taki nawet go w rękę całował, zaś poniektóry i tę ostatnią złotówczynę w nadstawioną garść wtykał, a wszystkie jednako skamlały o poczekanie do żniw lub do najbliższego jarmarku.

Z pisarza chytra była sztuka i przemądrzała, łupił też naród ze skóry, jaże trzeszczało, nibyto wszystko obiecywał, a kogo strachał strażnikami, komu bakę w oczy świecił, z kim był zapanbrat, a od każdego cosik wycyganił, to owsa mu zbrakło, to potrza było młodych gąsek la naczelnika, to przymawiał się o słomę na powrósła, że radzi nieradzi przyobiecali, co jeno chciał, on zaś na odchodnem brał co znajomszych na stronę i radził im nibyto z przyjacielstwa:

— A uchwalcie na szkołę, bo, jak się będziecie sprzeczali, to naczelnik może się rozgniewać i gotów wam jeszcze popsuć zgodę z dziedzicem o las—przestrzegał lipeckich ludzi.

— Jakże to, zgodę robim z dobrej woli! — zdumiał się Płoszka.

— Prawda, ale nie wiecie to: pan z panem zna się, a chłopu zasię.

Płoszka odszedł, wielce sfrasowany, pisarz zaś dalej wywoływał ludzi, a coraz to z drugich wsi, każdego strasząc czem innem, a do jednego niewoląc, że wmig się o tem rozniesło między gromadą.

A niemała kupa zebrała się narodu, zeszło się bowiem przeszło dwieście chłopa, którzy zrazu stojali wsiami, swojaki przy swojakach, że łacno rozeznał, które są z Lipiec, które z Modlnicy, a które z Przyłęka lub z Rzepek, bo każda wieś znaczyła się jen-

szemi ubierami, ale, skoro się jeno rozeszło, jako trzeba głosować na szkołę, gdyż tak chce sam naczelnik, jęli się mieszać, przechodzić z kupy do kupy i stowarzyszać wedle upodoby, że tylko jedna rzepecka szlachta trzymała się zosobna, zadzierzyście a hardo spozierając na chłopów, choć to biedota była taka, że, jak się z nich prześmiewali, trzech wypadało na jeden krowi ogon; reszta zaś narodu, splątana, kiej grochowiny, poroztrząsała się po placu, sporo chroniło się w cieniu smętarza i przy wozach.

Głównie cisnęli się pod wielką karczmę, stojącą naprzeciw kancelarji w kępie drzew, jakoby w tym gaju cienistym, tam się najskwapniej ciżbiąc; bo, chociaż chłodnawy wiater niezgorzej kolebał polami, spieka jednak podnosiła się okruteczna, dogrzewało, że już niejeden ledwie zipiał i w piwie szedł szukać ochłody. Bez to i karczma była przepełniona i pod drzewami stali kupami, gwarząc zcicha i deliberując nad ową nowiną, wraz też dając pilne baczenie na kancelarję i na pisarzowe mieszkanie po drugiej stronie domu, kaj rwetes i krętanina były coraz większe.

Od czasu do czasu pisarzowa wytykała oknem spaśną gębę i krzyczała:

— Śpiesz się, Magda! Ażebyś kulasy połamała, tłumoku jeden!

Dziewka przelatywała co trochę przez pokoje, jaże dudniało i brzęczały szyby, jakieś dziecko jęło się wydzierać wniebogłosy, kajś za domem gdakały wystraszone kury, a zaziajany stójka jął ganiać kurczątka, rozpierzchające się po zbożach i drodze.

— Widzi mi się, co będą ugaszczali naczelnika— rzekł któryś.

— Pono wczoraj pisarz przywiózł cały półkoszek napitków.

— Schlają się, jak łoni.

— A bo to nie mogą, mało to im naród składa podatków, a przeciech nikto im na ręce nie patrzy — wyrzekł Mateusz, ale ktosik zakrzyczał:

— Cichojta, strażniki ano przyszły.

— Jak wilki się włóczą, że ni pomiarkować, kiedy i którędy.

Przycichli jednak trwożnie, gdyż strażnicy zasiedli pod kancelarją, otoczeni przez kupę ludzi, między którymi był wójt, młynarz, a nieco zdala kręcił się kowal, pilnie nasłuchujący.

— Młynarz się łasi, kieby ten głodny pies!

— Bo, kogo się boją, ten mu najmilejszy!

— Kiej są strażniki, to naczelnika ino patrzeć!— zawołał Grzela, wójtów brat, i odszedł na stronę, kaj stał Antek, Mateusz, Kłąb i Stacho Płoszka. Poredziwszy ze sobą, rozeszli się między ludzi, prawiąc im cosik a przekładając coś ważnego, że słuchali w wielkiej cichości, tylko niekiedy co tam ktoś westchnął, podrapał się frasobliwie albo strzygnął ślepiami ku strażnikom, kupiąc się zarazem coraz ciaśniej.

Antek, wsparty plecami o węgieł karczmy, gadał krótko, mocno i jakoby przykazująco, zaś w drugiej kupie pod drzewami Mateusz prawił z przekpinkami, jaże ośmiał się niejeden, a w trzeciej gromadzie przy smętarzu Grzela przemawiał tak mądrze,

jakoby z otwartej książki czytał, że ciężko było wyrozumieć,

A wszyscy trzej przyniewalali do jednego: aby nie słuchać naczelnika, ni tych, które z urzędami zawdy trzymają, i szkoły nie uchwalać.

Naród przysłuchiwał się w skupieniu, kolebiąc się to w tę, to w drugą stronę, właśnie jako ten bór, kiej zamietliwy wiater powieje.

Nikto głosu nie zabierał, kiwali jeno przytakująco głowami, gdyż najgłupszy rozumiał, jako z nowej szkoły tyla jeno będzie pociechy, co każą za nią płacić nowe podatki, a do tego nikomu się nie śpieszyło.

Niepokój jednak ogarniał gromadę, przestępowali z nogi na nogę, jęli chrząkać a pokasływać, a nikt jeszcze nie wiedział, co począć.

Prawda, mądrze prawił Grzela, prosto do serca trafiał Antek, ale i strach było się przeciwić naczelnikowi a zadzierać z urzędami.

Jeden oglądał się na drugiego, każden się głowił zosobna, zaś wszystkie obzierali się na bogatszych, ale młynarz i co najpierwsi z drugich wsi trzymali się jakoś na uboczu, stojąc jakby z rozmysłem na oczach strażników i pisarza.

Podszedł do nich Antek z przełożeniem, ale młynarz odburknął:

— Kto ma rozum, ten sam wie, jak ma głosować — i odwrócił się do kowala, któren przyświarczał wszystkim, ale kręcił się niespokojnie między gromadą, przewąchując, co się święci, a do pisarza zachodził, z młynarzem pogadywał, Grzelę częstował tytuniem

i tak się taił ze swojemi zamysłami, że do końca nie było wiadomo, za kim trzyma.

Ale większość już się skłaniała głosować przeciw szkole, rozsypali się po placu i, nie bacząc na przypołudniowy skwar, poredzali coraz gwarniej i hardziej, gdy pisarz zawołał przez okno:

— A pójdźno tu który!

Nikt się jednak nie poruszył, jakby nie dosłyszeli.

— Niechno który skoczy do dworu po ryby, mieli rano jeszcze przysłać, a jakoś nie przysyłają! Tylko prędzej — grzmiał rozkazująco.

— Nie przyszlim tu na posługi — ozwał się jakiś hardy głos.

— Niech sam leci, żal mu przetrząsnąć kałduna— zaśmiał się któryś, że to pisarz miał brzucho, kiej bęben.

Pisarz jeno zaklął, a po chwili wyszedł wójt od podwórza, przebrał się za karczmę i pognał tyłami wsi ku dworowi.

— Dzieci pani pisarzowej przewinął i obtarł, to się ździebko przewietrzy.

— Juści, pani pisarzowa nie lubi takich fetorów na pokojach.

— Pokrótce to i porcenele wynosić mu każą — przekpiwali.

— Hale, że to dziedzica jeszcze nie widać — dziwował się któryś, ale na to rzekł kowal z chytrym prześmiechem:

— Niegłupi się pokazywać!

Spojrzeli na niego pytająco.

— Juści, kto mu każe zadzierać z naczelnikiem, a przecież za szkołą głosować nie będzie, małoby to musiał płacić na nią! Mądrala!

— Ale ty, Michał, z nami trzymasz, co? — przytarł go natarczywie Mateusz.

Kowal kręcił się, kiej przydeptana glista i, odmruknąwszy cosik, jął się przeciskać do młynarza, któren przystąpił do chłopów i mówił do starego Płoszki głośno, by i drugie słyszały:

— A ja wam radzę, głosujcie, jak chcą urzędy. Szkoła potrzebna i, żeby była najgorsza, to będzie lepsza od żadnej. A o jakiej zamyślacie, nie dadzą. Trudno, głową muru nie przebodzie. Nie zechcecie uchwalić, to i bez waszego przyzwoleństwa postawią.

— Jak nie damy pieniędzy, to za cóż postawią?— ozwał się któryś z kupy.

— Głupiś! Sami wezmą, a nie dasz z dobrej woli, to ci ostatnią krowę sprzedadzą, i jeszcze do kozy pójdziesz za opór! Rozumiesz! To nie z dziedzicem sprawa — zwrócił się do Lipczaków — z naczelnikiem niema żartów. Mówię wam, róbcie, co każą, i dziękujcie Bogu, że nie jest gorzej.

Przytwierdzali mu tak samo myślące, zaś stary Płoszka po długiem rozważaniu wyrzekł niespodzianie:

— Prawdę mówicie, a Rocho naród zbałamucił i do zguby popycha.

A na to wystąpił jakiś gospodarz z Przyłęka i powiedział głośno:

— Bo Rocho z panami trzyma i latego podjudza przeciw urzędom!

Zakrzyczeli go ze wszystkich stron, ale chłop się nie uląknął i, skoro się jeno przyciszyło, znowuj głos podniósł.

— A głupie mu pomagają! rzekłem! — potoczył mądremi oczami — a komu to nie w smak, niech stanie, to mu w oczy przywtórzę, głupie! Bo nie wiedzą, iż zawdy tak było, że panowie się buntują, naród judzą, do nieszczęścia prowadzą, ale, jak przyjdzie zato płacić, to kto płaci? chłopi! A jak wam kozaków po wsiach zakwaterują, to kto będzie brał baty? kto będzie cierpiał? kogo do kreminału powleką? A jeno was, chłopów! Panowie się za wami nie upomną, nie, wyprą się wszystkiego, kiej Judasze, i jeszcze starszyznę będą ugaszczali po dworach.

— Bo co im ta naród znaczy, tyla żeby za nich gnaty wyciągał.

— A żeby mogli, toby jutro wrócili pańszczyznę! — podniesły się wołania.

— Grzela powieda — zaczął znowu — niech uczą po naszemu, a nie chcą, to nie uchwalać szkoły, nie dawać ani grosza, przeciwić się, a juści, tylko parobkowi łacno krzyknąć na gospodarza: — robił nie będę, całuj me gdzieś — i uciec przed skarceniem. Ale naród nie ucieknie i za bunt kije wziąć weźmie, bo nikto drugi pleców za niego nie podstawi... To wama mówię, taniej wam wypadnie postawić szkołę, niźli przeciwić się urzędom. A że po naszemu nie nauczają, prawda, ale i tak na Rusków nas nie przerobią, boć żaden pacierza, ni między sobą nie będzie mówił inaczej, a jeno jak go matka nauczyła! Zaś naostatku

to wam jeszcze rzeknę: swoją ano stronę trzymajmy! A drą się między sobą panowie, nie nasza sprawa, niech się ta kłyźnią i zagryzają, takie nam braty jedne i drugie, że niechta ich morówka nie minie.

Zwarli się kole niego gęstwą i zakrzyczeli, kiej na wściekłego psa, napróżno młynarz brał go w obronę, napróżno i poniektóre za nim się ujmowały. Grzelowe stronniki już mu zaczęły pięściami wytrząchać, że możeby i do czego gorszego doszło, ale stary Pryczek zakrzyczał:

— Strażniki słuchają!

Przycichło nagle, a stary wystąpił i jął prawie gniewnie:

— Świętą prawdę powiedział, swojego dobra patrzmy! Cichojta, hale powiedziałeś swoje, to daj i drugiemu rzec swoje! Wydzierają się i myślą, co największe głowacze! Juści, żeby jeno w krzyku był rozum, to bele pyskacz miałby go więcej, niźli sam proboszcz! Prześmiewajta się, juchy, a ja wam rzeknę, jak bywało pod te roki, kiej się to panowie buntowały; dobrze baczę, jak nas tumaniły a przysięgały, że, jak Polska będzie, to i wolę nam dadzą, i gronta z lasami, i wszystko! Obiecywały, mówiły, a kto drugi dał, co tera mamy, i jeszczek musiał ich pokarać, co nie chciały w niczem ulżyć narodowi! Słuchajta panów, kiedyśta głupie, ale mnie na plewy nie weźmie, wiem ja, co znaczy ta ich Polska: że to jeno bat na nasze plecy, pańszczyzna i uciemiężenie! Jeszcze me...

— A dajże mu ta który w pysk, niech przestanie — wyrwał się jakiś głos.

— A tera — ciągnął dalej — ja taki sam pan, jak inni, prawo swoje mam, i nikt me palcem tknąć nie śmie! Tam mi Polska, kaj mi dobrze, kaj mam...

Przerwały mu szydliwe głosy, bijące ze wszystkich stron, niby gradem:

— Świnia też pokwikuje z kuntentności, a chwali se chliw i pełne koryto!

— I za to przykarmianie dostanie pałą w łeb i nożem po gardzieli!

— W jarmarek sprał go strażnik, to powieda, że nikto go tknąć nie śmie.

— Plecie, a tyle miarkuje, co ten koński ogon!

— Sielny pan, ma wolę, juści, wszy go same niesą po wolności!

— Rychtyk i wiechcie z butów tak samoby nauczały!

— Kury zmacać nie poredzi, a będzie tu występował! Gnojek jucha! Baran!

Stary zeźlił się srodze, ale jeno powiedział:

— Ścierwy! Już nawet siwych włosów nie poszanują!

— A to i każdą siwą kobyłę trzaby uważać, jeno zato, co siwa, hę?

Gruchnęły śmiechy i wraz zaczęli się odwracać, podnosząc oczy na dach kancelarji, kaj wlazł stójka i, chyciwszy się komina, patrzył wdal.

— Józek, a zamknij gębę, bo ci jeszcze co wleci! — krzyczeli z prześmiechem, gdyż całe stado gołębi kołowało nad nim, ale on naraz zawrzeszczał:

— Jedzie! Jedzie! Już na skręcie z Przyłęku!

Gromada jęła się ściągać pod dom i zwierać coraz gęściej, cierpliwie spozierając na pustą jeszcze drogę.

Rychtyk i słońce przetoczyło się ździebko na bok, za kalenicę, że z pod okapu wysuwał się coraz większy cień, w którym ustawili stół, nakryty zielono, z krzyżem w pośrodku. Rudy, pucołowaty pomocnik wynosił papiery na stół i cięgiem cosik w nosie majstrował.

Pisarz jął się nagwałt przebierać w świąteczny ubier, a w całym domu znowu podniesły się wrzaski pisarzowej, brzęk talerzów, rumor przesuwanych sprzętów i bieganina, zaś w jakieś Zdrowaś zjawił się i wójt. Stanął w progu, czerwony, jak burak, i spocony, ledwie zipiący, ale już w łańcuchu i, powlókłszy ślepiami po gromadzie, zakrzyczał srogo:

— Cicho tam, ludzie, dyć to nie karczma!

— Pietrze, a chodźcie ino, cosik wam rzeknę! — zawołał do niego Kłąb.

— Hale, niema tu żadnego Pietra, a jeno urzędnik! — odburknął wyniośle.

Wzięli na ozory to powiedzenie, jaże się kałduny zatrzęsły z uciechy, gdy naraz wójt zakrzyczał uroczyście:

— Rozstąpta się, ludzie! Naczelnik!

Jakoż powóz ukazał się na drodze i, podskakując na wybojach, zakręcił przed kancelarję.

Naczelnik podniósł rękę do czoła, chłopi pozdejmowali kapelusze, zaległo milczenie, wójt z pisarzem przypadli wysadzać go z powozu, a strażnicy stanęli przy drzwiach, wyprostowani, kieby kije.

Naczelnik dał się wysadzić i rozebrać z białego obleczenia i, odwróciwszy się, powlókł oczami po gromadzie, przygładził żółtawą bródkę, nasrożył się, kiwnął głową i wszedł do mieszkania, kaj go zapraszał pisarz, w pałąk przygięty.

Powóz odjechał, chłopi znowu się zwarli dokoła stołu, rozumiejąc, iż zaraz rozpocznie się zebranie, ale przeszło dobre Zdrowaś, przeszedł może i cały pacierz, a naczelnik się nie pokazywał, jeno z pisarzowych pokojów roznosiły się brzęki szkła, śmiechy i jakieś smaki, wiercące w nozdrzach.

A że mierziło się już czekanie i słońce przypiekało coraz barzej, to jaki taki jął się chyłkiem przebierać ku karczmie, aż wójt zakrzyczał:

— Nie rozłazić się! A którego zbraknie, ten się zapisze do sztrafu...

Juści co się jeszcze wstrzymali, klnąc jeno coraz siarczyściej a niecierpliwie spozierając na pisarzowe okna, bo ktoś je przymknął ze środka i zasłonił.

— Wstydzą się chlać na oczach!

— Lepiej, bo każden jeno grdyką robi, a po próżnicy ślinkę łyka! — pogadywali.

Z aresztu, stojącego w rząd z kancelarją, wyrwał się żałosny i długi bek, a po chwili wylazł stójka, ciągnąc na postronku sporego ciołka, któren się opierał ze wszystkiej mocy, ale naraz grzmotnął go łbem, jaże chłop rymnął na ziemię, zadarł ogona i pognał, ino się za nim zakurzyło.

— Łapaj złodzieja! Łapaj!

— A posyp mu soli na ogon, to się wróci!

— Jaki to zuchwały, uciekł z kozy i jeszcze ogon zadarł na pana wójta!

Dogadywali, przekpiwając się ze stójki, któren ganiał za ciołkiem i dopiero przy pomocy sołtysów napędził go w podwórze. A jeszcze nie odzipnęli, kiej wójt przykazał wziąć się do wymiatania aresztu i sam doglądał, pilił i niemało pomagał, bojając się, bych się czasem nie zachciało tam zajrzeć naczelnikowi.

— Wójcie, a trza wykadzić, bych nie zwąchał, co to był za aresztant.

— Nie bójcie się, po gorzałce docna straci wiater.

Rzucał kto niekto jakie słowo kolące, jaże wójt błyskał ślepiami a zęby zacinał, ale wkońcu zbrzydły im nawet przekpinki, a tak dokuczyło czekanie na słońcu i głód, że całą hurmą ruszyli pod drzewa, nie bacząc na wójtowe zakazy, któremu jeno Grzela powiedział:

— Hale, naród to pewnie pies, nie przyjdzie ci do nogi, choćbyś krzyczał do wieczora! — i rad, iż zeszli ze strażnikowych oczów, jął znowu kręcić się wśród ludzi, przypominając każdemu zosobna, jak ma głosować.

— Jeno się nie bójta! — dodawał — prawo za nami! Co uchwalimy, będzie, a czego nie chce gromada, nikto ją do tego nie przymusi.

Ale nie zdążyli się jeszcze ludzie porozkładać w cieniach, ni przegryźć co niebądź, gdy sołtysi jęli nawoływać, a wójt przyleciał z krzykiem:

— Naczelnik wychodzi! Chodźta prędzej! zaczynamy!

— Nawąchał się dobrego jadła, to go ponosi! Nama niepilno! Niech poczeka!

Mamrotali gniewnie, zbierając się ociężale przed kancelarją.

Sołtysi stanęli na czele swoich wsi, zas wójt zasiadł za stołem, mając pobok pisarzowego pomocnika, któren, przedłubując w nosie, gwizdał na gołębie, co, zestrachane gwarem, porwały się z dachu, krążąc roztrzepotaną białą chmurą.

— Mołczat'! — zakrzyknął naraz jeden ze strażników, prężących się u proga.

Wszystkie oczy zwróciły się na drzwi, ale wyszedł z nich jeno pisarz z papierem w ręku i wcisnął się za stół.

Wójt zatrząsł dzwonkiem i rzekł uroczyście:

— Zaczynamy, ludzie kochane! Cicho tam, Modliczaki! Pan sekretarz przeczyta niby o tej szkole! A słuchajta pilnie, by każden wyrozumiał, o co idzie!

Pisarz założył okulary i zaczął czytać zwolna i wyraźnie.

Czytał już może z pacierz, wśród zupełnej cichości, gdy ktosik wrzasnął:

— Kiej nie rozumiemy!

— Czytać po naszemu! Nie rozumiemy!—zerwały się mnogie głosy.

Strażnicy jęli się pilnie rozglądać w gromadzie.

Pisarz się skrzywił, ale już czytał, przekładając na polskie.

Zrobiło się cicho, słuchali w skupieniu, rozważając każde słowo i patrząc się w niego, kieby w obraz.

Pisarz ciągnął powoli:

...jako przykazano postawić szkołę w Lipcach, któraby była i dla Modlicy, Przyłęka, Rzepek i drugich pomniejszych wsi.

Potem długo wywodził, jaki to z tego będzie profit, jakie to dobrodziejstwo oświata, jak to urzędy jeno myślą dzień i noc, by tylko narodowi przyjść z pomocą, by go wspierać, oświecać i bronić przed złem. Zaś wkońcu wyliczał, ile potrza na plac z polem, ile na sam budynek i na całe utrzymanie szkoły, wraz z nauczycielem, i że na to wszystko trzeba będzie uchwalić dodatkowy podatek po dwadzieścia kopiejek z morgi. Umilkł, przetarł okulary i rzekł jakby do siebie:

— Pan naczelnik powiedział, że, jak dzisiaj uchwalicie, to pozwoli zacząć budowę jeszcze w tym roku, a na przyszłą jesień dzieci już pójdą do szkoły.

Skończył, ale nikt się nie odezwał, każden coś ważył w sobie, kuląc się jeno, jakby pod ciężarem nowego podatku, aż dopiero wójt się ozwał:

— Słyszeliście dobrze, co pan sekretarz przeczytał?

— Słyszelim! Juści, przeciek niegłusim! — ozwali się tu i owdzie.

— A któren ma przeciw temu, niech wystąpi, a swoje rzeknie.

Jęli się trącać łokciami, wypychać naprzód, drapać, spozierać na się i na starszych, lecz nikto nie miał śmiałości wyrywać się pierwszy.

— Kiej tak, uchwalmy prędko podatek i do domu! — zaproponował wójt.

— Więc cóż, wszyscy jednogłośnie zgadzacie się? — zapytał uroczyście pisarz.

— Nie! Nie chcemy! Nie! — wrzasnął Grzela i za nim kilkudziesięciu.

— Nie potrza nam takiej szkoły! Nie chcemy! Dosyć już mamy podatków! Nie! — wołano już ze wszystkich stron, a coraz śmielej, głośniej i hardziej.

Na ten wrzask wyszedł naczelnik i stanął w progu, przycichli na jego widok, a on poskubał bródkę i rzekł wielce łaskawie:

— Jak się macie, gospodarze?

— Bóg zapłać! — odparli pierwsi z brzega, kolebiąc się pod naporem gromady, pchającej się naprzód, aby posłuchać naczelnika, któren, wsparty o futrynę, jął cosik mówić po swojemu, ale mu się cięgiem odbekiwało.

Strażnicy skoczyli w naród i dalejże wołać:

— Szapki dołoj! szapki!

— Poszedł ścierwo i nie plącz się pod nogami!— zaklął ktoś na nich.

A naczelnik, choć prawił słodziuśko, skończył nakazująco i po polsku:

— Uchwalcie zaraz podatek, bo nie mam czasu.

I srogo patrzył w twarze, strach przejął niejednego, tłum się zakołysał, poszły trwożne i ściszone szepty.

— No co, głosujemy na szkołę? Mówcie, Płoszka! Jakże zrobim?... Kajże to Grzela? Przykazuje głosować! Głosujmy, ludzie, głosujmy!

Wrzało coraz głośniej, gdy Grzela wystąpił i powiedział śmiało:

— Na taką szkołę nie uchwalimy ani grosza.

— Nie uchwalimy! Nie chcemy! — wsparło go ze sto krzyków.

Naczelnik zmarszczył się groźnie.

Wójt struchlał, a pisarzowi jaże spadły z nosa okulary, jeno Grzela się nie strwożył, wparł w niego harde ślepie, chcąc jeszcze cosik dodać, gdy stary Płoszka wystąpił i, skłoniwszy się nisko, zaczął pokornie:

— Dopraszam się łaski wielmożnego naczelnika, co rzeknę, jako to po swojemu miarkuję: szkołę juścić uchwalić uchwalim, ale widzi się nama, co za dużo złoty i groszy dziesięć z morgi. Czasy teraz ciężkie i o grosz trudno! To jeno chciałem rzec.

Naczelnik nie odpowiedział, zatopiony w jakowychś dumaniach, że jeno kiej niekiej kiwnął głową jakby przytakująco i oczy przecierał, więc ośmielony tem wójt siarczyście przemawiał za szkołą; po nim i jego kamraty parły do tego samego, młynarz zaś pyskował najżarliwiej, nie zważając na ostre przycinki Grzelowych stronników, aż wreszcie zgniewany Grzela zawołał:

— Przelewamy jeno z pustego w próżne—i, upatrzywszy sposobną porę, przystąpił i śmiało spytał:

— A niby jaka to ma być ta nowa szkoła?

— Jak i wszystkie!—wyrzekł, otwierając oczy.

— To my akuratnie takiej nie potrzebujemy!

— Na swoją uchwalim i pół rubla z morgi, a na inszą ni szeląga.

— Co nam taka szkoła, moje uczyły się bez trzy roki, a też ni be, ni me.

— Ciszej, ludzie, ciszej!

— Rozbrykały się barany, a wilk jeno patrzeć jak skoczy na stado.

— Pyskacze juchy, nową biedę wypyskują la wszystkich.

Pokrzykiwali jeden przez drugiego, że uczynił się srogi gwar, każden bowiem dowodził swojego i przepierał drugich, rozgrzewali się coraz barzej, rozbili się na kupy, i wszędy zawrzały spory a kłótnie, zwłaszcza Grzelowe stronniki pyskowały najgłośniej i najzawzięciej, powstając przeciw szkole. Naprożno wójt, młynarz i gospodarze z drugich wsi przekładali, prosili, a nawet i strachali Bóg wie czem, większość srożyła się coraz zuchwalej, wygadując, co jeno komu ślina przyniesła.

Zaś naczelnik siedział, jakby nie słysząc niczego, szeptał cosik z pisarzem, dając się im wygadać dowoli, a kiej mu się widziało, co mają już dosyć płonego szczekania, kazał zadzwonić wójtowi.

— Cicho tam! cicho! słuchać! — spokoili sołtysi.

A nim się docna przyciszyło, rozległ się jego głos rozkazujący:

— Szkoła być musi, rozumiecie! Słuchać i robić, co wam każą!

Srogo przemówił, jeno co się nie ulękli, a Kłąb chlasnął naodlew:

— Nie przykazujem nikomu chodzić na łbie, to niechże i nama pozwolą się ruchać, jak komu wyrosły kulasy.

— Zawrzyjcie gębę! Cicho, psiekrwie!—klął wójt, na darmo dzwoniąc.

— Co rzekłem, to przywtórzę, że w naszej szkole muszą się uczyć po naszemu.

— Karpienko! Iwanow! — ryknął na strażników, stojących w pośrodku ciżby, ale chłopi wmig ich ścisnęli między sobą, a ktosik im szepnął:

— Niech jeno któren tknie kogo... nas tu ze trzystu... miarkujcie...

I wraz się rozstąpili, czyniąc wolne przejście, a tłocząc się za nimi przed naczelnika z głuchą, rozjuszoną wrzawą, przysapując jeno, a klnąc i wytrząchając pięściami, zaś raz po raz ktoś wyrywał się z kupy z ozorem:

— Każde stworzenie ma swój głos, a jeno nam przykazują mieć cudzy.

— I cięgiem przykazy, a ty, chłopie, słuchaj, płać i czapką ziemię zamiataj.

— Pokrótce to bez pozwoleństwa nie puszczą i za stodołę.

— Kiej takie wielmożne, to niech przykażą świniom, by zaśpiewały, kiej skowronki! — huknął Antek, zatrzęsły się śmiechy, a on wołał rozjuszony:

— Abo niech im gęś zaryczy. Jak to zrobią, to uchwalim szkołę.

— Każą podatki, płacim; każą rekruta, dajem, ale wara od...

— Cichojcie,' Kłębie. Sam Najjaśniejszy Cysarz nadał ustawę, i tam stoi, kiej wół, co szkoły i sądy

mają być po polsku! Tak przykazał sam Cysarz, to jego słuchać będziem! — wrzeszczał Antek.

— Ty kto takoj? — spytał naczelnik, wpierając w niego oczy.

Zadrżał, ale rzekł śmiało, wskazując papiery, leżące na stole:

— Tam stoi napisane. Nie sroka me zgubiła — dodał zuchwale.

Naczelnik pogadał cosik z pisarzem, i ten pokrótce ogłosił: jako Antek Boryna, pozostający pod śledztwem karnem, nie ma prawa brać udziału w zebraniu gminnem.

Antek poczerwieniał z gniewu, lecz, nim się zebrał na słowo, naczelnik wrzasnął:

— Poszoł won!—i wskazał go oczami strażnikom.

— Nie uchwalajta, chłopcy! prawo za nami! nie bójta się niczego! — krzyknął zuchwale Antek.

I odszedł wolno ku wsi, spozierając na strażników, kiej wilk na kondle, że ostawali coraz dalej.

Ale w gromadzie zagotowało się znagła, kieby w tym kotle, wszyscy naraz poczęli prawić, krzyczeć i sprzeczać się zajadle, że już nie dosłyszał nikogo, a jeno pojedyńcze słowa klątw, pogróz i przekpiwań latały nad głowami, kiej kamienie. Jakby ich zły opętał, tak się wydzierali zapalczywie, a nikto nie poredził wyrozumieć, skąd to przyszło i laczego?

Spierali się o szkołę, o Antka, o wczorajszy deszcz, kto zeszłoroczne szkody przypominał sąsiadowi, kto folgę jeno dawał wątrobie, kto zaś la samego sprzeciwu się kłyźnił, że powstał taki męt, taki wrzask i zamiesza-

nie, co się już widziało, jako leda chwila wezmą się za łby i orzydla. Próbował spokoić Grzela, próbowali drugie, nie przemogli jednak opętania. Wójt dzwonił, jaże mu drętwiały kulasy, przywołując do porządku, i takoż na darmo. Kiej te rozjuszone indory skakały sobie do oczów, ślepe już i głuche na wszystko.

Dopiero któryś ze sołtysów jął walić kijem w pustą beczkę, stojącą pod okapem, jaże zahuczała, kiej bęben, wtedy ludzie oprzytomnieli nieco, ściszając się nawzajem.

Naczelnik, nie mogąc się doczekać cichości, zakrzyczał zgniewany:

— Cicho tam! Dosyć tej narady! Milczeć, kiedy ja mówię, i słuchać. Szkołę uchwalcie.

Ścichło, jakby makiem posiał, strach padł na wszystkie, mróz przeszedł kości, że stali jakby podrętwieli, spozierając po sobie niemo i bezradnie, ani w myślach postały sprzeciwy, gdyż on stał groźnie, tocząc oczami po wylękłych twarzach.

Przysiadł znowu, a wójt, młynarz i drugie rzucili się między ludzi, przyniewalać do posłuszeństwa i strachać.

— Głosować za szkołą, głosować.

— Może być źle. Słyszeliśta?

Pisarz tymczasem sprawdzał obecnych, że co trochę ktoś odkrzykiwał:

— Jest! Jest!

Zaś po sprawdzeniu wójt wlazł na stołek i zakomenderował:

— Kto za szkołą, niech przejdzie na prawą stronę i podniesie rękę.

Sporo przeszło, ale dużo więcej narodu ostało na miejscu, naczelnik się zmarszczył i przykazał, aby la sprawiedliwości głosowali imiennie.

Strapił się tem Grzela, dobrze rozumiejąc, że, skoro każden zosobna pójdzie głosować, to nie będzie śmiał się przeciwić.

Ale już nie było nijakiej zarady. Pomocnik zaczął wywoływać i każden szedł koleją, posobnie, a pisarz przy nazwisku znaczył kreskę, jeśli był za szkołą, lub robił krzyżyk, gdy się jej przeciwił.

Długo się wlekło, gdyż ludzi było chmara, lecz wkońcu ogłosili:

— Dwieście głosów za szkołą, osiemdziesiąt przeciw.

Grzelowi podnieśli wrzask.

— Na nowo głosować! oszukali!

— Ja mówiłem: nie, a postawił mi kreskę! — wydzierał się któryś, a za nim wielu świarczyło to samo, zaś goretsi jęli się skrzykiwać.

— Nie dać, podrzeć papiery, podrzeć!

Szczęściem, co dworski powóz zajeżdżał przed kancelarję, więc ludzie, chcąc nie chcąc, musieli się poodsuwać na boki, zaś naczelnik, przeczytawszy list, jaki mu podał lokaj, oznajmił uroczyście:

— Tak, bardzo dobrze, szkoła w Lipcach będzie.

Juści co nikto i pary z gęby nie puścił, stali, kiej mur, patrząc w niego spokojnie.

Podpisał jakieś papiery, wsiadł do powozu i ruszył.

Kłaniali mu się pokornie, ani spojrzał na kogo, ni kiwnął głową, a pogadawszy jeszcze ze strażnikami, skręcił na boczną drogę ku modliskiemu dworowi.

Patrzyli za nim czas jakiś w milczeniu, aż któryś z Grzelowych rzekł:

— Jagniątko, do rany go przyłóż, a nie spodziejesz się, jak udrze cię kłami, gorzej wilka, i weźmie pod kopyta.

— A czemżeby to głupich trzymali, jak nie pogrozą?

Grzela jeno westchnął, spojrzał po gromadzie i szepnął cicho:

— Przegralim dzisia, trudno, naród jeszcze nie wezwyczajony do oporu.

— Boja się bele czego, to i niełatwo się wezwyczai.

— Moiściewy, a jaki to człowiek, nawet prawo ma se za nic.

— Juści, przeciek prawo pisali la nas, a nie la siebie.

Jakiś chłop z Przyłęka podszedł, skarżąc się przed Grzelą.

— Chciałem z wami, ale jak me prześwidrował ślepiami, tom języka zapomniał, i pisarz zapisał, jak mu się spodobało.

— Tyla było oszukaństwa, że możnaby zaskarżyć uchwałę.

— Chodźta do karczmy. Niechta siarczyste zatłuką—zaklął Mateúsz i, odwróciwszy się do gromady, zakrzyczał: — wiecie, ludzie, czego wama naczelnik

zapomniał powiedzieć? A tego, żeśta kundle i barany. I dobrze zapłacita za posłuch, ale niech was łupią ze skóry, kiejśta głupie.

Zaczęli się odcinać, ktoś nawet pysk wywarł na niego, lecz żmilkli, bo jakaś żydowska bryka przejeżdżała, w której siedział Jasio organistów.

Otoczyli go Lipczaki, a Grzela rozpowiedział o wszystkiem. Jasio wysłuchał, pogadał o tem i owem i kazał jechać.

Wszyscy zaś poszli do karczmy, i po drugim kieliszku Mateusz huknął:

— A ja wam powiedam, że wszystkiemu winien wójt i młynarz.

— Prawda, najwięcej namawiali a straszyli — przyświarczył Stacho Płoszka.

— A że naczelnik groził, to jakby wiedział już o Rochu — ktoś szeptał.

— Jak nie wie, to mu powiedzą. Znajdą się takie!

— Kaj strażniki? — zapytał Grzela niespokojnie.

— Poszli jakby w stronę Lipiec.

Grzela zakręcił się po karczmie, i ani spostrzegli, jak się wyniósł i szedł ku wsi miedzami, rozglądając się pilnie dokoła.

IX.

Antek obzierał się za gromadą, kieby ten kot, odpędzony od miski, a rozważał, czyby nie zawrócić, lecz, widząc następujących strażników, powziął nagle

jakąś myśl, bo wyłamał po drodze sporą gałąź i, wsparłszy się o płot, obstrugiwał, pasując do ręki a zważając na burków, którzy, chociaż szli jak mogli najpowolniej, zrównali się z nim pokrótce.

— Kajże to pan starszy, na prześpiegi? — zagadał urągliwie.

— Po służbie, panie gospodarzu, a może nam w jedną stronę, co?

— Radbym z duszy, ale widzi mi się, co nam kaj indziej drogi wypadną.

Rozejrzał się prędko, na drodze ni żywej duszy, jeno co kancelarja była jeszcze za blisko, więc ruszył z nimi, trzymając się kole płota i pilnie bacząc, by go znagła nie obskoczyli.

Zmiarkował się starszy i dalejże pogadywać z przyjacielska i srodze wyrzekać, jako od samego rana jeszcze nic nie miał w gębie.

— Naczelnikowi pisarz nie żałował, to pewnikiem i la pana starszego ostawili jakie ochłapy. Na wsiach przeciek smaków nie postawią; cóż, kluski a kapusta nie la takich panów — przekpiwał z rozmysłem, jaże młodszy, sielny parob, o rozlatanych ślepiach, cosik zamamrotał, ale starszy nie popuścił ni słowa.

Antek się jeno prześmiechał, wyciągając coraz lepiej kulasy, że ledwie za nim nadążyli, nie bacząc już na wyboje ni kałuże. Wieś była pusta, jakby wymarła, i słońce tak doskwierało, że jeno niekiedy co ta ktoś wyjrzał za nimi lub kajś w cieniach zabielały dziecińskie głowiny, a tylko jedne pieski przeprowadzały ich wiernie z niemałym jazgotem i docieraniem.

Starszy zakurzył papierosa i, strzyknąwszy przez zęby, jął się użalać, jakto on nie zazna nigdy spokojnej nocy ni dnia, bo cięgiem służba i służba.

— Pewnie, co niełacno teraz wyciągnąć choćby co niebądź od chłopów...

Strażnik jeno zaklął, sięgając jaże do maci, ale Antek, że mu się to już zmierziły te kluczenia, ścisnął mocniej kijaszek i rzekł całkiem zaczepnie:

— Prawdę powiem, a to z waszej służby tyla jeno jest profitu, co się po wsiach naszczekają pieski, a jaki taki zbędzie ostatniej złotówki.

I to jeszcze starszy ścierpiał, chociaż już pozieleniał ze złości, a za pałaszem macał, ale dopiero kiej doszli ostatniej chałupy, rzucił się znagła na Antka i krzyknął kamratowi:

— Bierz go!

Źle się jednak wybrali, bo, nim poredzili go przytrzymać, odciepnął ich precz, kiej kondle, uskoczył wbok pod chałupę, wyszczerzył zęby, kiej wilk, i, trząchając kijem, zawrzał przyduszonym, urywanym głosem:

— Idźcie swoją drogą... ze mną nie wygracie... nie dam się i czterem... a kły powybijam, kiej psom. Czego chcecie ode mnie?... w niczem niewinowatym... A szukacie bitki, dobrze... zamówta se jeno przódzi podwody na swoje kości... A podejdź który i tknij me jeno, spróbuj! — zakrzyczał, wygrażając kijem i gotów już choćby do zabijania.

Strażnicy stanęli, kiej wryci, gdyż chłop był ogromny, rozwścieklony, i kij jaże mu warczał w gar-

ściach, więc starszy, widząc, że to nie przelewki, spróbował wszystko obrócić w żart.

— Ha! ha! sławno, a to się nam udała szutka!— i, trzymając się za boki, nibyto od śmiechu, zawrócił zpowrotem, ale, uszedłszy kilkanaście kroków, pogroził mu pięścią i zgoła już inaczej zawrzeszczał:

— My się jeszcze zobaczym, panie gospodarzu, i pogadamy.

— A niech cie ta przódzi zaraza spotka! — odkrzyknął naodlew. — Hale, strach go sparł, to się żartem wykręca, pogadam i ja z tobą, niechno cię jeno kaj zdybię na osobności — mruczał, bacząc, póki mu z oczów nie zeszli.

— Tamten poszczuł na mnie, głupi, myślał, co me wezmą, kiej psy zająca. To za mój opór, juści, prawda mu nie w smak — rozmyślał i, doszedłszy pod dworski ogród, kawał za wsią, przysiadł w cieniu, aby odpocząć nieco, gdyż trząsł się jeszcze cały i spotniał, kiej mysz.

Przez drewniane ogrodzenie widniał biały dwór, stojący w wyniosłym zagaju modrzewi, powywierane okna czerniały, kiej jamy, a na słupiastym ganku siedziało jakieś państwo i snadź przy jadle, bo służba cięgiem się kręciła kole nich, szczękały statki, a niekiedy długi, wesoły śmiech dochodził.

— Takim niezgorzej! Jedzą, piją i zarówno im wszystko — myślał, dobierając się do chleba ze serem, jaki mu była Hanka wetknęła w kieszeń.

Pojadał, wodząc oczami po wielgachnych lipach, brzeżących drogę i całych we kwiatach i pszczelnym

brzęku; słodki, sprażony w słońcu zapach przejmował go lubością, kajś ze sadzawki zakwakała kaczka i rozchodziło się senne nukanie żab, z gąszczów trzęsły się cichuśkie pogłoski stworzeń przeróżnych, a na polach muzyka koników podnosiła się raz po raz i przycichała, ale po jakimś czasie jęło wszystko głuchnąć, jakby zalane słonecznym ukropem. Świat oniemiał, a co jeno było żywe, przytaiło się w cieniach przed pożogą, że tylko jedne jaskółki śmigały nieustannie.

Przypołudnie kipiało już takim warem, że oczy bolały od blasków i spieki, nawet cienie parzyły, ostatnie kałuże wyschły, a do tego od zbóż prawie dojrzałych i ze spieczonych ugorów pociągało niekiedy, jakby z wywartego pieca.

Antek, wytchnąwszy galancie, ruszył raźno ku lasom niedalekim, ale, skoro się wysunął z cieniów na drogę, zatopioną w słońcu, jaże go ciarki przeszły, i już szedł jakby przez wrzące, białawe płomienie. Zewlókł kapotę, lecz i tak koszula mu przywierała do spotniałych boków, niby rozpalona blacha, zezuł i buciary, grzęznąc w piasku, jakby w tym gorącym popiele.

Pokręcone brzezinki, stojące kaj niekaj, nie dawały jeszcze cienia, żyta chyliły nad drogą ciężarne kłosy i poślepłe w żarach kwiaty zwisały pomdlałe.

Upalna cichość leżała w powietrzu, a nikaj nie dojrzał człowieka, ni ptaka, ni żadnego stworzenia i nikaj nie zadrgał listek ni trawka choćby najmarniejsza, jakby w oną godzinę Południca zwaliła się na świat i wysysała spieczonemi wargami wszystką moc ze ziemi omglałej.

Antek szedł coraz wolniej, rozmyślając o zebraniu, że raz wraz porywały go złoście, to śmiech spierał, to przejmowało zniechęcenie.

— I poradź co z takimi! Bele strażnika się ulękną... jakby im przykazali posłuchać naczelnikowego buta, toby go słuchali. Barany juchy, barany! — myślał z politowaniem i złością. — Prawda, że każdemu źle, każden wije się, kieby nadeptany piskorz, i każden ledwie już z biedy zipie, to gdzie im się ta kłopotać o takie sprawy. Naród ciemny i zabiedzony, to nawet i nie miarkuje, co mu potrza — zafrasował się wielce za wszystkich i serdecznie zatroskał.

— Człowiek to jak świnia, niełacno mu ryja unieść do słońca.

Głowił się i wzdychał, a tyla mu jeno przyszło z tych rozważań i turbacyj, że poczuł, jako i jemu jest źle, a może nawet gorzej, niźli drugim.

— Bo jeno tym dobrze, które o niczem nie mają pomyślenia!

Machnął ręką i szedł tak srodze zadeliberowany, że omal nie wlazł na Żyda szmaciarza, siedzącego pod zbożem.

— Ustaliście, juści, taki gorąc — ozwał się pierwszy, przystając nieco.

— To jest piec, to jest Boskie skaranie, a nie gorąc — wybuchnął Żyd i, powstawszy, założył szleje na stary, przygarbiony kark, przypiął się do taczki, niby pijawka, pchając ją przed sobą z niezmiernym wysiłkiem, gdyż była naładowana workami gałganów i drewnianemi pudłami, a na nich stał jeszcze kosz jaj

i klatka z kurczętami, zaś w dodatku droga była piaszczysta i srogi upał, to, chociaż się wydzierał ze sił do ostatka i szarpał, a co trochę musiał odpoczywać.

— Nuchim, ty się spóźnisz na szabes! — upominał się płaczliwie. — Nuchim, ty pchaj, ty jesteś mocny, jak kuń! — mamrotał zachętliwie. — Nuchim, nu, raz... dwa... trzy... — i rzucał się na taczkę z krzykiem rozpaczy, pchał ją kilkanaście kroków i znowu stawał.

Antek skinął mu głową i przeszedł, ale Żyd zawołał błagalnie:

— Pomóżcie, panie gospodarzu, dobrze zapłacę, już nie mogę, już całkiem nie mogę — opadł na taczki, blady, kiej trup, i ledwie dyszący.

Antek zawrócił bez słowa, zwalił na taczki kapotę i buty, ujął ją krzepko i pchał tak wartko, jaże koło zapiszczało i kurz się podniósł. Żyd dreptał pobok, łapiąc powietrze zadyszaną piersią, i gadał zachętliwie:

— Tylko do lasu, tam dobra droga, już niedaleko, dam wam całą dziesiątkę.

— Wsadź se ją w nos! Głupi, stoję to o twoją dziesiątkę! No, jakto te Żydy myślą, że wszystko na świecie jeno za pieniądze.

— Nie gniewajcie się, to ja dam śliczne kuraski la dzieci, nie? to może nici, igły, jakie wstążki? Nie! Może być bułki, karmelki, obarzanki albo jeszcze co? Ja mam wszystko. A może pan gospodarz kupi paczkę tytuniu? A może dać kieliszek fajnej gorzałki? Ja mam dla siebie, ale po znajomości. Na moje sumienie, tylko po znajomości!

Zakasłał się, jaże mu ślepie nawierzch wylazły, a kiej Antek zwolnił nieco kroku, chycił się taczek i wlókł się, poglądając nań łzawie.

— Będzie dobry urodzaj, żyto już spadło — zaczął z innej beczki.

— A jak nie urodzi, też mniej płacą. Zawdy na stratę gospodarzom.

— Piękny czas dał Pan Bóg, ziarno już suche — kruszył kłosy i pojadał.

— Juści, tak se folguje Pan Jezus, co już jęczmiona przepadły.

Pogadywali zwolna o tem i owem, aż zeszło na zebranie, o którem Żyd wiedział, bo rzekł, rozglądając się trwożliwie dokoła:

— Wiecie, jeszcze zimą naczelnik zrobił kontrakt z jednym majstrem na postawienie szkoły w Lipcach. Mój zięć im faktorował.

— Jeszcze zimą? Przed uchwałą? Co wy też powiadacie?

— Może się miał pytać o pozwolenie? Czy to on nie dziedzic na swój powiat?

Antek jął rozpytywać, gdyż Żyd wiedział różne ciekawe rzeczy i rad odpowiadał, zaś wkońcu rzekł pobłażliwie:

— Tak musi być. Gospodarz żyje z tej ziemie, kupiec z handlu, dziedzic z folwarku, ksiądz z parafji, a urzędnik ze wszystkich. Tak musi być i tak jest dobrze, bo każdy potrzebuje trochę żyć. Czy nieprawda?

— Widzi mi się, co nie o to idzie, aby jeden drugiego łupił ze skóry, a jeno, by każden żył sprawiedliwie, jak Pan Bóg przykazał.

— Co na to poradzić? każdy żyje, jak może.

— Ja wiem, że każdy sobie rzepkę skrobie, ale i bez to jest źle.

Żyd jeno głową pokiwał, ale swoje myślał.

Doszli właśnie lasu i twardszej drogi, Antek odstawił taczki, kupił za całą złotówkę cukierków la dzieci, a kiej mu Żyd jął dziękować, burknął:

— Głupiś, pomogłem ci, bo mi się tak spodobało.

Ruszył ostro ku Lipcom, błogi chłód go ogarnął, rozłożyste drzewa tak przysłaniały drogę, że jeno środkiem widniał pas nieba, zaś po ziemi skrzyła się rozmigotana rzeka słońca. Bór był stary i wymosły, dęby, sosny i brzozy tłoczyły się gęstą, pomieszaną ciżbą, a dołem tulił się do grubachnych pni drobny naród leszczyn, osik, jałowców i grabów, zaś miejscami świerkowe zagaje rozpychały się hardo, pnąc się chciwie ku słońcu.

Na drodze jeszcze gęsto połyskiwały kałuże po wczorajszej burzy i walały się połamane wierzchoły i gałęzie, a kaj niekaj smukła drzewina, wyrwana z korzeniami, zalegała wpoprzek, kiej trup. Cichuśko było, rzeźwo i mroczno, pachniało pleśnią a grzybem, drzewa stojały bez ruchu, jakby zapatrzone w niebo, a przez zwarte korony jeno gdzie niegdzie przedzierało się słońce, pełzając, niby te złociste pająki, po mchach, po czerwonych jagódkach, rozsypanych, jak stężałe krople krwi, po trawach bladych.

Antka tak rozebrał chłód i głęboki spokój lasu, że, przysiadłszy kajś pod drzewem, zadrzemał się niechcący. Przebudził go dopiero koński tupot i parskanie, a dojrzawszy dziedzica, jadącego konno, podszedł do niego.

Przywitali się zwyczajnie, po sąsiedzku.

— Ależ to piecze, co? — zagadał dziedzic, głaszcząc niespokojną klacz.

— A dopieka, za jaki tydzień trza będzie wychodzić z kosą.

— Na Modlickiem kładą już żyto, aż miło.

— Tam piachy, ale latoś wszędy żniwa rychlejsze.

Dziedzic zapytał go o zebranie w kancelarji, a usłyszawszy wszystko, jak się odbywało, jaże oczy szeroko otworzył ze zdumienia.

— I wyście się tak głośno, otwarcie o polską szkołę upominali?

— Rzekłem, przeciek nie robię z gęby cholewy.

— A żeście się to ważyli z tem wystąpić przy naczelniku, no, no!

— W ustawie stoi o tem, jak wół, to prawo miałem.

— Ale skąd wam przyszło do głowy upominać się o polską szkołę?

— Skąd! Przecieśma Polaki, a nie Niemcy, czy to jakie drugie.

— Któż to was tak namówił? — pytał ciszej, pochylając się ku niemu.

— Dzieci też i bez nauczyciela przychodzą do rozumu — odrzekł wykrętnie.

— Widzę, że Roch nie napróżno kręci się po wsiach — ciągnął tak samo.

— A wespół z panowym stryjaszkiem, jak mogą, tak naród nauczają.

Wtrącił z naciskiem, patrząc mu bystro w oczy, dziedzic zakręcił się jakoś niespokojnie, zagadując o czem innem, ale Antek z rozmysłem wracał do tej sprawy i do różnych chłopskich bolączek, wyrzekając cięgiem na ciemnotę i opuszczenie, w jakiem naród żyje.

— A bo nikogo nie słuchają! Wiem przecież, jak księża pracują nad nimi, jak nawołują do pracy, ale to wszystko groch na ścianę.

— Hale, kazaniem tyle pomoże, co umarłemu kadzidłem.

— Więc czemże? Zmądrzałeś, widzę, w kryminale — rzucił z przekąsem, aż Antek poczerwieniał, łypnął ślepiami, ale odrzekł spokojnie:

— A zmądrzałem, bo wiem, że wszystkiemu złemu winni panowie.

— Duby smalone pleciesz, a cóż ci to złego zrobili?

— A to, że za polskich czasów tyle jeno dbali o naród, żeby go batem popędzać i ciemiężyć, a sami se tak balowali, jaże i przebalowali cały naród, że tera wszystko trza zaczynać od początku, na nowo.

Dziedzic, że to był prędki, ozgniewał się i krzyknął:

— A wara ci, chamie jeden, do tego, co panowie robili, pilnuj lepiej gnoju i wideł, rozumiesz! A język trzymaj za zębami, by ci go nie przycięli!

Świsnął szpicrutą i pognał, jaże w klaczy zagrała wątroba.

Antek zaś poszedł w swoją stronę, a również zły i wzburzony.

— Psie nasienie! — mamrotał gniewnie. — Jaśnie pany, psiekrwie! Jak mu było potrza chłopskiej łaski, to z każdym się bratał. Ścierwo! Sam niewart i wszy pieczonej, a drugich przezywa od chamów! — srożył się, kopiąc ze złości muchary, stojące mu na drodze.

Już wychodził z lasu na topolową, gdy naraz posłyszał jakby znajome głosy, rozejrzał się uważnie: pod krzyżem tuliła się w cieniu brzózek jakaś bryka zakurzona, zaś na kraju boru stał Jasio organistów z Jagusią.

Przetarł oczy, całkiem pewny, jako mu się przywidziało, ale nie, stojali zaledwie o kilkanaście kroków od niego, zapatrzeni w siebie i dziwnie roześmiani.

Zdziwił się niemało, nastawiając przytem uszy, ale, chociaż słyszał głosy, nie mógł jednak złożyć i wymiarkować ani jednego słowa.

— Wracała z boru, on jechał i spotkali się — pomyślał, ale w tem oczymgnieniu ukąsiło go cosik w serce, sposępniał, i głuche, kolące podejrzenie zatargało kajś we wątpiach.

— Nic drugiego, jeno się zmówili! — lecz, dojrzawszy Jasiowe księże obleczenie i jego twarz taką jakąś świętą, uspokoił się, odetchnąwszy z niezmierną ulgą, nie poredził se jeno wyrozumieć Jagusi, dlaczego się tak była wystroiła do boru? i czemu tak modrzały jej ślepie roziskrzone? czemu jej tak latały czerwone wargi, a biło od niéj taką radością? Obiegał ją wilczemi, głodnemi ślepiami, gdy, wypinając się naprzód

wzdętemi piersiami, podawała króbkę, z której Jasio wybierał jagody, sam jadł i jej wtykał do ust...

— Prawie ksiądz, a chce mu się zabawiać, kiej dzieciak — szepnął z politowaniem i wartko ruszył ku domowi, miarkując sobie po słońcu, jako musiało już być kole podwieczorka.

— Póki nie tknę tej zadry, póty i nie boli! — myślał o Jagusi.—A jak to w niego łakomie patrzała, dziw go nie zjadła. A niechta, a niechta...

Próżno się jednak otrząchał, zadra i tak dolegała mu do żywego.

— A ode mnie to ucieka, kieby od tej zarazy. Juści, nowe sitko na kołek, szczęściem, co z Jasiem nic nie wskóra—rozjątrzał się coraz barzej—poniektóra to jak suka, poleci za każdym, kto zagwizda.

Leciał prędko, ale nie poredził zagubić tych gorzkich wspominków, jacyś ludzie go wymijali, ani spostrzegł kogo; uspokoił się dopiero pod wsią, gdyż dojrzał organiścinę, siedzącą nad rowem z pończochą w ręku, najmłodszy tarzał się przed nią w piasku, a stadko podskubanych gęsi szczypało trawę między topolami.

— Aż tutaj pani zawędrowała z gęsiami? — przystanął, obcierając spotniałą twarz.

— Wyszłam naprzeciw Jasia, tylko go patrzeć, jak nadjedzie.

— Dyć ino co wyminąłem go pod lasem.

— Jasia! to już jedzie? — zakrzyczała, zrywając się na nogi. — Pilusie, pilu, pilu, a gdzie szkodniki, a gdzie? — wrzasnęła, bo gęsi jakoś niespodzianie do-

padły do żyta, stojącego nad drogą, i wzieny je zajadle młócić.

— Bryka stała pod figurą, zaś on rozmawiał se z jakąś kobietą.

— Pewnie spotkał znajomą i pogadują. To on tu zaraz nadjedzie. Poczciwa chłopczyna, on nawet obcego psa nie przepuści bez pogłaskania. A którąż to spotkał?

— Nie rozeznałem dobrze, ale zdało mi się, co Jagusię — a widząc, że stara skrzywiła się jakoś niechętnie, dorzucił ze znaczącym prześmiechem: — Nie rozeznałem, bo zeszli mi z oczów kajś w zagaje... pewnikiem przed gorącem...

— Święci Pańscy! co też wam w głowie, Jasio zadawałby się z taką...

— Taka dobra, jak drugie, a może i lepsza!.. — rozgniewał się srodze.

Organiścina chybciej zaruchała drutami, wpatrując się jakoś pilnie w pończochę. — A, żeby ci ozór odjeło, pleciuchu jeden—myślała, głęboko dotknięta — Jasio miałby z taką dziewą... prawie już ksiądz... — Ale się jej spomniały różne księżowskie historje, i ogarnął ją niepokój, poskrobała się drutem po głowie, postanawiając rozpytać się obszerniej, lecz Antka już nie było, natomiast na drodze, od lasu, podniósł się tuman kurzawy i toczył się ku niej coraz prędzej, a nie wyszło i Zdrowaś, już Jasio ściskał ją z całej mocy i skamlał serdecznie:

— Mamusiu kochana! Mamusiu!

— Święci Pańscy! Ady mnie udusisz! Puść, smoku, puść!—i kiedy puścił, sama wzięła go ściskać, całować a wodzić po nim rozkochanemi oczyma.

— A to cię wychudzili, kruszyno! Takiś blady, synaczku! Takiś mizerny!

— Rosoły na święconej wodzie nie pasą! — śmiał się, pohuśtując brata, któren jaże piszczał z radości.

— Nie bój się, już ja cię odpasę – szeptała, gładząc go pieściwie po twarzy.

— To jedźmy, mamusiu, prędzej będziemy w domu.

— A gęsi? Święci Pańscy, znowu w szkodzie!

Skoczył wyganiać, gdyż się były dorwały żyta, łuskając kłosy, aż miło, potem brata usadził w bryce i, zapędzając przed sobą gęsi, szedł środkiem drogi, rozpowiadając o podróży.

— Patrzno, jak się bęben umazał! — zauważyła, wskazując na małego.

— Dobrał się do moich jagód. Jedz, Stasiu, jedz! Spotkałem w lesie Jagusię, wracała z jagód i trochę mi usypała... — zarumienił się wstydliwie.

— Właśnie przed chwilą mówił mi Boryna, że was spotkał...

— Nie widziałem go, musiał gdzieś bokiem przechodzić.

— Moje dziecko, na wsi ludzie widzą przez ściany nawet i to, czego wcale nie było! — wyrzekła z naciskiem, spuszczając oczy na rozmigotane druty.

Jasio jakby nie zrozumiał, gdyż, dojrzawszy stado gołębi, lecące nisko nad zbożami, śmignął za niemi kamieniem i zawołał wesoło:

— Zaraz poznać po wypasionych brzuchach, że to proboszczowskie...

— Cicho, Jasiu, jeszcze kto usłyszy!—skarciła go łagodnie, rozmarzając się myśleniem, jak to on zostanie kiedyś proboszczem, a ona usiędzie przy nim na stare lata, dożywać dni swoich w spokoju i szczęśliwości.

— A kiedyż to Felek przyjedzie na wakacje?

— To mama nie wie, że go aresztowali?

— Święci Pańscy! Aresztowany! i cóż to zbroił? A zawsze mówiłam, a przepowiadałam, że źle skończy! Taki łajdus, w sam raz było mu iść na jakiego pisarka, ale młynarzom zachciało się zrobić z niego doktora! A tak się nim pysznili, tak nosy zadzierali, a teraz synek w kryminale, mają pociechę! — aż się trzęsła z jakiejś mściwej radości.

— Ależ to zupełnie co innego, siedzi w cytadeli.

— W cytadeli, a to musi być coś politycznego?— zniżyła głos.

Jasio nie umiał odpowiedzieć, czy też nie chciał, zaś ona szepnęła trwożnie:

— Moja kruszyno, tylko ty nie mieszaj się do niczego.

— U nas nawet mówić nie wolno o takich rzeczach, zarazby wypędzili.

— A widzisz! Wypędziliby cię, i nie zostałbyś księdzem! Adybym umarła ze wstydu i zgryzoty! Boże mój, zmiłuj się nad nami!

— Niech się mama o mnie nie boi.

— Przecież rozumiesz, jak harujemy i zabiegamy, aby chociaż wam było trochę lepiej. Sam wiesz, jak ciężko, tyle nas w domu, a przychody coraz mniejsze, i żeby nie te trochę ziemi, tobyśmy przy naszym proboszczu musieli nieraz głodem przymierać. Wiesz, proboszcz się teraz sam godzi z chłopami o śluby i pogrzeby, sam, słyszane to rzeczy! powiada, że ojciec z ludzi zdzierał! Jaki mi dobrodziej z cudzej kieszeni.

— A bo naprawdę zdzierał! — wykrztusił nieśmiało.

— Co ty! Na ojca będziesz powstawał? na rodzonego ojca! A jeśli zdzierał, to dla kogo? Przecież nie dla siebie, a tylko dla was, dla ciebie, na twoją naukę — zaskarżyła się boleśnie.

Jasio zaczął ją przepraszać, ale mu przerwało jakieś jazgotliwe dzwonienie, płynące gdzieś od stawu.

— Słyszy mama? pewnie ksiądz idzie do chorego z Panem Jezusem.

— Prędzej to dzwonią na pszczoły, żeby nie uciekły, musiały się wyroić na plebanji. Proboszcz więcej teraz pilnuje swojego byka i pasieki, niźli kościoła.

Dochodzili właśnie smętarza, gdy naraz sypnął się na nich brzękliwy szum, że Jasio ledwie zdążył krzyknąć na furmana:

— Pszczoły! trzymajcie konie, bo się spłoszą.

Jakoż nad placem kościelnym huczał ogromny rój, niósł się górą, kieby rozbrzęczana chmura, kołował, upatrując sposobnego miejsca, to zniżał się, prze-

pływając między drzewami, a za nim leciał ksiądz w portkach jeno i koszuli, bez kapelusza, zaziajany i nieustannie machający kropidłem, zaś Jambroż, skradając się bokami, w cieniach, przydzwaniał zajadle i wrzeszczał; obiegli plac parę razy, nie zwalniając ani na chwilę, gdyż pszczoły opadały coraz niżej, jakby zamierzając opaść na który z domów, że już dzieci pierzchały z pod ścian, ale naraz poderwały się ździebko i szły prosto na Jasiową brykę. Wrzasnęła organiścina i, zadarłszy kieckę na głowę, przycupła kajś w rowie, konie zaczęły się rwać, aż furman skoczył zakryć im ślepie, gęsi się rozleciały, a jeno Jasio stał spokojnie z zadartą głową, rój zakręcił znagła tuż nad nim i poszedł prosto na dzwonnicę.

— Wody! — ryknął proboszcz, puszczając się w cwał za niemi, dopadł zbliska i tak je skropił, że, nie mogąc już ruchać przemiękłemi skrzydłami, zaczęły się osadzać w dzwonnicznem oknie.

— Jambroż! drabina, sitko, a prędzej, bo uciekną! Ruszaj się, kulasie! Jak się masz, Jasiu, zróbno ognia w trybularzu, trzeba je podkurzyć, to się uspokoją! — wrzeszczał zgorączkowany, nie przestając skrapiać opadającego roju, a nie upłynęło i Zdrowaś, drabina stała pod dzwonnicą, Jambroż przydzwaniał, Jasio dymił z trybularza, niby z komina, zaś ksiądz piął się wgórę i, dosięgnąwszy pszczół, gmerał między niemi, wyszukując matki.

— Jest! Chwała Bogu, już nie uciekną! Podkurz, Jasiu, od spodu, bo się rozłażą! — rozkazywał, zgarniając gołemi rękami pszczoły; nic się bowiem nie

bojał, chociaż obsiadły mu głowę i łaziły po twarzy, jeno, pogadując cosik do nich, zbierał je do sitka i zbierał, gdyż rój był ogromny.

— Uważać! burzą się, mogą ciąć! — ostrzegał, schodząc z drabiny, otoczony całą chmarą, wirującą nad nim z brzękiem i szumem, a zeszedłszy na ziemię, poniósł sito przed sobą, tak ważnie i uroczyście, kieby tę monstrancję, Jasio go okadzał, kołysząc trybularzem, Jambroż dzwonił, pokrapiając raz po raz, i w takiej ano procesji walili do pasieki za plebanją, kaj w osobnem zagrodzeniu stało kilkadziesiąt uli rozbrzęczanych, jakby w każdym się roiło.

A kiedy ksiądz zajął się obsadzaniem pszczół, Jasio, dobrze już głodny i utrudzony, wysunął się cichaczem do domu.

Juści, co ucieszyli się nim bezmiernie, a co tam było pisków, całowań i pytań, tego i nie wypowiedzieć, zaś skoro przeszła pierwsza radość, usadzili go za stołem, i dalejże znosić przeróżne smaki a podtykać, a molestować i zachęcać do jadła, jaże cały dom się trząsł od wrzasków i bieganiny, gdyż wszyscy naraz pragnęli mu usłużyć i być jak najbliżej. Właśnie na taki rejwach wpadł zaziajany Grzela, wójtów brat, rozpytując się niespokojnie, czy nie widzieli Rocha? Ale nikt go nie widział na oczy.

— Nie mogę go nikaj znaleźć — wyrzekał frasobliwie i, nie wdając się w rozmowy, poleciał dalej szukać po chałupach, a zaraz po jego odejściu zawołano Jasia na plebanję. Ociągał się, zwłóczył, ale iść musiał,

Proboszcz czekał w ganku przy podwieczorku, wycałował po ojcowsku i, usadziwszy przy sobie, rzekł wielce łaskawie:

— Rad jestem, żeś przyjechał, będę miał z kim odmawiać brewjarz! Ale, wiesz, ile mam tegorocznych rojów? Piętnaście! A mocne, jak stare, już niektóre zarobiły miodem po ćwierć ula! Wyroiło się więcej, Ambrożemu kazałem pilnować pasieki, ale usnęła trąba, i pszczółki fiut... na bory i lasy. A jeden rój ukradł mi młynarz! No, mówię ci, że ukradł! Uciekły na jego gruszę, zabrał, jak swoje, i ani chciał słuchać o oddaniu! Zły o byka, to mści się na mnie, jak może, rabuś jeden. Słyszałeś to już o Felku? Te gałgany to tną, jak osy, a sio! — zajęczał, opędzając się chusteczką od much, padających mu ciągiem na łysinę.

— Tylko tyle, że siedzi w cytadeli.

— Żeby się choć na tem skończyło! Doigrał się, co? A mówiłem, a przekładałem, nie słuchał osieł jeden i ma teraz bal! Stary ryfa i bufon, ale Felka szkoda, zdolna szelma, po łacinie umie ekspedite, że i biskup lepiej nie potrafi. Cóż, kiedy we łbie pstro i dalejże wybierać się z motyką na słońce... A powiedziano: jakże to... aha! czego nie wolno, nie rusz, a co zakazane, obchodź zdaleka. Pokorne cielę dwie matki ssie... tak...— ciągnął ciszej i już coraz słabiej, opędzając się przed muchami. — Zapamiętaj to sobie, Jasiu! No, mówię, zapamiętaj! — zwiesił głowę, zapadając w głęboki fotel, ale, gdy Jasio powstał z krzesła, otworzył oczy i zamamrotał: — Zmęczyły mnie pszczółki! A przychodź wieczorami na brewjarz. Ale, uważaj na siebie i nie

spoufalaj się z chłopami, bo, kto się zada z plewami, tego świnie zjedzą! No, mówię, zjedzą i basta!—przysłonił łysinę chustką i zachrapał już na dobre.

Snadź tak samo myślał organista, albowiem kiedy parobek wyprowadził konie na pastwisko i Jasio skoczył na jednego, stary zakrzyczał:

— Zleź mi zaraz! Nie pasuje, żeby ksiądz jeździł naoklep i zadawał się z pastuchami!

Strasznie chciało mu się jechać, ale zlazł, jak niepyszny i, ponieważ mrok już zapadał, poszedł za ogrody odmówić wieczorne pacierze, ale mógł się to zebrać w sobie, kiedy jakaś dzieuszyna piesneczka dzwoniła gdzieś niedaleko i baby rajcowały w jakimś sadzie, że każde słowo leciało po rosie, i wrzeszczały dzieci, kąpiące się w stawie, kajś znów śmiechy się zatrzęsły, to ryki krów, to księże perliczki darły się przenikliwie i cała wieś huczała przeróżnemi pogłosami, niby ten ul rozbrzęczany, że cięgiem mu się myliło, a gdy nareszcie uchwycił wątek i, przyklęknąwszy pod żytem, wtopił rozmodlone oczy w to niebo rozgwiażdżone i poniósł duszę kajś w zaświaty, buchnęły od wsi takie przeraźliwe krzyki, lamenty i przeklinania, że poleciał ku domowi, wystraszony wielce i niespokojny.

Matka właśnie wyszła go wołać na kolację.

— Co się tam stało? Biją się, czy co?

— Józef Wachnik wrócił z kancelarji trochę pijany i pobił się ze swoją. Dawno się już babie należała porządna frycówka. Nie bój się, nic jej nie będzie.

— Ależ krzyczy, jakby ją ze skóry obdzierał.

— Zwyczajne babskie wrzaski, żeby ją prał kijem, toby była cicho! Odbije mu ona jutro za swoje, odbije! Chodź, kruszyno, bo kolacja przestygnie.

Ledwie tknął jadła i, czując się wielce zdrożony, zaraz położył się spać. Ale rano, jak tylko słońce zaświeciło, już był na nogach. Obleciał pole, przyniósł koniom koniczyny, podrażnił księże indory, jaże się rozbulgotały, przywitał pieski, że dziw łańcuchów nie pozrywały z radości, sypnął ziarna gołębiom, pomógł młodszemu wypędzać krowy, narąbał drzewa za Michała, spenetrował w sadzie dojrzewające małgorzatki, pofiglował ze źrebakiem i był wszędy i wszystko witał całującemi oczami, jak przyjacioły serdeczne, jak braty rodzone, nawet te malwy, osypane kwiatem, nawet te prosięta, grzejące się na słońcu, nawet pokrzywy i chwasty, przytajone pod płotami, aż matka, biegająca za nim rozkochanemi spojrzeniami, szeptała z pobłażliwym uśmiechem:

— Warjacie jeden! warjacie!

A on snuł się i promieniał, jako ten dzień lipcowy, jasny, roześmiany, rozsłoneczniony, wezbrany ciepłem i ogarniający wszystek świat duszą miłującą, ale, skoro zadzwoniła sygnaturka, rzucił wszystko i poleciał do kościoła.

Proboszcz wyszedł z wotywą, poprzedzał go Jasio w nowej komży, przybranej świeżo czerwonemi wstęgami, organy zagrały przebieraną, hukliwą nutą, z chóru podniósł się grubachny głos, od którego zadrgały światła, kilkanaście osób przyklękło przed ołtarzem — i zaczęło się nabożeństwo.

*

Jasio, chociaż służył do mszy, a w przerwach żarliwie się modlił, jednak dostrzegł Jagusię, klęczącą nieco zboku, i co podniósł głowę, to widział jej modre, błyszczące oczy, wlepione w siebie, i jakiś przytajony uśmiech na rozchylonych, czerwonych wargach.

Zaraz po kościele zabrał go ksiądz na plebanję i zasadził do pisania, że dopiero po południu wyrwał się na wieś odwiedzać znajomków.

Najpierw zaszedł do Kłębów, gdyż siedzieli najbliżej, przez dróżkę jeno, w chałupie jednak nie zastał nikogo, a tylko w sieniach, wywartych naprzestrzał, cosik zaruszało się w kącie, a jakiś głos zachrypiał:

— Dyć to ja, Jagata! — uniesła się, rozkładając ręce ze zdumienia Jezu, pan Jasio!

— Leżcie spokojnie. Chorzyście, co? — pytał troskliwie i, przysunąwszy se pieniek, przysiadł blisko, ledwie rozpoznając jej twarz, wyschniętą, kiej ziemia.

— Jeno już Pańskiego miłosierdzia czekam — głos jej zabrzmiał uroczyście.

— Cóż to wam jest?

— A nic, śmierć se we mnie rośnie i na żniwo czeka. Kłęby me ano przytuliły, bym se u nich pomerła, to pacierz mówię i wyglądam cierpliwie onej godziny, kiej kostucha zapuka i powie: pódzi, duszo umęczona.

— Czemuż do izby was nie przeniosą?

— Hale, póki nie pora, to co ta bede im zabierała miejsce... i tak cielaka musiały ze sieni wyprowadzić. Ale mi przyobiecały, że na tę ostatnią moją godzinę to me przeniosą do izby, na łóżko pod obrazy, i świecę mi zapalą... i księdza sprowadzą... a potem we świą-

teczne szmaty nie przyobleką i pochowek sprawią gospodarski. Juści, dałam na wszystko... a ludzie poczciwe sieroty może nie ukrzywdzą. Niedługo przeciek bede im tu zawalać, nie... i przy świadkach mi przyobiecały, przy świadkach.

— A nie przykrzy się wam samej? — głos mu nasiąkł żałością i łzami.

— Całkiem mi dobrze, paniczku. A mało to świata dojrzę se przez drzwi? kto przejdzie drogą, kto gdziesik zagada, kto i zajrzy, kto nawet rzuci to poczciwe słowo, że jakbym se po wsi wędrowała. A pójdą wszystkie do roboty, to kokoszki pogrzebią w śmieciach, gadzina pochrząka za ścianą, pieski zajrzą, wróble wpadną do sieni, słońce ździebko poświeci przed zachodem, a niekiej wisus jaki ciepnie pecyną, i dzionek zleci, ani się człowiek spodzieje. A nocami też do mnie przychodzą, juści... a niejedne...

— Któż taki? kto?—zajrzał zbliska w jej otwarte, a jakby niewidzące oczy.

— A te moje, co się im już dawno pomarło, a te powinowate i znajome. Prawdę mówię, paniczku, przychodzą... A kiedyś — szepnęła z uśmiechem nieopowiedzianego szczęścia i słodyczy — to przyszła do mnie Panienka i powieda cichuśko: Leż se, Jagato, Pan Jezus cię wynagrodzi!.. Sama Częstochowska, zaraz poznałam... w koronie ano była, w płaszczu, a cała we złocie i koralach. Pogładziła me po głowie i rzekła: Nie bój się, sieroto, gospodynią se będziesz, pierwszą na niebieskim dworze, panią se będziesz, dziedziczką...

I tak se gaworzyła starucha, kiej ta zasypiająca ptaszka, zaś Jasio, przychylony nad nią, słuchał i patrzał, kieby w jakąś nieodgadnioną głąb, kaj cosik tajnego bulgoce, i gada, i błyska, i coś takiego się dzieje, czego już zgoła człowieczy rozum nie rozbierze. Zrobiło mu się jakoś strasznie, ale nie poredził się oderwać od tej kruszyny ludzkiej, od tego zetlałego źdźbła, co, drgając, kieby ten promień, gasnący w mroku, jeszcze se śnił o dniach nowego żywota. Pierwszy raz w życiu tak zbliska zajrzał w człowieczą, nieubłaganą dolę, to i nie dziwota, że przejął go luty strach, żałość ścisnęła duszę, łzy zatopiły oczy, współczująca litość przygięła go do ziemi, a gorąca, proszalna modlitwa sama się już rwała z warg roztrzęsionych.

Stara przecknęła się i, unosząc głowę, szepnęła w zachwycie:

— Janioł przenajświętszy! księżyczek mój serdeczny!

On zaś potem długo stał pod jakąś ścianą, grzejąc się w słońcu i ciesząc oczy tym dniem jasnym i życiem, jakie wrzało dokoła.

Bo i cóż, że tam jakaś dusza człowiecza skamlała w pazurach śmierci.

Słońce nie przestało świecić, szumiały zboża, białe chmury przepływały wysoko, wysoko, dzieci bawiły się po drogach, rumieniły się po sadach jabłka dojrzewające, w kuźni biły młoty, jaże rozlegało się na całą wieś, ktoś wóz rychtował, ktoś kosę nakuwał, sposobiąc się do żniw, pachniał chleb, świeżo upieczony, rajcowały kobiety, chusty suszyły się po płotach, ru-

szali się po polach i obejściach, jak co dnia było, jak zawdy, gmerał się rój ludzki wśród trosk i zabiegów, ani nawet myśląc, kto tam pierwszy stoczy się z brzega.

Zaśby ta komu przyszło co z tego.

Więc i Jasio prędko się otrząsnął ze smutku i poszedł na wieś.

Posiedział czas jakiś przy Mateuszu, któren Stachową chałupę wyciągał już do zrębu; postał nad stawem z Płoszkową, bielącą płótno; odwiedził chorą Józkę; nasłuchał się wyrzekań wójtowej; przyjrzał się w kuźni, jak kowal stalił kosy i nacinał ostrza sierpów; zajrzał i na ogrody, kaj pracowało najwięcej dzieuch i kobiet, a wszędy wielce byli mu radzi, witając przyjacielsko i patrząc na niego z niemałą dumą: boć lipeckie to było dziecko, więc jakby w krewieństwie ze wszystkimi.

A dopiero na samym ostatku wstąpił do Dominikowej; stara siedziała przed domem i przędła wełnę, dziwił się temu, gdyż oczy miała przewiązane.

— Palcami zmacam i też wiem, jaka nitka, cienka czy ogrubnia—tłumaczyła i, bardzo ucieszona z jego odwiedzin, zawołała na Jagusię, zajętą kajś w podwórzu.

Przyleciała zaraz, nieco ino rozdziana, bo tylko we wełniaku i w koszuli, ale, dojrzawszy Jasia, przysłoniła piersi rękami i, sczerwieniwszy się, kiej wiśnia, uciekła do chałupy.

— Jaguś, a wynieśno mleka, to może pan Jasio się przechłodzi!

Wyniesła pokrótce pełną doinkę i garnuszek, przybrana już w chusteczkę na głowie, lecz tak jakoś zesromana, że, kiej wzięła nalewać mleko, ręce jej

latały, i bladła, to czerwieniła się naprzemian, nie śmiejąc podnieść oczów.

I cały czas nie odezwała się do niego ani słowa i dopiero, kiej poszedł, odprowadziła go na drogę, patrząc za nim, póki jej z oczów nie zginął.

Niewypowiedzianie parło ją cosik za nim i tak strasznie ponosiło, że, aby się nie dać pokusić, wpadła do sadu, chyciła się oburącz jakiegoś drzewa i, przytulając się do niego, stanęła bez tchu prawie i przytomności, nakryta, niby płaszczem, gałęziami, zwisłemi od jabłek; stała z przywartemi powiekami, z uśmiechem zatajonym w kątach warg, pełna szczęśliwości, a zarazem lęku, i pełna jakowychś łez słodkich i lubego dygotu, jak wtedy, kiej patrzała na niego przez okno, w tamtą noc wiośnianą.

Ale i Jasia jakby ciągnęło za nią, bo, chociaż bezwolnie, a zaglądał do nich niekiedy, na krótką chwilę, i odchodził dziwnie rozradowany, a już co dnia widywał ją w kościele, klęczała zawdy przez całą mszę, a tak wielce rozmodlona i jakby wniebowzięta, że spoglądał na nią ze słodkiem wzruszeniem, opowiadając kiedyś o jej pobożności.

Matka tylko wzruszyła ramionami.

— Ma za co przepraszać Pana Boga, ma...

Jasio miał duszę czystą, kieby ten najbielszy kwiat, to i nie zrozumiał przytyku, a że przychodziła do nich, że ją wszyscy w domu lubili, że widział, jaka była pobożna, to mu ani postało w głowie jakie niebądź posądzenie; zdziwił się tylko teraz, że od jego przyjazdu nie była jeszcze ani razu.

— Właśnie posłałam po nią, bo mam dużo do prasowania — odrzekła matka.

I przyszła wkrótce tak wystrojona, że Jasio aż się zdumiał.

— Cóżto, idziecie na wesele?

— A może przysłali do was z wódką? — zapiszczała któraś z dziewczyn.

— Zaśby ta kto śmiał, dyćbym go przepędziła na cztery wiatry! — ośmiała się, kraśniejąc, kieby róża, że to wszyscy na nią patrzeli.

Stara zapędziła ją zaraz do prasowania, poleciały za nią organiścianki wraz z Jasiem, i tak się im wkrótce zrobiło wesoło, tak gruchali śmiechem z bele głupstwa i wrzeszczeli, jaże organiścina musiała przykarcać:

— Cichojcie, sroki! Jasiu, idź lepiej do ogrodu, nie wypada ci tu suszyć zębów.

To rad nierad wziął książkę i powlókł się, jak zwykle, w pole, i tam kajś daleko za wsią, na miedzach, pod gruszami, na granicznych kopcach, przesiadywał, zagłębiony w czytaniu, albo jeno se medytujący.

Ale Jagusia dobrze już znała te samotne schroniska, dobrze wiedziała, kaj go szukać utęsknionemi oczami, kaj się nieść do niego choćby jeno tą myślą radosną; krążyła bowiem kole niego, kieby ten motyl w kręgu światła, i krążyć musiała, parło ją za nim niepowstrzymanie i wlekło tak nieprzeparcie, że się już dała bez pamięci na wolę tej jakiejś lubej mocy, dała się jakby wodom spienionym, co ją ponosiły w jakoweś wyśnione światy szczęśliwości, dała się wszystką duszą

i sercem, ani nawet myśląc, na jaki brzeg ją wyniesą, ni na jaką dolę.

I czy się późną nocą kładła do snu, czy się rankiem zrywała z pościeli, to zawdy jednym pacierzem dygotało jej serce:

— Obaczę go znowu! obaczę!

A nieraz, kiedy klęczała przed ołtarzem, i ksiądz wyszedł ze mszą, i zagrały przejmującą nutą organy, i wionęły kadzielne dymy, i roztrzęsły się gorące szepty pacierzy, i kiedy zapatrzyła się rozmodlonemi oczami w Jasia, któren, biało przybrany, smukły, śliczny, ze złożonemi rękami snuł się w tych dymach i kolorach, jakie biły z okien, to się jej widziało, co żywy janioł zestąpił z obrazu i oto płynie ku niej ze słodkim prześmiechem... idzie... że raje otwierały się w jej duszy, padała na twarz, w proch, przywierając wargami do miejsc, kaj przeszły jego stopy, i, porwana zachwyceniem, śpiewała wszystką mocą człowieczej szczęśliwości:

— Święty! Święty! Święty!

A nieraz i msza się skończyła, i ludzie się porozchodzili, i Jambroż już w pustym kościele przedzwaniał kluczami, a ona jeszcze klęczała, zapatrzona w puste po Jasiu miejsce, rozmodlona przenajświętszą cichością upojenia, tą radością, nabrzmiałą do bólu, temi jeno łzami, co jej same spływały z oczów, kiej ziarna pełne, ważkie i przeczyste.

Że już dnie były dla niej, jako te ciągłe święta, jako te uroczyste odpusty w nieustannej radości nabożeństwa, jakie się cięgiem odprawiało w jej duszy, bo kiedy wyjrzała w pole, to dzwoniły jej tem samem doj-

rzałe kłosy, dzwoniła spieczona ziemia, dzwoniły sady, przygięte pod ciężarem owoców, dzwoniły bory dalekie, i te wędrujące chmury i ta przenajświętsza hostja słońca, wyniesiona nad światem, a wszystko śpiewało wraz z jej duszą jeden niebosiężny hymn dziękczynienia i radości:

— Święty! Święty! Święty!

Hej, jaki to świat śliczny, kiej się nań patrzą rozmiłowane oczy!

A jaki to człowiek mocen w onej świętej godzinie! Z Bogiemby się zmagał, śmierciby się nie dał, nawet doliby się przeciwił. Życie mu jednem weselem, a bratem choćby i ten stwór najmarniejszy! Przed każdym dniemby klękał w podzięce, każdej nocyby błogosławił i na każdem miejscu wszystekby się rozdawał między bliźnie, a bogaczem ostaje, a cięgiem mu jeszcze przybywa mocy, kochania i dni barzej cudnych.

Światami dusza się jego nosi, górnie we gwiazdy patrzy zbliska, nieba zuchwale sięga, o wiecznej śni szczęśliwości, bo się jej widzi, że niema już kresu ni zapory la jej mocy i kochania.

Tak się to i Jagusi widziało w tę porę miłowania.

Dnie szły zwyczajne, dnie znojnych przygotowań do żniw, a ona uwijała się przy robotach, rozśpiewana, niby skowronek, niestrudzenie radosna i weselnie rozkwitła, kieby ta róża w jej ogródku, kieby te malwy, smukła i, kieby ten kwiat na Bożym zagonie, najśliczniejsza i tak ciągnąca oczy, tak wabiąca jarzącemi ślepiami, tak cięgiem roześmiana, że nawet starzy chodzili za nią oczami, zaś parobcy zaczęli się znowu

kole niej kręcić i wzdychający wystawać pod jej chałupą, ale odprawiała każdego.

— Żebyś nawet wrosnął w ziemię, to i tak niczego nie wystoisz — szydziła.

— Z każdego się już prześmiewa! A harna, kieby dziedziczka! — skarżyli się przy Mateuszu, który jeno westchnął żałośnie, gdyż nawet on tyla jeno wskórał, co mógł niekaj o zmierzchu pogadywać z Dominikową, a patrzeć za Jagusią, zwijającą się po izbie, i słuchać jej prześpiewek. Patrzał też i nasłuchiwał tak gorąco, że odchodził coraz chmurniejszy i coraz częściej zaglądał do karczmy, a potem w chałupie wyprawiał różne brewerje. Juści, co już najbarzej dostawało się Teresce, że już chodziła ledwie żywa ze zgryzoty, to też, spotkawszy kiedyś Jagusię, odwróciła się do niej plecami i splunęła.

Ale Jagusia, zapatrzona kajś przed się, przeszła, nawet jej nie widząc.

Tereska rozgniewana zwróciła się do dzieuch, pierących nad stawem.

— Widziałyście, jak się to pawi! A to przejdzie i ani już spojrzy na kogo.

— A wystrojona, jakby na odpust.

— Jakże, do samego połednia przesiaduje przy czesaniu.

— I cięgiem se kupuje wstęgi a stroiki — dogadywały zawistnie, bo znów od jakiegoś czasu, niech się jeno pokazała na wsi, chodziły za nią babie spojrzenia ostre, kiej pazury, i jadowite, kieby żmije. Brały ją też na ozory przy leda sposobności, a nicowały, że

niech Bóg broni, nie mogły jej bowiem darować, że się stroiła, jak żadna, i że była ponad wszystkie urodniejsza, żeby już nie spominać, co wyprawiała z chłopami.

— Wynosi się nad drugie, jaże trudno ścierpieć!

— I przystraja się, kieby dziedziczka, i skąd to na to bierze!

— Cie, a za cóż to wójt ma u niej łaski?

— Powiadają, jako i Antek nie skąpi — przepowiadały se na ucho gospodynie, zebrawszy się w opłotkach Płoszkowej.

— Antek dba tyla o nią, co pies o piątą nogę— wtrąciła Jagustynka — tam jest w przygodzie ktoś drugi! — zaśmiała się tak domyślnie, że jęły ją molestować na wszystkie świętości, ale się nie wygadała, jeno im wkońcu rzekła:

— Ja to plotów nie roznoszę. Macie oczy, to wypatrzcie same.

Jakoż od tej chwili sto par ślepiów jeszcze zacieklej poszło na prześpiegi trop w trop za Jagusią, kiej te gończe za zajączkiem.

Ale Jagusia, chociaż na każdym kroku spotykała te przyczajone, stróżujące ślepie, nie domyślała się niczego; co ją tam zresztą obchodziło, kiej mogła w każdej porze obaczyć Jasia i topić się w jego oczach na śmierć.

Na organistówkę zaglądała prawie już co dnia i zawdy w takim czasie, gdy Jasio był w domu, że nieraz, kiej zasiadał zbliska i kiej poczuła na sobie jego spojrzenie, to dziw nie omdlewała z lubości,

oblewał ją war, nogi się trzęsły i serce łomotało, kieby młotem, zaś indziej, gdy w drugim pokoju nauczał siostry, to jaże dech przytajała, zasłuchana w jego głosie, niby w tem słodkiem dzwonieniu, aż organiścina spostrzegła:

— Co tak pilnie nasłuchujecie?

— Bo pan Jasio tak prawi naucznie, że niczego nie poredzę wyrozumieć!

— Chcielibyście! — zaśmiała się pobłażliwie. — A bo to w małych szkołach się uczy — przyrzuciła z dumą, wdając się w szeroką pogawędkę o synu, lubiła ją bowiem i rada zapraszała, że to Jagusia chętna była do pomocy przy każdej robocie, a przytem często gęsto i przynosiła co niebądź: to gruszek, to jagódek, to nawet niekiej i osełkę świeżego masła.

Jagusia wysłuchiwała zawdy tych opowiadań z jednaką żarliwością, lecz skoro Jasio ruszył się z domu, i ona śpieszyła się nibyto do matki; strasznie bowiem lubiała naglądać za nim zdaleka i nieraz, przyczajona we zbożu lub za jakiemś drzewem, patrzała w niego długo i z taką tkliwością, że nie mogła się powstrzymać od płaczu.

Ale już najmilsze były la niej te krótkie, nagrzane, jasne noce, że, kiej jeno matka zasnęła, wynosiła pościel do sadu i, leżąc nawznak, zapatrzona w niebo, migocące przez gałęzie, zapadała w jakieś przenajsłodsze niezmierzoności marzenia. Upalne wiewy nocy muskały ją po twarzy, gwiazdy zaglądały w oczy, szeroko otwarte, nabrane zapachami głosy ciemnic, głosy pełne niepokojącego żaru i lubości, zadyszane szepty liści,

senne, urywane szmery stworzeń, jakby stłumione westchnienia, jakby wołania, idące kajś z pod ziemi, jakby chichoty strwożone, lały się w nią dziwną muzyką i przejmowały warem, dygotem, zapierały dech i prężyły w takich ciągotkach, że staczała się na chłodne, oroszone trawy, padając ciężko, jak owoc dostały... i leżała bezwładnie, wezbrana jakąś świętą, rodną mocą, niby te pola dojrzewające, niby te gałęzie, owocem ciężarne, niby ten łan źrałej pszenicy, gotów się dać sierpom, ptakom czy wichrom, bo już na każdą dolę zarówno tęsknie czekający.

Takie to miała Jagusia te krótkie, nagrzane, jasne noce i takie to te skwarne, rozprażone dnie lipcowe, że mijały, kieby sen słodki, cięgiem pragniony.

Chodziła też, jak we śnie, ledwie już miarkując, kiedy był dzień, a kiedy noc.

Dominikowa czuła, że się z nią wyrabia cosik dziwnego, ale nie mogła wyrozumieć, więc tylko się radowała jej niespodzianej i żarliwej pobożności.

— Powiem ci, Jaguś, że kto z Bogiem, z tym Bóg! — powtarzała z dobrością.

Jagusia jeno się uśmiechała, pełna cichej, pokornej szczęśliwości a czekania.

I któregoś dnia całkiem niechcący natknęła się na Jasia. Siedział pod kopcem granicznym z książką w ręku, nie mogła się już cofnąć i stanęła przed nim, okryta rumieńcem i mocno zesromana.

— Cóż wy tu robicie?

Jąkała się strwożona, czy aby się czego nie domyśla.

— Siadajcie, widzę, żeście się zmęczyli.

Wagowała się, nie wiedząc, co począć, pociągnął ją za rękę, że przysiadła pobok, śpiesznie chowając bose nogi pod wełniak.

Ale i Jasio był zmieszany, rozglądał się jakoś bezradnie dokoła.

Pusto było na polach, lipeckie dachy i sady wynosiły się ze zbóż, jakoby wyspy dalekie, wiater ździebko przegarniał kłosami, pachniało rozgrzaną macierzanką i żytem, jakiś ptak przeleciał nad nimi.

— Strasznie dzisiaj gorąco! — zauważył, aby jeno zacząć.

— I wczoraj przypiekało niezgorzej! — chycił ją za gardziel jakiś radosny lęk, że ledwie mogła przemówić.

— Lada dzień zaczną się żniwa.

— Pewnie... juści... — przytwierdzała, wlepiając w niego ciężkie oczy.

Uśmiechnął się i spróbował mówić swobodnie, prawie żartem:

— Jagusia to codzień ładniejsza...

— Kaj mi tam do ładności! — stanęła w ponsach, pociemniałe oczy buchnęły płomieniami, a wargi zadrgały w przytajonym prześmiechu radości.

— I naprawdę Jagusia nie chce iść zamąż?

— Ani mi się śni, abo mi to źle samej!

— I żaden się wam nie podoba, co? — nabierał coraz więcej śmiałości.

— Żaden, nie, żaden! — trzęsła głową, patrząc w niego rozmarzonemi słodko oczami. Nachylił się i zajrzał głęboko w te modre przepaście; modlitwę miała

w spojrzeniu, najgłębszą i najsłodszą i najdufniejszą, żarliwy krzyk serca, rwący się w czas podniesienia. Dusza się w niej trzepotała, kiej te skry słońca nad polami, kiej ptak, rozśpiewany wysoko nad ziemią.

Cofnął się jakoś dziwnie niespokojnie, przetarł oczy i wstał.

— Muszę już iść do domu! — skinął głową na pożegnanie i poszedł szeroką miedzą ku wsi, czytając kiej niekiej książkę, to błądząc oczami, ale w jakiś czas obejrzał się i przystanął.

Jagusia szła za nim o parę kroków.

— Bo i mnie tędy najbliżej—tłumaczyła się jakoś spłoszona.

— To pójdźmy razem — mruknął, niebardzo rad z towarzystwa, wlepił oczy w książkę i, zwolna idąc, czytał se półgłosem.

— O czem to napisane?—spytała lękliwie, zazierając w karty.

— Jak chcecie, to wam trochę poczytam.

Że akuratnie niedaleczko miedzy stało rozłożyste drzewo, to przysiadł w cieniu i zaczął czytać, Jagusia kucnęła naprzeciw i, wsparłszy brodę na pięści, zasłuchała się całą duszą, nie spuszczając z niego oczów.

— Jakże się wam podoba? — rzucił po chwili, unosząc głowę.

Sczerwieniła się i, uciekając z oczami, bąknęła wstydliwie.

— Bo ja wiem... To nie o królach historja, co?

Jeno się skrzywił i wziął znowu czytać, ale już wolno, wyraźnie i słowo po słowie: o polach i zbożach

czytał, o jakimś dworze, stojącym we brzozowym gaju, jakby o dziedzicowym synu, któren do dom wrócił, i o dworskiej panience, co siedziała se z dziećmi na ogrodzie... A wszyćko było utrafione do wiersza, rychtyg, kieby w tych pobożnych śpiewaniach, jakby je kto wypominał z ambony, że nieraz chciało się jej westchnąć, przeżegnać i zapłakać, tak szło do serca.

Ale strasznie gorąco było w tem zaciszu, kaj siedzieli, kręgiem stała gęsta ściana żyta, przepleciona modrakiem, wyczką i pachnącym powojem, że ani jeden powiew nie przechładzał, a jeno w tej upalnej cichości sypał się niekiedy chrzęst obwisłych kłosów, czasem wróble zaćwierkały wśród gałęzi, bzyknęła przelatująca pszczoła i dzwonił Jasiowy głos, wezbrany dziwną słodyczą, lecz Jagusia, chociaż wpatrzona była w niego, jakby w ten obraz najśliczniejszy, i nie straciła ani jednego słowa, kiwnęła się raz i drugi, bo ją rozbierało gorąco i morzył śpik, że ledwie już mogła wytrzymać.

Na szczęście, przerwał czytanie i zajrzał jej głęboko w oczy.

— Prawda, jakie śliczne, co?

— Juści, co śliczności... jakbym tego kazania słuchała.

Jaże oczy mu rozbłysły, a na twarz wystąpiły kolory, gdy zaczął rozpowiadać, czytając raz jeszcze te miejsca, kaj było o polach i lasach, ale mu przerwała:

— Przeciek i dziecko wie, co w borach rosną drzewa, w rzekach jest woda i sieją na polach, to poco ta drukować o tem wszyćkiem?...

Jasio aż się cofnął ze zdumienia,

— Mnie to się jeno spodobają takie historje o królach, o smokach, albo i o strachach, co to, jak się o nich słucha, to jaże mrówki człowieka obłażą i jakby zarzewia nasuł do piersi. Jak Rocho nieraz powiedają takie historje, tobym go słuchała dzień i noc. A czy pan Jasio ma o tem książki?

— A któżby czytał takie bajdy!—buchnął wzgardliwie, głęboko zgorszony.

— Bajdy! Hale, przeciek Rocho czytał o tem i z drukowanego.

— Głupstwa wam czytał i same cygaństwa!

— Jakże, toby se ino la cygaństwa umyślali takie cudeńka?...

— A tak, wszystko bajki a zmyślenia.

— To nieprawda i o południcach i o smokach?— pytała coraz żałośniej.

— Nieprawda, mówię wam przecież! — odpowiadał zniecierpliwiony.

— To i o tem też nieprawda, jakto Pan Jezus wędrował ze świętym Piotrem, co?...

Nie zdążył odrzec, bo nagle jakby wyrosła z pod ziemi Kozłowa i, stając przy nich, patrzała naśmiechliwemi ślepiami.

— A to pana Jasia szukają po całej wsi—rzekła słodziuśko.

— Cóż się tam stało?

— Jaże trzy bryki ziandarów przyjechało na plebanję.

Zerwał się niespokojnie i poleciał prawie w dyrdy.

Jagusia też poszła ku wsi, ale dziwnie czegoś markotna.

— Pewnikiem przerwałam waju pacierze, co? — syknęła Kozłowa, idąc pobok.

— Zaśby ta pacierze! Czytał mi z książki takie historje, ułożone do wiersza.

— Cie... a ja miarkowałam całkiem co drugiego. Organiścina pchnęła me go szukać... lecę w tę stronę, rozglądam się... pusto... tknęło me cosik, by zajrzeć pod gruszkę... patrzę... siedzą se jakieś turkaweczki... gaworzą... Juści miejsce sposobne... zdala od ludzkich oczów... juści...

— Żeby wam ten paskudny ozór pokręciło — buchnęła, wyrywając się naprzód.

— I będzie cie miał kto rozgrzeszyć!—krzyknęła za nią urągliwie.

—

X.

Jagusia zaraz na wstępie pomiarkowała, że na wsi dzieje się cosik ważnego, psy jakoś zajadlej naszczekiwały w obejściach, dzieci kryły się po sadach, wyzierając jeno z za drzew i płotów, ludzie już ściągali z pól, chociaż słońce było jeszcze wysoko, gdzieś znów zbierały się rajcujące cicho kobiety, a na wszystkich twarzach widniał srogi niepokój, i wszystkie oczy pełne były lęku i oczekiwań.

— Co się to wyrabia? — spytała Balcerkówny, wyglądającej z za węgła.

— Nie wiem, toć pono wojsko idzie od boru.

— Jezus, Marja! wojsko! — nogi się pod nią ugięły ze strachu.

— A Kłębiak co ino mówił, że kozaki ciągną od Woli — dorzuciła lecąca kajś Pryczkówna.

Jagusia przyśpieszyła kroku, w niemałej już trwodze dopadając chałupy, matka siedziała w progu z kądzielą, a przy niej parę rozgadanych kobiet.

— Widziałam, jak was, siedzą w ganku, a starsze u proboszcza na pokojach.

— A po wójta posłali Michała organistów.

— Po wójta! Moiściewy, to nie przelewki. Ho, ho, wyjdą z tego historje, wyjdą...

— A może jeno przyjechały ściągać podatki.

— Hale, toby jaże w tyla narodu przyjeżdżały, co? Musi być co drugiego.

— Pewnie, ale nic dobrego z tego nie wyjdzie, obaczycie, spomnicie moje słowa.

— To ja wam rzeknę, poco przyjechały — zaczęła Jagustynka, przystępując do nich.

Zbiły się w kupę i, kiej gęsi, powyciągały szyje, nasłuchując z chciwością.

— A to będą was zapisywały do wojska — zaśmiała się skrzekliwie, ale żadna nie zawtórzyła, tylko Dominikowa rzekła z przekąsem:

— Cięgiem się was trzymają psie figle.

— A bo z igły robita widły! Wszystkie dziw zębów nie pogubią ze strachu, a każdaby rada jakiej przygodzie. Wielka mi rzecz ziandary.

Płoszkowa wtoczyła swój spaśny kałdun w opłotki i dalejże rozpowiadać, jakto ją zaraz cosik tknęło, kiej dojrzała bryki, jakto...

— Cichojta! Ano Grzela z wójtem lecą na plebanję.

Poniesły oczy na drugą stronę stawu, przeprowadzając idących.

— Cie, to i Grzelę wołają.

Ale nie zgadły, bo Grzela puścił brata naprzód, a sam obejrzał bryki, stojące przed plebanją, wypytał furmanów, przyjrzał się żandarmom, siedzącym w ganku, i jakoś mocno zaniepokojony poleciał do Mateusza, zajętego przy Stachowej chałupie; właśnie był siedział okrakiem na zrębie, zacinając łuzy la osadzenia krokwi.

— Nie odjechały jeszcze? — pytał, nie przestając rąbać.

— A nie, to jeno bieda, że niewiada, poco przyjechały.

— I w tem się cosik tai niedobrego! — zająkał stary Bylica.

— A może o zebranie! Naczelnik się wygrażał, a strażniki już się tu i owdzie przewiadywały, kto Lipce buntuje — rzekł Mateusz, zesuwając się na ziemię.

— Toby rychtyg wypadało, że przyjechały po mnie! — szepnął Grzela, rozglądając się niespokojnie, przybladł i ciężko robił piersiami.

— A mnie się widzi, co prędzejby po Rocha! — zauważył Stacho.

— Prawda, przeciek się już o niego przepytywali! Że mi to nawet w myślach nie postało! — odetchnął z ulgą, lecz, srodze zatroskany o niego, rzekł smutnie:

— Ani chybi, że, jeśli mają kogo wziąć, to tylko Rocha!

— Jakże, możemy go to dać, co? Rodzonego ojca, co? — krzyczał Mateusz.

— Hale, niesposób się im przeciwić, ani mowy o tem...

— Niechby się kaj schował, trza go przestrzec, juści... — jąkał Bylica.

— A może to co drugiego, może to z wójtem sprawa... — wtrącił nieśmiało Stacho.

— Na wszelki przypadek lecę go przestrzec! — zawołał Grzela i buchnął we zboża, przebierając się ogrodami do Borynów.

Antek siedział w ganku, nakuwając sierpy na kowadełku, i porwał się strwożony, dowiedziawszy się, o co idzie.

— Właśnie co jeno przyśli. Rochu, a chodźcie-no do nas! — krzyknął.

— Co się stało? — pytał stary, wyściubiając głowę przez okno, ale, nim mu rzekli, przyleciał, srodze zaziajany, Michał organistów.

— Wiecie, a to do was, Antoni, walą żandarmy! Już są nad stawem...

— To po mnie! — jęknął Rocho, zwieszając smutnie głowę.

— Jezus, Marja! — krzyknęła Hanka, stając w progu, i uderzyła w płacz.

— Cicho! Trza zaradzić jakoś! — szepnął Antek, tężąc myślą.

— Skrzyknę wieś i nie damy was, Rochu! — srożył się Michał, wyłamując sielną gałąź i groźnie tocząc oczami.

— Nie bajdurz! Rochu, za bróg i w żyta, prędzej ino! Przywarujcie kaj w bróździe, póki was nie zawołam. A chybko, by nie nadeszli...

Rocho zakręcił się po izbie, cisnął jakieś papiery Jóźce, leżącej na łóżku i zaszeptał:

— Schowaj pod siebie, a nie wydaj!

I jak był, bez czapki a kapoty, rzucił się w sad i przepadł, jak kamień we wodzie, że jeno kajś za brogiem zaruchało się żyto.

— Odejdź, Grzela! Hanka, do swojej roboty! Uciekaj, Michał, i ani mrumru! — rozkazywał Antek, zasiadając do przerwanej roboty, i jął znowu nacinać sierp tak równiuśko i spokojnie, jak przódzi, tylko, że co trochę podnosił ostrze pod światło, a strzygł ślepiami na wszystkie strony, gdyż naszczekiwania psów były coraz bliższe, i wnet rozległy się ciężkie stąpania, brzęki pałaszów i rozmowy...

Zatłukło mu serce, i zadygotały ręce, ale ciął równo, akuratnie, raz za razem, nie odrywając oczów, aż dopiero kiej przed nim stanęli.

— Rocho doma?—pytał wójt, wielce zalękniony.

Antek obrzucił spojrzeniem całą kupę i odrzekł wolno:

— Musi być na wsi, bo nie widziałem go od rana.

— Otworzyć! — rozkazał grzmiąco jakiś starszy.

— Przeciek wywarte! — odburknął Antek, dźwigając się z ławy.

Urzędnik wraz z żandarmami wszedł do chałupy, zaś strażnicy rozlecieli się pilnować sadu i obejścia.

Na drodze zebrało się już z pół wsi, przyglądając się w milczeniu, jak przetrząsali dom, kieby kopę siana. Antek musiał im wszystko pokazywać i otwierać, a Hanka siedziała pod oknem z dzieckiem przy piersi.

Juści, co szukali na darmo, ale tak penetrowali wszędy, nie przepuszczając zgoła niczemu, że nawet któryś zajrzał pod łóżka.

— A siedzi tam i właśnie czeka na waju! — mruknęła.

Starszy dojrzał na stole jakieś książeczki, przyciśnięte pasyjką, skoczył do nich, kiej ryś, i jął je pilnie przeglądać.

— Skąd je macie?

— Musi być, co Rocho je położył, to se i leżą.

— Borynowa niegramotna! — tłumaczył wójt.

— Kto z was umie czytać?

— A żadne, tak nas uczyli we szkole, że tera nikto nie rozbierze nawet na książce do nabożeństwa!— odpowiedział Antek.

Starszy oddał książeczki drugiemu i ruszył na drugą stronę domu.

— Cóżto, chora? — podszedł nieco do Jóźki.

— A juści, już od paru niedziel leży na ospę.

Urzędnik śpiesznie cofnął się do sieni.

— To w tej izbie mieszkał? — wypytywał wójta.

— I w tej i kaj mu popadło, zwyczajnie, jak dziad.

Przejrzeli wszystkie kąty, szukając nawet za obrazami; Jóźka chodziła za nimi rozpalonemi oczami, a tak

rozdygotana ze strachu, że, gdy któryś zbliżył się do niej, zaskrzeczała nieprzytomnie:

— Schowałam go pewnie pod siebie, co? Szukajcie!..

A kiedy skończyli, Antek przystąpił do starszego i, kłaniając mu się w pas, zapytał pokornym głosem:

— Dopraszam się, czy to Rocho zrobił jakie złodziejstwo?...

Urzędnik zajrzał mu jakoś zbliska w twarz i rzekł z naciskiem:

— A wyda się, że go ukrywasz, to już razem powędrujecie, słyszysz!..

— Dyć słyszę, jeno nie poredzę wymiarkować, o co sprawa! — podrapał się frasobliwie, urzędnik spojrzał ostro i poniósł się na wieś.

Chodzili jeszcze po różnych chałupach, zaglądali tu i owdzie, przepytując kogo się jeno dało, że już słońce zaszło, i drogi zapchały się stadami, pędzonemi z pastwisk, gdy odjechali, nic nie wskórawszy.

Wieś odetchnęła, i naraz przemówili wszyscy, każden bowiem rozpowiadał, jak to szukali u Kłębów, jak u Grzeli, jak u Mateusza, i każden widział najlepiej i najmniej się bojał i najbarzej im dopiekał.

Jaż Antek, kiedy już ostali sami, rzekł cicho do Hanki:

— Sprawa widzę, taka, co już niesposób trzymać go w chałupie.

— Jakże, wypędzisz go! taki święty człowiek, taki dobrodziej!

— A żeby to wciórności! — zaklął, nie wiedząc już, co począć, szczęściem, iż pokrótce przyleciał Grzela

z Mateuszem i, żeby cosik pewnego uradzić, zamknęli się w stodole, gdyż do chałupy cięgiem ktoś wpadał na wywiady.

Mrok już docna przysłonił świat, Hanka podoiła krowy i Pietrek przyjechał z boru, kiej dopiero wyszli; Antek wziął zaraz rychtować brykę, zaś Grzela z Mateuszem, la zamydlenia oczów, poszli szukać Rocha po chałupach.

Dziwowali się temu, boć każden byłby przysiągł, jako siedzi schowany kajś u Boryny.

— Zaraz po obiedzie gdziesik się zapodział i ani słychu!—rozgłaszali przyjaciele.

— Ma szczęście, jużby se ano w dybkach wędrował!

I wmig się rozniesło, jak chcieli, że Rocha już od południa niema we wsi.

— Przewąchał i zwiał, kaj pieprz rośnie! — pogadywali radzi.

— Niech jeno nie powraca więcej, nic ta po nim!— rzekł stary Płoszka.

— Przeszkadza wama? A może was ukrzywdził, co? — zawarczał Mateusz.

— A mało to narobił mątu? Mało to was nabuntował? Jeszczek przez niego cała wieś ucierpi...

— To go złapcie i wydajcie!

— Żebyśta mieli rozum, toby go już dawno mieli...

Sklął go Mateusz i chciał pobić, ledwie ich rozdzielili, więc jeno mu nawytrząchał pięścią, nasobaczył i odszedł, a że już było docna pociemniało na świecie, to i naród porozchodził się po chałupach.

Na to właśnie czekał Antek, bo, skoro jeno drogi opustoszały i ludzie zasiedli przed wieczerzami, a po wsi rozwiały się zapachy smażonej słoniny, skrzyboty łyżek i ciche pogwary przy miskach, przyprowadził Rocha na Józiną stronę, nie pozwalając rozniecać ognia.

Stary przegryzł naprędce coś niecoś, pozbierał, co miał swojego, i jął się żegnać z kobietami. Hanka padła mu do nóg, a Józka buchnęła skomlącym, rzewliwym płaczem.

Zostańcie z Bogiem, może się jeszcze zobaczymy!—szeptał łzawo, przyciskając je do piersi, a całując po głowinach, kiej ten ociec rodzony, ale, że Antek przynaglał, to, pobłogosławiwszy jeszcze dzieciom i domowi, przeżegnał się i ruszył do przełazu pod bróg.

— Konie zaczekają u Szymka na Podlesiu, a Mateusz was powiezie.

— Muszę jeszcze zajrzeć do kogoś na wsi... Gdzie się spotkamy?...

— Przy figurze pod borem, zarno tam pociągniemy...

— A dobrze, bo z Grzelą mam jeszcze dużo do pomówienia.

I przepadł w mrokach, że nawet kroków nie było słychać.

Antek zaprzągł konie, włożył w brykę jakąś ćwiartkę żyta i worek ziemniaków, pogadał cosik długo z Witkiem na stronie i rzekł głośno:

— Witek, zaprowadź konie do Szymka na Podlesie i wracaj! Rozumiesz?

Chłopak jeno błysnął ślepiami, dorwał się koni i ruszył z kopyta tak ostro, jaże Antek za nim krzyknął:

— Wolniej, bo mi, jucho, szkapy zamordujesz!

Tymczasem zaś Rocho przebrał się chyłkiem do Dominikowej, kaj miał jakieś rzeczy, i zamknął się w alkierzu.

Jędrzych pilnował na drodze, Jagusia cięgiem wyzierała w opłotki, a stara, siedząc w izbie, nasłuchiwała niespokojnie.

Wyszło dobre parę pacierzów, nim wyszedł, pogadał jeszcze na stronie z Dominikową i, zarzuciwszy toboł na plecy, chciał iść, ale Jagusia naparła się ponieść za nim choćby do boru. Nie sprzeciwiał się temu i, pożegnawszy starą, ruszyli przez sad na pola.

Szli miedzami zwolna, ostrożnie i w milczeniu.

Noc była widna i sielnie roziskrzona gwiazdami, pośpione ziemie leżały w cichościach, tylko kajś na wsi ujadał pies...

Dosięgali już borów, gdy Rocho przystanął i wziął ją za rękę.

— Jaguś! — szepnął dobrotliwie — posłuchaj mnie uważnie.

Słuchała pilnie, rozdygotana jakiemś złem przeczuciem.

Prawił, kieby ksiądz na spowiedzi, wypominając jej Antka, wójta i już najbarzej Jasia! Prosił i zaklinał na wszystkie świętości, by się opamiętała i zaczęła żyć inaczej!

Odwróciła zesromaną twarz, oblały ją palące ognie wstydu, a serce spięło się męką, ale, kiej spomniał Jasia, podniesła hardo głowę.

— A cóż to złego z nim wyrabiam, co?

Jął wywodzić po swojemu, a przedstawiać łagodnie, na jakie to pokusy się dają i do jakiego to grzechu i zgorszenia może ich zły doprowadzić...

Nie słuchała, wzdychając jeno i niesąc się myślami do Jasia, że już same wargi lśniące i nabrane krwią szeptały słodko, gorąco i zapamiętale:

— Jasiu! Jasiu! — A rozjarzone oczy rwały się gdziesik, kieby ptaki, radośnie rozśpiewane, i krążyły nad jego głową najmilejszą...

— Dyćbym poszła za nim we wszystek świat! — wyrwało się jej bezwolnie, że Rocho zadrżał, spojrzał w jej oczy, szeroko otwarte, i zamilkł.

Na skraju boru pod krzyżem zabielały jakby kapoty.

— Kto tam?—wstrzymał się niespokojnie.

— Jesteśma! Swoi!

— Nogi mi się już plączą, że odpocznę nieco — rzekł, rozsiadając między nimi. Jagusia zwaliła toboł i przysiadła nieco zboku, pod krzyżem, w głębokim cieniu brzóz.

— Żebyście ino nie mieli jakich nowych kłopotów...

— I... gorsze, że ano idziecie już od nas! — powiedział Antek.

— Być może, iż kiedyś powrócę, być może!...

— Psiekrwie, żeby człowieka gonić, jak tego psa zepsutego!—buchnął Mateusz.

— I za co, mój Boże, za co?—jęknął Grzela,

— Że chcę prawdy i sprawiedliwości ła narodu!— ozwał się uroczyście.

— Każdemu jest na świecie źle, ale już najgorzej sprawiedliwemu.

— Nie martw się, Grzela, przemieni się jeszcze na dobre, przemieni...

— Tak se i miarkuję, bo ciężkoby pomyśleć, że wszystkie zabiegi na darmo.

— Czekaj tatka latka, jak kobyłę wilcy zjedzą!— westchnął Antek, wpatrzony w cienie, kaj mu bielała Jagusina gębusia.

— Powiadam wam, że kto chwasty wyrywa i posiewa dobrem ziarnem, ten zbierał będzie w czas żniwny!

— A jak nie obrodzi? Przeciek i to się przygodzi, nie?

— Tak, ale każdy sieje z wiarą, że w dwójnasób mu zaplonuje.

— Juści, chciałby się to kto mozolić na darmo!

Zadumali się głęboko nad temi rzeczami.

Wiater powiał, zaszeleściły nad nimi brzozy, zaszumiał głucho bór i polami poszedł chrzęstliwy szmer zbóż. Księżyc wypłynął i leciał po niebie, jakby ulicą białych chmur, postożonych rzędami, drzewa rzuciły cienie, przesiane światłem, lelki cichym, krętym lotem przewijały się nad ich głowami, a jakiś smutek przejmował serca.

Jagusia zapłakała cichuśko, niewiadomo laczego.

— Co ci to, co?— pytał dobrotliwie Rocho, gładząc ją po głowie.

— A bo to wiem, markotno mi jakoś...

Ale i wszystkim było markotno, i jakaś żałość rozpierała dusze, że siedzieli osowiali, powiędłemi oczami ogarniając Rocha, któren się im teraz widział, kiej ten święty Pański. Siedział pod krzyżem, z którego ciężko obwisły Chrystus jakby błogosławił okrwawionemi rękami jego siwej, umęczonej głowie, on zaś jął mówić głosem pełnym dufności:

— A o mnie się nie trwóżcie, kruszynam tylko, jedno źdźbło z bujnego pola, wezmą mię i zagubią, to i cóż, kiedy takich zostanie jeszcze wiela, i każden tak samo gotów dać żywot dla sprawy... A przyjdzie pora, że jawi się ich tysiące, przyjdą z miast, przyjdą z chałup, przyjdą ze dworów i tym ciągiem nieprzerwanym położą głowy swoje, dadzą krew swoją i padną jeden za drugim, stożąc się, jak te kamienie, aż póki się z nich nie wyniesie ów święty, utęskniony kościół... A mówię wam, że stanie i trwał będzie po wiek wieków i już go żadna zła moc nie przezwycięży, bo wyrośnie z ochfiarnej krwie i miłowania...

I opowiadał szeroko, jak to ni jedna kropla krwi, ni łza jedna, ni żaden wysiłek nie przepada na darmo, jak to ciągiem, kieby te zboża na ziemi nawożonej, rodzą się nowe brońce, nowe siły, nowe ochfiary, aż nadejdzie ów dzień święty, dzień zmartwychwstania, dzień prawdy i sprawiedliwości la całego narodu...

Mówił gorąco, a chwilami tak górnie, że niesposób było wyrozumieć wszystkiego, ale przejął ich święty ogień, serca sprężyły się uniesieniem i taką wiarą, mocą i pragnieniem, jaże Antek zawołał:

— Jezu... prowadźcie jeno... a choćby na śmierć pódę, pódę...

— Wszystkie pójdziemy, a co stanie na zawadzie — stratujem!

— A kto się nam sprzeciwi, kto nas przemoże? Niech jeno spróbuje...

Wybuchnęli jeden po drugim, a coraz zapamiętalej, aż musiał ich przyciszać i, przysunąwszy się jeszcze bliżej, zaczął nauczać, jaki to będzie ów dzień upragniony i co im trzeba robić, aby go przyśpieszyć...

Mówił tak ważkie i zgoła niespodziane rzeczy, że słuchali z zapartym tchem, z trwogą i radością zarazem, przyjmując każde jego słowo z dreszczem wiary serdecznej, jakoby tę komunję przenajświętszą... Niebo im bowiem otwierał, raje pokazywał, że dusze im poklękały w zachwyceniu, oczy widziały cudności niewypowiedziane, a serca się pasły janielskiem, przesłodkiem śpiewaniem nadziei...

— We waszej to mocy, aby się tak stało! — zakończył, niemało już utrudzony. Księżyc schował się za chmurę, poszarzało niebo i zmętniały pola, bór cosik zagadał zcicha, i trwożnie zachrzęściły zboża, i kajś od wsi dalekich niesły się psie naszczekiwania, oni zaś siedzieli niemi, dziwnie cisi, jeszcze zasłuchani, a jakby opici jego słowami i tak jakoś uroczyści, jakby po wielkiej przysiędze.

— Czas mi już odejść! — rzekł, powstając, i brał każdego w ramiona, ściskał i całował na pożegnanie. Dziw się nie popłakali z żalu, on zaś przyklęknął, od-

mówił krótką modlitwę, padł na twarz i zapłakał, obejmując ziemię rękami, kieby tę mać, żegnaną na zawsze.

Jagusia jaże się zaniesła szlochaniem, chłopy ukradkiem wycierali oczy.

I zaraz się rozeszli.

Do wsi wracał tylko Antek z Jagusią, tamci zaś przepadli kajś pod borem.

— A nie mówże przed nikim o tem, coś słyszała!— rzekł po długiej chwili.

— Czy to ja latam z nowinami po chłopach! — warknęła gniewnie.

— A już niech Bóg broni, żeby się wójt dowiedział — upominał surowo.

Nie odrzekła, przyśpieszając jeno kroku, ale nie dał się wyprzedzić, trzymał się pobok, zazierając raz po raz w jej twarz zapłakaną i gniewną..

Księżyc znowu zaświecił i wisiał prosto nad drogą, że szli jakoby tą srebrzystą miedzą, obrzeżoną pokrętnemi cieniami drzew, naraz zadrgało mu serce, tęsknica wyciągnęła nienasycone ramiona, przysunął się ździebko, bliżej, tak blisko, że jeno sięgnąć ręką i przyciągnąć ją do siebie, ale nie sięgnął, zbrakło mu bowiem śmiałości, i powstrzymywało jej zawzięte, wzgardliwe milczenie, więc jeno rzekł z przekąsem:

— Tak lecisz, jakbyś chciała uciec przede mną...

— A bo prawda! Obaczy nas kto i gotowe nowe plotki.

— Albo ci śpieszno do kogo drugiego!

— Juści, a bo mi to nie wolno! Abom to nie wdowa!

— Widzę, co niedarmo powiadają, że kierujesz się na księżą gospodynię...

Porwała się jak wicher, i łzy potrzęsły się jej z oczów rzęsistemi, palącemi strugami. .

XI.

Już stronami, na piaskach i lżejszych gruntach wychodzono ze sierpem, już nawet kaj niekaj po wyżniach błyskały kosy, ale we wsiach, gdzie były mocniejsze ziemie, dopiero imano się przygotowań, i żniwa leda dzień miały się rozpoczynać.

Więc i w Lipcach, jakoś w parę dni po ucieczce Rocha, jęto się ostro sposobić do żniwa, rychtowano nagwałt drabiny i moczono we stawie wozy co barzej rozeschnięte, oprzątano stodoły, że już stojały wywarte naprzestrzał, gdzie w cieniach sadów wykręcano powrósła, zaś prawie pod każdą chałupą brząkały rozklepywane kosy, kobiety zwijały się przy pieczeniu chlebów i sposobieniu zapasów, a z tego wszystkiego zrobiło się tylachna skrzętu i rwetesów, że wieś wyglądała jakby przed jakiemś wielkiem świętem.

A że przytem zjechało się z drugich wsi sporo narodu, to na drogach i pod młynem wrzało, kieby na jarmarku, głównie bowiem ściągali ze zbożem do mielenia, ale, jakby na utrapienie, tak mało było wody, że robił tylko jeden ganek, a i to ledwie się ruchając, czekali jednak cierpliwie swojej kolei, boć każden chciał zemleć jeszcze na żniwa.

Niemało też cisnęło się do młynarzowego domu kupować mąkę, kasze przeróżne, a nawet i po chleb gotowy.

Młynarz leżał chory, ale snadź nic się nie działo bez jego przyzwoleństwa, gdyż krzyknął do żony, siedzącej na dworze, pod wywartem oknem:

— A Rzepeckim nie dawaj ani za grosz, prowadzali swoje krowy do księżego byka, to niechże im proboszcz zaborguje i co innego.

I nie pomogły żadne prośby ni skamlania, na darmo też wstawiała się za biedniejszymi, zaciął się i żadnemu, któren ino wodził krowę na plebanję, nie pozwolił zborgować ani pół kwarty mąki.

— Spodobał im się księży byk, to niech go sobie dojął — wykrzykiwał.

Młynarzowa, też jakoś kwękająca, spłakana i z obwiązaną twarzą, wzruszała ramionami, ale, jak mogła, ukradkiem zborgowała niejednemu.

Nadeszła Kłębowa, prosząc o pół ćwiartki jaglanej kaszy.

— Płacicie zaraz, to bierzcie, ale na bórg nie dam ani ziarnka.

Zafrasowała się wielce, bo juści, że przyszła bez pieniędzy.

— Tomek z nim trzyma za jedno, to niechaj uprosi o kaszę.

Obraziła się i rzekła wyzywająco:

— Juści, co trzyma z księdzem, i trzymał będzie, ale tutaj już więcej jego noga nie postoi.

— Mała szkoda, krótki żal! Spróbujcie mleć gdzie indziej.

Odeszła wielce skłopotana, bo w domu nie było już ani grosza, lecz, natknąwszy się na kowalową, siedzącą pod zawartą kuźnią, rozżaliła się przed nią i zapłakała na młynarza.

Ale kowalowa ozwała się z prześmiechem:

— To wam jeno rzeknę, co już niedługie to jego panowanie.

— Hale, a któż to da radę takiemu bogaczowi, kto?

— Jak mu wiatrak postawią pod bokiem, to mu i radę dadzą.

Kłębowa jaże oczy wytrzeszczyła ze zdumienia.

— A mój wiatrak postawi. Co ino poszedł z Mateuszem do boru, wybierać drzewo, na Podlesiu będą stawiać kole figury.

— Cie... Michał stawia wiatrak, śmiercibym się prędzej spodziała, no, no. Ale dobrze tak temu zdzierusowi, niech mu kałdun spadnie.

Tak jej ulżyło, że śpieszniej szła ku domowi, ale, dojrzawszy Hankę, pierącą pod chałupą, wstąpiła podzielić się tą niespodzianą nowiną.

Antek majdrował cosik kole woza i, posłyszawszy rozmowę, rzekł:

— Prawdę wam powiedziała Magda, kowal już kupił od dziedzica dwadzieścia morgów na Podlesiu, zaraz przy figurze, i tam wystawi wiatrak! Młynarz się wścieknie ze złości, ale niech mu rura zmięknie! Tak się już wszystkim dał we znaki, że nikto go nie pożałuje.

— Nie wiecie to niczego o Rochu?

— Nic a nic — odwrócił się od niej jakoś śpiesznie.

— To dziwne, trzeci dzień i niewiada, co się z nim wyrabia.

— Przecież nieraz już tak bywało, że poszedł kajś, a potem znowu się zjawił.

— Któż to od was idzie do Częstochowy? — zagadnęła Hanka.

— A idzie moja Jewka z Maciusiem. Latoś mało wiela się ze wsi wybiera.

— I ja pójdę, właśnie przepieram na drogę co lżejsze szmaty.

— Ale pono z drugich wsi to sporo się szykuje.

— Sposobną porę se wybrały, na największą robotę — mruknął Antek, ale żonie się nie przeciwił, wiedząc oddawna, na jaką to intencję się ochfiarowała.

Zaczęły se rozpowiadać różnoście, gdy wpadła Jagustynka.

— Wiecie — wrzeszczała — a to może przed godziną przyszedł z wojska Jasiek!

— Tereski chłop! A dyć powiadała, co wraca dopiero na kopania.

— Co inom go widziała, galancie koło niego i okrutnie stęskniony do swoich.

— Dobry był chłop, ale zawzięty. Tereska doma?

— Rwie len u proboszcza i jeszcze nie wie, co ją w domu czeka.

— Znowu zakotłuje się w Lipcach, przecież mu zarno powiedzą!

Antek słuchał uważnie, gdyż mocno go zajęła nowina, lecz się nie odzywał, zaś Hanka z Kłębową,

szczerze ubolewając nad Tereską, jęły przewidywać najgorsze la niej rzeczy, aż im przerwała Jagustynka:

— Psu na budę taka sprawiedliwość! Hale, pójdzie se taki ciołek na całe roki we świat, kobietę ostawi samą, a potem, jak się niebodze co przygodzi, to gotów ją choćby zakatrupić! A wszystkie też bij zabij na nią! Kajże to sprawiedliwość! Chłop to se może używać, jak na psiem weselu, i nikto mu zato nie rzeknie nawet marnego słowa! Docna głupie urządzenie na świecie! Jakże, to kobieta nie żywy człowiek, to z drewna wystrugana, czy co? Ale, kiej już musi odpowiadać, to niechże i gach zarówno płaci, przeciek pospólnie grzeszyli. Czemuż to jemu tylko uciecha, a la niej samo płakanie, co?

— Moiściewy, tak już postanowione od wiek wieka, to i ostanie! — szepnęła Kłębowa.

— Ostanie, żeby się naród marnował, a zły cieszył, ale ja tobym postanowiła inaczej: wzion któren cudzą kobietę, to niechże se ją ostawi na zawdy, a nie zechce, bo mu już nowa lepiej zasmakowała, kijem ścierwę i do kreminału!

Antek roześmiał się z jej zapalczywości, skoczyła ku niemu z wrzaskiem.

— La was to ino warte śmiechu, co? Zbóje zapowietrzone, każda wam najmilejsza, póki jej nie dostanieta! A potem jeszcze się przekpiwają!

— Wydzieracie się, jak sroka na pluchę! — rzucił niechętnie.

Poleciała na wieś i przyszła dopiero nad wieczorem, ale srodze spłakana.

— Cóż się to waju przygodziło? spytała niespokojnie Hanka.

— A co, napiłam się człowieczego bólu i jaże mnie zamgliło—rozpłakała się i jęła mówić przez łzy i szlochania — wiecie, a to Kozłowa wzięła Jaśka pod swoją opiekę i już mu wszycko wyśpiewała.

— Nie ta, to drugaby mu pedziała, takie rzeczy się nie zagubią.

— Mówię wam, że cosik strasznego wzbiera w ich chałupie! Poleciałam do nich, nie było nikogo. Zaglądam teraz, siedzą oboje i płaczą, na stole porozkładane podarunki, jakie jej przyniósł. Jezu, jaże mróz mnie przejął, jakbym zajrzała do grobu. Nie mówią do się; jeno płaczą. Mateuszowa matka rozpowiedziała mi, jak to było, aże mi włosy powstały na głowie.

— Nie wiecie, wspominał Mateusza? — zagadnął niespokojnie Antek.

— Pomstuje na niego, że niech Bóg broni! Jasiek mu tego nie przepuści, nie!

— Nie bójcie się, Mateusz go skamlał o łaskę nie będzie — odrzucił gniewnie i, nie słuchając więcej, poleciał na Podlesie przestrzec przyjaciela.

Nalazł go dopiero u Szymków, siedział z Nastusią pod ścianą i cosik zcicha se redzili, wywołał go zaraz i, kiej odeszli spory kawał drogi, opowiedział.

Mateusz aż się zachłysnął i zaczął kląć.

— Ażeby to siarczyste pioruny spaliły taką nowinę!

Wracali do wsi, Mateusz się krzywił i jakoś boleśnie i ciężko wzdychał.

— Widzę, co ci markotno i żal — wtrącił ostrożnie Antek.

— Zaśbym ta żałował, już mi kością w gardle stanęła. Co inszego mnie trapi.

Antek się zdumiał, ale nijakoś było się rozpytywać.

— Czasuby nie chwaciło, żebym miał każdej żałować! Wpadła mi w pazury, to i wzionem, każdyby zrobił to samo! Nie bój się, użyłem, jak pies w studni, bo, com się musiał nasłuchać beków i wyrzekań, to starczyłoby la dziesięciu. Uciekałem, to kieby cień szła za mną. Niechże i Jasiek się nią nacieszy. Nie kochanice mi w głowie, a jeno całkiem co drugiego.

— Pewnie, że poraby ci się żenić.

— Właśnie i Nastka mówiła mi to samo.

— Dzieuch we wsi, jak maku, nietrudno wybrać.

— Już mam zdawiendawna cosik upatrzonego — wyrwało mu się bezwolnie.

— To me proś w dziewosłęby i sprawiaj wesele, choćby zaraz po żniwach.

Nie poszło mu to w smak, bo skrzywił się i zagadał znowu o Jaśku, a wywiedziawszy się wszystkiego, jął rozpytywać o Szymkowej gospodarce, wyznając przytem nibyto niechcący, że Jędrzych mówił Nastusi pod sekretem, jako Dominikowa ma podać do sądu o grunt Jagusi po Macieju.

— Ociec zapisali, to jej nikto nie zapiera, juści, że samej ziemi nie oddam, ale święcie zapłacę, co warta! Kłótnica, chce się jej procesów!

— Prawda to, że Jagusia zapis oddała Hance? — pytał ostrożnie.

— Cóż z tego, kiej nie odpisała się u rejenta.

Mateusz jakoś poweselał i, nie mogąc się już powstrzymać, zatrącał w rozmowie raz po raz o Jagusię, sielnie ją sobie chwaląc.

Antek pomiarkowawszy, o co mu chodzi, rzekł szydliwie:

— Słyszałeś, co to znowu o niej wygadują?

— Baby zawdy łatki jej przypinały.

— Za Jasiem organistów łata pono, kiej suka — dodał z rozmysłem.

Widziałeś to? rozczerwienił się z gniewu.

— Na prześpiegi za nią nie chodzę, bo me ni parzy, ni ziębi, ale są, które widują co dnia, jak się schodzi w boru z Jasiem, to po miedzach...

— Sprać jedną i drugą, toby wnet przestały plotkować.

— Spróbuj, może się wystraszą i przestaną! — mówił zwolna, zatargała nim nagła, strasznie szarpiąca zazdrość o Jagusię, a już te myśle, że Mateusz może się z nią ożenić, kąsały go, kieby rozwścieklone psy.

Nie odpowiadał na jego zaczepne i często przykre słowa, by się jeno nie wydać ze swoją męką, ale na rozstaniu nie poredził się już wstrzymać i rzekł ze złym prześmiechem:

— A któren się z nią ożeni, sporo szwagrów miał będzie...

Rozeszli się dosyć oziębie.

Mateusz, odszedłszy parę kroków, roześmiał się cicho i pomyślał:

— Musi go trzymać zdaleka, to się na nią źli a pyskuje. A niech ta se lata za Jasiem, taki dzieciuch. Barzej ją tam ciągnie ksiądz, niźli chłopak.

Rozmyślał pobłażliwie, bo, wywiedziawszy się od Antka co do tego zapisu po Macieju, już stanowczo umyślił się z nią ożenić. Zwolnił kroku i rozliczał se w myślach, po ile to trzaby mu spłacać Jędrzycha i Szymka, by samemu ostać na gospodarce, na całych dwudziestu morgach.

— Stara przykra, juści, ale przeciek nie bedzie wiekowała.

Spomniały mu się Jagusine sprawki, to go ździebko rozfrasowało.

— Co było, to nie jest, a zechce się jej nowych figlów, to z niej rychło wytrzęsę.

W opłotkach przed chałupą czekała na niego matka.

— Jasiek wrócił — szeptała zatrwożona — już mu o tem powiedzieli.

— To i lepiej, nie będzie potrza się ocyganiać.

— Tereska przylatywała już parę razy, grozi, że się utopi... że nie...

— Pewnie, co gotowa to zrobić, pewnie—szepnął wystraszony i tak się tem srodze zmartwił, że, zasiadłszy w progu do kolacji, nie mógł jeść, a jeno nadsłuchiwał od Jaśkowego sadu, że to siedzieli tylko przez miedzę. Przejmował go coraz większy niepokój, odsunął miskę i, kurząc papierosa za papierosem, na darmo barował się z dygotem trwogi, na darmo klął siebie i wszystkie kobiety i na darmo chciał całą sprawę obrócić

w przekpinki, bo strach o Tereskę rozrastał się w nim coraz barzej i dręczył już nie do wytrzymania. Już parę razy się podnosił, aby iść kajś na wieś, między ludzi, ale ostawał, wyczekując niewiada na co.

Noc się już zrobiła, gdy naraz posłyszał jakieś kroki, a nim rozeznał, z której strony nadchodzą, już Tereska wisiała mu na szyi.

— Ratuj, Mateusz! Jezu, tak czekałam na cię, tak wyglądałam.

Usadził ją pobok, lecz cisnęła mu się do piersi, kiej dzieciątko, i przez łzy, lejące się ciurkiem, przez mękę i rozpacz szeptała:

— Powiedziały mu o wszystkiem! Śmiercibym się była prędzej spodziała, niźli jego powrotu. Byłam u księżego Inu... przylatuje któraś i powiada... dziw trupem nie padłam... szłam, jak na śmierć... nie było cię doma... poszłam cię szukać... nie było cię we wsi... kołowałam z godzinę, ale musiałam iść... wchodzę do chałupy... a on stoi na środku, blady, kiej ściana... skoczył do mnie z pięściami... o prawdę pyta... o prawdę...

Mateusz jaże się zatrząsł i obcierał z twarzy zimny, lodowaty pot.

— Wyznałam się przed nim... na nic jużby się zdały cygaństwa... Topora chycił na mnie... myślałam, że już koniec, i pierwsza mu rzekłam: Zabij! ulży nam obojgu! Ale me nie tknął nawet palcem! Jeno popatrzył we mnie, przysiadł pod oknem i zapłakał!.. Jezu miłosierny, żeby me chociaż sprał, skopał, sponiewierał, lżejby mi było, lżej, a on siedzi i płacze! I cóż ja teraz poczne, nieszczęsna, co? kaj się podzieję! Ratuj me,

bo się rzucę do studni, albo se co złego zrobię, ratuj! — wrzasnęła, padając mu do nóg.

— Cóż ja ci poredzę, sieroto, co? — jąkał bezradnie.

Zerwała się nagle z dzikim warkotem gniewnego szaleństwa.

— To pocoś me brał? pocoś me stumanił? pocoś me przywiódł do grzechu?

— Cała wieś tu się zleci, cichoj!

Przypadła mu znowu do piersi, objęła sobą i, pokrywając pocałunkami, zaskamlała całą mocą strachu, miłowania i rozpaczy:

— O mój jedyny, o mój wybrany z tysiąca, zabij me, a nie odpędzaj od siebie! Miłujesz to me, co? Miłujesz? Dyć me utul ten ostatni razik, dyć me weź, ogarnij sobą i nie daj na mękę, nie daj płakania, nie daj zatracenia! Jedynego cię mam na wszyćkim świecie, jedynego... Ino me ostaw przy sobie, a służyła ci będę za tego psa wiernego, za tę ostatnią dziewkę!

Jęczała rzewliwemi słowy, rwanemi ze samego dna udręczonej duszy.

A Mateusz wił się jakby w kleszczach i, jak mógł, wykręcał się od stanowczej odpowiedzi, zbywając ją całunkami, a przygłaskaniem, i przytakując wszystkiemu, co jeno chciała, rozglądał się trwożniej i niecierpliwiej, gdyż mu się uwidziało, że Jasiek siedzi na przełazie.

Ale w jakiejś minucie Tereska, przejrzawszy prawdę do dna, odepchnęła go od siebie i zakrzyczała, bijąc słowami, kieby biczem:

— Cyganisz, jak pies! Zawdyś me ocyganiał! Już me teraz nie zwiedziesz! Strach ci Jaśkowego kija, to się wijesz, kiej ta przydeptana glista! A ja mu zawierzyłam, jak komu najlepszemu! Mój Boże, mój Boże! A Jasiek taki poczciwy, nawiózł mi podarunków, nigdy mi nie powiedział marnego słowa, i ja mu tak odpłaciłam. I takiemu przeniewiercy zawierzyłam, takiemu zbójowi! takiemu psu! Idź se za Jagusią! — zawrzeszczała, przyskakując do niego z pięściami — idź, i niech was pożeni hycel, pasujeta do siebie, lakudra i złodziej!

Padła na ziemię, zanosząc się strasznym, obłąkanym płaczem.

Mateusz stał nad nią, nie wiedząc, co począć, matka chlipała kajś pod ścianą, gdy wyszedł ze sadu Jasiek i, przystąpiwszy do żony, jął jej szeptać tkliwe, przesiąkłe łzami, a pełne dobrości słowa:

— Chodź do dom, chodź, sieroto. Nie bój się, nie ukrzywdzę cię, masz ty już dosyć za swoje, chodź, żono...

Wziął ją na ręce i, przeniósłszy na przełaz, krzyknął do Mateusza:

— Pókim żyw, to ci jej krzywdy nie daruję, tak mi dopomóż, Panie Boże!

Mateusz milczał, dusił go wstyd i zalewał mu serce taką gorzkością i taką dojmującą udręką, że poniósł się do karczmy i pił przez całą noc.

Cała historja migiem się rozniesła po wsi, a ku niemałemu podziwowi, z wielkiem też uważaniem rozpowiadali o Jaśkowem postąpieniu.

— Ze świecą nie najdzie takiego drugiego — mówiły rozrzewnione kobiety, srodze przytem powstając na Tereskę, ale Jagustynka zapalczywie broniła.

— Tereska niewinowata!—wrzeszczała po różnych opłotkach, kaj jeno posłyszała, że biorą ją na ozory— smarkul to był jeszcze, kiej Jaśka wzieni do wojska, ostała sama jedna, nawet przez dziecka, to i nie dziwota, co przez tyla roków zacniło się jej za chłopem. Żadnaby nie przetrzymała takiego postu. A Mateusz zwietrzył, kiej pies, i dalejże bakę świecić, cudeńka prawić, na muzykę prowadzić, jaże i głupią zdurzył.

— Że to niema sądu na takich zwodzicieli — westchnęła któraś.

— Łeb mu już lenieje, a za kobietami jeszcze ciągnie.

— Kawalerska sierota, to kajze się pożywi, jak nie z cudzego — kpili parobcy.

— Mateusz też niewinowaty, nie wiecie to, że jak suczka nie da, to i piesek nie weźmie! — zaśmiał się Stacho Płoszka, i dziw go zato nie pobiły.

Ale wnet przestali o tem deliberować, gdyż żniwa były za pasem, dnie szły wybrane, suche i upalne, po wzgórkach żyta jakby się prosiły o kosy, a jęczmiona już dochodziły, to co dnia ktosik wychodził penetrować pola, zaś bogatsze już się oglądali za najemnikiem.

Zaś na pierwszego ruszył organista, wywiódłszy do żniwa kilkanaście kobiet, stanęła do sierpa nawet sama organiścina, wzięły żąć i córki, a stary miał nad wszystkiem czuwające oko. Jasio przyleciał dopiero po mszy i niedługo się cieszył żniwami, bo, skoro jeno

podniesła się przypołudniowa spieka, wypędziła go matka, żeby se głowy nie przepalił na słońcu.

— Poszuka se cienia u Jagusi, w to mu graj — warknęła za nim Kozłowa.

W domu jednak było mu gorąco, nudnie i muchy tak cięły zapamiętale, że wybrał się na wieś i, przechodząc koło Kłębów, dosłyszał jakieś przyduszone jęki, rozchodzące się z wywartej narożcież chałupy.

Jagata leżała w sieniach pod progiem, w izbie było pusto, cały bowiem dom poszedł do żniwa.

Przeniósł ją do izby, położył na łóżko, napoił i tak cucił, jaże przyszła nieco do siebie i otworzyła załzawione oczy.

— Dyć już kończę, paniczku — uśmiechnęła się, kiej rozbudzone dziecko.

Chciał zaraz bieżyć po księdza, przytrzymała go za sutannę.

— Panienka mi dzisia rzekła: „Gotuj się na jutro, duszo umęczona!“ Mam czas jeszcze, paniczku! Jutro... dzięki ci, Boże miłosierny, dzięki! — jąkała coraz słabiej, prześmiech zatlił się na jej wargach, złożyła ręce i, zapatrzona kajś, w jakoweś dalekości, zapadła jakby w głęboką duszną modlitwę, a Jasio, rozumiejąc, co już zaczęło się konanie, poleciał zwoływać Kłębów.

Zajrzał do niej dopiero po południu, leżała w łóżku całkiem przytomna, skrzynka stała przy niej na ławie, wyjmowała z niej stygnącemi rękami wszystko, co se była nagotowała na tę porę ostatnią: czystą płachtę pod siebie i świeże obleczenie na pościelce, wodę święconą, całkiem jeszcze dobre kropidło i spory kawał

gromnicy i obrazek Częstochowskiej do ręki i nową koszulę, suty wełniak, czepek, bujnie ururkowany nad czołem, wraz z chustą do zawiązania i zupełnie nowe trzewiki, wszyćko śmiertelne wiano, użebrane przez całe życie, rozłożyła koło siebie, ciesząc się każdą rzeczą i chwaląc przed kobietami, zaś czepek nawet przymierzyła i, przejrzawszy się w lusterku, szepnęła wielce szczęśliwa:

– Będzie galancie, na sielną gospodynię patrzę. Przykazała, bych ją w te skarby przystroili jutro, zaraz od samego rana.

Juści, co nikto się jej nie sprzeciwił, chodzili kole niej na palcach, umilając jej te ostatnie chwile, jak jeno poredzili.

Jasio przesiedział przy niej do zmierzchu, czytając na głos modlitwy, powtarzała za nim, zasypiając co chwila z jakimś leciuśkim pośmiechem.

A gdy zasiadali do wieczerzy, zapragnęła jajecznicy, juści, że jeno dziobnęła raz i drugi, odsuwając jadło odrazu, i już cały wieczór leżała cichuśko, dopiero, kiedy zabierali się do spania, przywołała Tomka.

— Nie bój się, nie będę ci zawadzała długo, nie— wyrzekła lękliwie.

Na drugi dzień z rana przybrali ją, jak przykazała, położyli ją na Kłębowej łóżko, a na jej własnej pościeli, sama pilnowała, żeby wszystko było, jak się patrzy, sama strzepywała, drżąc, chudą pierzynę, sama nalała wody święconej na talerz i położyła na nim kropidło, a spenetrowawszy, że już jest, jak być powinno w taką godzinę u gospodarzy, poprosiła o księdza.

Przyszedł z Panem Jezusem, przygotował ją na tę drogę ostatnią i zalecił Jasiowi pozostać do końca, że to jemu samemu gdziesik się śpieszyło.

Jasio zasiadł przy niej i czytał se pocichu z brewjarza, Kłębowie też ostali w domu, a wkrótce przyleciała Jagusia, przywarowawszy kajś w kącie cichuśko, niby trusia. W izbie jeno muchy brzęczały, gdyż ludzie snuli się bez głosu, jak cienie, trwożnie jeno spozierając na Jagatę... Leżała z różańcem w ręku, jeszcze całkiem przytomnie, żegnając się z każdym, kto ino zajrzał do chałupy, zaś poniektórym dzieciom, cisnącym się w sieniach i pod oknem, rozdawała po parę groszy.

— Naści, a zmów paciorek za Jagatę! — szeptała z lubością.

A potem już całe godziny nie odzywała się do nikogo.

I leżała se godnie, po gospodarsku, na łóżku i pod obrazami, jak se była roiła przez całe życie. Leżała, pełna cichej dumy i nieopowiedzianej szczęśliwości, radosne łzy siwiły się w jej oczach. Poruchiwała cosik wargami, błogo uśmiechnięta i zapatrzona przez okno w niebo głębokie, w pola nieobjęte, gdzie już kaj niekaj błyskały z brzękiem kosy i kładły się źrałe, ciężkie żyta, w jakieś dale, widne jeno jej duszy zamierającej.

Ale w jakiejś minucie, gdy dzień miał się już ku schyłkowi, a izbę zalały czerwone zorze zachodu, wstrząsnęła się gwałtownie, usiadła i, wyciągnąwszy ręce, zawołała mocnym, a jakoby cudzym głosem:

— Pora już na mnie, pora,

I padła wznak,

W izbie zrobiło się straszno, buchnęły płacze, poprzyklękali kole łóżka, Jasio jął czytać modlitwę za konających, Kłębowa zapaliła gromnicę, umierająca powtarzała za Jasiem, ale coraz słabiej, coraz ciszej, coraz bełkotliwiej, oczy jej gasły, niby ten dzień letni, znojami utrudzony, twarz grążyła się w tuman wiecznego zmierzchu, wypuściła gromnicę i skonała.

I pomarła se ta dziadówka, kieby najpierwsza we wsi, a Jambroż, któren akuratnie zdążył na sam koniec, zawarł jej oczy, sam Jasio zmówił za nią gorący pacierz i cała wieś przychodziła się modlić przy jej zwłokach, popłakać, a zazdrośnie się dziwować szczęśliwej śmierci i lekkiemu skonaniu.

Tylko Jasia, skoro zajrzał w jej martwe oczy i w tę stężałą na grudę twarz, poradloną pazurami śmierci, zatrząsł taki strach, że uciekł do domu, rzucił się na łóżko, wcisnął głowę w poduszki i zapłakał.

Poleciała wnet za nim Jagusia i, chociaż sama była pełna przerażenia i żałości, jęła go uspokajać i obcierać mu twarz zapłakaną. Przytulił się do niej, kieby do matki, kładł rozbolałą głowę na jej piersiach, obejmował ją za szyję i, jaże się zanosząc szlochaniem, skarżył się rzewliwie:

— Boże mój, jakie to straszne, jakie to okropne!..

Weszła na to organiścina, zobaczyła, i srogi gniew nią zatargał.

— Co się tu dzieje! — postąpiła na środek izby i zasyczała, ledwie się już hamując — widzisz ją, jaka mi czuła opiekunka, szkoda tylko, że Jasio już niańki nie potrzebuje i sam sobie poradzi nos obetrzeć!

Jagusia podniosła na nią zapłakane oczy i, dygocąc w zaległnieniu, jęła rozpowiadać o śmierci starej, Jasio też rzucił się skwapnie, tłumacząc matce, co mu się to przygodziło, ale organiścina, snadź już dobrze przódzi podbechtana przez kumy, wywarła na niego gębę:

— Głupiś, jak cielę! Nie odzywaj się lepiej, byś i ty czego nie oberwał!

Skoczyła naraz do drzwi, wywarła je narozcież i zawrzeszczała do Jagusi:

— A ty się wynoś, i żeby tutaj nie postała więcej twoja noga, bo cię wyszczuję!

— Cóżem to winowata, co? — jąkała, zgoła już nieprzytomna ze wstydu i boleści.

— Poszła precz i w tej minucie, bo każę psy pospuszczać! Już ja nie będę płakała przez ciebie, jak Hanka albo wójtowa! Ja cię nauczę jamorów, małpo jedna, już ty mnie popamiętasz, tłumoku! — darła się na cały głos.

Jagusia buchnęła płaczem, wypadła przed dom i pognała w cały świat.

A Jasio stanął, jakby rażony piorunem.

XII.

Naraz porwał się za nią lecieć.

— A to gdzie? — warknęła groźnie matka, zapierając mu sobą drzwi.

— Dlaczego ją mama wypędziła, za co? Że była dla mnie taka poczciwa! To niesprawiedliwie, ja na to

nie pozwolę! Cóż ona zrobiła złego? co? — wykrzykiwał gorączkowo, wydzierając się z twardych rąk matczynych.

— Usiądź spokojnie, bo zawołam ojca... Za co? Zaraz ci powiem: masz być księdzem, to nie chcę, abyś pod moim dachem sposobił sobie kochanicę, nie chcę dożyć takiego wstydu i hańby, żeby cię ludzie wytykali palcami! Dlatego ją wypędziłam, rozumiesz teraz?

— W imię Ojca i Syna! Co mama mówi!—jęknął w najgłębszem oburzeniu.

— Mówię to, co wiem! Juści, wiedziałam, że ją spotykasz tu i owdzie, ale Bóg mi świadkiem, jako cię nie podejrzewałam o nic zdrożnego! Myślałam sobie zawsze, że skoro mój syn nosi kapłańską sukienkę, to splamić się jej nigdy nie poważy! Adybym cię przeklęła na wieki i wydarła ze serca, choćby wraz pęknąć miało... — Oczy jej zapłonęły taką świętą grozą i nieubłaganiem, że Jasio zdrętwiał ze strachu. — Dopiero Kozłowa otworzyła mi oczy, a teraz już sama zobaczyłam, do czego chciała cię przywieść ta suka...

Rozpłakał się żałośnie i wśród szlochań i skarg na te okropne posądzenia z taką szczerością opowiedział wszystkie spotykania, że całkiem zawierzyła i, przygarnąwszy go do piersi, jęła mu obcierać łzy, a uspokajać.

— Nie dziw się, że zlękłam się o ciebie, przecież to łajdus najgorszy we wsi...

— Jagusia! Najgorszy we wsi! — Nie wierzył własnym uszom.

— Wstyd mi, ale dla twojego dobra muszę ci wszystko rozpowiedzieć.

I opowiedziała o niej przeróżne historje, nie szczędząc na dokładkę ni plotów, ani też najrozmaitszych wymysłów.

Jasiowi włosy powstały na głowie, jaże się porwał z miejsca i zakrzyknął:

— To nieprawda, nigdy nie uwierzę, żeby Jagusia była taka podła, nigdy...

— Matka ci to mówi, rozumiesz? Z palca sobie tego nie wyssałam.

— Bajki, nic więcej! Przecież to byłoby straszne! — załamał rozpaczliwie ręce.

— A czemuż ją bronisz tak zawzięcie, co?

— Bronię każdego niewinnego, każdego.

— Głupiś jak baran. — Rozgniewała się, dotknięta srodze jego niewiarą.

— Jak mama uważa. Ale jeżeli Jagusia taka najgorsza, to czemu mama pozwalała jej przychodzić do nas? — Zaperzył się zapalczywie, kiej młody kogut.

— Nie będę się tłumaczyła przed tobą, kiedyś taki głupi, że niczego nie rozumiesz, ale ci zapowiadam: trzymaj się od niej zdaleka, bo jak was gdzie razem przydybię, to chociażby przy całej wsi, a sprawię jej taką fryców kę, że mnie popamięta z ruski miesiąc! A i tobie może się przytem co oberwać...

Odeszła, trzaskając drzwiami ze złości.

A Jasio, nawet nie rozumiejąc, czemu go tak obchodzi Jagusina osława, przeżuwał matczyne słowa, niby te kolczaste osty, dławił się niemi, sycąc duszę ich piołunową gorzkością.

— Toś ty taka, Jaguś! Toś ty taka!—skarżył się z żałosnym wyrzutem, że gdyby się była w tej chwili zjawiła, odwróciłby się od niej ze wzgardą i gniewem. Albo to mógł spodziewać się czegoś podobnego? Że nawet w myślach nie postały mu takie straszne rzeczy. Rozważał je jednak z coraz większą udręką i już sto razy się zrywał, aby do niej bieżyć, aby stanąć do oczów i rzucić jej w twarz tę całą litanję grzechów... Niech posłyszy, co mówią o niej, i niechaj się wyprze, jeżeli może... Niech głośno powie: nieprawda! Dumał gorączkowo, ale coraz głębiej wierzył w jej niewinność i ogarniał go żal, i wstawała w nim cicha tęsknota, i budziły się jakieś słodkie, radosne przypomnienia spotykań, a jakiś słoneczny tuman niepojętej rozkoszy przysłonił mu oczy i serce dręczył, że naraz się zerwał i zaczął krzyczeć, jakby do wszystkiego świata:

— Nieprawda! nieprawda! nieprawda!

Ale przy kolacji uparcie patrzył w talerz, unikając matczynych oczów i, chociaż mówiono o śmierci Jagaty, nie wtrącał się do rozmowy, a jeno cięgiem matyjasił, przebierał w jadle, sprzeciwiał się siostrom, wyrzekał na gorąc w izbie i, skoro tylko sprzątnęli miski, poniósł się na plebanję—proboszcz siedział se na ganku z fają w zębach i cosik pilnie pogadywał z Jambrożem, obszedł ich zdala i, spacerując kajś pod drzewinami, frasobliwie medytował.

— A może to i prawda! Mamaby sobie tego nie stworzyła.

Z okien plebanji lały się smugi światła na klomb, gdzie baraszkowały pieski, warcząc na się przyjacielsko, a z ganku roznosił się grubachny głos.

— A jęczmień na Świńskim dołku obejrzałeś?

— Słoma jeszcze ździebko zielona, ale ziarno już kiej pieprz.

— Trzaby ci jutro przewietrzyć ornaty, na nic spleśnieją. Komżę i alby zanieś Dominikowej, niech Jagusia upierze. Ale kto to był po południu z krową?

— Któryś z Modlicy. Młynarz spotkał go na moście i próbował przeciągnąć do swojego byka, obiecywał go nawet dopuścić za darmo, ale chłop wołał naszego...

— Ma rozum, za rubla będzie miał profit na całe życie, przynajmniej krów się dochowa. Nie wiesz, Kłęby wyprawią to pogrzeb Jagacie?

— Przeciek ostawiła na pochowek całe dziesięć złotych.

— Pochowa się ją z paradą, jak gospodynię. A powiedz tam brackim, że wosku im sprzedam, niech sobie tylko dokupią blichowanego. Jutro Michał obrządzi w kościele, a ty idź z ludźmi do żniwa i poganiaj, barometr jakiś niepewny, może być burza! Kiedyż to się zbiera kompanja do Częstochowy?

— Wotywę zamówiły na czwartek, to juści zaraz po mszy ruszą...

Jasia drażniła nieco ta rozmowa, odszedł dalej aż pod niski pleciony płot, dzielący sad od pasieki, na wąską, zarosłą dróżkę i spacerował, trącając niekiedy głową w obwisłe, ciężkie od jabłek gałęzie.

Wieczór był nagrzany i duszny, pachniał miód i żyto skoszone kajś za ogrodami, powietrze było ciężkie, przejęte spieką, bielone pnie majaczyły w mrokach, niby gzła porozwieszane do przeschnięcia, kajś

nad stawem naszczekiwały psy wielce swarliwie, a od Kłębów buchały niekiej żałobne, jękliwe zawodzenia.

Jasio, strudzony wreszcie deliberacjami, zawrócił już ku domowi, gdy naraz posłyszał jakby z pasieki jakieś przyduszone, gorące szepty.

Nie dojrzał nikogo, ale przystanął i słuchał z za partym tchem.

— ...byś skisł... puść me, puść, bo będę krzyczeć!..

— ... głupia... Czego się wydzierasz? Krzywdy ci to chcę, krzywdy?...

— ...jeszcze kto posłyszy. Laboga, dyć mi ziobra zgnieciesz... puść...

Pietrek Borynów i księża Maryna! Rozpoznał ich po głosach i odszedł z uśmiechem, lecz po paru krokach zawrócił na dawne miejsce i nasłuchiwał z dziwnie bijącem sercem. Gęste krze ich przysłaniały i ciemnica, niesposób było rozeznać, ale coraz wyraźniej słyszał krótkie, rwane i warem kipiące słowa, buchały kiej płomienie, a niekiedy, przez długie chwile wrzały gorączkowe, dyszące oddechy i szamotania.

— ...takusieńką, jak ma Jagusia, obaczysz... ino mi nie broń, Maryś, ino...

— ...zarno ci zawierzę... bo ja to taka... loboga, dajże odzipnąć...

Zaszeleściały gwałtownie krzaki, coś ciężko zwaliło się na ziem, ale po chwili zatrzęsły się, i znowu krótkie, rozpalone szepty, ściszone śmiechy i całunki.

— ...że już i nie sipiam, a ino cięgiem o tobie, Maryś... o tobie najmilejsza...

— ...każdej prawisz to samo... czekałam cię do północka... u drugiej byłeś...

Jasio jakby znagła ogłuchł i zatrząsł się kieby osika. Wiater poszedł po sadzie, zaruchały się drzewa i zagwarzyły cichuśko kieby we śpiku, z pasieki zawiały takie miodne zapachy, jaże go sparło pod piersiami, a oczy zalały się łzami, przejął go jakiś dygotliwy war i cosik tak lubego jęło udręczać, że ino się raz po raz przeciągał, a wzdychał.

— ...tyla mi do niej, co do tych gwiazdów... Jasia se teraz namówiła...

Oprzytomniał, wcisnął się w płot i nasłuchiwał coraz silniej rozdygotany.

— ...prawda... co noc wychodzi do niego... Kozłowa przydybała ich w lesie...

Świat się z nim zakręcił i rozciemniało mu w oczach, ledwie się już trzymał na nogach, a tam w gąszczach wciąż mlaskały drażniąco całunki, prześmiechy i szepty...

— ... to ci łeb wrzątkiem oparzę, kieby temu psu...

...ino ten razik, najmilejsza... dyć cię nie ukrzywdzę... obaczysz...

— ...Pietruś loboga, Pietruś...

Jasio odskoczył i uciekał niby wiatr, rozdzierając sutannę o krzaki, wpadł do domu, czerwony jak burak, oblany potem i zgorączkowany, szczęściem nikto nie zwrócił na niego uwagi. Matka siedziała przed kominem z kądzielą i przędła, śpiewając zcicha: „Wszystkie nasze dzienne sprawy", siostry wtórowały cieniuśko wraz z Michałem, któren pucował kościelne lichtarze, ojciec już spał.

Jasio zawarł się w swoim pokoju i zabrał się do brewjarza, ale cóż, kiej chociaż uparcie powtarzał łacińskie słowa, to i tak cięgiem słyszał tamte szepty i tamte całunki, że wkońcu sparł czoło na książce i dał się już poniewoli jakowymś myślom, kieby tym wichrom palącym.

— Więc to tak? — dumał z coraz większą zgrozą i wraz z jakimś lubym dreszczem. — Więc to tak! — powtórzył naraz głośno i, chcąc się oderwać od tych obmierzłych myśleń, wziął brewjarz pod pachę i poszedł do matki.

— Zmówię pacierz przy Jagacie — wyrzekł cicho i pokornie.

— A idź synu, przyjdę później po ciebie.—Spojrzała bardzo miłościwie.

W chałupie Kłębów nie było już prawie nikogo, tylko jeden Jambroż cosik tam mamrotał z książki przy zmarłej, która leżała nakryta płachtą; na poręczy łóżka tliła się gromnica, zatknięta w dzbanuszek, przez wywarte okna zaglądały gałęzie, pełne jabłek, noc, roziskrzona gwiazdami, a kiej niekiej wsadzał zdumioną twarz jakiś zapóźniony przechodzień, w sieniach warczały cięgiem pieski.

Jasio przyklęknął pod światłem i tak się był gorąco oddał pacierzom, że ani wiedział, kiej Jambroż pokusztykał do dom, Kłęby pokładły się spać kajś w sadzie i zapiały pierwsze kury, szczęściem co matka o nim nie zapomniała.

Ale cóż, kiej śpik prawie się go nie imał, bo co jeno zaczynało go morzyć, to zjawiała się przed nim

Jagusia niby żywa, że zrywał się z pościeli, przecierał oczy i rozglądał się wystraszony, juści, co nie było nikogo, cały dom leżał pogrążony w twardym śnie, a z drugiej izby rozlegało się ojcowe chrapanie.

— To może ona dlatego... — Zamyślił, spominając jej gorące całunki, oczy rozjarzone i drżący głos — A ja myślałem! — Zatrząsł się ze wstydu, zeskoczył z łóżka, otworzył okno i, przysiadłszy w niem, do samego świtania medytował i kajał się z mimowolnych przewin i pokuszeń.

Zaś rano przy mszy nie śmiał nawet podnieść oczów na ludzi, ni się rozejrzeć po kościele, ale tem goręcej modlił się za Jagusię, bo już był całkiem uwierzył w jej straszne przewiny, nie poredził tylko w sobie zbudzić do niej gniewu i odrazy.

— Co ci jest? Wzdychałeś, że dziw nie pogasły świece! — pytał go proboszcz w zakrystji.

— Tak mnie parzy sutanna! — zaskarżył się, odwracając prędko twarz.

— Jak się przyzwyczaisz, to będziesz ją nosił niby drugą skórę.

Jasio pocałował go w rękę i poszedł na śniadanie, przebierając się cieniami, nad stawem, gdyż słońce prażyło już nie do wytrzymania, i natknął się na księżą Marynę; ciągnęła za grzywę ślepego konia i zawodziła wrzaskliwie.

Przypomnienia źgnęły go niby szydłem, i przystąpił do niej zeźlony.

— Z czegóż to Marysia tak się cieszy? — patrzał w nią ze wstydliwą ciekawością.

— A bo mi wesoło! — zaśmiała się, jaże zagrały jej białe zęby, szarpnęła konia i wyśpiewywała jeszcze rozgłośniej.

— Po wczorajszem taka wesoła! — Odwrócił się prędko, gdyż z pod ugiętej wysoko kiecki błyskały jej białe podkolania, rozłożył bezradnie ręce i wstąpił do Kłębów. Jagata leżała już z całą paradą na środku izby, przybrana w odświętne szaty, w czepcu, o sutem białem zburzeniu nad czołem, w paciorkach na szyi, w nowym wełniaku i w trzewikach, zaścibniętych na czerwone sznurowadła; twarz miała kieby odlaną z blichowanego wosku, a dziwnie rozradowaną, w zesztywniałych palcach tkwił krzywo obrazik, dwie świece paliły się pobok jej głowy, Jagustynka odganiała muchy wielką gałęzią, jałowcowy dym ciągnął się z komina i rozwłóczył po całej izbie, co trochę ktoś wchodził zmówić pacierz za nieboszczkę, a kilkoro dzieci plątało się pod ścianami.

Jasio jakoś trwożnie rozglądał się po mrocznej chałupie.

— Kłęby pojechały do miasta - zaszeptała mu Jagustynka. — Ostawiła im sporo, to muszą się wypuczyć na pochowek, krewniaczka przeciek! Eksporta dopiero będzie wieczorkiem, bo Mateusz jeszcze nie zdążył z trumną...

Zaduch był w izbie, i taką trwogą przejmowała go ta żółta, znieruchomiała w prześmiech twarz umarłej, że jeno się przeżegnał i wyszedł, spotykając się tuż przed progiem oko w oko z Jagusią, szła z matką i, ujrzawszy go, przystanęła, ale przeszedł bez słowa, nawet Boga nie pochwalił, dopiero z opłotków obejrzał

się na nią bezwolnie, jeszcze stojała w miejscu, wpatrzona w niego smutnemi oczami.

W domu nie chciał jeść śniadania, wyrzekając na srogi ból głowy.

— Przejdź się trochę, może przestanie — radziła mu matka.

— A gdzież pójdę? Żeby mama zaraz myślała Bóg wie co!

— Jasiu, co ty wygadujesz!

— Przecież mama nie pozwala mi się ruszyć z domu! Przecież to mama zabroniła mi nawet rozmawiać z ludźmi! Przecież... — Mścił się wielce rozdrażniony. A skończyło się na tem, że mu obwiązała głowę szmatą, skropioną octem, ułożyła go spać w ciemnym pokoju i, przegnawszy dzieci na podwórze, czuwała nad nim kiej kokosz, póki się dobrze nie wyspał i nie podjadł, jak się patrzy.

— A teraz idź się przejdź, idź na topolową, tam większy cień i chłodniej. — Nic się nie odezwał, ale czując, że matka pilnie za nim nagląda, na złość jej poszedł całkiem w drugą stronę; włóczył się po wsi, patrzył na kowali, grzmiących młotami, zajrzał do młyna, łaził po ogrodach, skwapnie zazierając na lniska i wszędy, kaj się ino czerwieniły kobiece przyodziewy, posiedział z panem Jackiem, pasącym na jakiejś miedzy Weronczyne krowy, napił się mleka u Szymków na Podlesiu, i wrócił do wsi dopiero na samym zmierzchu, nie napotkawszy nikaj Jagusi.

Zobaczył ją dopiero nazajutrz na pogrzebie Jagaty, tak patrzała w niego przez całe nabożeństwo, jaże

litery skakały mu w oczach i mylił się w śpiewaniach, a kiej ciało prowadzili na smętarz, to nie bacząc na groźne spojrzenia organiściny, szła prawie pobok niego, że, nasłuchując jej żałośliwych wzdychów, topniał w sobie kieby śnieg pod tem zwiesnowem słońcem.

Zaś kiedy trumnę spuszczali do dołu i wybuchnęły lamenty, posłyszał i jej płacz rzewliwy, ale zrozumiał, co nie po umarłej tak szlocha, a jeno z ciężkiej udręki zbolałego, pokrzywdzonego serca.

— Muszę się z nią rozmówić — postanowił, wracając z pogrzebu, ale nie mógł się prędko wydostać na wolę, gdyż zarno z południa zaczęli się zjeżdżać do Lipiec ludzie z dalszych wsi, a nawet i z drugich parafij, na jutrzejszą pielgrzymkę do Częstochowy. Kompanja miała wyjść rankiem, zaraz po solennej wotywie, to się zwolna ściągali, napełniając drogi nad stawem wozami a gwarem, sporo też przychodziło na plebanję, że Jasio musiał siedzieć i załatwiać za proboszcza przeróżne sprawy, ale jakoś pod sam wieczór, upatrzywszy sposobną porę, wziął książkę i niepostrzeżenie wyniósł się na miedzę za stodołami, pod gruszę, kaj nieraz siadywali wraz z Jagusią.

Juści, co ani tknął oczami książki, a cisnął ją kajś w trawę i, rozejrzawszy się po polach, skoczył w żyta i chyłkiem, prawie na czworakach, przebierał się na ogrody Dominikowej.

Jagusia właśnie podbierała ziemniaki, ani się spodziewając, że ktosik na nią patrzy, raz po raz bowiem prostowała się ociężale i, wsparta na motyczce, powłócząc smutnemi oczami po świecie, wzdychała długo i ciężko.

— Jagusia!—zawołał lękliwie.

Pobladła na płótno i stanęła kiej wryta, zaledwie już wierząc własnym oczom, tchu jej brakło i ścisnęło pod piersiami, ale patrzała w niego kieby w to cudne zwidzenie, a słodki prześmiech zatlił się na sponsowiałych znagła wargach, rozmigotał się płomieniami i wybuchnął kiej słońce.

Jasiowi również rozjarzyły się oczy i miody zalały serce, nie dał se jednak folgi, milczał, a jeno przysiadł na zagonie i patrzał w nią z dziwną lubością.

Bojałam się, co pana Jasia już nigdy nie obaczę...

Kieby pachnący wiater zawiał z łąk i uderzył w niego, jaże pochylił głowę, tak mu ten głos rozdzwaniał się w duszy prawie niepojętą szczęśliwością.

— A przed Kłębami, wczoraj, to pan Jasio ani spojrzał...

Stojała przed nim spłoniona, kieby ten kierz różany, kieby ten jabłoniowy kwiat, mdlejący w skwarze tęsknicy, śliczności pełna i zgoła jakiemuś cudowi podobna.

— A to dziw mi serce nie pękło! A to dziw me rozum nie odszedł.

Łzy błysnęły u jej rzęs, przysłaniając niby diamentami modre nieba oczów.

— Jagusia!—wyrwało mu się kajś z pod samego serca.

Przyklękła w bróździe i, cisnąc mu się do kolan, wpierała w niego oczy, przepaści ogniste, oczy modre jak niebo i jak niebo niezgłębione, oczy upojne niby

całunki i niby przygarnięcia rąk umiłowanych, oczy pokuszeń i niewinnego dzieciństwa zarazem.

Wstrząsnął się gwałtownie i, jakby się broniąc przed czarami, zaczął ostro wymawiać wszystkie jej grzechy, wszystkie, jakie mu była powiedziała matka. Piła każde słowo, nie spuszczając z niego oczów, ale mało wiele poredziła wymiarkować, wiedziała bowiem tylko jedno, że oto siedzi przed nią ten ponad wszystko wybrany, że se cosik gaworzy, że oczy mu się jarzą, a ona klęczy se przed nim, kieby przed tym świątkiem i modli się niezgłębioną wiarą miłowania.

— Powiedz, Jaguś, że to wszystko nieprawda? powiedz! — nalegał prosząco.

— Nieprawda! Nieprawda!—przytwierdziła z taką szczerością, że uwierzył odrazu, uwierzyć musiał, a ona sparła się piersiami o jego kolana i, zatonąwszy mu w oczach, wyznawała się cichuśko ze swego miłowania... Jakby na świętej spowiedzi, otwarła przed nim duszę naścieżaj, rzuciła mu ją pod nogi kiej zbłąkaną ptaszkę i modlitewną, gorącą prośbą dawała się wszystka na jego zmiłowanie i na jego wolę i niewolę.

Jasio rozdygotał się, kiej listek wstrząsany gwałtowną nawałnicą, chciał ją odepchnąć i uciekać, ale jeno szeptał omdlałym, nieprzytomnyni głosem:

— Cicho, Jaguś, tak nie można, grzech, cicho!

Aż umilkła, całkiem wyzbyta ze sił, milczeli już oboje, unikając swoich oczów, a wraz cisnąc się do siebie tak zbliska, że słyszeli bicie serc własnych i ciche, palące dychania, było im strasznie dobrze i radośnie, obojgu łzy spływały po zbladłych twarzach, obojgu

śmiały się czerwone wargi, a dusze, kieby w czas podniesienia, były zatopione w jakąś najświętszą cichość i tajnie jaśniejącą gdzieś na wysokościach i unosiły się jeszcze wyżej, ponad światy.

Słońce już zaszło i ziemia spłynęła zorzami, kieby tą rosą pozłocistą, wszystko przycichło, wszystko przytaiło dech i wszystko kieby zmartwiało w zasłuchaniu dzwonów, co zabiły na Anioł Pański, i wszystko jakby się zamodliło cichym, dziękczynnym pacierzem za świętą łaskę dnia odebranego. Poszli w pola, zasypane pyłem zórz, szli jakiemiś miedzami, pełnemi kwiatów, wskroś zbóż dojrzałych, wlekąc rękami po kłosach, zwisających im do kolan, szli w łuny zachodu wpatrzeni, w szerokie, złociste przepaście nieba i z niebem w duszach i z niebem w oczach i jakby w niebiańskich otęczach nad głowami.

Jakby msza się w nich odprawiała, tak pełni byli świętego nabożeństwa, tak dusze im klęczały w zachwyceniu i tak im śpiewały wniebowzięte serca o łasce Pańskiej, tylko im jednym objawionej w tej godzinie żywota.

Ni słowa nie przemówili więcej do siebie, ni jednego słowa, tylko niekiedy krzyżowały się ich spojrzenia jak błyskawice, całkiem już postępłe od własnych żarów i nic o sobie nie wiedzące.

Nie wiedzieli również, że śpiewają jakąś pieśń, co się z nich była sama zrodziła i kieby ptak rozświergotany leciała nad omroczone pola, we wszystek świat.

Nie wiedzieli nawet, kaj są i dokąd idą, i poco?

Nagle i kajś zbliska runął im nad głowy twardy i suchy głos.

— Jasiu, do domu!

Wytrzeźwiał w tym oczymgnieniu; byli na topolowej, a matka stojała tuż przed nimi z groźną i nieprzebłaganą twarzą — jął cosik bąkać i pleść trzy po trzy.

— Chodź do domu!

Wzięła go za rękę i gniewnie pociągnęła za sobą, dał się bez oporu, z pokorą...

Jagusia szła za nimi jakby urzeczona, gdy naraz organiścina podniesła z drogi kamień i cisnęła w nią ze straszną zawziętością.

— Poszła precz! A do budy ty suko! — zakrzyczała wzgardliwie.

Jagusia obejrzała się dokoła, całkiem nie miarkując, o kogo tamtej chodzi, ale gdy jej zniknęli z oczów, długo się plątała po drogach, a potem, gdy w chałupie poszli spać, siedziała pod ścianą do białego rana.

Godziny szły za godzinami, piały kokoty, rżały konie przy wozach nad stawem, robił się świt, wieś zaczynała wstawać, brali wodę ze stawu, wypędzali bydło na pastwiska, kto już wychodził na robotę, gdzie już trajkotały kobiety, kajś dzieci popłakiwały matyjaśnie, a ona wciąż siedziała na jednem miejscu i z otwartemi oczami śniła na jawie o Jasiu — że cosik z nim rozmawia, że patrzą na się tak zbliska, jaże ją ogarniały słodkie ognie, że idą kajś i śpiewają coś takiego, czego nie poredziła sobie przypomnieć — i tak cięgiem jedno wkółko.

Matka zbudziła ją z tych cudnych zwidzeń, a głównie Hanka, która przyszła już przyszykowana do drogi i, chociaż nieśmiało, pierwsza wyciągnęła rękę na zgodę.

— Do Częstochowy idę, to mi darujcie, com ta przeciw waju zgrzeszyła...

— Bóg zapłać za dobre słowa, ale co krzywda, to krzywda! — mruknęła stara.

— Nie ruchajmy tego! Proszę was ze szczerego serca, byście mi odpuściły.

— Złości już do was w sercu nie chowam — westchnęła ciężko Dominikowa.

— Ani ja! chociem niemało przecierpiała! — wyrzekła poważnie Jagusia i, posłyszawszy sygnaturkę, poszła się przybierać do kościoła.

— Wiecie, a to Jasio organistów idzie z kompanją — ozwała się po chwili Hanka.

Jagusia, posłyszawszy nowinę, wypadła z chałupy napół ubrana.

— Co ino sama organiścina mi powiedziała, jako koniecznie naparł się iść do Częstochowy! Raźniej będzie nama wędrować z księżykiem i honorniej! Ostajta z Bogiem. — Pożegnała się przyjacielsko i poszła do kościoła, rozpowiadając po drodze nowinę, juści, co się jej dziwowali, tylko Jagustynka pokręciła głową i rzekła cicho:

— W tem coś jest! Już on ta z dobrej woli nie idzie, nie...

Ale nie pora była na dłuższe wywody, bo z pół wsi zebrało się w kościele i ksiądz już wychodził z wotywą, odprawianą na intencję pielgrzymki.

Jasio służył do mszy, jak co dnia, jeno dzisia twarz miał cosik bledszą i dziwnie zbolałą, zaś oczy podsiniałe i jeszcze szkliste od łez, że jakoby we mgłach majaczył

mu cały kościół: Tereska, leżąca krzyżem przez całe nabożeństwo, wystrachane oczy Jagusi, matka, siedząca w dworskiej ławce, i te przystępujące do komunji wędrowniki—jak przez mgłę widział, przez te łzy, zaledwie powstrzymywane, przez żałość, szarpiącą mu serce, i przez ten śmiertelny smutek.

Proboszcz od ołtarza żegnał odchodzących, a kiej się wywalili przed kościół, skropił ich wodą święconą i pobłogosławił, podnieśli zaraz chorągiew, krzyż błyszczał na czele, ktosik zaśpiewał i kompanja ruszyła w daleką drogę.

Z Lipiec szły: Hanka, Marysia Balcerkówna, Kłębowa z córką, Grzela z krzywą gębą, Tereska z mężem, które się ochfiarowały przez całą drogę nie brać do ust nic gorącego, i parę komornic, ale wraz z ludźmi z drugich wsi zebrało się ze sto narodu.

Odprowadzała ich cała wieś, zaś wozy, zawalone tobołami, szły na zadach. Ale mimo wczesnej godziny upał się już wzmagał, słońce ślepiło oczy i kurz podnosił się tumanami, że szli jakby w tych szarych, duszących obłokach.

Jagusia szła z matką i z drugiemi, była strasznie zmizerowana, trzęsła się w sobie z żałości, a łykając gorzkie, sieroce łzy, patrzyła w Jasia, kieby w to słońce, juści co zdala, bo organiścina z dziećmi nie opuszczała go ani na chwilę, że nie było sposobu przemówić do niego, ni nawet stanąć mu w oczach.

Mateusz mówił cosik do niej, to matka, to drugie, cóż, kiej tylko jedno wiedziała, że Jasio na zawsze odchodzi, że już go nigdy nie zobaczy, przenigdy.

Pod figurą na Podlesiu pożegnali kompanję, która zaraz pociągnęła dalej, wśród śpiewań oddalając się coraz barzej, aż i zginęła całkiem z oczów, a tylko kajś w rozsłonecznionych dalach, nad drogami, podnosiły się kłęby kurzawy.

— Laczego? laczego? — jęczała, wlekąc się niby trup za powracającymi do wsi.

— Padnę i zamrę!—myślała, czując w sobie jakby poczynanie się śmierci, szła coraz wolniej i ciężej, wyzbyta ze sił skwarem, zmęczeniem i tą straszną udręką.

— I cóż ja teraz pocznę, co?—pytała, zapatrzona w ten dzień dziwnie pusty i boleśnie ślepiący.

Czekała z upragnieniem nocy i cichości, ale i noc nie przyniesła jej folgi ni ukoju, tłukła się do samego świtania kole chałupy, szła na drogi, poleciała nawet na Podlesie, pod figurę, kaj ostatni raz widziała Jasia, i zapiekłemi od męki oczami szukała na szerokiej, piaszczystej drodze jakby śladów jego kroków, choćby cienia po nim, choćby tej grudki ziemi, tkniętej przez niego.

Nie było, nie było la niej nic i nikaj, nie było już zmiłowania i poratunku.

Zabrakło jej wkońcu nawet łez, zabite smutkiem i rozpaczą oczy świeciły kiej studnie niezgłębionej boleści.

A tylko niekiej, przy pacierzu, zrywała się ze spiekłych warg żałosna skarga.

— I za co to wszystko, mój Boże, za co?

. . . . . .

. . . . . .

XIII.

U Dominikowej zrobiło się już zgoła nie do wytrzymania, Jagusia bowiem łaziła kiej nieprzytomna i o Bożym świecie nie wiedząca, Jędrzych też jeno zbywał roboty, coraz częściej przesiadując u Szymków, a w gospodarstwie czynił się taki upadek i opuszczenie, że nieraz niewydojone krowy pędzili na paśniki, świnie kwiczały z głodu i konie obgryzały drabiny, rżąc przy pustych żłobach, bo stara nie poredziła zaradzić wszystkiemu, jeszczek ona utykała o kiju, z przewiązanemi oczami, napół ślepa, to i nie dziwota, co głowa jej pękała od turbacyj.

Bo i jakże: gnój pod pszenicę wysychał w polu, a nie miał go kto przyorać, len się już prosił o wyrywanie, ziemniaki zdałoby się jeszcze raz opleć i osypać, brakowało drew na opał, porządek gospodarski niszczał, żniwa były za pasem, roboty starczyło choćby i na dziesięć rąk, a tu szło kieby kto w nosie podłubywał. Przynajęła nawet komornicę, sama też zabiegała jak mogła i dzieci pędziła do roboty, ale Jagusia była jakby głucha na szyćkie prośby i przekładania, zaś Jędrzych na jakąś pogrozę odburknął hardo:

— Bo ciepnę wszyćko i pójdę se we świat! Wypędziliście Szymka, to sobie tera sami róbcie! Jemu ta nie cni się za wami, chałupę ma, grosz ma, kobietę ma, krowę ma i gospodarz całą gembą. — Pyskował przemyślnie, trzymając się zdala.

— Juści, co ten zbój poredził zaradnie wszystkiemu! — westchnęła ciężko.

— A bogać że uredzi wszyćkiemu, nawet Nastusia się dziwuje!

— Trzaby kogo przynająć, abo i zgodzić parobka... — myślała głośno.

Jędrzych podrapał się i rzekł nieśmiało:

— Hale, szukać obcego, kiej Szymek gotowy... żeby mu ino rzec to słowo...

— Głupiś! Nie wyciągaj szyją, kiej do cię nie piją! — warknęła i srodze się tem zgryzła, że tak czy owak a trza będzie ustąpić i jakąś zgodę z nim zrobić.

Jednak najbarzej martwiła się o Jagusię, na darmo bowiem próbowała się wywiedzieć, co jej jest? Jędrzych też nie wiedział, a kum nie śmiała się wypytywać, by za wiele nie dołożyły. Przez całe te trzy dni, po wyjściu kompanji do Częstochowy, błąkała się w przeróżnych domysłach kieby w tej uprzykrzonej ćmie, jaż dopiero w sobotę po południu, doprowadzona już do ostatka, wzięła sielnego kaczora pod pachę i poszła na plebanję.

Wróciła nad wieczorem zburzona, kiej ta noc jesienna, spłakana i ciężko wzdychająca, nie odzywała się do nikogo, aż po kolacji, kiej ostała sama z Jagusią, przywarła drzwi do sieni i rzekła:

— A wiesz, co rozpowiadają o tobie i Jasiu?

— Nie ciekawam plotów! — odrzekła niechętnie, podnosząc zgorączkowane oczy.

— Ciekawaś czy nie, a powinnaś wiedzieć, że przed ludźmi nic się nie uchowa! A kto cicho robi, o tym głośno mówią! A o tobie wygadują, że niech Bóg broni!

Rozpowiedziała szeroko, czego się dowiedziała od proboszcza i organistów.

— Zaraz w nocy zrobiły nad nim sąd, organista zerżnął mu skórę, ksiądz swoje cybuchem dołożył i, by ustrzec przed tobą, wyprawili go do Częstochowy. Słyszysz to? Pomiarkujże coś narobiła! — krzyknęła groźnie.

— Jezus Marja! Biły go! Jasia biły! — zerwała się, gotowa lecieć na jego obronę, ale jeno zakrzyczała przez zaciśnięte zęby:

— Ażeby im kulasy poodpadały, żeby ich nie oszczędziła zaraza! — I zapłakała, z zaczerwienionych oczów polały się strugi gorzkich łez, a wszystkie rany duszy spłynęły jakby tą żywą, serdeczną krwią.

Ale Dominikowa, nie bacząc na to, jęła ją bić, niby kijem, przypominkami wszystkich przewin i grzechów, nie darowała ani jednego, wypominając, co ją tylko żarło oddawiendawna i nad czem srodze bolała.

— To musi się już raz skończyć, rozumiesz! Tak ci już dalej żyć niesposób! — krzyczała coraz zawzięciej, chociaż palące łzy ciekły jej z pod szmat przewiązujących oczy. — Żeby cię mieli za najgorszą, żeby cię już wytykali palcami! Taki wstyd na moje stare lata, taki wstyd, mój Jezu — jęczała rozpaczliwie.

— I wyście pono za młodu byli nielepsi! — trzasnęła ją złem słowem.

Stara tak się zaniesła gniewem, że ledwie już wybełkotała:

— Choćby świętemu, a nie przepuszczą!

Nie śmiała już się więcej pastwić nad nią, zaś Jagusia wzięła się prasować jakieś fryzki na jutro; wieczór szedł wiejny, szumiały drzewa, po niebie, za-

walonem drobnemi chmurami, leciał księżyc, kajś na wsi śpiewały dzieuchy, a jakieś skrzypki rzępoliły drygliwą wielce nutą.

Przed oknami rozległ się głos przechodzącej wójtowej:

— Jak wczoraj pojechał do kancelarji, tak i przepadł...

— Pojechał z pisarzem do powiatu, jeszcze wczoraj na noc. — Powiadał sołtys, jako wezwał ich do siebie naczelnik — odpowiadał Mateusz.

Gdy przeszli, stara odezwała się znowu, ale już łagodniej:

— Czemu to przepędziłaś z chałupy Mateusza?

— Bo mi obmierzł i poco tu będzie wysiadywał! nie szukam se chłopa!

— Czasby ci już było obejrzeć się za którym, czas! Zarazby i ludzie przestali cię napastować! Choćby i Mateusz, też nie do pogardzenia, chłop zmyślny, poczciwy...

Długo się nad nim rozwodziła i wielce zachętliwie, ale Jagusia nie odezwała się ani słóweczkiem, zajęta robotą i swojemi strapieniami, że stara dała spokój i wzięła się do różańca. Na dworze pocichły już głosy, tylko drzewiny szarpały się z wiatrem i młyn turkotał, noc była późna, księżyc jakby całkiem zatonął w zwałach, że jeno kajś niekaj świeciły obrzeża chmur i wydzierały się snopy brzasków.

— Jaguś, trza ci jutro do spowiedzi. Lżej ci będzie, jak zbędziesz się grzechów.

— Co mi tam, nie pójdę!

— Nie chcesz do spowiedzi!—Aż głos jej schrypnął ze zgrozy.

— A nie. Ksiądz do kary to skory, ale z pomocą to się nikomu nie pokwapi...

— Cicho, żeby cię Pan Jezus nie skarał za takie grzeszne gadanie! A ja ci mówię, do spowiedzi idź, pokutuj i Boga proś, to ci się jeszcze wszystko przemieni na dobre.

— A mało to mam pokuty, co? A cóżem to zgrzeszyła? Za co? To pewnie za moje kochanie i za moje cierpienia taka mnie spotyka nadgroda, co? Że już co najgorsze we świecie, to mnie spotkało! — skarżyła się żałośnie.

Nie przeczuwała nawet biedula, że spadnie na nią jeszcze cosik gorsze i bardziej niespodziane i bardziej niesprawiedliwe.

Nazajutrz bowiem, w niedzielę, przed sumą gruchnęła po wsi wieść, zgoła niepodobna do wiary, że wójta aresztowali za brak pieniędzy w kasie gminnej.

Niesposób było zrazu uwierzyć i, chociaż prawie z każdą godziną ktosik przylatywał z nową i coraz gorszą przykładką, jeszcze nie brali tego zbytnio do serca.

— Próżniaki wymyślą se co niebądź i roztrząsają se la zabawy! — mówili poważniejsi.

Ale uwierzono, gdy kowal wrócił z miasta i wszystko co do słowa potwierdził, a Jankiel w południe powiedział do całej gromady:

— Wszystko prawda! W kasie brakuje pięć tysięcy, zabierą mu zato całą gospodarkę, a jak będzie jeszcze mało, Lipce muszą za niego dopłacić!

Wzburzyło to wszystkich, że niech Bóg broni, jakże, bieda wszędy jaże piszczy, do garnka niema co włożyć, niejeden się zapożyczył, aby jeno dociągnąć do żniw, a tu przyjdzie płacić za złodzieja! Tego było już za wiela na ludzką cierpliwość, to i nie dziwota, że cała wieś jakby się wściekła ze złości, klątwy, pogrozy i wyzwiska posypały się, kieby kamienie:

— Ażebyś, ścierwo, skapiał, jak ten pies!

— Nie trzymałem z nim spółki, to i płacił za niego nie będę.

— Ani ja! Balował se, używał, a ty cierp za cudze! — pogadywali tak sfrasowani, jaże niejednemu płakać się chciało z markotności.

— Dawno miałem oko na niego i mówiłem, do czego to idzie, przekładałem, nie słuchaliśta i tera mata bal! — dogadywał z rozmysłem stary Płoszka, pomagała mu Płoszkowa, rozpowiadając, kto jeno chciał słuchać.

— Wiecie, Antek już wyrachował, co na wspomożenie pana wójta zapłacim po trzy ruble z morgi, ale za takiego przyjaciela nie żal i po dziesięć...

I tak te wiadomości przygnębiły ludzi, że mało wiela poszło do kościoła, a jeno radzili, użalając się pospólnie, że pełno było w opłotkach, przed chałupami, a zwłaszcza nad stawem, napróżno się przytem głowiąc, kaj zadział tylachna pieniędzy.

— Musieli go podebrać, niesposób, aby tyla sam jeden zmarnował.

— Pisarzowi zawierzał, a wiadomo, jakie to ziółko!

— Szkoda człowieka, nama juści zrobił krzywdę, ale sobie najgorszą! — mówili poniektórzy co stateczniejsi, a na to wraziła między nich tłuste brzucho Płoszkowa i dalejże nibyto żałująco wyrzekać i trzeć suche ślepie:

— A mnie żal wójtowej! Biedna kobieta, panią se była i nos zadzierała, a teraz co! Chałupę wezmą, grunt przedadzą i na komorne pójść pójdzie chudzina, na wyrobek. I żeby se chociaż użyła!

— A mało to jeszcze wysmakowała dobrego!—wrzasnęła Kozłowa, wtórując gorąco, jeno na drugi sposób — używały se ścierwy, kieby jakie dziedzice. Co dnia jadły mięso! Wójtowa pół garczka cukru kładła se do kawy, a czysty harak pili szklankami! Widziałam, jak zwoził z miasta całe półkoszki przeróżnych przysmaków. A z czegoż to im brzuchy spęczniały, przecież nie z postu!

Słuchali rozważnie, choć wkońcu pletła już trzy po trzy, ale dopiero organiścina trafiła wszystkim do serca, nalazła się na wsi nibyto przypadkiem i, posłuchawszy rozmów, rzekła odniechcenia:

— Jakto, to nie wiecie, na co wójt wydał tyle pieniędzy?

Jęli się cisnąć dokoła i pytać, niewoląc ją do odpowiedzi.

— Stracił na Jagusię, wiadomo.

Tego się nie spodziewano, więc jeno w zdumieniu spozierali po sobie.

— Już cała parafja mówi o tem od wiosny! Ja wam nie rozpowiem, ale spytajcie się kogo bądź, choćby z Modlicy, a dowiecie się całej prawdy!

I odeszła, jakby nie chcąc się zdradzić, ale baby jej nie puściły, przyparły kajś do płota, tak molestowały, że zaczęła im rozpowiadać na niby pod sekretem: jakie to wójt przywoził dla Jagusi piesztrzonki ze szczerego złota, a jakie chustki jedwabne, a jakie płótna cieniuśkie, a jakie korale, a ile to jej nadawał gotowych pieniędzy! Juści co cyganiła, jaże się kurzyło, ale święcie uwierzyły, tylko jedna Jagustynka ozwała się gniewnie:

— Klituś, bajduś, módl się za nami. Widziała to pani?

— A widziałam i mogę przysięgnąć nawet w kościele, że dla niej ukradł, dla niej, a może go nawet namówiła! Ho, ho, gotowa ona na wszystko, nic dla niej niema świętego, bez wstydu już i sumienia! Jak ta rozciekana suka, lata po wsi, a roznosi jeno zgorszenie i nieszczęście! Nawet mojego Jasia zwieść chciała, chłopiec niewinny, jak dziecko, to uciekł od niej i wszystko mi opowiedział! Czy to nie zgroza, księdzu nawet nie daje spokoju! — gadała prędko, ledwie już dysząc od złości.

Jakby iskra padła na prochy, tak buchnęły naraz wszystkie dawne urazy do Jagusi, wszystkie zazdroście i gniewy i nienawiście; jęły wypominać, co ino która miała na wątpiach, że podniósł się niewypowiedziany wrzask. Krzyczały jedna przez drugą i coraz zapamiętalej.

— Że to taką święta ziemia nosi!

— A przez kogo pomarł Maciej? Wspomnijcie jeno sobie!

— Całej wsi przyjdzie pokutować za taką zapowietrzoną!

— I nawet księdza chciała przywieść do grzechu! Jezu, bądź nam miłościwy!

— A wiela to już było przez nią pijatyk, swarów, a obrazy Boskiej!

— Zakała całej wsi! Już przez nią Lipce wytykają palcami!

— Morowe powietrze niegorsze, niźli taka zaraza.

— Póki taka jest we wsi, potąd ciągle będzie grzech, rozpusta i zło, bo dzisiaj wójt ukradł dla niej, a jutro zrobi to samo drugi!

— Kijami zatłuc i ścierwo rzucić psom!

— Wygnać ją ze wsi, wypędzić na bory i lasy, kiej tę zarazę!

— Wypędzić! Jedyna rada! Wypędzić — zawrzeszczały rozsrożone, gotowe już na wszystko i z namowy organiściny pociągnęły do wójtowej.

Wyszła do nich, zapuchnięta od płaczu, a tak zbiedzona, tak nieszczęśliwa i rozlamentowana, że wzięły ją ściskać, płacząc nad nią i użalając się ze wszystkiego serca.

Dopiero po jakimś czasie organiścina wspomniała jej o Jagusi.

— Święta prawda! Ona wszystkiemu winowata, ona — zalamentowała rozpacznie. — Ten tłuk sobaczy, ta piekielnica! Ażebyś zdechła pod płotem za moją krzywdę, ażeby cię robaki roztoczyły za mój wstyd, za moje nieszczęście! — padła kajś na ławę, tarzając się w niewypowiedzianej męce i szlochaniu.

Napłakały się nad nią dowoli, nabiedziły i rozeszły się do domu, bo słońce kłoniło się już ku zacho-

dowi. Ostała tylko organiścina i, zamknąwszy się z nią, cosik ważnego uradziły, gdyż jeszcze przed zmierzchem poleciały na wieś, po chałupach, rozpoczynając jakąś cichą i tajną robotę.

Przystały do nich Płoszki, przyniewoliły jeszcze niektórych i poszli razem do proboszcza, wysłuchał wszystkiego, ale rozłożył ręce i zawołał:

— Nie mieszam się do niczego, róbcie, co chcecie, ja nie wiem o niczem i jutro z rana jadę do Żarnowa na cały dzień!

Wieczór uczynił się wielce swarliwy, pełen narad, sprzeczek i tajemniczych szeptów, a gdy już ciemna noc zapadła, wszyscy zmówieni zeszli się do karczmy i, ugaszczani przez organistów, jęli znowu radzić i deliberować. A zeszli się co najpierwsi gospodarze i prawie wszystkie żeniate kobiety i uradzali już dość długo, gdy Płoszkowa zakrzyczała:

— A kajże to Antek Boryna? Cała wieś się zebrała, on pierwszy w Lipcach gospodarz, to przez niego nie można radzić, będzie nieważne.

— Prawda, posłać po niego! Musi przyjść! Bez niego nie można! — wrzeszczeli.

— A może będzie jej bronił, kto wie? — szepnęła któraś.

— Śmiałby to całej wsi się przeciwić! Kiej wszystkie, to wszystkie!

Kopnął się po niego sołtys i z łóżka musiał ściągać, bo już był spał.

— Musicie iść i powiedzieć swoje! A nie pójdziecie, to powiedzą, co ją osłaniacie i przeciwko gro-

madzie nasprzeciw idziecie! Baby wam nie darują dawnych grzechów. Chodźcież, raz trzeba z tem skończyć.

I poszedł, chociaż z ciężkiem sercem, bo iść musiał.

Karczma była jakby nabita, że trudno już było palec wrazić, i wrzało zcicha, gdyż organista stojał właśnie na ławie i prawił nibyto kazanie.

— ...i drugiego sposobu niema! Wieś to jak ten dom, niech jeden złodziej wyjmie z pod niego przyciesię, niech drugi złakomi się na belki, a trzeciemu zechce się wyjąć kawał ściany, to wkońcu chałupa się zwali i na śmierć wszystkich przygniecie! Wymiarkujcie to sobie dobrze! A niechże tu każdemu będzie wolno kraść, rozbijać, krzywdzić, rozpuste czynić, to i cóż się stanie ze wsią? Powiadam wam, nie wieś to już będzie, a jeno ten chlew djabelski, a hańba i wstyd la poczciwych! Że omijać ją będą zdaleka i żegnać się na jej przypomnienie! Ale mówię wam, że prędzej czy później kara Boska na taką wieś spaść musi, jak spadła na ową Sodomę i Gomorę! Spadnie i wszystkich wytraci, bo wszyscy są zarówno winni, tak ci, którzy źle robią, jak i ci, którzy pozwalają rozrastać się złemu! Pismo święte nas poucza: jeśli zgorszy cię ręka twoja, odetnij ją; a jeśli zgrzeszyło oko, wyłup je i ciśnij psom! Jagusia, mówię wam, to gorsza od moru, gorsza od zarazy, bo sieje zgorszenie, grzeszy przeciw wszystkim przykazaniom i ściąga na wieś gniew Boży i jego straszną pomstę! Wypędźta ją póki jeszcze czas! Już się przebrała miarka jej grzechów i przyszedł czas na pokaranie! — ryczał kiej byk, jaże mu oczy wyłaziły z rozczerwienionej twarzy.

— Juści! Pora! Naród mocen jest karać i mocen wynadgradzać! Wygnać ją ze wsi! Wygnać! — wrzeszczeli coraz głośniej.

Prawił jeszcze Grzela, wójtów brat, przemawiał stary Płoszka, pyskował Gulbas, ale mało kto słuchał, bo już wszyscy wraz mówili. Organiścina cięgiem rozpowiadała, jak to było z Jasiem, wójtowa też swoje krzywdy każdemu w uszy kładła, a i drugie pofolgowały se niezgorzej, że już wrzało kiej na jarmarku.

Tylko Antek się nie odzywał, stojał przy szynkwasie chmurny, kiej noc, z zaciętemi zębami, pobladły od męki, a przychodziły na niego takie minuty, że chciało mu się chycić ławę i prać nią te wszystkie rozwrzeszczone pyski, a obcasami tratować kiej to paskudne robactwo, i tak mu się już wszystko zmierziło, iż pił kieliszek po kieliszku, a spluwał jeno i klął cicho.

Podszedł doń Płoszka i głośno na całą karczmę zapytał:

— Już wszystkie zgodziły się na jedno, że Jagusię trza wygnać ze wsi.—Rzeknij i ty swoje, Antoni.

Przycichło nagle w karczmie, wszystkie oczy wlepiły się w niego, byli prawie pewni, że się sprzeciwi, ale on odsapnął, wyprostował się i rzekł głośno:

— W gromadzie żyję, to i z gromadą trzymam! Chceta ją wypędzić, wypędźta; a chceta se ją posadzić na ołtarzu, posadźta! Zarówno mi jedno!

Odsunął ręką zalegających mu drogę i wyszedł, nie patrząc na nikogo.

Długo jeszcze po jego wyjściu radzili, prawie do samego świtania, a rankiem wiedzieli już wszyscy, że postanowiono wypędzić ze wsi Jagusię.

Mało kto stawał w jej obronie, bo każdego zakrzyczeli, tylko jeden Mateusz, nie uląkłszy się nikogo, klął wszystkich w oczy i pomstował na całą wieś, że, już rozwścieklony do ostatka, poleciał szukać ratunku u Antka.

— Wiesz o Jagusi? — blady był, kiej trup, i cały dygotał.

— A wiem, prawo za niemi! — rzekł krótko, myjąc się pod studnią.

— Żeby ich mór z takiem prawem! To robota organistów! Jakże, dopuścim do takiej niesprawiedliwości! Cóżto komu zawiniła? A o co ją winią, to nieprawda, czyste cygaństwo! Jezu, żeby się ważyli wyganiać człowieka, jak tego wściekłego psa. Niesposób, żeby to miało być!

— Sprzeciwisz się to całej gromadzie?

— Rzekłeś, jakbyś z niemi trzymał — zawarczał z groźnym wyrzutem.

— Z nikim nie trzymam, ale i tyla mi do niej, co do tego kamienia.

— Ratuj, Antek, poradź co niebądź. Laboga, już mi się we łbie mąci! pomiarkuj ino, cóż ona pocznie, kaj się podzieje? A psiekrwie, zbóje, wilki jedne. Siekierę chyba chycę i będę rąbał, a nie dopuszczę, nie dopuszczę!

— Nic ci nie pomogę. Postanowili, to cóż znaczy jeden sprzeciw, nic.

— Masz do niej złość! — zawrzeszczał niespodzianie.

— Mam złość, czy nie, nic komu do tego — powiedział surowo i, wsparty o studnię, zapatrzył się kajś daleko. Bolesnym kłębem zwiły się w nim jeno przytajone, a wiecznie czujne miłowania i zazdroście, że chwiał się w sobie z pojękiem, niby drzewo targane przez wichurę.

Obejrzał się naraz, Mateusza już nie było, a wieś wydała mu się jakaś obca i dziwnie przykra i strasznie rozwrzeszczana.

Prawda, co i ten dzień pamiętny także był jakiś niezwyczajny. Słońce wlekło się blade i jakby obrzękłe, duszno było na świecie i strasznie gorąco, niebo wisiało nisko, zawalone paskudnemi chmurzyskami, wiater zrywał się co chwila i zamiatał, a nad drogami podnosiły się kłęby kurzawy, miało się na burzę, kajś nad borami jakby się łyskało.

Zaś między ludźmi już się srożyła sielna zawierucha, latali po wsi, kieby poszaleli, kłótnie wrzały po wszystkich chałupach, jakieś baby pobiły się nad stawem, psy ujadały bezustannie, prawie nikt nie wyszedł w pole do roboty, bydło, nie wypędzone na paszę, ryczało po oborach, nawet mszy tego dnia ksiądz nie odprawił i wyjechał równo ze świtem, zamęt podnosił się coraz większy i niespokojność rosła z minuty na minutę.

Antek, dojrzawszy, że w organistowych opłotkach zbiera się coraz więcej narodu, wziął kosę na ramię i śpiesznie poszedł w pole, pod las.

Przeszkadzał mu wiatr, plącząc zboże i bijąc piaskiem w oczy, ale wparł się w zagon i jął siec, spokojnie nasłuchując zarazem dalekich gwarów.

— Może to już — przemknęło mu naraz przez głowę, serce zatłukło, kieby młotem, gniew nim zatargał, i rozprężył grzbiet, już miał rzucić kosę i lecieć na ratunek, ale opamiętał się jeszcze wporę.

— Kto zawinił, niech weźmie karę. A niechta, a niechta.

Żyta z chrzęstem kłoniły mu się do nóg i biły w niego niby rozkolebane wody, wiater rozwiewał mu włosy i suszył twarz, spotniałą z męki, oczy prawie nic nie widziały, jakby już wszystek był tam, przy Jagusi, że tylko twarde, przyuczone ręce same wodziły kosę, kładąc pokos za pokosem.

Wiatr przyniósł od wsi jakiś długi, przeciągły krzyk.

Rzucił kosę i przysiadł pod żytnią ścianą, jakby się wparł w ziemię, jakby się jej czepił całą mocą, zaś cały się jej ujął, jakby w żelazne pazury, i zdzierżył, i nie dał się, chociaż oczy latały nad wsią, niby oszalałe ptaki, choć serce skwierczało z trwogi, choć trząsł się i dygotał z niepokoju.

— Wszyćko musi iść po swojemu, wszyćko. Trza orać, by siać, trza siać, by zbierać, a co jeno przeszkadza, trza wyplenić, kiej zły chwast — mówił w nim jakiś surowy, prawieczny głos, jakby tej ziemie i tych ludzkich siedlisk.

Buntował się jeszcze, ale już słuchał coraz pokorniej.

— Juści, że każdy ma prawo bronić się przed wilkami, każdy.

Chyciły go jakieś ostatnie żałoście i myśli, kiej lute kąśliwe wichry, owiały go mrocznym tumanem, ponosząc z miejsca.

Porwał się na nogi, naostrzył kosę osełką, przeżegnał się, splunął w garście i jął się do roboty, waląc pokos za pokosem z taką zapamiętałością, jaże świstało płytkie ostrze kosy i pojękiwały ściany żyta.

A tymczasem na wsi nastał straszny czas sądu i kary, że już i nie opowiedzieć, co się tam wyrabiało. Jakoby dur ogarnął Lipce, a ludzie zgoła się powściekali, bo, co jeno było rozważniejsze, pozamykało się w chałupach lub uciekło na pola, zaś reszta, pozbierana nad stawem w gromady i jakby opita złością, wrzała coraz zapalczywiej, jurząc się nawzajem krzykami, że już każden się wydzierał, każden pomstował, każden się srożył wraz, czyniąc przeraźliwy warkot, podobien dalekim i groźnym grzmotom.

I w jakiejś minucie cała wieś ruszyła do Dominikowej, kieby ten wezbrany, szumiący potok, wiedła organiścina z wójtową, a za niemi przepychało się z rykiem całe rozjuszone stado.

Wdarli się do chałupy, kiej burza, jaże zadygotały ściany, Dominikowa zastąpiła drogę, to ją stratowali, Jędrzych skoczył bronić i w oczymgnienie zrobili z nim to samo, wreszcie Mateusz chciał ich powstrzymać przed komorą i, chociaż prał drągiem, chociaż bronił całą mocą, ale nie wyszło i Zdrowaś, już leżał kajś pod ścianą z rozbitym łbem i nieprzytomny.

Jagusia była zaparta w alkierzu, a kiej wyrwali drzwi, stała przytulona do ściany i nie broniła się, nie

wydała nawet głosu, blada była kiej trup, a w oczach, szeroko rozwartych, gorzało ponure płomię grozy i śmierci.

Sto rąk wyciągnęło się po nią, sto rąk głodnemi, chciwemi pazurami chwyciło ją ze wszystkich stron, wyrwało niby kierz, płytko wrośnięty w ziemię, i powlekło w opłotki.

— Związać ją, wyrwie się jeszcze i ucieknie — rozrządziła wójtowa.

Na drodze stał już gotowy wóz, nałożony swińskim nawozem po wręby desek i zaprzężony we dwie czarne krowy, rzucili ją na gnój związaną, niby barana, i ruszyli wśród piekielnego zamętu; urągliwe wyzwiska, śmiechy i przekleństwa posypały się za nią kiej grad, po stokroć zabijający.

Ale przed kościołem cały pochód przystanął.

— Trza ją zewlec do naga i pod kruchtą wysiec rózgami! — krzyknęła Kozłowa.

— Zawdy takie bili pod kościołem! Do pierwszej krwi, bierzta ją! — wrzeszczały.

Na szczęście, brama smętarza była zawarta, zaś we furtce stojał Jambroż z proboszczowską strzelbą w ręku i, skoro się wstrzymali, ryknął z całej piersi:

— Kto się poważy wejść na kościelne, zastrzelę, jak mi Bóg miły. Ubiję jak psa — groził i tak jakoś strasznie patrzał, gotując broń, jakby do strzału, że, poniechawszy zamiaru, ruszyli dalej na topolową.

Zaczęli nawet pośpieszać, gdyż burza mogła wybuchnąć leda chwila, niebo posępniało coraz barzej, wiater bił w topole, jaże się pokładały, kurzawa zrywała się z pod nóg, zasypując oczy, i stronami hurkotały grzmoty.

I odeszła, jakby nie chcąc się zdradzić, ale baby jej nie puściły, przyparły kajś do płota, tak molestowały, że zaczęła im rozpowiadać na niby pod sekretem: jakie to wójt przywoził dla Jagusi piesztrzonki ze szczerego złota, a jakie chustki jedwabne, a jakie płótna cieniuśkie, a jakie korale, a ile to jej nadawał gotowych pieniędzy! Juści co cyganiła, jaże się kurzyło, ale święcie uwierzyły, tylko jedna Jagustynka ozwała się gniewnie:

— Klituś, bajduś, módl się za nami. Widziała to pani?

— A widziałam i mogę przysięgnąć nawet w kościele, że dla niej ukradł, dla niej, a może go nawet namówiła! Ho, ho, gotowa ona na wszystko, nic dla niej niema świętego, bez wstydu już i sumienia! Jak ta rozciekana suka, lata po wsi, a roznosi jeno zgorszenie i nieszczęście! Nawet mojego Jasia zwieść chciała, chłopiec niewinny, jak dziecko, to uciekł od niej i wszystko mi opowiedział! Czy to nie zgroza, księdzu nawet nie daje spokoju! — gadała prędko, ledwie już dysząc od złości.

Jakby iskra padła na prochy, tak buchnęły naraz wszystkie dawne urazy do Jagusi, wszystkie zazdroście i gniewy i nienawiście; jęły wypominać, co ino która miała na wątpiach, że podniósł się niewypowiedziany wrzask. Krzyczały jedna przez drugą i coraz zapamiętalej.

— Że to taką święta ziemia nosi!

— A przez kogo pomarł Maciej? Wspomnijcie jeno sobie!

— Całej wsi przyjdzie pokutować za taką zapowietrzoną!

— I nawet księdza chciała przywieść do grzechu! Jezu, bądź nam miłościwy!

— A wiela to już było przez nią pijatyk, swarów, a obrazy Boskiej!

— Zakała całej wsi! Już przez nią Lipce wytykają palcami!

— Morowe powietrze niegorsze, niźli taka zaraza.

— Póki taka jest we wsi, potąd ciągle będzie grzech, rozpusta i zło, bo dzisiaj wójt ukradł dla niej, a jutro zrobi to samo drugi!

— Kijami zatłuc i ścierwo rzucić psom!

— Wygnać ją ze wsi, wypędzić na bory i lasy, kiej tę zarazę!

— Wypędzić! Jedyna rada! Wypędzić — zawrzeszczały rozsrożone, gotowe już na wszystko i z namowy organiściny pociągnęły do wójtowej.

Wyszła do nich, zapuchnięta od płaczu, a tak zbiedzona, tak nieszczęśliwa i rozlamentowana, że wzięły ją ściskać, płacząc nad nią i użalając się ze wszystkiego serca.

Dopiero po jakimś czasie organiścina wspomniała jej o Jagusi.

— Święta prawda! Ona wszystkiemu winowata, ona — zalamentowała rozpacznie. — Ten tłuk sobaczy, ta piekielnica! Ażebyś zdechła pod płotem za moją krzywdę, ażeby cię robaki roztoczyły za mój wstyd, za moje nieszczęście! — padła kajś na ławę, tarzając się w niewypowiedzianej męce i szlochaniu.

Napłakały się nad nią dowoli, nabiedziły i rozeszły się do domu, bo słońce kłoniło się już ku zacho-

dowi. Ostała tylko organiścina i, zamknąwszy się z nią, cosik ważnego uradziły, gdyż jeszcze przed zmierzchem poleciały na wieś, po chałupach, rozpoczynając jakąś cichą i tajną robotę.

Przystały do nich Płoszki, przyniewoliły jeszcze niektórych i poszli razem do proboszcza, wysłuchał wszystkiego, ale rozłożył ręce i zawołał:

— Nie mieszam się do niczego, róbcie, co chcecie, ja nie wiem o niczem i jutro z rana jadę do Żarnowa na cały dzień!

Wieczór uczynił się wielce swarliwy, pełen narad, sprzeczek i tajemniczych szeptów, a gdy już ciemna noc zapadła, wszyscy zmówieni zeszli się do karczmy i, ugaszczani przez organistów, jęli znowu radzić i deliberować. A zeszli się co najpierwsi gospodarze i prawie wszystkie żeniate kobiety i uradzali już dość długo, gdy Płoszkowa zakrzyczała:

— A kajże to Antek Boryna? Cała wieś się zebrała, on pierwszy w Lipcach gospodarz, to przez niego nie można radzić, będzie nieważne.

— Prawda, posłać po niego! Musi przyjść! Bez niego nie można! — wrzeszczeli.

— A może będzie jej bronił, kto wie? — szepnęła któraś.

— Śmiałby to całej wsi się przeciwić! Kiej wszystkie, to wszystkie!

Kopnął się po niego sołtys i z łóżka musiał ściągać, bo już był spał.

— Musicie iść i powiedzieć swoje! A nie pójdziecie, to powiedzą, co ją osłaniacie i przeciwko gro-

madzie nasprzeciw idziecie! Baby wam nie darują dawnych grzechów. Chodźcież, raz trzeba z tem skończyć.

I poszedł, chociaż z ciężkiem sercem, bo iść musiał.

Karczma była jakby nabita, że trudno już było palec wrazić, i wrzało zcicha, gdyż organista stojał właśnie na ławie i prawił nibyto kazanie.

— ...i drugiego sposobu niema! Wieś to jak ten dom, niech jeden złodziej wyjmie z pod niego przyciesię, niech drugi złakomi się na belki, a trzeciemu zechce się wyjąć kawał ściany, to wkońcu chałupa się zwali i na śmierć wszystkich przygniecie! Wymiarkujcie to sobie dobrze! A niechże tu każdemu będzie wolno kraść, rozbijać, krzywdzić, rozpuste czynić, to i cóż się stanie ze wsią? Powiadam wam, nie wieś to już będzie, a jeno ten chlew djabelski, a hańba i wstyd la poczciwych! Że omijać ją będą zdaleka i żegnać się na jej przypomnienie! Ale mówię wam, że prędzej czy później kara Boska na taką wieś spaść musi, jak spadła na ową Sodomę i Gomorę! Spadnie i wszystkich wytraci, bo wszyscy są zarówno winni, tak ci, którzy źle robią, jak i ci, którzy pozwalają rozrastać się złemu! Pismo święte nas poucza: jeśli zgorszy cię ręka twoja, odetnij ją; a jeśli zgrzeszyło oko, wyłup je i ciśnij psom! Jagusia, mówię wam, to gorsza od moru, gorsza od zarazy, bo sieje zgorszenie, grzeszy przeciw wszystkim przykazaniom i ściąga na wieś gniew Boży i jego straszną pomstę! Wypędźta ją póki jeszcze czas! Już się przebrała miarka jej grzechów i przyszedł czas na pokaranie! — ryczał kiej byk, jaże mu oczy wyłaziły z rozczerwienionej twarzy.

— Juści! Pora! Naród mocen jest karać i mocen wynadgradzać! Wygnać ją ze wsi! Wygnać! — wrzeszczeli coraz głośniej.

Prawił jeszcze Grzela, wójtów brat, przemawiał stary Płoszka, pyskował Gulbas, ale mało kto słuchał, bo już wszyscy wraz mówili. Organiścina cięgiem rozpowiadała, jak to było z Jasiem, wójtowa też swoje krzywdy każdemu w uszy kładła, a i drugie pofolgowały se niezgorzej, że już wrzało kiej na jarmarku.

Tylko Antek się nie odzywał, stojał przy szynkwasie chmurny, kiej noc, z zaciętemi zębami, pobladły od męki, a przychodziły na niego takie minuty, że chciało mu się chycić ławę i prać nią te wszystkie rozwrzeszczone pyski, a obcasami tratować kiej to paskudne robactwo, i tak mu się już wszystko zmierziło, iż pił kieliszek po kieliszku, a spluwał jeno i klął cicho.

Podszedł doń Płoszka i głośno na całą karczmę zapytał:

— Już wszystkie zgodziły się na jedno, że Jagusię trza wygnać ze wsi.—Rzeknij i ty swoje, Antoni.

Przycichło nagle w karczmie, wszystkie oczy wlepiły się w niego, byli prawie pewni, że się sprzeciwi, ale on odsapnął, wyprostował się i rzekł głośno:

— W gromadzie żyję, to i z gromadą trzymam! Chceta ją wypędzić, wypędźta; a chceta se ją posadzić na ołtarzu, posadźta! Zarówno mi jedno!

Odsunął ręką zalegających mu drogę i wyszedł, nie patrząc na nikogo.

Długo jeszcze po jego wyjściu radzili, prawie do samego świtania, a rankiem wiedzieli już wszyscy, że postanowiono wypędzić ze wsi Jagusię.

Mało kto stawał w jej obronie, bo każdego zakrzyczeli, tylko jeden Mateusz, nie uląkłszy się nikogo, klął wszystkich w oczy i pomstował na całą wieś, że, już rozwścieklony do ostatka, poleciał szukać ratunku u Antka.

— Wiesz o Jagusi? — blady był, kiej trup, i cały dygotał.

— A wiem, prawo za niemi! — rzekł krótko, myjąc się pod studnią.

— Żeby ich mór z takiem prawem! To robota organistów! Jakże, dopuścim do takiej niesprawiedliwości! Cóżto komu zawiniła? A o co ją winią, to nieprawda, czyste cygaństwo! Jezu, żeby się ważyli wyganiać człowieka, jak tego wściekłego psa. Niesposób, żeby to miało być!

— Sprzeciwisz się to całej gromadzie?

— Rzekłeś, jakbyś z niemi trzymał — zawarczał z groźnym wyrzutem.

— Z nikim nie trzymam, ale i tyla mi do niej, co do tego kamienia.

— Ratuj, Antek, poradź co niebądź. Laboga, już mi się we łbie mąci! pomiarkuj ino, cóż ona pocznie, kaj się podzieje? A psiekrwie, zbóje, wilki jedne. Siekierę chyba chycę i będę rąbał, a nie dopuszczę, nie dopuszczę!

— Nic ci nie pomogę. Postanowili, to cóż znaczy jeden sprzeciw, nic.

— Masz do niej złość! — zawrzeszczał niespodzianie.

— Mam złość, czy nie, nic komu do tego — powiedział surowo i, wsparty o studnię, zapatrzył się kajś daleko. Bolesnym kłębem zwiły się w nim jeno przytajone, a wiecznie czujne miłowania i zazdroście, że chwiał się w sobie z pojękiem, niby drzewo targane przez wichurę.

Obejrzał się naraz, Mateusza już nie było, a wieś wydała mu się jakaś obca i dziwnie przykra i strasznie rozwrzeszczana.

Prawda, co i ten dzień pamiętny także był jakiś niezwyczajny. Słońce wlekło się blade i jakby obrzękłe, duszno było na świecie i strasznie gorąco, niebo wisiało nisko, zawalone paskudnemi chmurzyskami, wiater zrywał się co chwila i zamiatał, a nad drogami podnosiły się kłęby kurzawy, miało się na burzę, kajś nad borami jakby się łyskało.

Zaś między ludźmi już się srożyła sielna zawierucha, latali po wsi, kieby poszaleli, kłótnie wrzały po wszystkich chałupach, jakieś baby pobiły się nad stawem, psy ujadały bezustannie, prawie nikt nie wyszedł w pole do roboty, bydło, nie wypędzone na paszę, ryczało po oborach, nawet mszy tego dnia ksiądz nie odprawił i wyjechał równo ze świtem, zamęt podnosił się coraz większy i niespokojność rosła z minuty na minutę.

Antek, dojrzawszy, że w organistowych opłotkach zbiera się coraz więcej narodu, wziął kosę na ramię i śpiesznie poszedł w pole, pod las.

Przeszkadzał mu wiatr, plącząc zboże i bijąc piaskiem w oczy, ale wparł się w zagon i jął siec, spokojnie nasłuchując zarazem dalekich gwarów.

— Może to już — przemknęło mu naraz przez głowę, serce zatłukło, kieby młotem, gniew nim zatargał, i rozprężył grzbiet, już miał rzucić kosę i lecieć na ratunek, ale opamiętał się jeszcze wporę.

— Kto zawinił, niech weźmie karę. A niechta, a niechta.

Żyta z chrzęstem kłoniły mu się do nóg i biły w niego niby rozkolebane wody, wiater rozwiewał mu włosy i suszył twarz, spotniałą z męki, oczy prawie nic nie widziały, jakby już wszystek był tam, przy Jagusi, że tylko twarde, przyuczone ręce same wodziły kosę, kładąc pokos za pokosem.

Wiatr przyniósł od wsi jakiś długi, przeciągły krzyk.

Rzucił kosę i przysiadł pod żytnią ścianą, jakby się wparł w ziemię, jakby się jej czepił całą mocą, zaś cały się jej ujął, jakby w żelazne pazury, i zdzierżył, i nie dał się, chociaż oczy latały nad wsią, niby oszalałe ptaki, choć serce skwierczało z trwogi, choć trząsł się i dygotał z niepokoju.

— Wszyćko musi iść po swojemu, wszyćko. Trza orać, by siać, trza siać, by zbierać, a co jeno przeszkadza, trza wyplenić, kiej zły chwast — mówił w nim jakiś surowy, prawieczny głos, jakby tej ziemie i tych ludzkich siedlisk.

Buntował się jeszcze, ale już słuchał coraz pokorniej.

— Juści, że każdy ma prawo bronić się przed wilkami, każdy.

Chyciły go jakieś ostatnie żałoście i myśli, kiej lute kąśliwe wichry, owiały go mrocznym tumanem, ponosząc z miejsca.

Porwał się na nogi, naostrzył kosę osełką, przeżegnał się, splunął w garście i jął się do roboty, waląc pokos za pokosem z taką zapamiętałością, jaże świstało płytkie ostrze kosy i pojękiwały ściany żyta.

A tymczasem na wsi nastał straszny czas sądu i kary, że już i nie opowiedzieć, co się tam wyrabiało. Jakoby dur ogarnął Lipce, a ludzie zgoła się powściekali, bo, co jeno było rozważniejsze, pozamykało się w chałupach lub uciekło na pola, zaś reszta, pozbierana nad stawem w gromady i jakby opita złością, wrzała coraz zapalczywiej, jurząc się nawzajem krzykami, że już każden się wydzierał, każden pomstował, każden się srożył wraz, czyniąc przeraźliwy warkot, podobien dalekim i groźnym grzmotom.

I w jakiejś minucie cała wieś ruszyła do Dominikowej, kieby ten wezbrany, szumiący potok, wiedła organiścina z wójtową, a za niemi przepychało się z rykiem całe rozjuszone stado.

Wdarli się do chałupy, kiej burza, jaże zadygotały ściany, Dominikowa zastąpiła drogę, to ją stratowali, Jędrzych skoczył bronić i w oczymgnienie zrobili z nim to samo, wreszcie Mateusz chciał ich powstrzymać przed komorą i, chociaż prał drągiem, chociaż bronił całą mocą, ale nie wyszło i Zdrowaś, już leżał kajś pod ścianą z rozbitym łbem i nieprzytomny.

Jagusia była zaparta w alkierzu, a kiej wyrwali drzwi, stała przytulona do ściany i nie broniła się, nie

wydała nawet głosu, blada była kiej trup, a w oczach, szeroko rozwartych, gorzało ponure płomię grozy i śmierci.

Sto rąk wyciągnęło się po nią, sto rąk głodnemi, chciwemi pazurami chwyciło ją ze wszystkich stron, wyrwało niby kierz, płytko wrośnięty w ziemię, i powlekło w opłotki.

— Związać ją, wyrwie się jeszcze i ucieknie — rozrządziła wójtowa.

Na drodze stał już gotowy wóz, nałożony swińskim nawozem po wręby desek i zaprzężony we dwie czarne krowy, rzucili ją na gnój związaną, niby barana, i ruszyli wśród piekielnego zamętu; urągliwe wyzwiska, śmiechy i przekleństwa posypały się za nią kiej grad, po stokroć zabijający.

Ale przed kościołem cały pochód przystanął.

— Trza ją zewlec do naga i pod kruchtą wysiec rózgami! — krzyknęła Kozłowa.

— Zawdy takie bili pod kościołem! Do pierwszej krwi, bierzta ją! — wrzeszczały.

Na szczęście, brama smętarza była zawarta, zaś we furtce stojał Jambroż z proboszczowską strzelbą w ręku i, skoro się wstrzymali, ryknął z całej piersi:

— Kto się poważy wejść na kościelne, zastrzelę, jak mi Bóg miły. Ubiję jak psa — groził i tak jakoś strasznie patrzał, gotując broń, jakby do strzału, że, poniechawszy zamiaru, ruszyli dalej na topolową.

Zaczęli nawet pośpieszać, gdyż burza mogła wybuchnąć leda chwila, niebo posępniało coraz barzej, wiater bił w topole, jaże się pokładały, kurzawa zrywała się z pod nóg, zasypując oczy, i stronami hurkotały grzmoty.

— Poganiaj, Pietrek, prędzej — przynaglali, rozglądając się niespokojnie po niebie, przycichli jakoś, szli bezładnie bokami drogi, bo środkiem był srogi piasek, że tylko niekiedy co tam któraś zawziętsza, dopadłszy wozu, ulżyła se, pokrzykując zajadle:

— Ty świnio! ty tłumoku! A do sołdatów, łajdusie zapowietrzony.

— Używałaś, to nażrej się teraz wstydu, posmakuj zgryzoty! — darły się nad nią.

Pietrek, parobek Borynów, któren powoził, bo żaden drugi nie chciał, szedł przy wozie, smagał krowy, a skoro jeno upatrzył porę, szeptał do niej litośnie:

— Już niedaleczko... pomsty za taką krzywdę... ścierpcie ino...

Zaś Jagusia w postronkach, na gnoju, zbita do krwi, w porwanem odzieniu, pohańbiona na wieki, skrzywdzona ponad człowiecze wyrozumienie i nieszczęsna ponad wszystko, leżała, jakby już nie słysząc, ni czując, co się dzieje dokoła, tylko żywe łzy nieustanną strugą ciekły po jej twarzy posiniaczonej, a niekiedy wzniesła się pierś, niby w tym krzyku skamieniałym.

— Prędzej, Pietrek! prędzej! — wołali coraz częściej, rosła w nich bowiem niecierpliwość, jakby opamiętanie, że już prawie w dyrdy dosięgli granicznych kopców pod samym lasem.

Podnieśli deski woza i wraz z gnojem, jak to ścierwo obmierzłe, rzucili, jaże ziemia pod nią jęknęła, padła wznak i nawet się nie poruszyła.

Dopadła jej wójtowa i, kopnąwszy nogą, zawrzeszczała:

— A wrócisz do wsi, to cię zaszczujemy psami!— podniesła jakąś grudę czy kamień i grzmotnęła w nią z całej siły — za krzywdę moich dzieci!

— Za wstyd całej wsi — biła ją druga.

— Byś sczezła na wieki!

— By cię święta ziemia wyrzuciła!

— Byś zdechła z głodu i pragnienia!

Biły w nią głosy, grudy ziemi, kamienie i przygarście piachu, a ona leżała, kiej kłoda, zapatrzona jeno w rozkolebane nad sobą drzewa.

Spochmurniało nagle na świecie, zaczął padać deszcz gruby i ziarnisty.

Pietrek z wozem cosik się zamarudził, że, już nie czekając na niego, wracali kupami, a jakoś dziwnie cicho, ale gdzieś w połowie drogi spotkali Dominikową, szła okrwawiona w potarganej odzieży, zaszlochana i z trudem macająca kijem drogę, a gdy pomiarkowała, kto ją wymija, wybuchnęła strasznym głosem:

— Ażeby was mór! Ażeby was zaraza! Ażeby was ogień i woda nie szczędziły!

Każden jeno głowę wtulił w ramiona i uciekał zestrachany.

A ona wielkiemi krokami pobiegła na ratunek Jagusi.

. . . . . .

. . . . . .

Burza rozsrożyła się już na dobre, niebo posiniało kiej wątroba, kurz zakotłował wielgachnemi kłębami, topole z jakiemś szlochaniem i krzykiem przyginały się do ziemi, zawyły wiatry i jęły coraz zapamiętalej walić

się na zboża, pierzchające we wszystkie strony, i rycząc, kiej byki zjuszone, rypnęły w lasy zwarte, rozchybotane i wniebogłosy szumiące.

Grzmoty już szły za grzmotami, przewalając się z hurkotem wskroś całego świata, jaże ziemia dygotała i chałupy się trzęsły.

Zwite kołtuny miedziano-granitowych chmur zwiesiły nisko spęczniałe, opuchłe kałduny i coraz to któraś się rozpękła, trzasnął pierun i buchały potoki oślepiającej jasności.

Niekiedy sypał rzadki grad, trzeszcząc po liściach i gałęziach.

A w sinej ćmie dnia, kurzawy i gradów targały się rozpaczliwie drzewa, krzaki i zboża, jakby rwiąc się do ucieczki, ale bite wichurą, ze wszystkich stron, ślepione piorunami, obłąkane hukiem, kręciły się jeno i szarpały z dzikim poświstem, a kajś z wysoka, przez chmury, ciemnicę i rozwieję przelatywały modre błyskawice, leciały niby stado wężów ognistych, leciały wyrwane skądściś i niewiadomo kaj ciskane, leciały migotliwe i zagubione, oślepiające wszystek świat, a ślepe i nieme, kiej dola człowiekowa. I trwało tak z przerwami do samego wieczora, dopiero na samym zmierzchu całkiem się uspokoiło i przyszła noc cicha, ciemna i chłodnawa.

A nazajutrz dzień podniósł się bardzo cudny, niebo było bez chmur i modrzało kiej opłókane, ziemia połśniewała rosami, śpiewały radośnie ptaki, a wszelaki stwór pławił się z lubością w rzeźwem, pachnącem powietrzu.

Zaś w Lipcach wróciło wszystko do dawnego, ale skoro jeno słońce wyniesło się na parę chłopa, to, jakby zmówieni, wszyscy zaczęli wychodzić do żniwa, że ano z każdej chałupy ruszali całą gromadą, z każdej chałupy błyskały sierpy i kosy, z każdego obejścia wytaczały się wozy na miedze i polne drożyny.

A kiej sygnaturka zaświegotała na kościele, już każden stojał gotowy na swoim zagonie i, posłyszawszy dzwonienie, a jak poniektórzy na co bliższych polach, i przejmujące granie organów, jęli odmawiać pacierze, kto przyklękał, kto nawet modlił się na głos, kto jeno wzdychał pobożnie, nabierając przytem tchu i mocy, a każden się żegnał, w garście spluwał, nogami krzepko w zagon się wpierał, przyginał grzbiet i, żarliwie imając się sierpa czy kosy, zaczynał rznąć i kosić.

Wielka, uroczysta cichość przejęła żniwne pola, zrobiło się jakby święte nabożeństwo znojne, nieustannej i owocnej pracy.

Słońce podnosiło się coraz wyżej, skwar wzmagał się z godziny na godzinę, ogniste blaski zalewały pola i żniwny dzień potoczył się kiej to pszeniczne złoto i dzwonił kiej złotem, ciężkiem, źrałem ziarnem.

Wieś ostała pusta i jakby wymarła, chałupy były pozawierane, bo wszystko, co jeno żyło i mogło się dźwignąć z miejsca, ruszało do żniw, że nawet dzieci, nawet stare i schorzałe, nawet pieski rwały się z postronków i ciągnęły od opustoszałych domostw za narodem.

Że już na wszystkich polach, jak jeno było można sięgnąć okiem, w straszliwym skwarze, wśród zbóż złotawych, w rozmigotanem i ślepiącem powietrzu, od

świtu do późnego wieczora połyskiwały sierpy i kosy, bielały koszule, czerwieniały wełniaki, gmerali się niestrudzenie ludzie i szła cicha, wytężona robota, i nikto się już nie lenił, na somsiadów nie oglądał, o niczem drugiem nie myślał, a jeno, przygięty nad zagonem kiej wół, w pocie czoła pracował.

Tylko jedne pola Dominikowej stojały opuszczone i jakby zapomniane; ziarno się już sypało z kłosów, zboża mdlały od suszy, a nikto się tam nawet nie pokazał, z lękliwym smutkiem odwracano od nich oczy, niejeden już wzdychał nad niemi, niejeden drapał się frasobliwie, oglądał trwożnie na drugich i potem jeszcze skwapniej przypinał się do roboty, nie pora była deliberować nad taką marnacją i upadkiem.

Albowiem te żniwne dnie toczyły się już, kiej koła rozmigotane złocistemi szprychami słońca, i przechodziły jedne za drugiemi, a coraz chybciej, i zarówno znojne i zarówno ciężkim a radosnym trudom oddane.

A wkrótce po paru dniach, że czas był wybrany i pogody cięgiem dopisywały, to wzięli pożęte zboża wiązać w grubachne snopy, ustawiać je na zagonach mendlami a zwolna przewozić do Lipiec.

Że już bez przerwy toczyły się ciężkie, nastroszone wozy; toczyły się ze wszystkich pól, wszystkiemi drożynami i do wszystkich naścieżaj powywieranych stodół, jakoby sypkiem złotem nabrane fale rozlały się po drogach, podworcach i klepiskach, trzęsły się nawet nad staw, nawet u drzew nad drogami wisiały złote, słomiane brody, a wszystek świat rozpachniał się przywiędłą słomą, trawami, a młodem ziarnem.

Już gdzie niegdzie po stodołach biły cepy, śpiesznie młócące na chleb. A na przestronnych, pustoszejących polach, na złotawych rżyskach, stada gęsi bobrowały chciwie za kłosami, pasły się całe zgony owiec i krów, kaj niekaj dymiły pierwsze ognie, a już po całych dniach rozgłaszały się dzieuszyne przyśpiewki, wrzaski radosne, nawoływania, turkoty wozów i jaśniały opalone, szczęsne twarze ludzi.

I nie położyli jeszcze żyta, to już po górkach owsy skamlały się o kosy, a jęczmiona dojrzewały prawie na oczach, a pszenice coraz złociściej rdzawiały, że nie było czasu odzipnąć, ni nawet podjeść jako tako, ale mimo tej ciężkiej pracy i takiego utrudzenia, iż niejeden zasypiał nad miską, wieczorami, kiej pościągali z pól, Lipce jaże się trzęsły od wrzawy radosnej, śmiechów, rozpowiadań, śpiewań i muzyki.

Skończył się bowiem przednówek, stodoły były pełne, zboże sypało niezgorzej, i każden, choćby najbiedniejszy, hardo podnosił głowę, z dufnością patrzał w jutro i roił se jakoweś zdawiendawna upragnione szczęśliwości.

Któregoś z takich żniwnych, złotych dni, kiej już zwozili jęczmiona, przechodził przez wieś ślepy dziad, wodzony przez pieska, lecz mimo spieki nikaj nie wstąpił, śpieszył się bowiem na Podlesie. Ciężko mu było dźwigać spaśny brzuch i pokręcone kulasy, to wlókł się zwolna i cięgiem pociągał nosem, uszami czujnie strzygł i, przystając przy żniwiarzach, Boga chwalił, tabaką częstował, a kiej mu jaki grosz kapnął niespo-

dzianie, pacierze mamrotał, ale i przemyślnie, odniechcenia zagadywał o Jagusię i lipeckie sprawy.

Niewiela się jednak wywiedział, bo go czem niebądź i niechętliwie zbywali.

Dopiero na Podlesiu, kiej przysiadł pod figurą odzipnąć nieco, napotkał go Mateusz, rychtujący niedaleczko drzewo na kowalowy wiatrak.

— Pokażcie mi drogę do Szymków! — prosił dziad, dźwigając się na kule.

— Nie zażyjecie u nich wywczasu! Tam jeno płacz i zgryzota! — szepnął Mateusz.

— Jagusia chora jeszcze? Powiadały, jako się jej cosik w głowie popsuło...

— Nieprawda, leży jednak ciągiem i mało wiele o Bożym świecie pamięta! Kamieńby się nad nią zlitował! O ludzie, ludzie!

— Żeby tak zatracić duszę chrześcijańską! Ale stara pono skarży całą wieś?

— Nic nie wskóra! Wszystkie postanowiły, całą gromadą, prawo mają...

— Straszna rzecz, gniew całego narodu, straszna! — Jaże się wstrząsł.

— Juści, ale głupia i zła, i niesprawiedliwa! — wybuchnął Mateusz i, podprowadziwszy go pod chałupę, sam zajrzał do środka, ale rychło wyszedł, obcierając ukradkiem łzy. Nastusia przędła len pod ścianą, dziad przysiadł pobok i wyjął niebieską flaszkę.

— Wiecie, trza tą wodą pokrapiać Jagusię trzy razy na dzień i nacierać jej ciemię, a do tygodnia jakby ręką odjął! Dały mi tę wodę zakonnice w Przyrowie.

— Bóg wam zapłać! Dwie niedziele już przeszło, a ona cięgiem leży bez pamięci, czasami jeno rwie się kajś uciekać, lamentuje i Jasia przyzywa.

— Jakże Dominikowa?

— A też kiej trup, jeno przy niej przesiaduje! Nie pociągną oni długo, nie.

— Jezu, co się marnuje narodu, Jezu! A kajże to Szymek?

— W Lipcach siedzi, przeciek wszystko na jego głowie, bo ja muszę przy obu stróżować.

Wetknęła mu w garść całą dziesiątkę, ale dziad wziąć nie chciał.

— Z dobrego serca la niej przyniosłem i jeszcze jaki paciorek dołożę do Przemienienia Pańskiego! Dobra była la biednych, jak mało kto drugi na świecie, poczciwa.

— Prawda, co miała dobre serce, prawda! A może to i bez to musi tyle przecierpieć! — szepnęła, wlekąc smutnemi oczami po świecie.

Od Lipiec roznosiło się dzwonienie na Anioł Pański, a niekiedy dochodziły turkoty wozów, szczęki naostrzanych kos i dalekie, dalekie śpiewania, złocista kurzawa zachodu przysłaniać jęła całą wieś, i pola wszystkie, i lasy.

Dziad podniósł się, spędził psy, poprawił torebek i, wsparłszy się na kulach, rzekł:

— Ostańcie z Bogiem, ludzie kochane.

KONIEC.